

P. 9786 Chr. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Nr 7/141-8/142 1959**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. DRESLER : **LITERATURA DZISIEJSZEJ  
CZECHOSŁOWACJI**

Z. ROMANOWICZ :  
**PRZEJŚCIE PRZEZ MORZE CZERWONE**

**“ KULTURA ” - QUARTERLY DIGEST (2)**

## SPIS RZECZY

Jarosław Dresler :	<i>Literatura dzisiejszej Czechosłowacji</i>	3
Andrzej Chciuk :	<i>Wspomnienie o Brunonie Schulzu</i>	13
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmety z dziennika</i> .....	31
Józef Łobodowski :	<i>„Ostatnia wiosna”</i> .....	41
Zofia Romanowicz :	<i>Przejście przez Morze Czerwone</i> ..	50

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Czy Niemcy wrócą na Wschód ?</i> ..	85
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i> .....	92
S. W. Kozłowski :	<i>Przegląd niemiecki</i> .....	97

### KRAJ

Leszek Szymański :	<i>„Współczesność”</i> .....	103
Z. M. :	<i>Nauka czy propaganda ?</i> .....	112
—	<i>Jeszcze o konkursie policyjnym</i> ..	117

### SPRAWY I TROSKI

B. Czaykowski i B. Sulik :	<i>Rolnicy</i> .....	119
----------------------------	----------------------	-----

### NAJNOWSZA HISTORII POLSKI

Leon Mitkiewicz :	<i>Wspomnienia kowieńskie 1938/39</i>	129
Michał Sokolnicki :	<i>Chlubne karty historii PPS</i> ....	153

### KRONIKA KULTURALNA

B. H. :	<i>Rozmowa z kierownikami Funduszu Stypendialnego</i> .....	163
J. Cz. :	<i>Maupassant, Hostowiec, abstrakcja</i>	167
Rémy Celis :	<i>Na marginesie pewnej wystawy</i> ..	173
Jan Brzękowski :	<i>Literatura antywatorów</i> .....	176
—	<i>Monografia Skarbów Wawelskich</i>	183

### KSIĄŻKI

Zbigniew Jordan :	<i>Filozofia Spinozy i filozofia życia</i>	185
F. Toruńczyk :	<i>Zapiski więźnia praskiego</i> .....	194
Andrzej Bobkowski :	<i>Powieść meteorologiczna</i> .....	201
Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Na tematy pornograficzno-loliterackie</i>	205
Marian Pankowski :	<i>Emigracyjne nowości poetyckie</i> ..	212



—	<i>Listy do Redakcji</i> .....	220
---	--------------------------------	-----



—	<i>Digest of „Kultura”</i> .....	224
---	----------------------------------	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Lipiec-Sierpień – Juillet-Août 1959

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## DAR CZYTELNIKÓW "KULTURY" DLA BIBLIOTEKI NARODOWEJ W WARSZAWIE

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że za pieniądze uzyskane ze zbiórki na Bibliotekę Narodową został zakupiony w porozumieniu z Biblioteką Narodową aparat do mikrofilmowania.

Cena powyższego aparatu dość znacznie przekroczyła zebraną sumę. Dzięki jednak życzliwości producenta, firmy EASTMAN KODAK COMPANY (Rochester 4, N.Y.) udało nam się zakupu dokonać.

Firma Eastman Kodak Company przekazuje aparat Bibliotece Narodowej loco Gdynia.

### DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

Krystyna i Jan Bortkiewiczowie, Newark, N.J. (USA) ..... 2.000 frs  
Związek Miłośników Wilna im. Króla Zygmunta Augusta, Chicago, Ill., (USA) ..... 5.000 „

DZIĘKUJEMY

### NA MŁODZIEŻ Z POLSKI STUDIującą W PARYŻU

S. Tor, Chicago, Ill. (USA) ..... 500 frs

DZIĘKUJEMY

### NA "SECRET POLICE FUND"

Auberon Herbert, Londyn ..... 23.000 frs  
Stefan Zamoyski, Londyn ..... 5.000 „  
Stanley Z. Pech, Vancouver, B.C. (Kanada) ..... 1.515 „

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.



209786 chr. Arch.

## Literatura dzisiejszej Czechosłowacji

Zachodnim piśmiom i agencjom prasowym nie opłaca się utrzymywać w Pradze stałego korespondenta: nie miałby o czym pisać. Byłby podobny do strażaka oczekującego całymi tygodniami pożaru. Żadne pismo zresztą, nie wynagradza swych współpracowników za to, że czekają i rzną w karty. Poza tym, w danym wypadku, istnieje i ta możliwość, że tacy korespondenci prasy nigdy by się niczego nie doczekali, że po prostu zapomnieliby sztuki pisania. W Czechosłowacji nie dzieje się nic godnego uwagi; nic czym można by zabawić czytelnika z Zachodu przy przy jego porannej kawie, tym mniej, co mogłoby stanowić tytuł artykułu w wieczornym piśmie. Czechosłowacja jest podobna do chorego, u którego lekarz, badając go powierzchownie, nie zauważa żadnej choroby. Trzeba tu użyć bardziej wyczulonych środków rozpoznawczych.

Raz tylko w okresie ostatniego dziesięciolecia wysunęła inteligencja czeskosłowacka żądania polityczne w sposób jasny i wyraźnie sformułowany. Stało się to w czasie zjazdu pisarzy (oraz za jego kulisami) w kwietniu 1956 r. Ówczesną czeskosłowacką opinię publiczną poruszyły wynurzenia dwóch przede wszystkim poetów: Franciszka Hrubina i Jarosława Seiferta. Poeci ci raz jeszcze pokazali czeskim pisarzom ich właściwą drogę: winni być „sumieniem narodu”; obaj poświęcili sporo uwagi losowi więzionych i zmuszonych do milczenia pisarzy. Bardziej konkretne były żądania wysunięte poza kulisami zjazdu, w dyskusjach z ówczesnym prezydentem komunistycznym Zapotockim oraz na poufniejszych, zamkniętych zebraniach. Usiłowały one sprowokować, w ramach demokracji ludowej, zmianę reżymu, albo też raczej zmianę jego tempe-

ratury, tak jak się to stało, w kilka miesięcy później, w Polsce. Znaczna część pisarzy, członków partii, domagała się wtedy rozwiązania dotychczasowego Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Czechosłowackiej oraz zwołania nadzwyczajnego zjazdu partii. Ponieważ żądania te, podobnie jak szereg innych, fachowych, technicznych, strategicznych, ideologicznych i organizacyjnych, wypływały w większej lub mniejszej mierze spontanicznie, bez uprzedniego politycznego, praktycznego i teoretycznego ich przygotowania, udało się władzom komunistycznym przytłumić je stosunkowo łatwo. Zapotocki, który wśród pisarzy, zarówno komunistów jak i niekomunistów, cieszył się pewnym autorytetem, a to z tej racji, że od czasu do czasu skłonny był prowadzić z nimi dyskusje dość szczerze o palących zagadnieniach, ugłaskał ich w większej mierze za pomocą swego demagogicznego ataku przeciwko tzw. zdrowemu ludzkiemu rozsądkowi, niż dzięki swym argumentom i dowodom rzeczowym. Zresztą, owo wrzenie wśród pisarzy nie doznało dostatecznego poparcia ze strony społeczeństwa. Mały zaledwie odsetek miejscowych i zawodowych organizacji zwrócił się w owym czasie do Komitetu Centralnego Kom. P. CSR z żądaniem zwołania nadzwyczajnego zjazdu partii.

Decydującym momentem dla przeprowadzenia zmian taktycznych, to jest rezygnacji z żądań politycznych na korzyść zdobyczy fachowych i technicznych, stały się dopiero wydarzenia na Węgrzech, w październiku i listopadzie 1956. W CRS nie było nadziei na dokonanie reform drogą „odgórnią”, jak się to stało w Polsce dzięki powrotowi do władzy Gomułki. W Czechosłowacji decydująca większość członków Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej skłaniała się jednomyślnie i zawsze raczej ku stalinizmowi. Ci, którzy podobnie jak Rudolf Slansky zostali z partii wykluczeni i skazani na śmierć względnie uwięzieni, stali się, z wyjątkiem zamordowanego Vlada Clementisa, bardziej niepopularni niż ich własni sędziowie. Dlatego też pisarze byli skazani na swe własne siły.

Być może, że wówczas, w jesieni 1956, czechosłowaccy pracownicy kulturalni oraz pisarze uświadomili sobie, że byłoby rzeczą przedwczesną domagać się całkowitej wolności słowa, skoro powrót do takiej wolności nie został przygotowany ani teoretycznie, ani przez opanowanie kluczowych pozycji w organizacjach kulturalnych, a tym mniej pod względem społecznym i politycznym. Dlatego też w następnych trzech latach doszło do podejmowania szerokich dyskusji ideologicznych i artystycznych, natomiast zasadnicze kwestie polityczne stały się czymś w rodzaju „tabu”, przyjętym przez ogół z milczącą aprobatą. Dla nas rzecz przedstawia się w ten sposób, jakoby zamiast ataku skierowanego przeciwko reżymowi, mobilizowano na razie siły, bez zdawania sobie jaśniej sprawy, jak się je w przyszłości użyje. Moglibyśmy znaleźć analogię takiej situa-

cji w wieku 19-tym. Żyjący wówczas czeski działacz narodowy Karel Havlicek Borovsky odrzucał jałowy radykalizm wszędzie tam, gdzie maksymalne żądania zapaleńców pozbawione były oparcia o ideowe i fizyczne siły społeczeństwa. I oto fakt żenujący: Czechosłowacy, niestety, lepiej zorientowali się w głównym nurcie zachodnim, przede wszystkim w amerykańskiej polityce zagranicznej, niż Węgrzy. Decyzję o przyszłości społeczeństwa, państwa i narodu odkłada się na czas nieograniczony, przy czym zagadnienie to pojmuję się jako zadanie spoczywające na barkach następnych, nawet odległych pokoleń. Niemniej tego rodzaju postawienie sprawy uwypukla jeszcze bardziej cechy narodowego charakteru: bojaźliwość, godzenie się na kompromis, nawet tam gdzie winien być wykluczony, oraz brak stanowczości w podejmowaniu decyzji.

Teoretyczne przygotowanie na czas późniejszy (może chodzić tu będzie o zasadniczy konflikt z reżymem) jest mniej lub więcej przypadkowe, niezorganizowane a po trosze pozbawione również rozeznania. Niektóre kwestie wyskakują jakby automatycznie, bez woli, a nawet wbrew woli komunistycznych teoretyków, jak na przykład w tym wypadku, kiedy przypomina się zadania czechosłowackiej awangardy w okresie międzywojennym i kiedy, jednocześnie, nie można nie uwzględnić zagadnienia trockizmu, stosunku Trocki-Stalin, burżuazyjnego pochodzenia większości komunistycznych artystów, negatywnej postawy części czechosłowackich pisarzy komunistycznych wobec stalinizmu w latach 30-tych itp. Ze skorupki wielu teoretycznych artykułów czechosłowackich pism kulturalnych ostatnich trzech lat, można wyłuskać następujące jądro pewnych fachowych żądań, które, chociaż nigdzie wyraźnie nie sformułowane, istnieją jednak w świadomości wszystkich niemal pracowników kulturalnych:

1. wznowienie kontaktów kulturalnych z Zachodem oraz szeroka wymiana dóbr kulturalnych;
2. stopniowe rozluźnianie wewnętrznej i dodatkowej cenzury (nie mamy dowodów na to, by w czechosłowackich pismach kulturalnych istniała prewencyjna i autorytatywna cenzura państwowa czy partyjna) z zastrzeżeniem, że pisma kulturalne nie będą zajmowały się niewłaściwymi sprawami politycznymi oraz że nie będą kwestionowały zasad marksizmu, systemu rządów w demokracjach ludowych oraz tak zwanej przewodniej roli Związku Sowieckiego;
3. prawdziwa i rzeczowa interpretacja literatury przeszłości oraz literatury Zachodu;
4. ekonomiczna, organizacyjna, a do pewnego stopnia i ideologiczna niezależność pism i organizacji kulturalnych od partii i aparatu państwowego.
5. odchylenie od zasad tzw. socjalistycznego realizmu z tym, że soc-realizm będzie odtąd czymś w rodzaju pułapu, pod osłoną którego będą mogły istnieć i rozwijać się naj-

różnorodniejsze, nawet najbardziej przeciwstawne sobie kierunki i poglądy. W ten sposób, zamiast być bojowym programem, jak go pierwotnie pojmował Zdanow na pierwszym zjeździe pisarzy sowieckich w Charkowie, socjalistyczny realizm przekształcił się coraz bardziej w jakąś kulturalną formułę, przy pomocy której da się wytłumaczyć wszystko na świecie.

Ograniczenia, jakie bez wzajemnych narad, rozmów i uchwał wyznaczają sobie sami pisarze w dyskusjach o ideologicznych i technicznych założeniach literackich, wypływają z sytuacji. W obecnej chwili, na przykład, nie dyskutuje się, że socjalistyczny realizm jest nonsensem, natomiast pisarze wglądają w różnoraki materiał, który niedwuznacznie taką opinię potwierdza. Nie prowadzi się również zasadniczo dyskusyj o cenzurze i wolności, natomiast w codziennej pracy niektóre pisma usiłują przesuwac granice wolności i nie-wolności na niekorzyść różnych, administracyjnych względnie ideologicznych ograniczeń. Nie odślania się zbyt jaskrawo wszystkich dotychczasowych kłamstw marksistowskiej interpretacji historycznej i literackiej, natomiast zakorzenia się zwyczaj wygłaszania własnych, rzeczowych i prawdziwych, tyle że nie wnoszących tonu polemicznego, wykładów z zakresu historii i literatury. W ten sposób pisarze omijają „walkę ideologiczną”, która znajduje się jakby poza nawiasem. Problemów ideologicznych nie rozwiązuje się za pomocą alternatywy „albo-albo”, nie szuka się argumentów, którymi by się operowało w polemice; wystarczy że w przyniesionym i badanym materiale rzeczowym można znaleźć dowody. Do ostatecznego ich sensu winien dobrać się sam czytelnik. Wskutek przesunięcia intelektualnej „obrony” na inną, czysto fachową płaszczyznę, rodzi się często w oczach postronnego obserwatora obraz „przymierza”, „złożenia broni”, czy nawet „cmentarza myśli”. Wyrządzilibyśmy jednak krzywdę pisarzom czeskosłowackim gdybyśmy podzielali tę opinię. Wysiłek ich nie posiada znamion rewolucji, to prawda, ale nie jest to też jedynie jakiś haszkowo-szwejkowski „nieudolny postęp w granicach prawa”.

Raz tylko i na krótką chwilę wymknęła się inicjatywa z rąk partii: było to w czasie zjazdu pisarzy. Obecnie chodzi partii o to, aby wszelkie wrogie jej siły wystrzępiły się, względnie aby się zużyły w tym okresie liberalizmu, którego żywot posiada zresztą wszelkie znamiona tymczasowości. Gdyby partia postanowiła siły te stłumić przemocą, mogłoby to spowodować wybuch. Pozostawić je własnemu ich losowi, a wtedy, być może, same się stoczą w jedno łożysko i wyrównają swe szyki — oto, jak rozumują rzecznicy partii. W ten zatem sposób, mówiąc paradoksalnie, będą poddane kontroli

tym łatwiejszej, im bardziej będzie się wydawało, że wszelka kontrola nad nimi została usunięta.

Poza tym: dzięki rzuceniu na rynek pewnych nowych pism w latach 1956-57 oraz zezwoleniu na drukowanie polemik poglądowych między poszczególnymi odłami pisarzy, partia osiągnęła cel dalszy; spontaniczna jedność pisarzy, jaką zamaniestowali ich zjazd z roku 1956, uległa osłabieniu i rozkładowi. Partia osiągnęła też, że wpływowo siły opozycji coraz bardziej się rozszczepiają i rozdrabniają, oraz że nagromadzona energia kruszy się i rozsypuje we wzajemnych, jałowych sporach kulturalnych. Reżymowi bardziej dogadza, jeśli literaci dyskutują raczej fachowe zagadnienia tłumaczeń, gdy mówią o metodach prac historyczno-literackich, o subtelnych kwestiach estetycznych, niż jeśli zabierają głos w sprawach bieżącej rzeczywistości. Na dłuższą metę ma jednak taka teoretyczna zaprawa większe znaczenie niż natychmiastowa interwencja w sprawy codziennych wydarzeń. Postępując w ten sposób, pisarze wnoszą przed sobą jakiś wał ochronny względnie solidnie wybudowany schron w bezpiecznym zapleczu.

Charakter tego rodzaju sytuacji można by określić następująco: w Czechosłowacji powstał jakiś rezerwat pracowników kulturalnych. Żyją w nim we względnym dobrobycie, cieszą się względną wolnością, ale niemal całkowicie odizolowani są od reszty społeczeństwa i jego problemów. Wiele wskazuje na to, że weszła tu w życie jakaś cicha umowa: partia nie będzie wywierała nacisku w sprawach kultury i sztuki, jeśli pisarze nie będą mieszać się do polityki partyjnej i ustosunkowywać się do niej negatywnie.

Tezy swe moglibyśmy poprzeć konkretnymi przykładami. Zanalizujemy owych 5 fachowych żądań, o których mowa powyżej. O ile chodzi o kontakty z Zachodem, reżym stosuje dwie metody: zgadza się na takie kontakty wtedy, gdy można je wykorzystać dla celów propagandowych; natomiast zwalcza je zarządzeniami administracyjnymi względnie w inny jeszcze sposób, gdy chodzi o infiltrację współczesnej awangardowej sztuki zachodniej na teren krajowy. Z wypadów na Zachód, które — dzięki ich wielkiemu powodzeniu — reżym usiłował wykorzystać dla celów propagandy, można zacytować: wystawę przedmiotów starej, zwłaszcza gotyckiej sztuki w Paryżu w roku 1957, zeszloroczny sukces czeskosłowacki na światowej wystawie w Brukseli, sukcesy na różnych festiwalach filmowych (zwłaszcza kukielkowe filmy Jerzego Trnki) itd. Jest rzeczą jasną, że w takich wypadkach reżym stosuje miarę dwojaką: jedną dla własnych obywateli, drugą dla zagranicy. Oto przykład: o malarzu Janie Zrzawym, atakowanym niejednokrotnie w krajowym, urzędowym „Rudym Prawie” oraz w

fachowym piśmie „Tvorba” (Twórczość) za jego rzekomy dekadentyzm, pisze się w wydanej w Pradze po niemiecku monografii, przeznaczonej na eksport, jako o jednym z największych współczesnych czeskich artystów. Inne tedy kryteria obowiązują, jeśli chodzi o zagranicę, inne gdy idzie o krajowy rynek kulturalny.

Z zagranicznych sukcesów kulturalnych ciągnie jednak korzyść nie tylko reżym. Mają one równocześnie duży wpływ na samopoczucie czeskosłowackich działaczy kulturalnych. Rośnie w nich poczucie własnej wartości, zaczynają ubiegać się o kierownicze stanowiska w aparacie państwowym. Stąd też wywodzi się, zwłaszcza w ostatnim czasie, długa seria artykułów przeciwko kierowniczej roli inteligencji w państwie, stąd bierze początek akcja uporczywego zwalczania poglądów jakoby stała ona ponad partią, jakoby była łącznikiem między partią a klasą robotniczą itd. Stąd, wreszcie, wywodzi się kampania przeciwko rewizjonizmowi wśród inteligencji.

Akcję rozpowszechniania kultury zagranicznej utrudniają w wysokim stopniu zarządzenia administracji, takie na przykład, jak niedostateczny przydział papieru. Dwumiesięcznik „Literatura światowa”, poświęcony zagadnieniom literatury powszechnej, wychodzi w nakładzie 15.000 egzemplarzy, chociaż popyt na to pismo jest tak wielki, że jego nakład mógłby sięgać cyfry 50 do 100 tysięcy egzemplarzy. Jeszcze wiosną ubiegłego roku pismo to wydrukowało, na przykład, całe opowiadanie Marka Hłaski „Sfora”, zaopatrzone entuzjastycznym komentarzem, że Hłaska chodzi w tym utworze o absolutną czystość człowieka. Na podstawie jednak niedawno sporządzonej przez to samo pismo ankiety wyszło na jaw, na jak ogromne trudności napotyka redakcja, która nie otrzymuje dewiz na podróże zagraniczne, która musi zdobywać wiadomości z zakresu zagranicznych wydarzeń kulturalnych drogą prywatnych inicjatyw, sama posiadając o niektórych zagranicznych literaturach wyobrażenia dość mgliste.

Zagraniczne, niekomunistyczne utwory literackie nie są w tej chwili w CSR wyraźnie zakazane, są jedynie tolerowane. Partii wcale nie zależy na tym, aby znajomość ich rozszerzała się w Republice.

O ile chodzi o drugi postulat, o rozluźnienie cenzury, można powiedzieć, że najważniejszą instytucją cenzuralną pozostaje wciąż jeszcze element strachu. Pisma, które w przeszłości przekroczyły granice między pożądanym a niepożądanym (z punktu widzenia interesów Komitetu Centralnego), a które obecnie poddano surowej krytyce, w większości wypadków przynajmniej się do popełnionych błędów i skwapliwie się z nich spowiadają. Oczywiście, dawniej tego rodzaju krytyka, spadająca z najwyższego szczebla państwowego, kończyła się z reguły czystkami, prześladowaniem, więzieniem. Obecnie

wszelki dawniejszy „błąd” może naprawić „rozumienie winy”, samokrytyka. W ten sposób, po kilkunastu miesiącach, poeta Franciszek Hrubin odwołał swój odważny manifest, ogłoszony na zjeździe pisarzy. Pono dlatego, że dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, że jego słowa mogą być fałszywie interpretowane przez zagraniczne stacje radiowe. Element strachu jest więc po dawnemu największym cenzorem w CSR. Znakomicie charakteryzuje to następująca scena: krótko przed swoją śmiercią, poeta Vitezslav Nezval odwiedził jednego ze swych przyjaciół. Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. W pewnej chwili Nezval wyszedł na balkon i zaczął krzyczeć w nocną ciemność: „Są wszędzie... nawet na gwiazdach pełno szpiegów!...”.

Ideologiczny zaczyn w literaturze czeskiej ujawnił się najbardziej wyraźnie w literackiej krytyce, w teorii, w essayu oraz w historii. Tym samym dotykamy trzeciego z kolei postulatu: właściwej interpretacji literackiej przeszłości oraz kultury zachodniej. Bardzo charakterystycznie ujął tę kwestię poeta Ludwik Kundera, dawniejszy wyznawca surrealizmu i znany tłumacz utworów niemieckich („Nowe życie”, 1957): „W ubiegłych latach istniał zwyczaj, że autor kończył swój artykuł zwartym, zasadniczym i cytatami popartym streszczeniem swych myśli, zesumowaniem ich. Wszystko brzmiało tu na opak, a jednocześnie — o dziwo — wszystko zdawało się być jasne i jedynie właściwe. Najmniejszych rysy nie mogło być na takiej budowli. Ja takiego podsumowania rzeczy nie myślę napisać. Nie można rozpoczynać od końca, od gotowych tez. Odnoszę wrażenie, jakobyśmy znajdowali się w początkowej fazie wszelkich badań historyczno-literackich, w samych początkach pierwszej republiki. Wciąż pozostaje dużo niejasności. Idzie przede wszystkim o to, by uprzęstnić ludziom wszystko, cokolwiek kto napisał, znaleźć zrozumienie dla twórczości wyzwolonej z szablonu i nie będącej funkcją narzuconych z góry prawideł. Tudzież: idzie o to, aby odnosić się z szacunkiem do faktów, do ich liczby i ich różnorodności. I aby — nie wyczyniać z faktami hokus-pokusów”.

W podobnym sensie brzmiały wypowiedzi innych. Jan Grosman: „Literatura (ery stalinowskiej, przyp. J.D.) zaczęła być podobna do człowieka przechodzącego ciężką chorobę. Choroba ta jednak musiała zjawić się później i w gorszych warunkach”. Kvetoslav Chvatik oraz Antoni Mokrejs: „Pisarz nie jest jedynie urzędowym piewcą wykonanego dzieła, nie jest uwiecznionym poetą starej Anglii. Gdyby tak było, spełniałby, być może, rolę potrzebną, ale niewątpliwie poniekąd i komiczną zarazem, gdyż byłby tylko, zgodnie z ironicznym powiedzeniem francuskim, inspektorem dawno wybudowanych domów. Przyjałby na siebie ryzyko stopniowego przekształcania się w pasożyta społeczeństwa, na podobieństwo dawnych dworaków królewskich, których jedynym zadaniem było po-

chlebiać władcy: „och, jakiś piękny, jak mądry, jak wspaniały i sprawiedliwy!”

Można by mnożyć tego rodzaju cytaty. Pisarze nie atakują. Tworzą się z nich jakieś literackie patrole mające spenetrować teren i zbadać, jak daleko można iść.

Jeśli chodzi o interpretację literatury, bardzo dobrze charakteryzuje ją stosunek do Prażanina Fr. Kafki. Do roku 1956 był on pisarzem zakazanym. Potem opublikowano coś nie coś z jego prozy, pojawiły się nawet studia o jego twórczości. Paweł Reiman („Nowa myśl”, 1958) zadał sobie trud pokazania Kafki jako marksisty w sensie pozytywnym: Kafka w ujęciu Reimana — to krytyk kapitalistycznego społeczeństwa. Natomiast inne marksistowskie interpretacje potępiają Kafkę; twierdzą, że pisarza tego można śmiało uważać nawet za faszystę (!) i wrzucają go do rewizjonistycznego worka razem z Koestlerem, Dżilasem, Camusem i Malraux. Ubiegłego roku wyszedł drukiem „Proces” Kafki w przekładzie i z posłowiem Pawła Eisnera. Eisner tłumaczy Kafkę ze stanowiska religijnego, podobnie jak to czyni ewangelickie pismo „Przegląd chrześcijański” („Krestanska revue”).

Przystały zatem istnieć autorytatywne interpretacje dzieł literackich. Twórczość pewnych pisarzy, jak np. Kafki, podlega szerokiej skali wariantów objaśnieniowych, przy czym są dopuszczalne wszystkie wielokrotne i różnorodne interpretacje.

Z punktu widzenia tak uległego satelity, jakim jest Czechosłowacja, jest to bezsporna nowość. Jest rzeczą jasną, że partii bardziej dogadza, jeśli pisarze podejmują dyskusje na temat problemów bardziej dla protaczków skomplikowanych (np. symbolika Kafki) niż gdy mówią na przykład o problemie cenzury, a więc o przedmiocie zrozumiałym dla wszystkich.

Obecnie można powiedzieć tyle: im dyscyplina tematów bardziej specyficzna, im kwestia bardziej fachowa, tym dogodniej i łatwiej można w niej brodzić. To samo odnosi się do zagadnienia zasięgu: im mniejszy nakład pisma czy książki, tym treść w nich ciekawsza.

Nie chcąc zapuszczać się w dość skomplikowane szczegóły zagadnienia dwóch końcowych postulatów omówimy krótko. Jeśli chodzi o niezależność gospodarczą instytucji kulturalnych, pism oraz wydawnictw, rzeczy ułożyły się jako naturalna konsekwencja, wypływająca ze zmian w sytuacji politycznej. W okresie ortodoksyjnego stalinizmu nieomal żadne pismo, żadna firma wydawnicza (a hołdowały one publicyście czysto dogmatycznej) nie mogły obejść się bez rządowych subwencji. Z chwilą jednak, gdy zaczęły pojawiać się utwory bardziej niezależne, popyt na nie wzrósł niebywale, a kultura zaczęła być znowu „samowystarczalna” i „opłacalna”. W konsekwencji tej niezależności gospodarczej, nastąpił większy rozmach

w dziedzinie wydawniczej oraz ujawniła się znaczna niezawisłość organizacyjna i ideologiczna.

I wreszcie — socjalistyczny realizm. Nie ma sensu zajmować się nim poważnie — byłoby to scholastyczne młócenie słomy. Wprawdzie terminem, o jakim mowa, operuje się w dyskusjach partyjnych, niemniej jego dogmatyczne ostrza znacznie stępiły się. Żalosna polityka wciągania sztuki w jarzmo socrealizmu wydała sama wyrok potępienia na tę chybioną teorię. Dlatego też partia niezbyt się upiera, aby wszyscy pisarze podporządkowali się jej starym zasadom, sformułowanym ongiś przez Żdanowa. Stosunek opinii publicznej do socrealizmu i Związku Sowieckiego naświetla ostro, niczym błysk lampy fotograficznej, następujący cytat znanego reżysera teatralnego, F. E. Buriana („Kultura”, 1957): „Ulegamy manii małpowania innych. Ktoś, gdzieś, w słonecznej Italii na przykład, ubrda sobie, że napisze coś w duchu Pirandella i nazwie to nowym realizmem. My, Czesi, jesteśmy wtedy wniebowzięci, ponieważ import pochodzi ze słonecznych Włoch; ale proszę, spróbujcie sami kiedyś napisać coś takiego i zechciejcie to wystawić na scenie — od razu wszyscy krzykną: ależ to kicz, nie literatura. To żadne novum, to są tradycje pierwszej republiki, to nie choroba powstała po 1945 roku. Otóż my trzymamy się kurczowo tego dziedzictwa, tej małej czeszczyzny, która lub padać plackiem przed każdym głupstwem z Zachodu, byleby tylko rozsiewała dokoła zapaszek opozycji. Jesteśmy gotowi wystawiać na scenie każdą włoską bzdurę — wystarczy że ktoś powie: z tej sztuki wieje nowy realizm. Natomiast jesteśmy ogromnie surowi w stosunku do Związku Sowieckiego. Niektórzy nasi kierownicy teatralni boją się w ogóle przyznać, że należą do kultury socjalistycznej, która przychodzi do nas ze Związku Sowieckiego. Oznacza to, że a priori zajmujemy stanowisko krytyczne względem Rosji Sowieckiej, natomiast jesteśmy bezkrytyczni wobec wszystkiego co przychodzi z krajów kapitalistycznych”.



Rozdział czeskosłowackiej kultury, jaki staraliśmy się naszkicować powyżej, jeszcze się nie zakończył. Stąd też wysnuwanie proroczych przepowiedni na temat dalszego jej rozwoju wydaje się być przedwczesne. Jeżeli jednak rzeczy podążać będą dalej tą samą, co dotychczas drogą, jeśli pójdą w tym samym kierunku, w jakim szły w okresie trzech ubiegłych lat, czeskosłowaccy pisarze i pracownicy kulturalni będą dobrze przygotowani teoretycznie na każdą polityczną ewentualność, jaka ich czeka w przyszłości. Od szeregu okoliczności w międzynarodowej i krajowej sytuacji zależeć będzie, czy rozwój wydarzeń w CSR pójdzie śladami humanistycznej demokracji typu

zachodniego, czy też raczej CSR zostanie pochłonięta przez sowieckiego olbrzyma.

Być może, sprawy wyglądałyby dziś inaczej, gdyby tamto reformatorskie wrzenie, kotłujące się na zjeździe pisarzy czeskosłowackich w kwietniu 1956, zbiegło się w czasie z wydarzeniami w Polsce i na Węgrzech, w jesieni owego znamienego roku. Ale, oczywiście: tego rodzaju supozycje stoją daleko od wszelkiej nauki ścisłej. Jedno z przysłów czeskich powiada, że gdyby ryby rosły na drzewach, nie byłoby trzeba stawów.

Jarosław DRESLER



Artykuł o literaturze dzisiejszej Czechosłowacji napisany został w początkach stycznia br. Od tego czasu sytuacja zmieniła się o tyle, że partia naruszyła ową „cichą umowę”, dotyczącą nieingerencji w sprawy kulturalne, a uczyniła to pod pretekstem, jakoby warunków jej nie dotrzymani również pracownicy kulturalni, sprzyjający rewizjonizmowi. Staliniści powrócili znowu w pierwsze szeregi Związku Pisarzy Czechosłowackich, dochodzi do zmian i przesunięć na stanowiskach redaktorów naczelnych wydawnictw i pism literackich, słowem — nowy przymrozek. Mimo to powyższy artykuł nie jest jedynie „historycznym” przeglądem zjawisk w okresie od kwietnia 1956 do pierwszych miesięcy roku 1959. Tendencje, o jakich w artykule mowa, nie przestały istnieć; przeciwnie, będą żyły i działały dalej, tyle że bardziej niż dotąd konspiracyjnie. Nawrót do bezapelacyjnego stalinizmu z jego masowym terrorem i dogmatami socjalistycznego realizmu jest rzeczą mało prawdopodobną, mimo iż zagorzali staliniści jak najgoręcej doń wzdychają.

J. D.

Tłum. z czeskiego Adolf FIERLA

## Wspomnienie o Brunonie Schulzu

Wokół Brunona Schulza ciągle trwa jakieś dziwne i krzywdzące milczenie, jak gdyby bano się o nim pisać. Że tak było do niedawna w Kraju — to jeszcze można zrozumieć, ale dlaczego na emigracji? O ile mnie pamięć nie myli, na przestrzeni emigracyjnych lat jedynie Irena Piechowiczówna i niżej podpisany ogłosili (Piechowiczówna w „Wiadomościach”, ja w „Razem”) krótkie i nijakie wspomnienia o Schulzu. Było to zresztą kilkanaście lat temu.

Przed Październikiem o Schulzu w Kraju również nie wspomniano. Jasne: pochwalić go nie można było, gdyż twórczość jego nie pasowała do socrealistycznej sztancy, ale nawet — gdyby się zastanowić — była tej sztancy wspaniałym zaprzeczeniem i drwiną z niej, jakkolwiek za czasów Schulza nie słyszało się jeszcze o tym „kierunku”. Schulz mimo swych lewicowych poglądów już wtedy nie lubił Erenburga, zwał go partaczem i prostakiem. Może powód do unikania Schulza leżał i w tym, że wiąże się go automatycznie z Drohobyczem, a Drohobycz nie leży w Polsce Ludowej.

Pisać źle o Schulzu znowu nie chciano, gdyż publicysta, czy krytyk, który by „rozpracował” Schulza z obowiązujących pozycji marksistowskich, naraziłby się na uśmieszki i bojkot bywalców Marca, „Kameralnej”, czy innej „Honoratki”. Przypisywanie Schulzowi wysokiej rangi czegoś zakazanego było niepisaną regułą właśnie w sferach intelektualistów kawiarnianych, a wiadomo, że nigdzie tak, jak w Polsce rządzi klika literacka: ona wyznacza hierarchie, stawia noty i swymi plotkami kogoś pomniejsza, lub winduje na piedestał. W tych warunkach zakazanemu jabłku, jakim był Schulz, dawało się etykietkę czegoś zachodniego, chorego, czegoś na czym znają się tylko wtajemniczeni, czegoś, co nie jest *dobrze widziane* — a więc już choćby dlatego trzeba się tym zachwycać. Rósł więc mit o Schulzu, jego przedwojenne książki stawały



się takimi rarytasami jak „Zniewolony umysł”, Kafka, Celine, Koestler, czy Gombrowicz, zanim niektórych z nich nie wznowiono, czy nie wydano, aby po niebezpiecznym powodzeniu na nowo zaatakować.

Materiały do pracy o Schulzu zbierał Sandauer i młody krytyk Grzeniewski, ktoś inny zbierał reprodukcje i nieliczne oryginalne płótna i rysunki Schulza, aby wydać o nim studium jako o malarzu. Lecz nic poważniejszego, a nawet, o ile mi wiadomo, i nic mniej poważnego, czy dorywczego na temat Schulza się nie ukazało.

W serii wznowień cenniejszych pozycji literatury dwudziestolecia ukazał się wszakże tom Schulza (1) zaopatrzonej na wstępie szkicem krytycznym schulzowego przyjaciela, Artura Sandauera (pt. „Rzeczywistość zdegradowana”), nakładem Wydawnictwa Literackiego, ambitnego i najciekawszego wydawnictwa w kraju. Spory nakład (10.000 egzemplarzy) rozszedł się dosłownie w ciągu kilku dni, a książka ta stała się z miejsca wydarzeniem i białym krukiem równocześnie.

Wkrótce później „Tygodnik Powszechny” zamieścił „Ojczyznę” Schulza, przedruk z „Sygnałów” z 1938 r. Opowiadanie to spowodowało w tym piśmie polemikę czytelników, z których niejeden twierdził, że Schulza nie rozumie. Wolno — dowodził ktoś — było pisać Schulzowi tak jak chce, wolno mi przypisać, iż to mi nie odpowiada, bo chore i niewiele z tego rozumie. O tej polemice, która mimowoli poruszyła sprawę istotną, mówiono po kawiarniach z wymądrzaniem się, z cmokaniem zachwytu, smaczkami itp., ale wkrótce zapanowało dawne milczenie. Dotychczas nie ukazała się żadna, choćby krótka biografia Schulza, nikt nie upamiętnił jego sylwetki i klimatu tego dziwaka — na kolejne wznowienie nie ma już widoków, o uczciwym opracowaniu krytycznym nie ma mowy, nawet nie mam odpowiedzi na pięć listów, które wysłałem w celu sprawdzenia niektórych biograficznych danych nieżyjącego już pisarza.

Milczenie wokół Schulza krzywdzi tego naprawdę oryginalnego i wyjątkowego prozaika dwudziestolecia, którego twórczość — jak dziś widać — oparła się zwycięsko próbie czasu. Zanurzenie się w przepiękną polszczyznę Schulza jest dziś może większym przeżyciem niż dawniej, pomimo, czy właśnie dlatego, że w międzyczasie wzeszło i zgasło tyle innych gwiazd i wielkości, najczęściej jednodniowych jętek.

Myślę, że fragmenty schulzowskiej prozy powinny znaleźć się w czytankach starszych klas gimnazjalnych i być przerabiane na seminariach polonistyki, nie jako curiosum, ale warsztat przebogatej i precyzyjnej polszczyzny, choć opisującej rzeczy i sprawy uykające spod jakiegokolwiek precyzji. Schulz

(1) *Sklepy Cynamonowe, Sanatorium pod Klepsydrą, Kometa* — Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957.

wyraża niewyraźne. Po języku produkcyjniaków i lakierników, po socrealizmie i równie mdłym polrealizmie emigracyjnym, po języku publicystyczno-literackich wyrobników, cierpiących na manię szufladkowania wszystkiego i międlenia tego samego swoimi słowami — jest naprawdę rozkoszą zanurzyć się w aurę i urok języka Schulza. Przy całkowicie innym widzeniu i tematyce Schulz potrafił pisać jakąś ponadczasową polszczyznę z Bożej łaski. Coś podobnego — a podkreślam, iż w porównaniu chodzi mi o sam język, jego miąższ, a nie o temat, czy widzenie świata — spotkać można u Hostowca, Miłosza, w prozie Wierzyńskiego, u Herlinga-Grudzińskiego, czy Sygija niezauważonego na emigracji, a w Kraju z jakich powodów niedocenionego. Jest to język precyzyjny, malarski, przesiąknięty poezją i obfitą wiedzą, bogaty, ponadczasowy. Nie ma w nim żadnej drażniącej pozy, mody, maniery, jest zniewalający urok doskonałej kulturalnej polszczyzny, pomimo niewątpliwych wpływów i ech Młodej Polski.

Długi szkic Sandauera czytałem wielokrotnie, zawsze z uczuciem niedosytu, niezadowolenia, znużenia, sprzeciwów i złości. Po co tak długo? Po co tak „wnikliwie” i po co tak uczenie? Szanuję Sandauera za jego odwagę i zasób wiedzy, bawi mnie jego „żółć” i „galicyjskie” przyczepianie się, mniej szanuję za charakter i nadętą manierą: poza, napuszenie, ferowanie wyroków, że już tylko paść plackiem. Sandauer, w jakiegokolwiek pisałby taryfie, mało ma z bardzo humanistycznej cnoty wątpliwości. Wolno Sandauerowi na swój sposób rozumieć i nawet objaśniać Schulza według swego widzimisie, jednak każdy czytelnik winien dojść do swego Schulza. Czy Sandauer rzeczywiście uważa, że dał klucz do Schulza? Że wprowadził w tło i orbitę schulzowskich fantastycznych i magicznych, a nie po bajkowemu niepokojnych bajek? Ale po co ten obszerny elaborat, stanowiący rozpaczliwe *miss-masz* słusznych obserwacji przesłanek, i tropów z niesłusznymi, ryzykownymi, albo śmiesznymi wnioskami? Szkic ten nie jest ani odkrywczy, ani popularyzujący: zaciemnia i gmatwa to, co już przez swą istotę nie jest, codzienne, proste, wymierne i normalne. Modne dziś w Polsce nadużywanie terminów polityczno-publicystyczno-filozoficzno-marksistowsko-klasowo-cacy-cacy, te tasiemcowe, pracowite wycpiny, epatujące półinteligentów nie ominęły nawet Sandauera. Czy wszyscy w Polsce płatni są od wiersza? Czy muszą wykazywać się jakimiś normami? Czy też za mało mają czasu, by to samo napisać zwięźle, bo muszą lecieć do kawiarni? Co nakazuje, aby ciągle wymądrzać się niezrozumiale, uczenie, kwiecieście, z cudziemską nazywając byle czynność? Od Lichniaka do Sandauera aż się trzęsie od *behawioryzmów, immanencji* i innych elektromontaży. Wstęp,

szkic wprowadzający powinien być prosty, ostatecznie jest dla zwykłego czytelnika, a nie dla grupki snobiatek literackich, zonglujących przy pół czarnej szaradami, bo czym innym jest *taka* rozmowa? Piszmy wszyscy prościej, przecież chodzi o czytelnika, a nie o odczyt dla fachowców (?). Czyż *wam* trzeba przypominać o społecznej roli literatury? Czy efektywnie brzmiaćmi terminami można pokryć ubóstwo treści? Czy okropnymi dłużyznami Kałużyński, Matuszewski, Sandauer, Adam Schaff, a nawet Wyka, a nawet Przyboś potrafią kogoś zagadać i przekonać? Gdybym wygrał na loterii, ustanowiłbym nagrodę dla krytyków i publicystów. Warunki: trzy strony maszynopisu, nie więcej. A drugą dla tych, którzy u „asów” wyląbywaliby do *camera obscura* zdania, jakie w wodostłowi muszą zatracić o nonsens. Sandauer w omawianym szkicu umieszcza z przejściem taki dziwoląg: „Ze sprzeczności masochizmu nawet sztuka nie daje wyjścia”. Rzeczywiście: Palmolive też nie.

Jakkolwiek to może wygląda na nonsens, Schulz jako pisarz jest skrajnym abstrakcjonistą, choć nie był nim jako malarz. Lecz, że słowo coś znaczy, a opowiadanie musi coś opowiadać, przeto Schulz stworzył sobie własny świat, gdzie zniknęły różnice pomiędzy znakiem a znaczeniem i ów cały powieściowy i magiczny świat, powstały jak sen i rządzący się na podobieństwo snów, nasycił sobą. I to jest — mym skromnym zdaniem — najważniejsze o Schulzu. Stworzył inny od realnego świat, inny Drohobycz i opowiada o nim koszmarnie, czy chore bajki, pełne alegorii i innego wymiaru choć składające się przy całej swej fantastyce z prostych, zaobserwowanych w normalnym życiu elementów prowincjonalnego miasta, plus swoje obsesje, kompleksy ojca, wspomnienia, niezgodę na tandetę, plus przepiękne opisy krajobrazu, rzeczywistego i wyimaginowanego. W całej swej obsesji i fantastyce jest Schulz w pierwszym sensie realistą, pomimo, że prowadzi akcję w jakiejś bocznej odnodze czasu.

Powyższy ustęp jest — sędzę — tym co o Schulzu można i trzeba czytelnikowi powiedzieć. A teraz trzeba go czytać, odnaleźć swój stosunek do niego, samemu wykoncytować sobie (i na własną odpowiedzialność!) jego „anagramy wizji”. Czy przyjdzie ośnienie, czy też rozczarowanie — to już tylko nasza rzecz i tylko nas to dotyczy. Łopatologiczne wnioski i opinie krytyka rzadko mają ten sam sens dla wszystkich, nawet jeśli chodzi o dużo „prostszego” pisarza, a cóż dopiero Schulza.

Myślę, że Schulz, gdyby żył, poparłby mnie tu. Miał niechęć awersję do krytyków, uważał ich za mało potrzebnych,

za reporterów cudzych wizji i klęsk, za autorów bryków. Przy pomocy bryka można kiwnąć belfra, ale w sumie kiwa się siebie samego. Awersja ta datuje się zapewne od tego czasu, gdy nieśmiałego człowieczka, nie umiejącego nawet muchy zabić, przygniotła opinia pewnego krytyka do dziś „funkcjonującego” (bardzo mi się podoba to sandauerowskie określenie), że „Sklepy Cynamonowe”, pisane w tajemnicy przed najbliższym nawet otoczeniem: matką, siostrą i kuzynką, są bez wartości. Dopiero później rękopis Schulza trafił szczęśliwym przypadkiem do rąk Zofii Nałkowskiej i tak nastąpił sukces.

W niniejszym szkicu nie chodzi mi o polemikę z Sandauerem: nie leży to w sferze ani mych zainteresowań, ani możliwości, czy temperamentu. Chciałbym jedynie przywołać ze wspomnień i naszkicować sylwetkę tego uroczego dziwaka, działającego i wtedy i teraz na mą wyobraźnię. Chciałbym przypomnieć postać i klimat Brunona Schulza, oraz tymi niewyszukanymi słowami złożyć hołd ceniom tego wielkiego pisarza, który drugi po Wierzyńskim *umieścił* — jak to mówią Anglicy — moje miasto *na mapie* literatury polskiej.

Kiedy jako smarkacz przyszedłem do gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Drohobyczu, któryś ze starszych rezydentów uświadomił mnie:

— Trochę wariat, ale byczy chłop... Swój Józku...

Tym wariatem, ale byczym chłopem był właśnie prof. Bruno Schulz. W sali rysunkowej uczył czterdziestu chłopców jak malarz widzi świat, meble i linie, jak trzyma ołówek.

Niski, o czarnych płonących oczach, zawsze jak gdyby trochę niedzisiejszy, ze wzburzoną stale czupryną, też czarną i niespokojną, z wychodzącymi ciągle poza koniec rękawa mankietami koszuli, najczęściej w popielatym ubraniu, nerwowy w każdym ruchu, a spokojny w każdym słowie — to profesor Bruno Schulz. Chód trochę platfusowy, kroki nieduże i nerwowe. Często zdarzało mu się „przechodzić” znaczną część godziny, bez zdania sobie zupełnie sprawy z faktu, że czterdziestu profesorów siedzi nad pulpitemi. Z reguły jednak zamyślenie profesora udzielało się i nam. Gdy chodził, patrząc nieustannie w brudne, zapuszczone terem parkiety podłogi, nikt nie śmiał mu przeszkodzić, choć na rysunkach i robotach zawsze było najgwałtowniej, najlepiej odrzucało się wówczas zadania i najbardziej smakowały „kanapki”, kupowane u pani Liberowej, żony tercjana, co trzymała sklepik na dole, w kąciку obok drzwi, wychodzących na szkolny dziedziniec.

N. b. u cioci Liberowej Schulz często kupował słodczyce, obdarowywał potem nimi małych szatanów, o ile jego karykatury, ukradkiem przez nich rysowane na tablicy, były udane. Mimo, że nieprawdopodobnie nerwowy i neurastenik wprost

niesamowity, profesor Schulz nie obrażał się nigdy na kawały uczniowskie i często z nich się śmiał — śmiech i uśmiech na jego twarzy na ogół były jakieś dyskretne i anemiczne, zagubione w myślach.

Na czym miała polegać opinia repetenta o profesorze, że *trochę wariat, ale swój Józku*, miałem wkrótce się przekonać. Było to zdaje się na początku roku szkolnego, gdy jeszcze malarze nie skończyli odnawiania drugiego skrzydła budynku gimnazjalnego, ponieważ wakacje tego roku były deszczowe. Profesor stał przed katedrą i coś nam, opalonym i naładowanym radością wakacyjną smarkaczom, tłumaczył o perspektywie. Nagle w środku zdania przerwał, a wzrok jego pobiegł przez okno na przeciwległe skrzydło, gdzie na rusztowaniu, na wysokości drugiego piętra robotnik malował na kremowo mury naszej budy. Chłopak z kimś rozmawiał, bo widać było jak otwiera usta i gestykuluje, kiwając się dość ryzykownie na deskach rusztowania. Za spojrzeniem Schulza pobiegliśmy wzrokiem, nie bardzo rozumiejąc co profesorowi może przeszkadzać w wykładzie. Ze tam ktoś chodzi po rusztowaniu — to najwyższe nas to może interesować, ale profesora?

Konrad Bloch, znany arogant, zaczął już „sykać” — ale wkrótce zamilkł. Bruno Schulz jak urzeczony patrzył na robotnika, strzepując nerwowo kredę z palców prawej ręki. W oczach miał niemal obłądny strach. Sytuacja zaczynała być nieznosna, bo jak tu nam zielonogłowym kawalerom było wytrzymać bez ruchu do końca godziny? Jednak w wyrazie twarzy profesora było coś takiego, co kazało nam siedzieć cicho. Od czasu do czasu Schulz lewą dłonią ocierał nie wiadomo czemu nagle spocone czoło, wisząc wzrokiem na ruchach malarza. Ręce Schulza drżały, a głęboko osadzone oczy płonęły. Dopiero później miałem zrozumieć jego chorobliwą wrażliwość. Bał się o robotnika, że może spaść. Wzrokiem jak gdyby się modlił, by uważał. Te brakujące do końca godziny dwadzieścia minut były dla Schulza nie do zniesienia. Gdy wreszcie w załomach korytarza zadźwięczał dzwonek, brzmiał jakoś mniej radośnie niż zwykle. Był jak gdyby fałszywym dźwiękiem. Schulz patrzył na klasę nieprzytomnie, zmęczony, chciał coś powiedzieć, ale tylko ręką wykonał gest jakichś przeprosin i ciężko siadł za katedrą. A my, czterdziestu żywych jak rzęć chłopców, wyszliśmy z sali rysunkowej na palcach.

Ciekawe było, że w potocznej rozmowie Bruno Schulz nie wystawiał się dobrze. Często zaczynał się, albo mówił polszczyzną niezbyt poprawną. Widać było, że myśli o czymś innym, nie o antycznych modelach z gipsu, czy strugaczach (bo taką nazwę lansowały dla *hebli* programy szkolne). Czasem jednak następowało coś czarodziejskiego. Ten mały profesor, co to

każdemu z drogi ustępował, z którego inni belfrowie nieraz pokpiwali sobie, opowiadał nam, starym już jak by nie było koniom z czwartej klasy, przedziwne bajki. Rósł wtedy, jak gdyby hipnotyzował całą klasę.

Dziś, gdy myślę o tym, żałuję, iż nikt tych cudnych schulzowskich bajek nie spisywał. Bajki, przepiękne i jedyne w swym rodzaju, mówił wtedy Schulz wykwinutą polszczyzną, ze swadą, o jaką nikt tego melancholika nigdy nie podejrzewał, ilustrując swoje bajki kilku pociągnięciami kredy na tablicy. Bajki te lubiliśmy wszyscy i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy jak czas przy nich leciał. Dzwonek zawsze wtedy raził i ściągał zbiorową iskrę wzruszenia na ziemię po piorunochronie rzeczywistości szkolnej. Bajki te, w których ołówki, niepozorny strugacz, czy kaflowy piec miały swe historie i żyły na sposób bliski nam i tak bardzo ludzki, miały zwykle za tło smutny uśmiech chorej dziewczynki, która tęskni do słońca.

Jedną z najważniejszych i miłszych cech u Schulza była skromność. Taka prawdziwa, nie zasłona dla różnych ambicji i wyniosłości. Dobroć i uśmiech. Pomnę, raz na przerwie, po jakiejś bajce mówił o Chrystusie, że chciałby kiedyś o Nim książkę napisać, właśnie o Nim.

Na nasze grzecznie zdziwione spojrzenia — Żyd o Chrystusie? — uśmiechnął się tylko. Wreszcie któregoś dnia gruchnęło w klasie: *Schulz się przechrzcił*. Ktoś spytał potem syna dyrektora czy Schulz będzie odprowadzał uczniów na wielkanocne rekolekcje do kościoła? Ano, okazało się, będzie. Z napięciem i uśmieszkami czekaliśmy na tę okazję. Wreszcie nadeszła. Szliśmy parami ulicą Mickiewicza, a Schulz dreptał obok nas. Skręciliśmy koło poczty — i nic. Schulz zamyślnym wzrokiem błądził po dachach i drzewach, obserwował kawki w locie, nawet nie wyczuwał naszego napięcia. Kościół był coraz bliżej, wszyscy zamikliśmy i patrzyliśmy — idioci — na Schulza. Jak będzie się zachowywał? Byliśmy rozczarowani: zachowywał się normalnie. Dochodząc do drzwi kościoła zdjął kapelusz, przygładził włosy, potem przykleknął, a potem ku naszemu zdziwieniu normalnie się modlił. Byliśmy bardzo tym speszeni, chyba wszyscy wtedy odprawiliśmy trochę lepiej niż zwykle nasze szkolne rekolekcje, jakoś nas zawstydził.

Jak było z tym, nie wiadomo dlaczego szeroko dyskutowanym w niektórych kołach, katolicyzmem Schulza? Właściwie jest to bez znaczenia, gdyż w twórczości jaka po nim została nie ma żadnego odbicia tych spraw. Może w zaginionych rękopisach znaleźlibyśmy coś, co rzuciłoby jakieś dodatkowe światło, na razie jednak wszelkie domysły na ten temat nie mają sensu. Wypada wszakże stwierdzić, że przejście Schulza na katolicyzm nie było *dla interesu* (gdyż było kilku

innych profesorów Żydów w naszym gimnazjum, nikt ich z tego powodu nie molestował); nie było nań żadnego nacisku, tym bardziej, że był coraz bardziej sławny. Nie odbyło się pod presją rodziny żony, gdyż nie byli to wojujący katolicy i nic im Żyd w rodzinie nie przeszkadzał. Nastąpiło, jak można sądzić, z przyczyn wewnętrznych.



— Moja pani, pani wie? On jest masochistą...

— Co pani mówi? Ma-so-chi-stą?

Takie rozmówki w kołtuńskim Drohobyczu prowadziły bogobojne plotkary od św. Wincentego à Paulo — tonem jak w tym dowcipie gdy jedna mamusia mówi drugiej: a wie pani, że mój Jasio ma kajak? a ta odpowiada: — o, Boże i gdzież mu się to świństwo zrobiło?... Potem było zwykle wertowanie encyklopedii z wypiekami na twarzy. Ma-so-chi-sta. Wie pani? On się żeni z katoliczką. Biednaż ona, biedna...

By się zbyt nie dziwić, trzeba znać atmosferę pocziwego w naiwności i parafiańskiego w głupocie Drohobycza, który pomimo swych 35 tysięcy mieszkańców nie mógł zdobyć się na lepszego poetę niż Mariańciu Krokier, też nasz profesor, historyk i specjalista od rewii morskich; on to napisał pamiętny wiersz na cześć wojska powracającego z manewrów (cytuję początek)

„Witajcie rycerskie zastępy  
Które w Historii macie swoje ustępy...”

Wtedy, pętał jeszcze, spróbowałem fraszki i pod ten dwuwiersz wypociłem inny, dalszy ciąg:

„A się pytam panie profesorze  
gdzie pan ma ustęp, bo tam wiersz trza włożyć...”

Tę pierwszą fraszkę pokazałem Schulzowi. Uśmieł się serdecznie. Od tego czasu zaczął jakoś zwracać uwagę na mnie. polubił mnie trochę, rozmawialiśmy naprzód o książkach, z czasem przysłała pewna nawet zażyłość, szczególnie po mej maturze. Ale nie uprzedzajmy wypadków: na razie jesteśmy w Drohobyczu, na który jak grom z jasnego nieba spadła wieść o książce Schulza. „Ze jak? Ze kto? Ten niepokązny Schulz? I jak? „Sklepy cynamonowe”? Mojaż pani, czy on nie tego? (I kółka na czole...).

Profesorowie jeli obchodzić Schulza z daleka. W trudnej sytuacji znalazł się najpocziwszy pod słońcem, uwielbiany polonista Mściwój Mściwujewski, bo nie mógł się przyznać Mścisiu, myślący wciąż kryteriami estetycznymi i literackimi *Anhellego* i *Pana Tadeusza*, że nie bardzo to rozumie. Ani

pochwalić, ani zganić. Ten mały cichy Schulz, z którym nikt się poważnie nie liczył, *ten od pogardzanych rysunków i robót ręcznych* — urósł. Wiedziano, że talent, ale go nie rozumiano. Groźne zazwyczaj pochrząkiwania dyrektora Kaniowskiego (2) były mniej groźne na widok Schulza. Raz w zastępstwie dano Schulzowi kilka wykładów propedeutyki filozofii i psychologii, rozentuzjzmowani uczniowie wynieśli go po wykładzie na rękach.

Gdy w jakiś czas potem wydał Schulz swe „Sanatorium pod klepsydrą”, mimo tego, że *napisał książkę*, zaczął blednąć; wszyscy zgodnie w Drohobyczu orzekli, że to „chore”, „kuku”, że „mój Boże po polsku, a nic z tego człowiek nie rozumie”... Dopiero — i jest to charakterystyczne dla naszych polskich stosunków — trzeba było, by przyjechał do nas z Włoch Massimo Bontempelli, który oświadczył, że wybrał się do Polski, aby skontaktować się z Schulzem i Gombrowiczem, trzeba było dopiero opinii cudzoziemca, ażeby Schulza w rodzinnym mieście zaczęto doceniać i szanować.



Było to gdy w naszym włóczegowskim piśmie (tytuł: *Włóczęga*, podtytuł: *wychodzi kiedy chce*) napisałem drugą fraszkę, rozpaczliwie naiwną, ale cóż było wtedy robić? Był to wymagany wywiad z Brunonem Schulzem, który żalił się na nieprzyznanie mu Nagrody Młodych, oraz na niepopularność w mieście i zapowiadał napisanie kilku nowych *przystępniejszych* powieści pod następującymi tytułami: *Cynamon w klepsydrze*, *Sklep z klepsydrami*, *Sanatorium cynamonowe* i *Klepsydra z cynamonem*. Było to wszystko bardzo nieudolne i rymowane częstochowsko, ale podobało się Schulzowi, no i mnie samemu. Po tej fraszce zaprosił mnie na czekoladę do cukierni Żygulewskiego, zwanego przez nas „Królem-Palicą”.



W jakiś czas później spotkałem Schulza na ulicy i po krótkiej rozmowie zaproponował mi, bym przyszedł na odczyt Zegadłowicza. Zegadłowicz jeździł wtedy jako „misjonarz” Frontu Ludowego i gadał, gdzie się tylko dało. Zegadłowicz mówił pięknie. Czulo się, że *ma* salę. Gdyby wstrząsnąwszy swą srebrną grzywą krzyknął: *Jazda na starostwo! Precz z sanacją!* — doszłoby niewątpliwie do rozruchów. Tłum, rozpalony przemówieniem skoczyłby na przodownika Tarkowskiego i dwóch posterunkowych, obecnych z urzędu na sali w „Sokole”

(2) Dyr. Kaniowski zmarł na tajgach, prof. Mściwujewski wrócił z Rosji, dalej uczył, zmarł dwa lata temu.

i runały na starostwo. Lecz Emil Zegadłowicz, jak każdy dobry mówca naprzód rozpałił tłum do białości, a potem go delikatnie studził. Mało słyszałem tak dobrych i celnych przemówień.

Po odczycie poszedłem za scenę, wprowadzony tam przez Schulza, by zrobić wywiad dla *Włóczęgi*. Zegadłowicz siedział przy stoliku, zadowolony z siebie, z wyciągniętymi nogami i popijał wodę z karafki. Ja, zastraszony obecnością dwóch takich sław i na dobitkę przedstawiony przez Schulza jako „młody adept sztuki pisarskiej” w swej mało rozgarniętej łepety nie mogłem z wrażenia znaleźć odpowiedniej formy, w jakiej zwrócić się do Zegadłowicza. *Proszę pana* — myślałem źle. *Panie Zegadłowicz* — jeszcze gorzej, jak z Wiecha. Wreszcie z jakiej zmartwiałej z wrażenia komórki mózgowej wyskoczyło właściwe: *Mistrzu*. Tym właściwsze, że misjonarz był próżny niewąsko. Po kilku więc zdaniach o tym i o owym zadałem (o naiwności tamtych lat!) najbardziej niefortunne pytanie na jakie można było się wobec Zegadłowicza zdobyć:

— A czy mógłby Mistrz wytłumaczyć jak to się stało, że z ultrakatolickiego poety z „*Tęczy*” i ze swych „*Powsinogów beskidzkich*” doszedł pan do „*Zmór*” i „*Motorów*” i Frontu Ludowego?...

Oczywiście moment zaskoczenia. Najbardziej zaskoczony i zdetonowany byłem ja. Bruno Schulz uśmiechał się blado, trochę zażenowany, lecz pilnie obserwował pisarza. Ten uśmiechnął się sowizdrzalsko, jak to on umiał i po chwili namysłu odpowiedział, patrząc na swe półbuciki („meszty”).

— Rzeczywiście ciekawe pytanie... Od razu w sedno... Cóż ja panu powiem? Jest pan młody i wiele rzeczy sam pan kiedyś zrozumie. Pozwoli pan — mówił, klepiąc mnie po ramieniu — że za parę lat odpowiem panu na to ambarasujące pytanie... Bo chyba się spotkamy? Co?

Schulz uśmiechnął się, a Zegadłowicz przeciągnął się ziewając. Kładąc płaszcz mówił jeszcze, że „*Zmory*” zamierzał dobrze i miał pewną myśl, która w *robotcie* może nie tak wyszła jak chciał. Pamiętam dokładnie te słowa: „No, cóż? Chciałem, aby takim jak pan, czy trochę młodszym, lekcje higieny w szkole zastąpiły uświadamianie po kątach, czy ustępach... A że się kłóca na temat „*Zmór*?” To dobrze. Źle byłoby, gdyby nie wzbudziły ech, gdyby przeszło się koło nich obojętnie...”

Jeśliby spytać kogokolwiek o Schulza, odpowie na pewno, że Schulz pisał o Drohobyczu, o uroku tej prowincji pełnej martwych i pustych godzin, o ulicach i placach miasteczka, o jego staromodnych sklepach, o śmietnikach zarosłych zieliskiem. Jednak Drohobycz Schulza, jak wszystko u niego, był *innym* Drohobyczem, niż ten, który znali i widzieli rzeczywistości

i normalni drohobyccanie. Śladów prawdziwego, dostrzegalnego dla innych Drohobycza jest mało w jego twórczości, zadziwiająco mało, gdy się zważy, iż Schulz całe swe życie w nim spędził. Nie licząc oczywiście wyjazdów na wakacje, dwa lata spędził w Wiedniu na Akademii Sztuk Pięknych, kilka razy był we Lwowie, u Sandauera w Samborze, może dwa razy na krótko był w Warszawie — to wszystko. Raz też wybrał się do Paryża, miano tam tłumaczyć jego książkę. Przerazony wielkim miastem wrócił stamtąd natychmiast, po dwóch, czy trzech dniach pobytu. Ten najskromniejszy, jakiego tylko można sobie wyobrazić, człowiek miał powiedzieć niemal jak Sacha Guitry: Wróciłem, bo *mnie* nikt tam nie zna.

Schulz urodził się w Drohobyczu w r. 1892. Zginął w październiku 1942 r. od kuli gestapowca w ghetcie drohobyskim. Było to w czasie pogromu. Rozkaz akcji przyszedł pod nieobecność komendanta Gestapo; ten Niemiec lubił i cenił Schulza, byłby go może ocalił, Schulz robił mu boazerie, malował dlań obrazy, a ten dożywał i chronił Schulza. Lecz Werner, zastępca Brandta, nie cierpiał Schulza. Nie lubił go za sympatię, jaką ku niemu żywił Brandt; sam też miał jakiegoś swego „*podopiecznego*”, którego Brandt zastrzelił po pijanemu. Kiedy więc pod nieobecność Brandta przyszedł telefonogram ze Lwowa, o zaczęciu pogromu, Werner bardzo się ucieszył, gdyż pierwszym Żydem, na którego się natknął, był właśnie Schulz, wykonujący jakąś robotę dla Brandta. Wrzasnął: Już teraz cię nic nie uchroni, komendant wyjechał! A rozkaz przyszedł! Zastrzelił więc Schulza. Później miał wyrzec zdanie zapamiętane przez nielicznych ocalałych z tamtych czasów: *Ty zabieś mego Żyda, ja zabieś twego*.

Kiedyś — byłem już na uniwerku — zaszedłem do Schulza, do jego pokoju przed salą rysunkową, gdzie było aż ciasno od figur gipsowych, modeli i albumów. Opowiadając w „*Sklepkach cynamonowych*” o profesorze Ahrendtzie tak opisywał taką salę: „był to cały smutny i jałowy Olimp, wędnący od lat w tym muzeum gipsów”, pełnym „*bolesnych Niobid, Danaid i Tantalidów*”. Schulz oglądał jakieś stare litografie, było widać, że ma chandrę. Mówił tak:

— Rzeczywistość, życie realne, wszystko co jest w tym życiu, *jest tak mało*, tak jest kruche, że nie ma sensu krzątać się wokół jego spraw i trosk. Bo co? — mówił — Bo jeszcze jeden tysiąc złotych, jeszcze jeden zaszczyt, jeszcze jedna zdobyta kobieta? No i co? To wszystko, wokół czego większość ludzi drepce z uporem, z zapobiegliwością się krząta, nie ma — patrząc na to z właściwej perspektywy — głębszego znaczenia; jest to życie mrówek i karakonów, skazanych na śmierć i rychły niebyt. Rozkosze i uroki realnego życia dla prawdziwego

artysty mało znaczą, w każdym razie nie warte są, by za nimi biegać. To zabiera czas, a czasu twórca ma zawsze mniej niż pomysłów. Lęk przed śmiercią, ten najważniejszy czynnik w życiu człowieka, lęk przed przemijaniem, który każdy na inny sposób stara się w sobie zagłuszyć, przezwyciężyć można tylko tworzeniem. Tylko to coś znaczy. To, co pozostaje po nas na drogach zapomnienia. Sztuka jednak musi być potrzebna, wolna. Tak, w jakimś sensie potrzebna.

— Czy przypuszcza pan — spytałem — że dużo ludzi pana zrozumie?

Skrzywił się i odpowiedział:

— Może jeden na trzystu czytelników, ale to i tak dobrze. Sztuka i tworzenie to krzyk rzucony w noc, w nadziei, że ktoś to hasło przejmie na tej samej długości fal. Można normalne życie mieć gdzieś i tworzyć mu na przekór, nie można jednak tworzyć bez takiej nadziei. Tak, myślę, że mam rację. Życie normalne, zewnętrzne, wdziera się czasem w tę naszą intymną sferę, trzeba wtedy koncesji, kompromisu, powstają konflikty, lub przerwy. Życie zabiera mnie pisanium, a pisanie życiu, jakaś ciągła huśtawka, kołowrót: pogoń za wizją, wyłączenie z tej wizji i powrót do tej codzienności i znów wypłynięcie z dna tej codzienności na powierzchnię, gdzie znowu można oddychać.

Rozmawiając wyszliśmy z gimnazjum. Nadchodził wieczór. Idąc przez puste korytarze milczeliśmy, potem Schulz mówił o jakichś rysunkach: miałem coś dla niego załatwić we Lwowie w drukarni na Ruskiej. Przed gimnazjum przystanęliśmy w parku przed tablicą reklamową Tannego i Tunego. Wykładany cementowymi płytami deptak wiódł stąd, od objętych szarą godziną jarzębin i kalin ulicy Sienkiewicza, poprzez park do corsa ulicy Mickiewicza, obok szkoły Św. Jadwigi, gdzie przed laty — wieczorami — odbywały się lekcje gimnazjum żeńskiego, nie mającego wówczas swego lokalu (moja siostra chodziła tam razem ze starszą Piechowiczówną). Zapewne była wtedy wczesna jesień, obrzękłe owoce jarzębiny, zwane w Drohobyczu nie wiadomo czemu „eci-peci”, błyszcząły spośród usychających już zwolna liści, tracących swą pełną zielen. Odprowadziłem potem Schulza pod jego dom na Bednarskiej ulicy. Było już późno, więc tym razem nie wstąpiłem doń. Na odchodne Schulz parsknął śmiechem:

— No, tak: krzyk rzucony w ciemność, tylko, że trzeba mieć o czym krzyżeć, bez tego to histeria...

Schulz był odludkiem, ludzi bał się, czuł się źle w towarzystwie. Do życia podchodził negatywnie. Życie — mówił — to czyrak, dopust boski, na który nie można poradzić; trzeba to znieść. Żyć trzeba, bo się żyje; ucieczką od niedoskonałego

świata i ludzi jest stworzenie sobie, własnego wymyślanego świata, zajęcie się sprawami które są tego godne. Życie to kwestia wyobraźni, rzeczywistość jest warta pogardy, odciążenia się od niej. We własnym świecie przynajmniej wszystko się rozumie, tam wszystko jest własne, właściwe, istotne, bo zależne od woli twórcy.

Ponieważ żyć trzeba i trzeba też z czegoś żyć, ten człowiek bez osobistych potrzeb, pracował, z profesorskiej pensji utrzymywał siebie, siostrę i kuzynkę. One nim się opiekowały, może stąd wywodzi się jego niemal dziecięce niedostosowanie się do życia, jego zniewieściałość. Brat był nacierzem, dobrze sytuowanym i zaradnym, tu źródło konfliktów rodzinnych i niekończących się dyskusji. Po śmierci ojca Jakuba, powoli brat stał się głową rodziny. A dyskusje kończyły się w ten sposób, że Bruno szedł do swego pokoju i wychodził zeń rano, gdy już był czas iść do gimnazjum. Na wakacjach i w święta nie wychodził całymi dniami ze swego pokoju, posiłki stawiano mu przed drzwiami, tak jak sobie życzył. Jak każdy neurastenik mógł nagle przejść w szampański nastrój, być dowcipny i rozmowny, po to, by za chwilę znów zamknąć się w milczeniu. Wystarczyło przejście z cienia do światła, zapach wdzierający się przez otwarte okno — już był inny.

Schulz był namiętym kinomanem. Mieszkał niedaleko kina „Sztuka”, chodził tam bardzo często. Wróżył dużą przyszłość kinematografii. Nieraz przylapywał nas na niedozwolonych dla uczniów programach, nigdy nie doniósł o tym dyrektorowi, czy gospodarzowi klasy, owszem, wypytywał jeszcze o wrażenia. Nie cierpiał baraniny, znany był z tej idiosynkrazji. Kiedyś znajomi zaprosili go na potrawkę cielęcą, jadł ją ze smakiem, rozmawiał, a gdy po godzinie dowiedział się, iż to była baranina, natychmiast dostał torsji. Zajmował się również filatelistyką, lecz chyba raczej jako grafik, może w ten sposób rekompensował sobie podróże do odległych krajów. Kiedyś spotkałem Schulza w parku po meczu hokejowym. Wtedy nasz harcerski klub „Czuwaj” przegrał z „Junakiem” 1:5 i to ja po pierwszym niesłusznie przyznanym „Junakowi” голу tak się zdenerwowałem, że potem puściłem haniebnie dalszych baniaków czworo. Schulz bardzo mi potem współczuł, ale śmiał się z mojego sromu. „Niech się pan nauczy oddzielać rzeczy ważne od mniej ważnych”. „No, dobrze, ale co pan robił na tym meczu?”. „Ja? Ależ ja bardzo lubię hokej, to świetne dla malarza studium ruchu”.

Był lewicowcem, posądzano go o sympatie komunistyczne. Jakoś umiał godzić różne sprzeczności. Komunizm — uważał — rozgranicza i urządza najlepiej sprawy społeczne, podaje przynajmniej uczciwe sposoby rozwiązań. Lecz cała podbudowa

filozoficzna i praktyka — są do odrzucenia. Tylko socjalizm może zbawić ludzkość w sensie doczesnym i w sensie pokoju, ale gdzie jest prawdziwy socjalizm? Tragedią komunizmu jest, że do tego najtrudniejszego eksperymentu w dziejach ludzkości wziął się naród najbardziej zacofany i uległy. Uległość tłumu sprawia, że prowodyrzy dziczej, ponosi ich ta bierność.

Dzieło sztuki powinno mówić samo za siebie. Każdy mu subiektywnie wyznacza rangę, zależnie od tego co odczuł i co ono mu dało. Krytycy problem zaciemniają, piszą najczęściej uczone bzdury, rozstrzygają i wysledzają zwykle sprawy, o których nawet autor nie umiałby prawomocnie stwierdzić, co chciał powiedzieć, nierzadko dostrzegają coś, co nawet autorowi przez myśl nie przeszło. W takim razie twórczość byłaby całkowicie dziełem przypadku, a to przesada.

Byłem kiedyś u niego. Pokazywał mi reprodukcje główek dziecięcych Wyspiańskiego. Sam na sztalugach miał zaczęty rysunek dziecka. Po chwili, mrużąc oczy i przekrzywiając głowę, by lepiej dojrzeć błędy, mówił:

— Najpiękniejszą i najintymniejszą sprawą w człowieku są jego wspomnienia z młodości, z dzieciństwa. Tak, raczej z dzieciństwa. Ludzie bez dzieciństwa, do którego mogą wrócić wspomnieniem, to daltoniści. Jakie to dziwne — mówił cicho, mrużąc ciągle oczy — że warstwy wspomnień tak się przed naszymi oczyma rozkładają jak bela materiału (*materii* powiedział jak każdy drohobydzanin), niby kwiat w kinie, gdzie pokazano w szybkim ruchu jego powolny rozwój, jak krajobraz, do którego koleją, czy samochodem szybko zbliżamy się w pogodny dzień. Pamięć to jednak żywiol; czasem ją przeklinać, czasem ją błogosławić.

Szkic niniejszy piszę po dwudziestu latach od drohobydzkich czasów. Rozumiem — a nawet nic by w tym nie było dziwnego — że postronni mogą podejść z rezerwą do tych wspomnień. Przez tyle lat, i to lat tak koszmarnych, trwał na mą głowę napór wielu różnych spraw i oto w miejscu oddalonym o 20.000 kilometrów od Drohobycza odgrzebuje pieczętowane fragmenty pamięci spod zasy innych zdarzeń i niepamięci. Wszystko to mogło zniekształcić wiele we wspomnieniach, ale też owe lata mogły wspomnieniom nadać głębszy sens, zagrać tamtą melodię w najwłaściwszej tonacji i w odpowiedniej akustyce. Muszę się przyznać, że ze wspomnieniami o Schulzu obcuje bardzo intensywnie od dłuższego czasu, od dawna czuję potrzebę tych słów. Staram się o wierność, a nie o moje wyobrażenie

o Schulzu; nachylałam się nad tamtymi sprawami i latami i chcę upamiętnić ślad Schulza.

I jeszcze jedno wspomnienie.

W kilka tygodni po przyjeździe Rosjan do Drohobycza, na jesieni 1939, spotkałem się przypadkowo z Schulzem w księgarni Juniora Lachowicza, w rynku. Miałem jakiś interes do Juniora, ten był zajęty, oglądałem więc książki na półkach, gdy wszedł Schulz. Był zszarzały, jeszcze mniejszy niż zwykle, smutny.

— No i co u pana słyhać? — zaczął.

Nie odpowiedziałem, patrzyłem w jego dziwną twarz. Odciągnął mnie w kąt księgarni i szepnął:

— Ależ to dzicz! Co za czasy przeżywamy! Rozpętała się Apokalipsa... Co pan teraz robi, z czego pan żyje?

— Handluję wódką. Przywożę ze Lwowa, mam tam chody na wydobycie wyrobów spalonego Baczewskiego i Muszyńskiego.

Handel tego rodzaju był zabroniony. Popatrzył na mnie i spytał o braci. Przypomnił jak to strasznie dawno temu, w innej epoce był ten mecz hokejowy, kiedy grało nas trzech braci na obronie.

— Tadeusz, dyrygent, jest tu, Władek, lotnik, podobno zginął (co się później na szczęście okazało nieprawdą), Antek jest na Węgrzech, szwagier ewakuował się, jako prokuratora powiesiliby go niechybnie...

— Nie molestuj pana?

— Na razie nie, ale myślę, że trzeba będzie uciekać. W najgorszym wypadku na nartach... (Jak też i później się stało).

— Przecież granica obsadzona — zachnął się.

Cóż robić, trzeba spróbować!...

Wtedy do księgarni wszedł prof. Krawczyszyn. Matematyk, Ukrainiec, łysy jak oblana woskiem kula sera. Nie cierpiał mnie, gdyż 1) byłem harcerzem, 2) mam kręcone włosy, 3) pisałem na niego złośliwe wierszyki, 4) lubił mnie dyrektor, 5) byłem wyjątkowym bałwanem jeśli chodzi o jego przedmiot. Zadanie maturalne tak rozwiązałem, że w wyniku pozostał mi *cosinus* bez kąta. Jego niechęć do mnie była do tego stopnia znana, że na mój ustny egzamin z matematyki przyszli wszyscy wolni od zajęć profesorowie, m.in. Schulz. Jakoś zresztą udało mi się wtedy, był to jedyny cud w moim życiu. Krawczyszyn wszedł teraz władczo, jak to on zawsze i wyprostowany (w gorsecie Polaczka z Sambora). Schulz odwrócił się, nie lubił go, jął przegłądać książki.

— No i cóż, panie Chciuk? — dudnił matematyk. — Czasy Mościckich, Becków i Rydzów skończyły się, co? Polska się skończyła, nieprawdaż?

(A taki był, szuja, lojalny, prorządowy i takie uwznioślające państwowo twórcze pogadanki nam w klasie *trzymał* właśnie z okazji imienin tychże Mościckich i Rydzów).

— Ano, skończyły się — mówię — bo ci Mościcy i Rydzowie mieli w służbie różnych perekińczyków, którzy jeszcze nie tak dawno wygłaszali ultrapaństwowotwórcze pogadanki dla młodzieży.

Zmieszał się trochę, popatrzył wokół, czy kto nie słyszy. Wtedy dostrzegł Schulza.

— Uszanowanie panu profesorowi — uchylił kapelusza, chwyając go, jak miał w zwyczaju, od tyłu. — No i cóż pan teraz porabia, panie Chciuk, z czegoż pan żyje? — pytał wyniośle.

— Udzielam lekcyj matematyki — odpałem.

Krawczyszyn wkrótce wyszedł. „Swołocz” — mruknął za nim Schulz. — „Dobrze mu pan odpowiedział” (3).

Wyszliśmy przed sklep, na rynek. Ratusz był obwieszony czerwonymi flagami i transparentami, latarnie i maszty na klombach także; na frontonie wisiał olbrzymi portret Stalina, miał chyba z piętnaście metrów wysokości. Zbliżały się słynne wybory, gdzie w myśl, że są tajne, nie wolno było nawet zajrzeć do koperty na kogo się głosuje, nadchodziła rocznica Rewolucji Październikowej.

— Zwrócono się do mnie — mówił Schulz — abym namalował ten portret. Nie było jak odmówić. Malowałem w auli gimnazjalnej, na podłodze. Te mniejsze, Woroszyłowa i Mołotowa malował kto inny. Widział pan we Lwowie to trzydziestometrowe fotografie tych panów? Na budynku opery? Jak oni wywołują takie gigantyczne powiększenia?

Idąc spacerem przez miasto poszliśmy do wypożyczalni książek Segala na ulicy Piłsudskiego, obecnie Stalina. Kiedy jeszcze nazywała się skromnie „Stryjska” służyła Schulzowi za wzór przy opisywaniu „Ulicy Krokodyli” w „Skleпах Cynamonowych”. Naprzeciw, w Hali Targowej, gdzie ciągle koczowali uchodźcy, wrzała jakaś kłótnia: awantury przekupek z wojskiem. Segal sprzedawał w kacie jakiemś starszemu Żydowi „talesy”. W chwilę później do sklepu wszedł enkawudzista. Zauważył w rękach Żyda białą-czarną tkaninę, więc spytał:

— Co to?

— Szaliki — odparł wystraszony Segal, gdyż handel przedmiotami kultu był zabroniony.

— Szaliki? Dawaj sześć sztuk...

Enkawudzista przymierzył, subiekt Segala podał mu nawet lustro z za przepierzenia, jako że w księgarni lustra nie ma, kacap paradował po sklepie zadowolony. Wziął wreszcie paczkę zapłacił żadaną cenę i poszedł. Segal popatrzył na nas, uśmiechnął się:

(3) Profesora Mirosława Krawczyszyna w dwa lata później zabili Niemcy.

— Uj, to ja miałem szczęście — mruknął. — Oni wykupują wszystko, panie Schulz, nawet lepy na muchy, choć zima idzie. Pański ojciec to był poważny kupiec, miał szczęście nie dożyć takich czasów i takich klientów...

Wziąłem wtedy od Segala „Zazdrość i medycynę” Choromańskiego, Schulz pożyczył wówczas „Sól ziemi” Wittlina. Miał zdaje się egzemplarz z dedykacją, lecz książka zginęła. Teraz chciał poczytać właśnie „Sól ziemi”, aby zapomnieć o tym, co go otacza.

Wyszliśmy, wypadało się pożegnać. Lecz Schulz pytał czy idę do domu, bo jeśli tak, to mnie kawałek podprowadzi, gdyż sam wybiera się do kogoś na ulicy Grunwaldzkiej. W parku koło „Czerwonej Szkoły” przystanął na chwilę, milczał, wreszcie rzekł:

— Jeszcze mi trudno pozbierać się po tym oszałamiającym wrześnie, tak szybko to wszystko się stało, tak okropnie, cwałem, przewaliła się przez nas historia. Niemcy byli w Drohobyczu w dwa tygodnie, teraz są Rosjanie, to chyba koniec Europy. Pierwszego w Drohobyczu rozstrzelali bolszewicy komunistę Myszkę, Ukraińca. Widziałem niedawno S., wrócił z Berezy. Nie chce mówić nic o Berezie, nawet teraz. Przez miesiąc był jako jeniec w Rosji, na skutek jakichś interwencji zwolniono go, bo stary partyjnik. O Rosji też nie chce mówić ten zapalony kiedyś komunista. *Ja już za dużo widziałem* — twierdzi. Wpadł w apatię.

Spytałem co myśli o wojnie. Zamyślił się.

— Trzeba wierzyć — wzruszył ramionami — choć mieć nadzieję dziś nie jest łatwo.

Pożegnaliśmy się tak, jak gdybyśmy mieli nie zobaczyć się więcej.

Zobaczyliśmy się jeszcze w kilka dni później — zdaje się — w rocznicę Rewolucji, w każdym razie był wtedy jakiś pochód. Zetknęliśmy się w tłumie obserwującym ów pochód. Ulicami waliły milczące załogi fabryczne „Polminu”, „Nafty”, „Galicji”, „Stebnika” i innych fabryk i rafinerii, prowadzone przez rozwrzeszczanych politruków. Portret Stalina na ratuszu był już zamazany, prał go deszcz i zapaskudziły kawki.

— Pierwszy raz patrzę bez żalu jak mój obraz niszczeje — uśmiechnął się.

W pewnym momencie Schulz zauważył szeptem.

— Przecież oni już szli! Ja tę rudą znam, już raz szła.

Rzeczywiście, aby stworzyć wrażenie entuzjazmu i masówki, pochód przeprowadzano na Mały Rynek, stamtąd wracał on koło kina „Wanda” i na nowo szedł przed frontonem ratusza.

— Chodźmy — mruknął. — Wszystko to jest kicz. Tandeta.

Twarz jego miała wówczas coś z zawiedzionego anioła i rozczarowanego pieska. Był mały, brzydki, zagubiony. Zer-



knął na zaciągnięte chmurami niebo, mżący kapuśniaczek gęstniał. Swym charakterystycznym ruchem wzruszył ramionami, przez twarz przebiegły mu nerwowe ticki, twarz znowu mu się zmieniła: dziecko, zmęczone dziecko.

— No, do widzenia — mruknął — wolę iść do siebie...  
Patrzyłem za nim, przepychał się przez tłum. Jeszcze zdjął kapelusz z głowy, komuś się ukłonił, wreszcie zniknął.

Andrzej CHCIUK

### NAJNOWSZE MODELE WARSZTATÓW DZIEWIARSKICH DO POLSKI

Dzięki swoim zaletom szczególnie popularne w Kraju:

#### Dwułożyskowe:

GIROTEX „400” .....	£ 58.15.0
TRICOLETTE SUPER .....	£ 51. 0.0
TRICOLETTE T 2 E .....	£ 46. 0.0
BUSCH .....	£ 46. 0.0

#### Jednołożyskowe:

ASK (AUTO-KNITTER) .....	£ 22. 0.0.
--------------------------	------------

Do wszystkich powyższych maszyn posiadamy obszernie instrukcje polskie. Zapewniamy również stałą rzetelną obsługę maszyn wysłanych przez nas do Polski.

ZADAJCIE NASZYCH PROSPEKTÓW  
I NOWYCH OBSZERNYCH CENNIKÓW

NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY

# TAZAB

& CO LIMITED

Oddział w St. Zjedn. 36, Third Avenue, NEW YORK, 3, N.Y. Tel. ALgonquin 4-4160/1	Centrala TAZAB HOUSE 22, Roland Gdns., LONDON, S.W.7. Tel. FRE 3175, 3176, 5676	Oddział w Australii 327, Collins Str., MELBOURNE, C.I. Vic. Tel. Melbourne 1314
--	--	--

## Fragmenty z dziennika

Wtorek

Argentyńczyk przeciętnie wykształcony dobrze wie, że twórczość mu szwankuje. — Nie mamy wielkiej literatury. Dlaczego? Czemu u nas posucha na geniuszów? Anemia muzyki, filozofii, plastyki, brak idei, ludzi? Dlaczego? Dlaczego? Nudno i ospale — dlaczego? Dlaczego? Jałowo i biernie — dlaczego? Dlaczego?... I oto mnożą się recepty: — Żyjemy światłem zapożyczonym z Europy. Ta jest przyczyna. Trzeba nam zerwać z Europą, odszukać śpiącego w nas Indianina sprzed lat czterystu... tam źródło nasze!... Ale nacjonalizmowi innego odtamu robi się obrzydliwie na samą myśl, co, Indio, przynigdy! Niemoc nasza stąd, że odsunęliśmy się od matki-Hispanii i matki-kościółki katolickiego!... Tu jednak ateizm lewicowo-postępowy dostaje gorączki, Hiszpania, kler, tfy, obskurantyzm, oligarchia, ucz się od Marksa, będziesz twórczy!... podczas gdy młodzieniec „fino”, z centrum Buenos Aires, wracający z herbatki u Wiktorii Ocampo, ma pod pachą *revue* paryską i chiński poemat ozdobiony rycinami.

Pastyłki na impotencję — to śmieszna rzecz, trochę więc dziwi, że ta dyskusja toczy się uroczyście od dziesięcioleci i nawet przeistoczyła się w naczelną kontrowersję intelektualizmu łacińsko-amerykańskiego. To temat niezliczonych odczytów i artykułów. Uwierz w Najwyższego i w Izabellę Katoliczką — będziesz twórczy! Wprowadź dyktaturę proletariatu i kult Indianina — zobaczysz, jak ci się poprawi! Ale to biadolenie nie jest zbyt poważne, im geniusze potrzebni trochę tak, jak drużyna futbolowa — aby wygrać mecz z zagranicą. Co gubi im ducha, to właśnie żądza wykazania się przed światem, dorównania. Głównym kłopotem tych artystów nie jest wypowiedzenie swojej pasji i zbudowanie swojego świata, a to żeby napisać powieść „na poziomie europejskim”

— żeby Argentyna, żeby Ameryka Południowa uzyskała w końcu swoje dzieło reprezentacyjne. Traktują sztukę jak międzynarodową rozgrywkę sportową i godzinami głowią się nad przyczynami, za sprawą których tak rzadko zdarza się gol drużynie argentyńskiej.

Dlaczego gol zdarza się rzadko? Czy aby nie winno temu „my”, słówko „my” (do którego odnoszę się z taką nieufnością, którego zabroniłbym pojedynczemu człowiekowi). Póki Argentyńczyk przemawia w pierwszej osobie liczby pojedynczej, póty jest ludzki, giętki, rzeczywisty... i może pod pewnymi względami przewyższa Europejczyka. Mniejszy balast — mniej obciążenia dziedzicznego, historii, tradycji, obyczajów, większa zatem swoboda ruchów i większe możliwości wyboru, łatwiejsze nadążanie historii. I ta przewaga byłaby przygniatająca, gdyby życie południowo-amerykańskie nie było łatwe, odzwyczajające od wysiłku i śmiałości, ryzyka i uporu, od decyzji kategorycznych, od dramatu i walki, od krańcowości, która jest sferą par excellence „stwarzającą”. Życie miękkie zmiękcza (po cóż być twardym?)... wszystko się rozlaźni... Ale mimo braku natężenia Argentyńczyk, póki wyraża się w pierwszej osobie, jest kimś niegłupim, otwartym na świat i trzeźwym — i ja powoli nauczyłem się lubić go i cenić. Niepozabawieni są często wdzięku, elegancji, stylu.

W tym sęk, jednak, że to „ja” funkcjonuje tylko na niższych piętrach tutejszego bytowania. Nie umieją wprowadzić go na wyższe piętro — tj. w kulturę, sztukę, religię, moralność, filozofię — tutaj przechodzą na „my”. A przecież „my” jest nadużyciem! Przecież jednostka jest po to, żeby mówiła „ja”! Więc to „my” mgliste, abstrakcyjne i arbitralne, odbiera im konkretność, czyli krwistość, rujnuje bezpośredniość, nieomal ścina z nóg i umieszcza w mgławicy. Wtedy zacznie Argentyńczyk wywodzić, dajmy na to, że „nam” potrzebna jest historia, bo „my” bez historii nie możemy sprostać innym narodom, bardziej historycznym — i poczynnie fabrykować sobie tę historię na siłę, stawiając na każdym rogu pomniki niezliczonym bohaterom narodowym, świętując co tydzień inną rocznicę, wygłaszając, nieraz pompacyjne, dyskursy i wmawiając sobie wielką przeszłość. Fabrykowanie historii jest w całej Ameryce Południowej przedsięwzięciem pochłaniającym kolosalne ilości (straconego) czasu. Jeżeli jest pisarzem, Argentyńczyk ten poczynnie medytować, co to jest właściwie Argentyna — aby stąd wydedukować jakim on ma być Argentyńczykiem — i jakie mają być jego utwory, aby okazały się dostatecznie własne, narodowe, kontynentalne, kriożowskie. Nie koniecznie wylęganie się z tych analiz powieść, nawiązująca do literatury gauczowskiej, równie dobrze może powstać dzieło wysoce wyrafinowane — ale też pisane według programu. Słowem, ten Argentyńczyk wydedukowany stworzy wydedukowaną literaturę, poezję, muzykę, wydedukowany

światopogląd, wydedukowane pryncypia moralne, wydedukowaną wiarę... aby wszystko to zmieściło się, dobrze przylegając, w jego wydedukowanej Argentynie.

Tymczasem, jakaż jest Argentyna — jakież jest to „my”? Nie wiadomo. Jeśli Anglik, lub Francuz, mówią „my” to czasem coś znaczy, bo tam od wieków mniej więcej wiadomo, co to Francja lub Anglia. Ale Argentyna? Mieszanina ras i dziedzictw, o historii krótkiej, niewyrobnym charakterze, nieustalonych instytucjach, ideałach, zasadach, odruchach, kraj wspaniały, to prawda, zasobny w przyszłość, ale nie zrobiony. Czy Argentyna to przede wszystkim tubylcy, z dawna tu osiedli? Czy przede wszystkim imigracja, przekształcająca, budująca? Czy Argentyna to może właśnie kombinacja, cocktail, melanz i ferment? Czy Argentyna to Nieokreślenie? W tych warunkach cały ten kwestionariusz Argentyńczyka — „kim jesteście my?”, „jaka jest nasza prawda?”, „do czego mamy dążyć?” — musi skończyć się fiaskiem. Gdyż nie w intelektualnych analizach, a w działaniu — działaniu solidnie wspartym na pierwszej osobie liczby pojedynczej — kryje się odpowiedź.

Chcesz wiedzieć kim jesteś? Nie pytaj. Działaj. Działanie cię określi i ustali. Z działania swojego się dowiesz. Ale działać musisz jako „ja”, jako jednostka, bo tylko własnych potrzeb, skłonności, namiętności, konieczności możesz być pewny. Tylko takie działanie jest bezpośrednio, jest prawdziwym wydobywaniem siebie z chaosu, auto-stwarzaniem. Reszta — czyż to nie recytowanie, wypełnianie schematów, tandeta, kicz?

Nic łatwiejszego jak pozwolić sobie tutaj na garść paradoksów, tchnących najtrzeźwiejszym realizmem. Na przykład: antentyczny Argentyńczyk rodzi się, gdy zapomną, że są Argentyńczykami — a zwłaszcza że chcą być Argentyńczykami; literatura argentyńska urodzi się, gdy pisarze zapomną o Argentynie... o Ameryce; oderwą się od Europy, gdy Europa przestanie być dla nich problemem, gdy stracą ją z oczu; objawi się im ich istota, gdy przestaną jej szukać.

Bzdurny to pomysł, że można urzeczywistniać narodowość według programu — ona musi być nieprzewidziana. Podobnie jak osobowość w skali indywidualnej. Być kimś, to dowiadywać się nieustannie kim się jest, a nie — wiedzieć z góry. Twórczość nie da się wyprowadzić z tego, co już jest, nie jest konsekwencją...

Sroda

Jednakże byłaby też do zastosowania inna metoda, akurat odwrotna i bliższa temu, co oni w tej chwili uprawiają. Polegałaby na jawnym omawianiu wszystkich tych bóleczek (impotencji, braku oryginalności, zależności od innych kultur),

na ujęciu ich jako tematu, aby w ten sposób uzyskać dystans, wziąć z tym rozbrat. Podobnie ktoś nieśmiały może, omawiając swoją nieśmiałość, wyzwoić się z niej, gdyż ona nie jest już nim — jest już tylko jego problemem. Ta metoda dobrze mi znana, nie raz ją doradzałem.

Owszem. Ale i to musiałyby być zreferowane nie zbiorowo, a w pierwszej osobie. „Ja”. „Mój kłopot”. „Moje rozwiązanie”. Jednakże żaden z Argentyńczyków nie zapyta: dlaczego ja nie jestem twórczy? Ich pytanie: dlaczego *my* nie możemy tworzyć? W tym „my” wszystko się rozplywa.

#### Czwartek

Straszliwa inwazja szablonów, teorii, abstrakcji, form już gotowych, wypracowanych gdzie indziej, jest rezultatem tego, że ich „ja” zaledwie trzyma się na nogach. Inwazja tym bardziej groteskowa, że abstrakcja nie leży w ich naturze. Jest coś bolesnego w ich konieczności teoretyzowania i nieumiejętności teoretyzowania.

Artyści tego kraju (i całego kontynentu) nie mogą dać kroku bez laski — będzie nią marksizm, lub Paryż, wykopaliska staroindyjskie, lub Toynbee — równie dobrze dandyzm, co anarchizm, co, na przykład, monarchizm (i takich widziałem). Żyją elaboratami. A ponieważ w tutejszym życiu ułatwionym, miękkim, słowo łatwo pęcznieje, wszystkie te izmy kończą się na werbalizmie. Słowo! Literatura ich to piękności. Żeby być artystą wystarczy pięknie się wyrażać. Najbardziej oryginalny i samodzielny pisarz Argentyny, Borges, pisze doskonałą i elegancką hiszpańszczyzną, jest stylistą w sensie literackim (nie w sensie rozwiązania duchowego), najchętniej uprawia literaturę o literaturze, pisanie o książkach — a jeśli odda się czasem czystej wyobraźni, to ona uwiedzie go jak najdalej od życia, w sferę pokrętej metafizyki, układania pięknych rebusów, scholastyki złożonej z metafor.

Ludzie najczujniej i najboleśniej zdający sobie sprawę z impotencji — na przykład Kubańczyk Piniera — są często — z nadmierną świadomością klęski, aby móc walczyć. Piniera czując się bezsilny, oddaje hołd Wielkiemu Absurdowi, który go miazdży — w jego sztuce uwielbienie absurdu jest protestem przeciw bezsensowności świata, nawet zemstą, bluźnierstwem przeciw człowiekowi obrażonego w swojej moralności. „Jeśli sens, sens moralny świata jest nie do osiągnięcia, będę się wygłupiał” — tak oto w przybliżeniu wygłupia zemsta Pinierę i jego bunt. Ale dlaczego on, jak tyłu innych Amerykanów, zwątpił tak dalece o własnych siłach? No, bo jemu znowu idzie o świat, nie o swoje życie. Wobec świata, ludzkości, narodu, jest się bezsilnym, to przerasta — ale z własnym

swoim życiem można, mimo wszystko, niejednego dokazać, tutaj wraca moc człowiekowi, choć w ograniczonym wymiarze.

Niektórzy z nich — pisarzy tutejszych — są obdarzeni sprawnym mechanizmem mózgowym i celnością wyrazu, a nie mogą ruszyć z miejsca tylko dlatego, że ugrzęźli w problematyce odziedziczonej, już przeczasałej. To się zdarza właśnie nowoczesnym, z pozoru, umysłom. Szukają wciąż zwycięstwa w ramach tej samej gierki. A przecież trzeba by kopnąć szachownicę i zburzyć grę. Postawienie nowych zagadnień — oto najlepszy sposób załatwienia starych.

Poziom! Ach, co za męka! Poziom! Ach, jak paraliżuje! Główny wysiłek wkłada się w wywindowanie banału i w skomplikowanie truizmu, jak zawsze gdy się ma niewiele do powiedzenia. Ta literatura, na rozmaitych szczeblach socjalnych, jest zawsze w sporym procencie mistyfikacją. Każdy chce pisać o piętro wyżej. Prowincja robi co może żeby usztucznie- niem słowa dorównać stolicy. Najgorzej gdy czołowi, ci z najwyższego piętra stołecznego, zapragną dać do zrozumienia kto zacz oni — wówczas zdania, rozdęte i powykęcane, stają się nieznośne i nie można zrozumieć o co mu chodzi.

Życie ułatwione. Życie prowincjonalne. Tu każdy, byle by załapał parę nagród, przeistacza się bez trudności w „mistrza”. Ale „maestro” znaczy tyleż „mistrz”, co „nauczyciel”. Wobec tego, że nikt nie chce pisać dla siebie, a tylko dla narodu (albo czytelników), pisarz południowo-amerykański jest także często nauczycielem, mistrzem maluczkich, przewodnikiem, oświecicielem (w ogóle jest niesamowite jak dalece cała kultura tutejsza jest z ducha szkolarska... aż ma się wrażenie, że paniusie nauczycielki ukształtowały naród). Przy odrobinie dobrej woli „maestro” ulega następnej metamorfozie: w pro- roka, wieszczka, czasem męczennika lub bohatera Ameryki. Dziwne, że w narodzie tak sympatycznie skromnym tyle zadęcia na wyższych piętach, prawie dziecięcego.

#### Sobota

Wracając do spraw polskich... Wolę bawić się mymi wrogami, niż ich niszczyć. Zawsze dokładałem wszelkich starań aby bawić się wrogami, nawet w okresach gdy najbardziej nie dawali mi żyć.

Dzisiaj zdumiewa mnie delikatność tych hipopotamów — teraz, gdy ja jestem na wierzchu i mogę od czasu do czasu dla zabawy zaleźć im za skórę. Jakaż cieniutka, ta skórka! Zdarza się bowiem, że taki matole nie polapawszy się jeszcze we właściwym, że tak się wyrażę, stosunku sił, z przyzwyczajenia po prostu skrobnie sobie pod moim adresem parę epitetów — no, przypuśćmy, pozer, błazen, zero, kanciarz —

ale, gdy ja mu się odwzajemnię pięknym za nadobne, podnosi wrzask w niebogłosy. Jemu wolno napisać, że ja pajac, ale mnie nie wolno, że tępy. Gdy on mnie majestatycznie obrabia z wyżyn swego nadętego pustogłowia, wszystko w porządku! Ale ja powinienem siedzieć cicho! Mnie nie wolno pisać, bo przecie on „krytyk”. A ja nie jestem krytyk, ja jestem autor, któremu „nie wypada polemizować”, ach, nie, *fi donc*, cóż za brak taktu!

Gdy więc ja z kolei zabiorę się dla zabawy do krytyki pana krytyka, nie obwijając jej zanadto w bawełnę, ryk piekielny, ludzie ratujcie, ach, ten Gombrowicz, brutal, zły, niedobry, jak śmie, zarozumialec, megaloman!

Zarozumialec? Megaloman? Słuchajcie, hipopotamy: ja się nie skarżę, że wasza profesorska czy felietonowa głupota szkalowała bez przerwy moją pracę pisarską, która, jak dziś się okazuje, jest coś warta. Zrobiliście, co mogli, żeby zepsuć mi życie i po części to się wam udało. Gdyby nie wasza płaskość, płytkość, mierność, nie byłbym może przymierał głodem przez wiele lat w Argentynie, a i inne upokorzenia byłyby mi oszczędzone. Stanęliście pomiędzy mną a światem — grono nieomyślnych belfrów i publicystów — pacząc, wykrzywiając, fałszując wartości i proporcje. Dobrze, pał was sześć, to wam przebaczam! I nie oczekuję, że któryś z was wybełkocze dzisiaj coś w rodzaju cichego „przepraszam”, zbyt dobrze wiem czego można oczekiwać od takich jak wy figlarzy.

Ale jak przebaczyć, że zdołaliście zwyciężyć mnie w moim nad wami końcowym zwycięstwie? Tak. Poczescie się. Zwyciężyliście w kłęsce swojej. Gdyż sprawiliście, że sukces mój przyszedł za późno... o dziesięć, dwadzieścia lat... gdy zanadto już jestem bliski śmierci i ona zaraża mi kłeską nawet triumf... nie jestem już, wiecie, dość jurny aby się nacieszyć rewanżem. Triumf? Megaloman? Zarozumialec? Ależ wy nawet tego mnie pozbawiliście — nie mogę rozkoszować się ani moim wywyższeniem, ani waszą porażką — jak to wybaczę?

#### Poniedziałek

Lubię i cenię Argentynę... tak, ale jaką Argentynę? Nie lubię i nie cenię Argentyny... tak, ale jakiej Argentyny?

Jestem przyjacielem Argentyny naturalnej, prostej, przyziemnej, ludowej. Jestem w wojnie z Argentyną wyższą, już spreparowaną — źle spreparowaną!

Nie dawno jeden Argentyńczyk powiedział mi: — Pan jest alergiczny na naszym punkcie. Ale inny, Jorge Abalos, pisał mi niedawno z Santiago: „pan szuka w tym kraju prawdziwej wartości (*lo legitimo*), bo pan go kocha”. (Kochać kraj? Ja?).

#### Sroda

Huzia na rząd! Wszyscy są zawsze w opozycji i rząd zawsze winien. Po obaleniu Perona idylla wywaliła się na ulice — radość i rozczenie ze sztandarami. Ale to trwało tydzień. Po tygodniu powstało 20 dzienników opozycyjnych z olbrzymimi tytułami: RZĄD ZDRADY, NOWA TYRANIA, GODNOŚĆ LUB ŚMIERĆ, DOŚĆ HAŃBY. Po 3 miesiącach biedny generał Aramburu, prezydent, nie miał chyba ani 10% wyznawców (dopiero gdy ustąpił orzekli, że to był jednak porządny człowiek).

Gdy potem Frondizi został wybrany przygniatającą większością, znów radość — i znowu po paru miesiącach: „zdrajca”, „sprzedawczyk”, „tyran”... To były najdelikatniejsze komplementy...

Wrzaskliwość prasy opozycyjnej jest godna podziwu.

Źródła tych smutnych zjawisk szukajcie chyba w życiu ułatwionym, na olbrzymich słabo zaludnionych przestrzeniach, gdzie na wiele można sobie pozwalać bezkarnie, gdyż ostatecznie „jakoś to będzie”. Jeśli życie prywatne Amerykanina jest jeszcze nacechowane pewną konsekwencją i wiadomo np. że jeśli nie zreperuje dachu, będzie mu się lało do środka, to życie społeczne, polityczne, szersze, wyższe, staje się czymś w rodzaju Dzikich Pól — można gardłować, hulać, baraszkować, gdyż nie ma logiki, nie ma też odpowiedzialności, krajowi nic się nie stanie, taki wielki... Demagogia zatem, frazeologia, lunatyzm polityczny, iluzje, teorie, fobie, manie, megalomanie, kaprysy, a zwłaszcza najzwyczajniejsza „viveza” (tj. nabierać to my, nie nas!) kwitną. Można przez dziesięciolecia mówić ludziom bzdury upstrzone najtańszymi frazesami, a nigdy życie tego nie zdemaskuje, bo tu rzeczywistość zbiorowa jest *rozluźniona* — i gębacz taki na stare lata będzie chodził w glorii.

Życie ułatwione wytwarza dobrodusność, sentymentalizm, naiwność, niezaradność, delikatność — te miękkości, w których powoli się tonie. Ale społeczeństwo zagrożone miękkościami, wyczuwając podświadomie niebezpieczeństwo, chce się bronić — stąd owa sławna „viveza”, ten sprycik, który ma ich usprawnić do życia, udostępnić im na nowo rzeczywistość, uratować przed wstydem łatwowierności i naiwności.

Napisano tomy o psychologii południowego Amerykanina, nieraz metafizyczne, prawie zawsze zanadto „głębokie” — wiedza o człowieku czy narodzie nie zawsze bywa rybą głębinową — czasami okraszone smacznym mistycyzmem domowego wyrobu (że, na przykład, w „milczeniu” Argentyńczyka kryje się jakaś prawda nieodkryta). Dobrze, niechże to będzie jak najbardziej otchłanne tam, gdzie trzeba, ale po cóż szukać otchłani na równej drodze? Dziewięćdziesiąt procent Argentyny

i Ameryki Południowej da się wytłumaczyć rodzajem życia, jaki uprawiają, życia, które jest — wbrew ich skargom — na ogół łatwe w porównaniu z innymi kontynentami.

### Sobota

Oto jak się gubią w rzeczywistości zbiorowej, jak ona dla nich staje się fantastyczna, nie dająca się ująć.

Rozmawiam w Tandilu z pewnym właścicielem pięknej willi, kierownikiem sporego przedsiębiorstwa, człowiekiem doświadczonym. Pytam się: jak pan myśli, ilu było zabitych w Cordobie podczas rewolucji 16 września? Pomyślał chwilę! — Dwadzieścia pięć tysięcy.

Otóż w mieście Cordoba odbyła się jedyna bitwa tej rewolucji, w której wzięły udział dwa pułki piechoty, szkoła artylerii i jeszcze ze dwie formacje wojskowe. Bitwa poległa na ostrzeliwaniu się przeważnie z lekkiej broni i trwała dwa dni. Nie ogłoszono liczby zabitych, ale jeśli ich było 300, to dużo... A ten mi mówi: 25 tysięcy! 25 tysięcy! Przerazająca bezmyślność — czy on się zastanowił przez chwilę, co to znaczy 25 tysięcy trupów?

W Goya (Corrientes) kiedy powiedziałem, że 16-go czerwca 55 r. podczas bombardowania Casa Rosada w Buenos Aires zginęło 200 osób, spojrzano na mnie jak na wariata. Ich zdaniem, nie mniej niż 15 tysięcy! 15 tysięcy! Pozwoliłem sobie zaryzykować twierdzenie, że cała ich rewolucja z 55 roku nie kosztowała na szczęście więcej niż kilkaset żyć i to prawdopodobnie w większości wskutek wypadków samochodowych (bo mnóstwo ludzi wiało, inni ich ścigali). O co bardzo się obrazili.

W Santiago pewien student prawa z uniwersytetu w Tucuman zapewniał mnie z całą powagą, że południowym Amerykanom Freud na nic nie może się przydać. „Bo to jest europejska wiedza, a tu Ameryka”.

W Tandilu jeden student z Bahia Blanca, komunista, zapytany przeze mnie czy nigdy nie odwiedził go moment zwątpienia, odpowiedział: — Tak, raz jeden. Nadstawiłem uszu, przekonany, że wymieni obozy koncentracyjne, zduszenie Węgiei, lub zdemaskowanie Stalina. Ale jemu chodziło o Kandynskiego, którego wyklęto, czy też po prostu odsunięto, za malarstwo abstrakcyjne. To tylko uznał za nie w porządku... cokolwiek.

Głupota? Nie — a jednak nie są głupi. Tylko że świat, wykraczający poza konkretność rodziny, domu, przyjaciół, zarobku, jest dla nich dowolny. Nie stawia oporu. Nie karze za pomyłkę, więc pomyłka staje się dozwolona. Ostatecznie, 25 tysięcy, czy 300, to prawie to samo. W tego typu rozmo-

wach oni są sybarytami, wolą to, co przyjemnie się mówi, od tego, co prawdziwe.

Nachodzi jednak chwila, w której Rzeczywistość zaczyna pokazywać zęby. Tak tedy w Argentynie po dziesięciu latach marnotrawstwa, podwyższania płac, rozbudowy zgoła niepożytecznej aparatu urzędniczego, fabrykowania papierowego pieńniądza, pojawiło się dno sakiewki i wybuchł kryzys, jakiego bodaj nie było w historii kraju. Jakże trudno im to zrozumieć! Do dziś większość jest przekonana, że rząd umyślnie *nie chce* zapewnić ludności dobrobytu. Niewyrobienie polityczne tego narodu jest dla mnie jaskrawe, są dotknięci daltonizmem, nie umieją rozróżnić tego, co w polityce pierwszorzędne i ważne, od tego, co podrzędne i błahe.

A jednak są z urodzenia wspaniałymi realistami...

### Poniedziałek

W kilka miesięcy po przybyciu moim do Argentyny w 1939 r., grupka drobnych literatów, z którymi zaprzyjaźniłem się, jęła mnie namawiać do wygłoszenia odczytu w Teatro del Pueblo. Ja wówczas jeszcze pojęcia nie miałem o Argentynie. Zapytałem, co to za teatr. — Pierwsza klasa — odpowiedziano — na tych odczytach bywa najprzedniejsza elita, sama śmietanka! Wobec tego postanowiłem wysmażyć odczyt wysoce intelektualny i, napisawszy go po francusku aby został przetłumaczony na hiszpański, zatytułowałem: „Regresja kulturalna w Europie mniej znanej”.

Umyślnie nie wspominałem tam ani słowem o Polsce, gdyż był to czas tragiczny, bezpośrednio po zdarzeniach wrześniowych... przypominam sobie, iż chodziło mi w odczycie o zagadnienie, w jaki sposób fala barbarzyństwa, która nawiedziła centralną i wschodnią Europę, może być wykorzystana dla rewizji podstaw naszej kultury.

Te początki moje w Argentynie wyglądają mi dzisiaj jak ciemność, kryjąca w swym łonie tragikomiczne *qui pro quo*. Jak się odbyło? Zjawiam się w teatrze — pełniusieńkim — okropnym akcentem odczytuję moje wypracowanie — brawko — dość zadowolony wracam do łóża, którą mi zarezerwowano i zastaję w niej znajomą Argentynkę, dziewczę ze sfer baletowych, wydekoltowane i obwieszzone naszyjnikami z monet. Przyszła żeby podziwiać. Już zdejmuję palto z wieszaka żeby wyjść z nią razem, gdy widzę, że na estradę wychodzi jakiś facet i gardłuje aż miło. Nic nie mogę zrozumieć, słyszę tylko „Polonia”. Brawo, podniecenie. Za czym drugi facet wyłazi na podium i zawała mowę, wymachując rękami, a publiczność krzyczy. Nic nie rozumiem, ale bardzo jestem ucieszony, że mój dyskurs, który uprzykrzał mi się jak mucha wokół nosa,

gdym go odczytywał, wywołuje taki rejwach. Naraz — a to co? — nasz minister wstaje i wraz z innymi członkami Poselstwa opuszcza salę. Oj, coś niedobrze!... Nowe mowy, atmosfera rozgrzana, wrzaski, do mnie zwraca się ktoś: — Dlaczego pan nie reaguje? Polskę atakują!... Ładna heca! Jakże mam reagować, jeśli siedzę jak na niemieckim kazaniu?

Nazajutrz — awantura. Jak się okazuje, mój odczyt został wyzyskany przez komunistów do ataku na Polskę. Okazało się też, że nieco skomunizowana „elita intelektualna” nie była znów aż tak śmietankowata, wskutek czego napaść na „faszystowską Polskę” nie odznaczała się wybrednością i wygadywano głupstwa jak np., że w Polsce w ogóle nie ma literatury i że jedynym polskim pisarzem jest Bruno Jasiński. Przerażony, pobiegłem do Poselstwa — przyjęto mnie mroźnie, podejrzewając o sabotaż, nieomal o zdradę. Na próżno tłumaczyłem, że dyrektor teatru p. Barletta zapomniał mnie powiadomić, iż według zwyczaju, po odczytach odbywa się dyskusja (nie mam powodu do przypuszczenia, że umyślnie mnie o tym nie uprzedził; zresztą nie uważałem go za komunistę, gdyż podawał się — i do dziś się podaje — za prawego i światłego a postępowego obywatela, bezstronnego i sprawiedliwego, przeciwnika imperialistów i przyjaciela ludu; dopiero gdy podczas rewolucji węgierskiej bezstronność, sprawiedliwość i szlachetny antyimperializm p. Barletty skłoniły go do kategorycznego opowiedzenia się po stronie Rosji, straciłem resztki zaufania).

Najgorzej z baletnicą — jej ruż, pudry, dekolty i monety dopełniły miary moich nieszczęść. — Co za cynizm! — mówiono. — W takiej chwili! O ile pamiętam, nawet prasa polska w Stanach na mnie wsiadła... ale byłbym wytrzymał ten wir obłądny podejrzeń, oskarżeń, potępień, gdyby nie Pyzik! Pyzik, prezes Związku Polaków w Argentynie, który wypisał w swoim artykule coś od czego w oczach zrobiło mi się czarno... Mianowicie wystąpił z pretensją, że ja w odczycie nie wspominałem ani słowem o szkolnictwie polskim... Co???????? Szkolnictwo????? Jakie szkolnictwo? Dlaczego szkolnictwo? Ha! tego tylko brakowało — szkolnictwa!

Witold GOMBROWICZ

## “Ostatnia wiosna”

Przeszło czterdzieści wierszy lirycznych, garść przekładów (z Machara i Wierzyńskiego), oraz poemat „Piąta symfonia” składają się na nowy tom Jewhena Małaniuka „Ostatnia wiosna”, ósmy już z kolei w twórczości ukraińskiego poety.

O Małaniuku pisałem w „Kulturze” kilkakrotnie, ostatni raz w roku 1955-tym, w związku z trzydziestolecie jego pracy literackiej i amerykańskim wydaniem obszernego wyboru wierszy. „Ostatnia wiosna” nie stanowi rewelacji, a tylko cenne uzupełnienie poetyckiego dzieła Małaniuka. Mniej więcej połowa zbioru to nieznanne wiersze przedwojenne, nieraz bardzo wczesne, reszta — liryka emigracyjna. Ona też nadaje główny ton, sprawiając, że książkę odczuwa się niezmiernie blisko, intymnie, jak zwierzenia jeszcze jednego Odysseusza, opowiadającego swoje dzieje uczestnikom takich samych wędrówek.

Wiersze dawniejsze wnoszą niewiele nowego, nie zmieniając w niczym dobrze znanego wizerunku poety. Ziemia przeorana żelazem ciągłych katastrof, step przeklęty wyrokami historii, tęsknota za ukraińskim Rzymem, rozpaczliwe inwektywy, profetyczne wizje, twarde nakazy moralnego hartu. Poeta „tragicznego optymizmu”, chłoscący swój naród za „bezdzieję”, „małorosyjszczyznę”, za anarchię.

Przepił koszulę, kozuch — cóż! —  
Hulaj, szalony, rżnij, kozacze,  
żeś duszę sprzedał swą za nóż,  
że czarny kruk nad tobą kracze.

Spójrz: ani śladu bujnych żyt,  
aż po widnokrąg — tylko burzan.  
Starego stepu groźny zwid  
jak dawniej z mroków się wynurza.

*Więc znów w hopaku rwij i tup  
w tę ziemię, jak w huczącej bitwie,  
w ziemię, co jak niktący trup  
pod wiosną, która nie rozkwitnie.*

Swoista historiozofia panuje w tych wierszach niemal niepodzielnie. Symbole dziejów, zjawisk, procesów politycznych i kulturalnych. Nieobjęty, rozrzucony na wszystkie strony, niezdyscyplinowany step ukraiński. Rzym do niego nie dotarł, Hellada daremnie szczepiła tej ziemi swoje marmury i sadziła wawrzynowe krzewy. Zawsze „dziki oddech Wschodu... zaciskał widnokreśli hordami chmur...”. Pozostały jedynie „nie-donoszone łachmany”: „...prastara pozłota Bizancjum” i „namiętny mazepiński barok...”. „Mogily, przestrzeń i słoneczniki — ukraińskie lotosy: znak żyźności tej przeklętej ziemi”.

Stąd gorzka świadomość wyjątkowej sytuacji wśród innych narodów. Jeszcze z 1931-go roku pochodzi znamienny wiersz, zadedykowany pod literami N.N. jakiemuś cudzoziemcowi, czy cudzoziemce.

*Myśmy obcy, dalecy, odmienni,  
inny los i każdy idzie z nim:  
wy kochacie narcyzy, ja — krzemień,  
dla was Grecja, a mnie — tylko Rzym.*

*Jest gdzieś przestrzeń i morskie odmęty,  
słony wiatr, co rwie ziemię spod stóp,  
tylko ja, złym wyrokiem wyklęty,  
zatrzymałem się — graniczny słup.*

*Wam ta przestrzeń w lazury uciekła,  
mnie — płomieniom wulkanu na lep,  
wsluchanemu, jak pod grozą piekła  
staje w ogniu umęczony step.*

Tak rodzi się i urasta tęsknota za ładem trwałej cywilizacji, rygorem własnego państwa. Ale przyszłe odrodzenie Małaniuk widzi zawsze w kategoriach moralnego wysiłku i duchowego zrywu. Nawet wtedy, gdy jego wiersze tłuką skrzydłami w bezsilnej rozpacz, nie traci wiary w imponderabilia. Poeta narodu, który na przestrzeni tylu stuleci szedł nieprzerwanie od jednej klęski do drugiej, wie, że jedynie hart ducha i woli może przezwyciężyć owe przekleństwo historyczne, ciężące dotąd nad Ukrainą. Dlatego to Małaniuk stał się przede wszystkim namiętnym chorążym moralnej przebudowy swego narodu.

*Ukradkiem wiersze, gorzkie niby leki  
niewolnik stawia, jak za krokiem krok —*

*i naraz skrzydła rosną u kaleki  
i sen odchodzi władcy od powieki  
i już się — twardy — rwać zaczyna mrok.*

*Nabieraj sił. Choć smutek znów uderzy, —  
skrzydlaty duch porywa w niebios siń.  
Niech każde słowo krwią serdeczną wzbierze.  
W modlitwie trwaj! I wzmagaj się! I czyń!*

Surowość tego rodzaju nakazów uwydatnia tło epoki, której okrucieństwo i brzydotę poeta ocenia w skali apokaliptycznej. Nie ma miejsca dla łatwego optymizmu: jeszcze niejedna katastrofa spadnie na obłąkaną ludzkość, zanim nadejdzie przepowiadany dzień. Naszemu pokoleniu już nie będzie dane go oglądać. Tak modne w polskiej poezji na parę lat przed drugą wojną światową określenie „katastrofizm” pasuje do Małaniuka jak ulał. I to od pierwszych, młodzieńczych jeszcze wierszy, powstałych wówczas, gdy literatura odrodzonej Rzeczypospolitej zachłystywała się radością z „odzyskanego ojczystego śmietnika”. Różnica w czasie sprowadza się do różnicy perspektywy. Polskim pisarzom emigracja jeszcze się nie śniła, młody autor „Sztyletu i stylosu” był emigrantem od samego początku.

◆

Ale emigracja emigracji nierówna. Na tomach wierszy, wydawanych przed wojną, Małaniuk nie kładł epigrafów z „Odyssey”. Na bruku Warszawy czuł się politycznym, walczącym emigrantem, ale nie rozbitkiem. Rodzinna Itaka była tuż, o niewiele kilometrów za rogatkami zadufanej w siebie stolicy, przy domowym ognisku siedziała Penelopa, mały Telemak bawił się na ojcowskich kolanach. To była emigracja, ale nie bezdomna włóczęga.

Dochodzą lata. Gdy się jest w sile męskiego wieku, a myśl o śmierci bywa rzadkim gościem, jeszcze można rzucać na szale wydarzeń wiarę w bliskość zwycięstwa; margines czasu jest bowiem dostatecznie szeroki, aby rozrósł się na nim krzew optymizmu. Potem — już coraz trudniej. Potem porywy męstwa i decyzji coraz częściej zastępuje żalosne poczucie bezbronności i bezradności.

*Tak natarczywie i tajemnie —  
Zażnij! — dzień cały szept żalony.  
I nie wiem, czego chce ode mnie  
przedwiośnie tej ostatniej wiosny.*

*Zasnąć, by przejść bez bólu, przywidzeniem głuchym  
w ostatni spokój? Czy też nabrać w śnie odwagi,  
by iść na groźną walkę z zawieruchą  
okrutnych dziejów?*

*Bezbronny i nagi*

*stoisz. A wszystko już po pochyłości  
toczy się w mrok: zdarzenia, myśli i nadzieje...  
Tylko ocean wzdycha i smaga w żalości  
wybrzeże piach. I lekka bryza wieje.*

W tym smutku starzejącego się emigranta znajdziemy więcej spokojnej rezygnacji, niż buntu i rozpacz. Mroczna epoka nie przyniosła żadnego rozwiązania najboleśniejszym sprawom, osobiste szczęście zatraciło się — już bezpowrotnie. Jesień życia nadeszła śladem „ostatniej wiosny”. Przed jedną z elegij swego zbioru Małaniuk kładzie wymowne motto z Rilkego: „Wer jetz kein Haus hat, baut sich keines mehr...” — Kto teraz domu nie posiada, już go nie zbuduje... Przekleństwem każdej przedłużającej się emigracji jest gniotąca świadomość niedopełnienia, niedokonania, braku ciągłości. Nawet po spalonym, zrujnowanym domu pozostają fundamenty, jakiś płot, jakaś studnia, otaczające go drzewa, a na nich gniazda wiernych ptaków. Po wędrownych namiotach — tylko ciemny krąg, zakreślony na ruchomym piasku. Pierwszy silniejszy powiew go zasypie.

A więc to, co przy innych okazjach różni pisarze określali jako „pułapkę historyczną”. Nie należę do zwolenników tezy, że pisarz może rozwijać się i tworzyć jedynie i wyłącznie we własnym kraju, a poza nim nie istnieje. To oczywista nieprawda. Potencjalnie, każdy człowiek jest w stanie zdobyć się na przezwyciężenie swego losu. Każdy człowiek, więc tym bardziej artysta.

Nielatwa to przecież sprawa. Sytuacja emigranta jest zawsze skomplikowana i najczęściej brakuje właściwego rozeznania mechanizmu tej sytuacji. Proszę zwrócić uwagę na zjawisko, powtarzające się zawsze i wszędzie, we wszystkich emigracjach politycznych. Niecierpliwość i wynikająca z niej krótkofalowość. Liczy się na miesiące tam, gdy w grę wchodzi lata; liczy się na lata tam, gdzie chodzi o pokolenia. Kiedy powrócimy? Gdyby emigracje powiedziały sobie na samym początku: Nie powrócimy nigdy! Powróci dzieło przez nas stworzone! — aura psychiczna byłaby inna. Mianowicie, pozbawiona do jutrnego wyczekiwania, solidnie osadzona w czasie, sprzyjająca pracy nie skazanej na improwizację.

Wszystko to są jedynie luźne uwagi na marginesie recenzji z książki ukraińskiego poety, nie pozbawione jednak, jak sądzę, ogólniejszego znaczenia. Jeżeli starość rozpamiętywuje grzechy i błędy młodości, dłuższy pobyt na emigracji — nie

inaczej. Mądrość po szkodzie, gorzka mądrość, z której nie wiele wynika na dzień dzisiejszy, jeszcze mniej — na jutrzejszy. Rachunek sumienia przekreśla winy, ale nie przekłada nowej drogi. Pozostaje melancholia cichej rezygnacji w obliczu życiowej jesieni.

*Jesienne słońce białym żarem sływa,  
siwizną znaczy, listowie osmala...  
Szukałeś — i z tych wszystkich poszukiwań  
już nawet nie wiesz, czyś cośkolwiek znalazł.*

*I śni się: przestrzeń, błękit nieba, miłość,  
a — „ponad groblą” — słyszysz? — „wierzby szumią”,  
i płaczesz, by na chwilę powróciło  
to wszystko, co byś dzisiaj pojąć umiał.*

*Spóźniona, ciężka mądrość...*

*Spóźniona mądrość, ciężar jej się wżarł  
w kark niewolniczy, ale nieść ją trzeba.  
Jakiś bezsilny tej jesieni żar,  
jak zieje pustka błękitnego nieba!*

*Ani widnokrąg tak nas będzie mógł  
w dal nawoływać, jak niegdyś, na niby...  
Dawno się splotły nici wszystkich dróg  
w jedyny węzeł.*

*Nie znaleźć sadyby,*

*bo „nie zbudować swego domu tym,  
co dotąd go nie mają”. I rym rwie się.  
Pielgrzymuj, idź, wpatrzony w siwy dym  
dalekich pól i zrozum: To już jesień!*

Byłoby zbyt łatwo złożyć te słowa wyłącznie na karb osobistej bezsilności. Jakże często nawet najbardziej liryczny poeta odzwierciadla dokładnie, choć w pośredniej formie, sytuację i nastroje zbiorowe. Gwar i zgłębienie emigracyjnej krzątania stwarza pozory dynamicznej działalności i pozorom tym ulegać zwykli nie tylko główni aktorzy, ale i spora garść obserwatorów z zewnątrz. Aż przyjdzie poeta i wyda swój bezlitosny werdykt: „Nie zbudować swego domu tym, co dotąd go nie mają...”.

Postawa Małaniuka wobec naszej epoki zawsze była zdecydowanie negatywna. Katastrofizm wynika więc nie tylko z



niewyraźnych przeczuć, ale i z moralnej oceny czasów humanistycznego upadku. Pobyt w olbrzymim rojowisku ludzkim Nowego Yorku, rozporządzającym wszystkimi zdobyczami nowoczesnej techniki, pogłębił jeszcze bardziej tę negatywną ocenę. „Przeklęte stulecie”, skazane na niechybną zagładę — oto wyrok i wróżba wędrowca, wpatrzonego w dalekie i złowieszcze niebo z dna stromeego wąwozu Brodway'u. Chwilami przypominają się wiersze Lorki, którego andaluzyjski temperament także czuł się fatalnie w ulicach wielkiej metropolii. Poeta hiszpański nie poszedł wprawdzie tak daleko w inwektywach przeciw urbanistycznemu olbrzymowi, czasy zresztą były inne, ale zbieżność i tak nie przestaje być zastanawiająca.

*Ni gór, ni pól, co w kraju naszym  
biegną, skąpane w jasnych wodach, —  
tu smutne kotłownisko maszyn  
i zdrady mszcząca się przyroda.*

*I nie ma Boga w niebie sinym  
i nawet wiatr swój oddech spętał  
napojem z smoty i benzyny,  
który roznoszą złe diabła.*

*Wąwozy ulic, domów skały,  
trujące czadem dymy chwiejne —  
na próżno drogi tu powstały  
dla krzątający beznadziejnej.*

*Zgaszono życie, radość, ducha,  
złośliwie wyzwolono atom.  
I człowiek słych wyroków słucha  
i ziemia czeka na zaturę.*

Jeśli aż tak surowo wypada ocena emigracyjnego miejsca pobytu, koło beznadziejności zamyka się jeszcze szczelniej. Kto wie, gdyby Małaniuk zamieszkał, jak na przykład Kazimierz Wierzyński, na amerykańskiej wsi, w bezpośrednim kontakcie z nieskażoną przyrodą, może wizja dnia dzisiejszego i przyszłości wypadłaby inaczej. Myślę, że możliwość względnego choćby zapuszczenia korzeni w kraju osiedlenia uzależniona jest przede wszystkim od przyjaznego wejścia w jego kulturę, zżycia się z nią, a nawet intymnego powiązania. Osobiście, gdybym widział Madryt jako skazany na zagładę Babilon, oglądany w perspektywie nadciągającej Apokalipsy, chyba nie wytrzymałbym tu długo.

Ukraiński poeta nie ma żadnych wątpliwości. Wyrok musi się wypełnić, nie istnieje odwołanie, ani okoliczności łagodzące. Więc w takiej sytuacji nie można organizować nowego życia, bo nie można zakorzenić się tam, gdzie domy lada dzień za-

mienia się w groby, a ludzie rozsypią się w proch. Nie można stworzyć namiastki nowej ojczyzny. Pozostaje posępne wyczekiwanie na wróżoną katastrofę.

*Już złamało się. Już się nie zrośnie, nie skleci.  
Dni przechodzą, jak ryby w zmaczonej głębinie.  
Tylko nieba prostokąt w czeluści Brodway'u.  
Nurt kamienia i stali, co płynie i płynie.*

*Tu człowieka urodził martwy bałwan maszyny,  
robot z małpą się zmieszał i w złości wystawił.  
Jakże teraz się uczyć — zapomnieć Jedyńą?  
Przerąbywać stwardniałe postronki pępowin?*

*Przejdą lata kulejąc — ślimaczy się droga.  
i te czasy przeklęte płomieniem wybuchną.  
Jeszcze ujrzyś: pozbyty Przyrody i Boga,  
człowiek znowu obróci się w próchno.*

A nieco dalej jeszcze ostrzej, jeszcze bezwzględniej, doprowadzając ton eschatologiczny do ostatecznych granic napięcia.

*Boga w tym niebie nie ma,  
Chrystus po tej ziemi nie chodził,  
a Maryję — jeszcze dziecięciem —  
zadusił Adonaj,  
zły duch pustyni.*

*I dlatego — ani pokornych łanów,  
ani tajemnicy Narodzenia,  
ani ukrytej ucieczki do Egiptu,  
ani bławatów wśród falujących kłosów,  
ani Kazania na Górze,  
ani cudu w Kanie Galilejskiej,  
ani wznoszącego się krzyża,  
ani ciemniowego wieńca  
dokola skroni skrwarwionych,  
ani ofiarnej śmierci,  
ani aniołów, co strzegli opustoszałej krypty,  
ani dnia, w którym  
w triumfie Ofiary  
powstał z martwych —  
— Niczego!  
— Niczego!*

Można by Małaniuka oskarżyć o oczywistą przesadę, ale nie podobna przejść obojętnie nad rozpaczą, której napływ poddyktował te wiersze. Zbyt wiele bezlitosnych rozczarowań, zbyt wiele cmentarzy idei, nadmierny ciężar goryczy. Blisko czter-

dzieści lat emigracji — toż to niemal całość dojrzałego życia człowieka. Takie doświadczenia muszą się mścić. I nie trudno załamać się pod ich brzemieniem.



Oczywista, nie posiadam ogólnej recepty na emigracyjne dolegliwości. Co więcej, sądzę, że taka recepta w ogóle nie istnieje. Jedyne indywidualny wysiłek może ją znaleźć i to na swój własny i tylko na własny użytek. Wśród rozpaczliwych wierszy, potępiających bezkompromisowo „nudny Babilon” Nowego Yorku, znalazł się cały cykl liryczny, zatytułowany „W górach”. O jakie góry chodzi — Skaliste? Kordyliery? Inne jeszcze? — nie ważne. Dość, że poeta zaczyna mówić innym językiem.

„Ta obca ziemia b l i s k a się staje — łożę młodości, nie starości...”. Bo „ziemia jest jedna. A nad nią siność nieba — jednego dla całego świata...”. I nagle amerykańska przyroda zaczyna przybliżać wizję dalekiej ojczyzny. Dni idą po stopowemu gorące, drzewa szumią, jak wierzyby nad Siniuchą dzieciństwa, i nawet górskie trawy przypominają swym aromatem czarodziejskie „jewszan-ziele” chersońskich pól. „Zapomnij o latach samotności — zwraca się sam do siebie. — Zrzuć brzemię zwątpienia i rozpaczy... Zmartwychwstań... pod cichy szum żółknącego gaju...”.

Powraca rezygnacja i spokojna świadomość, że i nasza epoka rozplynie się w wieczności, w „rytmicznym cyklu” powrotnych spraw i wydarzeń. Na miejsce rozpaczy i buntu zjawiają się akcenty religijne, przynoszące ulgę w najcięższych godzinach.

*Dni cwałują, już i lata powolne konanie,  
oto sierpień — twój miesiąc. Wnet się jesień zaczyna,  
by przypomnieć ci ptaka słowieszczy krakaniem  
o młodości bez ojca, o starości bez syna.*

*Rok za rokiem — jednostajna wyciąga się droga.  
Z rzadka nędzna oaza, woda struży się na dnie.  
Ileż stajañ pozostało nam jeszcze do progu,  
moc Szatana przed którym przepadnie?*

## II

*Pokutuję za grzech mój co chwilę, codziennie  
i pod tym grzechem, Panie, stać usiłuję prosto.  
Ale coraz to echo przynosi wspomnienie  
i sił brak już pod kar Twoich chłostą.*

*Wtedy pochylam się: pode mną głązy, trawy,  
nade mną niebo, jak tam, gdzie dzieckiem rósł,  
I wszystko z nieba widzisz, Boże Prawy,  
i z wichrem mi posyłasz w słońcu sławy  
błękitną kroplę dla spieczonych ust.*

Mijają lata, coraz dalej w czasie odsuwa się rodzinny kraj, coraz złudniejsza myśl o powrocie, spełniającym się jedynie we snach. Wiatr chłoszcze żagle morskiej p ł a w a c z k i Odysseusza. Ale Itaka istnieje. Każda myśl o niej jest już powrotem, każde westchnienie ją przybliża. I nie umarła Penelopa, czeka — wierna i ufna. I choćby to wszystko już dawno przeniosło się w sferę symbolu tylko, taka symboliczna rzeczywistość musi wystarczyć za całe życie i jego sens. A cała reszta to popiół, który odtrąca wędrowną sandała bohatera.

*Tyś długo był dwulicy i dwojaki...  
Patrz — złotym słońcem drogę wiatr przetoczył.  
Chwytają nozdrza słodki dym Itaki  
i dom rodzinny oglądają oczy.*

*Kalypso wieczną młodość obiecała,  
wdzięczna Nauzyka niosła podarunek:  
białą niewinność, żar młodego ciała,  
rozradowane serce wielostrunne.*

*Wszystko-ś wyminał. Zdmuchnąłeś jak popiół,  
by ofiarować, w dom wróciwszy zdrowo,  
siebie — jedynej, wiernej Penelopie —  
jak lat wezbranych opóźniony owoc.*

Tu opóźniony owoc, w innym, cytowanym uprzednio wierszu „spóźniona, ciężka mądrość”. Czy wartości, wypracowane w autentycznym trudzie, w ogóle mogą być spóźnione? W perspektywie osobistej klęski — tak, dla nadchodzących czasów i pokoleń — nie. Rozbitek, który z przeżytej katastrofy wyniósł ze sobą mapę odbytych podróży, ma prawo oświadczyć że w jego niepowodzeniach i klęskach tkwią ziarna przyszłych osiągnięć i zwycięstw.

Typowo emigracyjny, wezbrany zalem i goryczą tom Małaniuka zamyka epicko-liryczny poemat „Piąta symfonia”. Ożyła w jego strofach wojenna wiosna 1919-go roku, przeżyta w szeregu i z bronią w ręku przez samego autora. Odysseusz wspomina minione, a dotąd nie zakończone walki. Oto lektura dla wszystkich podrastających Telemaków, którzy zechcą wziąć w ufne dłonie testament wędrowca. To ich niedaremny wysiłkiem, być może, skołatana nawa przybije wreszcie do brzegów Itaki.

## Przejście przez Morze Czerwone

Przed samym przyjazdem Lucyny powtórzył mi się ten sen, o którym wcale nie wiedziałam, że go jeszcze pamiętam, a nie powtórzył się sam, lecz w otoczeniu całej sobie współczesnej jawy, która była mu źródłem i wstępem do niego i tłem, tak że mój sen obecny, sprzed miesiąca bez mała, odtworzył z zadziwiającą wiernością zarówno to, co było, tyle już lat temu, jak i to co mi się wówczas którejś nocy przyśniło, jedno ząbione o drugie, powiązane tak ściśle, sen z jawą, że budząc się jak wtedy, z krzykiem, przekonana byłam, że budzę się nie teraz a wtedy i szukając obok siebie Lucyny, jej nagiego ramienia, jej odwróconych pleców, bo śniło mi się oczywiście że śpi odwrócona ode mnie plecami, jak to było w jej zwyczaju, chciałam zawołać jak wtedy: Leszek jest! Leszek żyje! — Ten krzyk miałam na ustach.

Czyli, zanim przebudziłam się na dobre, przebudziłam się najpierw we śnie i były dwie wyraźne fazy tego przebudzenia, dwa jego pokłady: najpierw Lucyna spała obok mnie całkiem wyraźnie, całkiem cielesnie, czułam bijące od niej ciepło, zapach skór i futer, bośmy wtedy pracowały w kuźni i nasze włosy, nasza skóra przesiąkły tym zapachem, słyszałam jej oddech, widziałam jak budzi się ona też na mój krzyk, na moje wołanie, przytomna i z najgłębszego snu od razu w pogotowiu, jak to ona. Miałam jej właśnie powiedzieć, jak wtedy, bez tchu: Leszek jest, nie bój się, Leszek żyje! — ale zaraz potem, w nagłym obsunięciu się, zobaczyłam poduszkę powleczoną białą, nietkniętą, bez wgłębienia, które pozostawia śpiąca czyjaś głowa i ta poduszka, pierwszy rekwizyt jawy, pierwszy jej anachronizm, przywołała mnie do rzeczywistości skuteczniej, niż długie zbieranie myśli, tarcie oczu.

Byłam sama, Lucyna zaś wsiadała dopiero do tego swojego luksusowego, transatlantyckiego samolotu, którego makiętę, rozkrojoną wzdłuż, podziwiałam w witrynie pobliskiego biura podróży, nie umiając sobie tego odmówić, ile razy droga pro-

wadziła mnie tamtędy, a na dobrą sprawę zawsze mogła mnie tamtędy prowadzić, chyba żebym za wszelką cenę chciała uniknąć rozkopanej od pewnego czasu ulicy. Ale nie chciałam, więc i parę razy dziennie zdarzało mi się patrzeć na rzędy miniaturowych foteli, na laleczkę blond w stroju stewardessy, niosącą na tacy napoje, na lotnika w przezroczyściej kabinie obsługującego niezwykle przyrządy z niezmaconą pogodą manekina. U jedyne go skrzydła obracała się para śmigieł z szybkością pokojowego wentylatora, wprawiając makiętę w ledwo dostrzegalne drżenie. Można powiedzieć, że cały rozkład samolotu poznałam na pamięć, w zmniejszeniu, kształt okien, kąta nachylenia foteli, napisy i nawet, jakby tworzące z nim jedną całość, dwa gatunki szafiru, ocean i niebo, tu fale, tam obłoki, pomiędzy którymi huśtał się na nylonowej nici.

Wszystko to nabrało dla mnie wielkiej realności, wielkiej ważności, odkąd wiedziałam że Lucyna zdecydowała się wysłuchać mnie, że przyjedzie, przyleci takim właśnie samolotem. Logiczniej byłoby więc, ale widocznie logika snów jest inna, aby Lucyna przyśniła mi się w swej podróży, w owym samolocie właśnie, na jednym z foteli blisko ogona, gdzie w myślach rezerwowałam dla niej miejsce, jako że to podobno bezpieczniej w razie czego, aby przyśniła mi się w taki właśnie sposób, skoro bez przerwy przed zaśnięciem myślałam o jej podróży, która zaczęła się mniej więcej wtedy, kiedy ja kładłam się do łóżka. Myślałam więc, że odtąd każda chwila zbliża nas do siebie, starałam się na daremnie wykalkulować, czy z tych swoich antypodów leci teraz do mnie z prądem, czy też pod prąd czasu, czy ubywa jej czy też przybywa godzin tej nocy, którą budzik mój odmierzał jak wszystkie inne, tą samą miarą, budzik bez krzty wyobraźni. Nie byłam w stanie, i to mnie męczyło przed zaśnięciem, zdać sobie sprawy, która to może być dla niej godzina, gdy ja tu kładę się by przespać ostatnią, dzielącą nas porcję czasu, nie mogłam sobie zdać z tego sprawy, ponieważ dla większej komplikacji ona w tej porcji czasu poruszała się, niesiona przez samolot, na fotelu, który według makiety daje się na noc rozkładać prawie jak łóżko, z komfortem. Nie mogłam sobie tego ani rusz uświadomić z należytą pewnością, w którą ona właściwie stronę tę noc mija, jak się przez nią przedziiera, czy skraca ją sobie, czy też przeciwnie, jakoś w niej dłużej się ociąga, lotem swoim dopomagając kierunkowi nocnego obrotu, rozciągając godziny ciemności, aż wreszcie w którymś momencie, lubiłam wyobrażać sobie, że to nastąpi nad oceanem, w niezmierzoneści wody i nieba, tu fale, tam obłoki, bez żadnego oparcia w przestrzeni, samym tylko przyrządom, busolom dając wiarę, na znak stewardessy pasażerowie przesuną wskazówki zegarków, Lucyna także, i znowu budzik mój będzie miał rację i już będziemy obie po tej samej stronie ziemi, w tej samej porze, w tej samej warstwie nocy, można powiedzieć już będziemy razem, zanim przywitamy się na dworcu lotniczym, jak umówione, o godzinie trzynastej minut

pięćdziesiąt, w tym samym miejscu, w tym samym punkcie życia, jakby to była taka zwykła na świecie rzecz.

Biedziłam się więc przed zaśnięciem, dobrze to pamiętam, z problemami wynikającymi dość podrzędnie z tego, że Lucyna przybywała aż z tak daleka i że ziemia, jednak, jest kulista i nie dla wszystkich jednakowa, gubiąc się jak to ja w obliczeniach, z lekka upokorzona choć i rozśmieszona, że nie wiem tego, co zapewne każde dziecko wie w szkole, zbyt znowu leniwa żeby wyjść z łóżka i poszukać potrzebnych informacji w jakiejś książce, gdzieś to musiało przecież być, wypisane czarno na białym, a może nawet i wyrysowane. Myślałam też o rzeczach, które jej opowiem, niezbyt przyjemnych, o nieporozumieniach w biurze, o wszystkim co zaszło, co się nagromadziło, dobierałam słów jak zacznę, bo najgorszy jest zawsze początek, bo sprowadzałam ją z takim gwałtem właśnie po to, żeby jej te nieszcześnie moje perypetie opowiedzieć, zasięgnąć jej rady, żeby jakoś uspokoiła mnie, pomogła mi sobą pokierować, a nie dla wspominków. Tak wtedy myślałam. Ale sen odgarnął na bok te wszystkie pozory i — teraz jakże jasno to widzę — powtórzył mi się po prostu, zwyciężając wyroczeni, którym ani słowa dodać, ani słowa ująć nie można, choćby je po wielekroć pytać i ponawiać pytania, bo one nigdy nie tracą na ważności, kiedy już raz się wypowiedziały, po wielekroć prorocze, w każdym wypadku prorocze, a tylko interpretacja ich, ich wykładnia, zmieniać się może i błędzić.

Była w tym śnie jednak pewna doza szachrajstwa, mistyfikacji, jak przystało snom mniejszego kalibru, nie koniecznie znaczącym i proroczym, bo mistyfikacją nazwać chyba można fakt, że przetrwał, na własną swoją substancję przemienił taki na przykład szmer ulewy, która musiała rozpadać się już po moim zaśnięciu, bo w przeciwnym razie zauważyłabym to i martwiła się na zapas tym deszczem, prawie burzą, ze względu na samolot. Wykorzystał też jako sprzyjającą sobie okoliczność i przeciąg, który w taki przykry sposób hałasuje u mnie, gdy wiatr wieje prosto w okna, ten właśnie wiatr, który przynosi zawsze niepogodę, wiatr z zachodu, od oceanu. Wtedy od moich nieszczelnych drzwi do moich nieszczelnych okien przesuwa się orszak jakiś niewidzialny, nieustanny, szmer wielu stóp, fala wielu oddechów, jęków, skarga jakaś wibrująca, zbiorowa, zaś drzwi trzeszczą i stukają, jakby ktoś szarpał nimi, napierał na nie. Sen wykorzystał dla siebie także i to, że ulicą przeszedł ktoś właśnie przyspieszonym ze względu na ulewę krokiem, wiadomo zaś do jakiego stopnia echo kroków nocą, na ulicy, potrafi zwielokrotnić się i wyolbrzymić. A jakby nie dosyć było tych akustycznych rekwizytów, zaszczekał gdzieś w pobliżu pies. Wiem, bo to szczekanie, tak niezwykłą w mieście, w nocy, rzecz, a także te kroki, już dalekie, zdążyłam przytapać po przebudzeniu, na prawdziwej, zupełnie trzeźwej już jawie.

Zgromadziwszy więc te wszystkie potrzebne mu realia sen, który, jak się okazało, przebywał we mnie cały, nienaruszony, choć dawno go nie wspominałam, a dawniej jeszcze przestałam przypisywać mu większe znaczenie, powtórzył mi sam siebie, odsłaniając mi pokłady dawnych uczuć, dawnych przeżyć, a w nich, jak w motku ziemi odrzuconej na bok, żywe korzenie dzisiejszego mojego cierpienia.

Tak go sobie teraz wykładam, bo wtedy, po przebudzeniu, wyłożyłam go sobie zupełnie inaczej, teraz dopiero wiem, że błędnie, związałam go z przyjazdem Lucyny, ale inaczej niż należało, przyjąłam go jako zapowiedź naszego spotkania, naszego porozumienia, bo może, gdyby Lucyna nie była w drodze, gdyby nie podążyła do mnie w tym momencie, byłabym zdolna potraktować go jak koszmar, jeden z tych koszmarów, które mnie czasami jeszcze nękały. A przecież, kiedy się zastanowić, czyż to nie naturalna rzecz, że razem ze sobą przypomniał mi także związane ze sobą okoliczności, że nie przysnił mi się w oderwaniu od swojego czasu, że nie przedzierał się do mnie poprzez wciąż grubiejącą barierę, tutaj gdzie jestem teraz, gdzie go już nawet nie pamiętałam, tylko mnie całą wszystkimi zmysłami w tamten czas, w tamto miejsce, w tamtą pamięć do siebie sprowadził.

Zresztą, taki już widać los wyroczeni, i z Lucyną za pierwszym razem tłumaczyłyśmy go sobie błędnie, za świeża, długo broniąc się przed znaczeniem, które wtedy było mu właściwe, przed przestrogą. Zgodnie potraktowałyśmy ten sen jako zapowiedź rychłego, szczęśliwego połączenia się z Leszkiem, ściślej mówiąc połączenia się Leszka i Lucyny, choć i ja od początku czułam się w to ich połączenie wliczona, osobiście weń zaangażowana. Dopatrywałyśmy się w tym śnie nadprzyrodzonego *dementi*, jak gdyby podania w wątpliwość depeszy o jego śmierci „na serce”, którą to depeszę doręczono Lucynie parę godzin później, przy wieczornym apelu, zupełnie jak gdyby Leszek chciał uprzedzić ten cios, osłabić jego wrazenie, jakby jedynym dostępnym sobie sposobem dawał nam znać, że jest, że żyje i przez to z góry podać w wątpliwość depeszę, pozbawić ją wiarygodności, gdyż w przeciwnym razie i dla nas łatwo mogłaby stać się wyrokiem. Dla kogo Lucyna miała by starać się przeżyć? A ja?

W każdym razie sekundę jeszcze przedtem nie przypuściłabym, że poduszka moja, zwykła, cywilna, powleczone białą, tak realna, i moje łóżko w którym tak trudno rozgrzać mi się co wieczoru i ulewa za moim oknem i kroki spóźnionego przechodnia i szczekanie psa (ale skąd nagle pies na mojej kocznej ulicy?) i mój budzik, ten realista, i wiatr ciągnący, wiejący szparami, ten niewidzialny pieszy transport, który jęczy, rzęzi, sunie śródkiem mojego pokoju w deszczowe noce, że to wszystko nagle zachwieje się w czasie, przestanie się dziać w ten, a zacznie dziać w inny sposób, zupełnie jakby w którymś momencie nocy jakieś niewidzialne busole dały znak i czas się przekreślił

i nawias jakiś otworzył się, a w nim przeszczepiony skądinąd kawałek mojego życia.

Więc deszcz zadudnił o dach baraku, to była jesień, jesień zresztą jak na jawie. Było mi zimno, tuliłam się do Lucyny, ale ona, jak zwykle, owinięta szczelnie swoim kocem, widocznie miałyśmy jeszcze wtedy po kocu na głowę, odwrócona ode mnie, po swojemu, spała pogrążona w osobny swój sen. Deszcz zaciekał szparami desek, gdzieś kapąło miarowo, a nade mną na trzecim piętrze łóżek, bośmy zawsze z Lucyną wybierały, gdy tylko się dało, drugie, średnie piętro, przewracała się z boku na bok Michalina. Drętwiałam, czekając że znowu w ciemnościach ręka jej wysunie się z góry, poszuka mej twarzy, mych ust i że mi do nich wciśnie kawałek chleba, a ja, upokorzona, zrozpaczona, będę starała się żuć ten chleb jak najciszej, dławiąc się nim, rozkoszując, po kryjomu przed Lucyną, drżąc czy naprawdę już śpi, czy tylko udaje, nie wiedząc co lepsze, bo gdyby dała mi do zrozumienia, że wie, że słyszy, mogłabym wtedy bronić się, tłumaczyć, że ten chleb jem po kryjomu nie dlatego, by się nie musieć z nią dzielić, (a najstraszniejsze ze wszystkiego byłoby, gdyby choć przez chwilę mogła tak pomyśleć), tylko dlatego że to chleb od Michaliny i to wstyd, że go jem, kiedy już nic nie miałam z nią mieć wspólnego. I nie miałam, i nie chciałam, ale chleb, gdy już był przy ustach, któżby znalazł siłę aby go odepchnąć razem z ręką, która mnie w ciemnościach szukała, skradając się, wciągając mnie w swoje sekrety?

Nadsluchiwałam więc, sztywna z przykrości, czy wśród oddechów, którymi w baraku szumiało jak w lesie, na różne tony, nie dosłucham się oddechu śpiącej na górze Michaliny, co by znaczyło, że na ten wieczór nie muszę już niczego obawiać się, niczego spodziewać. Łykałam ślinę, którą napędzała mi sama myśl o chlebie, myślałam też o innym chlebie, naszym, skrupulatnie podzielonym na dwoje, który zdołałyśmy zaoszczędzić z Lucyną do porannej kawy i który, zawinięty w szmatkę, wsunęłam w siennik, pod głowę, żeby go kto w nocy nie ukradł, tak że tuż pod nosem miałam jego gliniastą, kwaśną woń. Wszystko było więc tak jak było, że wszystkimi szczegółami, nocna wacha maszerowała ulicą lagrową, tupiąc, szwargocząc, psy czekały trzymane na smyczy, a z zapachem chleba łączył się zapach skór, i futer, nasz ówczesny, jak mówiłam, zapach, parował z nas w ciepłe snu, znieuawidzony i natrętny, mieszanina baranich, zjełczałych kozuchów i drogich futer, z których buchało perfumami zakonserwowanymi wśród wlosia. Lucyna często umiała zapachy te nazywać po imieniu, Guerlainy albo Chanele, ale od nich bardziej chyba jeszcze bolała głowa.

Wszystko więc było, tak dalece, że stopa zaswedziła mnie, jak zwykle przed zaśnięciem, ta dawno wygojona od tamtej pory stopa, którą zżerała mi wtedy jakaś ponura, lagrowa egzema, tak że cierpiałam męki, powstrzymując się jednak

od drapania, czego Lucyna broniła mi, żeby nie rozprawiać zakażenia. Łatwo jej było zabraniać, nie wiedziała jeszcze wtedy co to za męka, dopiero później, zimą jakoś, zaraziłam ją ku mojej rozpaczy tą chorobą i dopiero później widziałam u niej ten grymas, gdy z furją, na nic nie pomna, oderwałaby gdyby mogła rozjątrzone ciało od kości. Niczego więc nie brakowało żebym w tym śnie zainstalowała się bez reszty, nawet czczości po wieczornej zupie, nawet świadomości, że niebawem zawyje syrena, że trzeba starać się zasnąć, nawet woli zaśnięcia, woli odpoczynku nie brakowało w tej pierwszej, wstępnej fazie mego snu, który, aby powtórzyć mi się z należytą mocą, rekonstruował najpierw ze wszystkim szczegółami przedsenną swoją rzeczywistość.

Wydawało mi się więc, jak wtedy, że nie śpię jeszcze, że dopiero staram się zasnąć, ale widocznie już spałam. Bo nagle, obok naszego łóżka, od strony przejścia, od mojej strony, stanął Leszek.

Nie była to jakaś bezcielesna, fantastyczna zjawia. To był on, żywa jego obecność. Gdyby cudem jakimś przyszedł do nas naprawdę, przekradł się z pobliskiego, męskiego obozu, gdzie, jak się potem z depeszy okazało, trzymano go i gdzie zginął, gdyby udało mu się przedrzeć przez druty naładowane prądem, zmylić czujność wachy, psów, odnaleźć nasz barak, nas i gdyby żywy stanął w przejściu pomiędzy łózkami, nie mogłoby to dziać się inaczej, widziałabym go tak samo. Sen respektował okoliczności, nie dodawał, nie ułatwiał niczego. Było ciemno, więc tylko na tyle, na ile pozwalała ta ciemność, zaledwie trochę rozrzedzona bliskością okna, tylko na tyle go widziałam, zaledwie zarys głowy, płamę twarzy. Barki miał trochę uniesione w górę, bo łokciami opierał się o brzeg naszego łóżka, bo każdy musiałby w ten sposób oprzeć się, podźwignąć się z lekka do góry, żeby móc nachylić się nad nami, każdy musiałby w ten właśnie sposób wysunąć głowę do przodu, pomiędzy nasze, drugie piętro, a trzecie, górne, wyrzuczone siennikiem Michaliny dlatego, że brakowało desek, którymi paliłyśmy w piecu i wiecznie były pomiędzy nimi zbyt wielkie odstępy. Wszystko to działo się więc bez żadnych właściwych snom retuszów, mogłabym na przykład przysiąc twarz Leszka jasno, wyraźnie, tak jak ją zapamiętałam i jeszcze widzę, tak jak widziałam go kiedy chodzili z Lucyną, kiedy spotykałam ich na spacerze albo w parku, za dawnych czasów i zawsze musiałam obejrzeć się za nimi, przystanąć. Nie widziałam jednak w tym śnie jego twarzy, tylko niewyraźną plamę, tyle na ile pozwalała rzeczywistość ciemność. On był, stał obok, opierał się łokciami o łóżko, które ugięło się pod jego ciężarem i wysuwał głowę do przodu aby nas lepiej zobaczyć, jakby i dla niego, dla ducha, ciemność była także przeszkodą i jakby on także nie widział nas, a tylko myślał, tylko czuł że to my. Bałam się poruszyć, chciałam odwlec jak tylko się da pierwsze słowo, pierwszy gest, tak zupełnie wystarczało mi do szczęścia, że on jest, żyje, czeka, wypatruje, całą sobą

wyczulona byłam na jego obecność, na bliskość, na oddech, który docierał do mojego czoła, do moich policzków, jak bardzo delikatna pieśczęta.

Nie wiem jak długo mogło to trwać, sen otworzył swój nawias nad czasem. Byłam szczęśliwa, coś spełniało się dla mnie, we mnie. Leszek przyszedł nie tylko do Lucyny, przyszedł do nas obu, do mnie także i ja go także w tej chwili kochałam. Staralam się pohamować drżenie, które mnie opanowywało, zaciskałam zęby tak samo jak innego, zimowego już chyba wieczoru, drżałam i zaciskałam zęby, kiedy Lucyna, zaskoczona moją kardynalną niewiedzą, ale tym bardziej tkliwa, postanowiła wszystko mi powiedzieć, żebym nie umierała nie wiedząc.

Od jej słów drżałam tak samo jak pod spojrzeniem Leszka ze snu, nie wiedząc czemu rzeczy, których od niej dowiadywałam się, wydają mi się znajome, nie zdając sobie wtedy jeszcze sprawy, że je już przecież wiem, bo już kochałam, wbrew oczywistości, że kocham i to kogo, jej męża, Leszka, o którego śmierci zawiadomiła nas oficjalna depeza z męskiego obozu, a chociaż to była prawda, długo nie chciałyśmy temu dać wiary. Nigdy tego nie wyznałam Lucynie, jedyna rzecz, którą przed nią zataiłam do końca, której nigdy się już ode mnie nie dowie, choć przecież i nędzne, upakarzające historie z Michaliną powierzyłam jej w końcu bez specjalnych oporów, a gotowa byłam powierzyć jej także niemniej upokarzające, nijakie dzieje mych lat ostatnich, których nie mogąc dłużej znieść, zawezwałam ją z tak daleka. Kochałam więc, gdy mi się śnił, ta miłość trysnęła ze mnie nagła, samorodna, drżałam, kiedy tak stał przy mnie, przy nas, nachylony, szukałam, tak jak i on, w tym olśnieniu, w tym objawieniu, pierwszego słowa, pierwszego gestu.

— Jesteś — szepnęłam wreszcie bardzo cicho, bo to musiało pozostać tajemnicą.

Wtedy on, jakby rażony moją śmiałością, jakby w nim na to słowo coś się przesiliło, całym swoim ciężarem, jak ktoś mdleje, kto umiera, upadł w poprzek naszego łóżka, dźwignąwszy się, odepchnąwszy się od jego brzegu łokciami. Było to znowu najzupełniej realne, ciężar, który nas przygniótł, był ciężarem kochanego ciała, żywego, ale jednocześnie było to jakby cały świat zawalił się na nas i zaczął obsuwać wraz z nami w niekończące się, międzyplanetarne spadanie, w dół, w ciemność, tak że przebudziłam się, nie przerażona jednak tylko szczęśliwa, wołając: Leszek jest! Leszek żyje! — i szarpiąc za ramię Lucynę, która natychmiast obróciła się ku mnie, w pogotowiu, jak to ona, i przytomna.

Ale tym razem spozjrzałam na białą poduszkę i już nie było przy mnie Lucyny i nie mogliśmy, wybite ze snu, omawiać szepem tego wydarzenia, tego nawiedzenia, wykładać sobie, jak wtedy, co znaczy, co zapowiada, zapewne coś dobrego, jeżeli nie zwolnienie, to może wiadomość, list? A w każdym razie znak od Leszka, że jest, że żyje. Jak gdyby, jeżeli takie

rzeczy w ogóle wchodzi w rachubę, zmarłym nie było w końcu łatwiej objawiać się w tych warunkach niż żywym.

Sama więc, w moim niedogrzanym łóżku, pod wtór ulewę i tego niewidzialnego pochodni, który śpieszył się, ciągnął, sunął środkiem mojego pokoju, jak każdej deszczowej nocy, sama, o szarym świcie i do białego dnia, myślałam, układałam w myśli, uśmiechając się z wielkim dla siebie pobażaniem, z wielkim zadowoleniem, że pierwszą rzeczą jaką Lucynie opowiem będzie właśnie ten sen o Leszku, jej zmarłym mężu, i jaki to dobry wstęp wysnił mi się niechcący, wstęp do rozmowy z nią, do spotkania, a także, jaki to dobry znak, że nam się uda ta rozmowa, to spotkanie, którego pragnęłam od lat, a teraz, kiedy to już była tylko kwestia godzin, tym bardziej go pragnęłam i tym bardziej się obawiałam.

## II

Byłam gotowa oczywiście o wiele za wcześniej i każda czynność, sprzątanie, zakupy, w jakiś sposób związana była z tym co mi się wydarzyło we śnie, przywracając mnie do dawnego jakiegoś stanu, który nie bardzo jeszcze umiałam uświadomić sobie, a tym bardziej opanować.

Na przykład nie wiadomo dlaczego, od rana, opanowała mnie dość niemądra obawa, że się nie poznamy, co już nazbyt byłoby głupie, co by nam popsuło sam wstęp, sam początek i dlatego raz jeszcze i jeszcze raz przed wyjściem na dworzec zawracałam do lustra, staranna jak nigdy w ubiorze i w uczesaniu, zupełnie jakby staranność ta była w stanie odrobić w jakiegokolwiek mierze fakt, że niewątpliwie nie jestem już taka sama, jak ta, której Lucyna spodziewa się, do której jedzie. Raz jeszcze i jeszcze raz usiłowałam spojrzeć na siebie dawnymi oczami, co było rzeczą niemożliwą nie tylko ze względu na niepewność pamięci, tej podstępnej korektorki, ale z tego chociażby prostego powodu, że tam luster nie było, i chwała Bogu, bo nie było świadków, najwyżej jakieś okruchy, które zazdrośnie chowały po siennikach kucharki. Ale one ostatecznie mogły się przeglądać.

Złożyło się więc tak, że właściwie nigdy nie widziałam tamtej siebie i tylko mogłam domyślać się co się ze mną dzieje, widząc u innych, u Lucyny, jak się posuwa spustoszenie, jak zaostrażają się rysy, zapadają oczy i jak skóra, szara skóra w czarne placki od zimna, zwłaszcza pod koniec apelu, zwłaszcza gdy się przedłużał apel poranny po nocnej szychcie w kuśnierni, jak ta skóra gruzłowacieje i stroszy się jakby mchem, jakby puchem jakimś, co by chyba świadczyło o wielkiej, podskórnej woli przeżycia, tak że gdyby to jeszcze dłużej potrwało, gdyby któreś przeżyły, i te które by wówczas przeżyły dokończyłyby może cyklu przeobrażeń, przystosowały się roślinnie, zwierzęco, po-

kryłaby je nareszcie cała ta sierść błogosławiona, ten puch pod sukniemi, ponieważ te w niedostateczny sposób chroniły od zimna.

Mogłam więc wpatrywać się w lustro ile chciałam, na mojej twarzy czytałam bezsenność, czytałam niepokój, czytałam, jednak, czas, ale to nie moje bynajmniej odbicie nakładało mi się na tę poprawioną, sytą, odświętną twarz, tak mi nagle obcą, tylko Lucyny trójkątny, chudy pyszczyk, cały w oczach, zasnuty już po trochu tą pleśnią, tym mchem i taki obecny, tak mi bliski, może na skutek tego snu, który mnie nawiedził, który wszystko odnowił, że jeszcze zawracałam do lustra i jeszcze, spodziewając się nie wiadomo czego, wiążąc szalik tak, inaczej, strzepując pył z kołnierza, obciążając spódnice, coraz mniej przygotowana, coraz bardziej bezbronna wobec zbliżającej się konfrontacji.

Te ostatnie godziny, te ostatnie minuty wydłużały mi się na sposób spirali, coraz ostrzej skręconej, coraz ciasniej zatem spowijającej mnie, tak że mimo przyjemnego zewnątrz podniecenia, krzątania, czułam jak w sobie tężeje, nieruchomieje, literalnie krępowana czekaniem, wiązana nim, gdy coraz nowe węzły dzierzgały się i zaciągały. Nie można tego określić inaczej, byłam jak ktoś, kto liczy na to, że stanie się cud, mało tego, że cud się powtórzy.

Bo właściwie nie wiadomo co trudniej, stać się czy powtórzyć, a ja oczekiwałam pół świadomie powtórzenia tego, co już raz się stało granicząc z cudem, tak że teraz, gdy wszystko było między mną i Lucyną ułożone, czas co do minuty, miejsce co do milimetra, bo nawet wiedziałam którądy, którymi drzwiami przechodzą do poczekalni pasażerowie jej samolotu, teraz trzęsłam się, to spodziewałam, to wątpiłam, bo jednak, jednak trudniej powtórzyć się niż stać, bo wtedy gdy nieoczekiwanie, niezależnie od żadnej z nas, bez żadnego umawiania się spotkaliśmy się, było to jak cud darowane.

Zresztą, gdybym nie zobaczyła jej od razu, w pierwszej chwili, gdy zeskakiwałam ze stopnia wagonu, szarpnięta, pochłnięta, ogłuszona, gdyby nie mignęła mi od razu, w pierwszej chwili, jej twarz trójkątna i zupełnie szara, na tle niewyraźnego lasu, wśród mgły, która stawiała materialny opór reflektorom, na tej leśnej stacyjce, gdzie wyładowywano nas w scenerii potępienia wiekiustego, gdzie do reszty kończył się świat, gdybyśmy w jednym spojrzeniu nie wyróżniły się nawzajem z tłumu zbijanego na miazgę, odczłowieczanego do reszty, myślę, że przelknęłabym w końcu, zdobyłabym się w końcu na przeknięcie tej maleńkiej kulki zaszytej w rękawie płaszcza, tego ziarenka zawierającego podobno śmierć. Jego twardość, jego obecność w mankiecie płaszcza wciąż i wciąż sprawdzałam dotykkiem w czasie podróży, czerpiąc z tego otuchę i rodzaj rozpaczliwej niezależności.

Nikt tego nie wiedział, gdy nas tak wieźli dzień i noc, i jeszcze dzień i jeszcze noc, gdy poprzez szpary w deskach wagonu widać było mijane, nie wiadomo jakie przestrzenie, a to

było jakby nie tyle wieźli nas coraz dalej, tylko jakby grążyli nas coraz głębiej, dawno poniżej dna, nikomu nie mogło przyjść do głowy że je właściwie jestem wolna, że mogę w każdej chwili wyłączyć moje ciało z tego losu, z tego transportu, zamienić je w coś, nad czym nikt już nie będzie miał władzy.

Z czasów tej podróży pochodzi zapewne ta nostalgia, tak bardzo dokuczliwa chwilami, gdy życie coraz bardziej upodabnia mi się do transportu w nieznaną gdy, na innym co prawda planie, mniej niezwykłym ale tym bardziej przez normalność swoją prerażliwym znoszę, nie przeżywam, daję się grążyć, wieść. I gwałtowność w moich ostatnich listach do Lucyny, ów ton, który jak nigdy uderzył ją i zaalarmował, który ją w końcu do mnie sprowadził, pochodził stąd, że ja to życie kiedyś przyjąłam dobrowolnie dla niej, z jej powodu.

W każdym razie, nadpruwszy zębami szew mankietu, zwlekałam tylko dlatego, że nieznośna mi była myśl, że nadal będą mnie tak wieźli, że będę stać, bo nie ma miejsca żeby się upadło i ta stojąca postawa, przeciwna wyobrażeniu o śmierci, w której nie tylko ucieczki szukałam, ale przede wszystkim odpoczynku (także i żywa marzyłam wtedy: położyć się, upaść, leżeć...), to zawieszenie martwego w żywym, bo te, które w czasie drogi marły czy mdlały, marły i mdlały na stojąco, zawieszane w dokładnym ścisku, to jedno kazało mi czekać okazji, przesuwać granice własnej wytrzymałości. Mówiłam sobie: gdy tylko dojedziemy, gdzieś musimy przecież dojechać, gdy tylko pociąg się zatrzyma, gdy tylko dadzą nam wysiąść, na polu, upadnę na polu.

Dojechaliśmy, pociąg zatrzymał się, kazali nam wysiąść. Wysoki stopień wagonu kołysał się, nogi odwykły mi od czegokolwiek prócz stania. Powietrze lasu przesyłało mnie na wskroś, ostre i zimne, nie wiedziałam już wcale gdzie śmierć, za mną czy przede mną, czy zaszyta w moim rękawie, czy może to jest śmierć właśnie, ten skok, gdy skakałam, padałam raczej szarpnięta za ramię, czy to nie jest właśnie ów ostatni skok, po którym spokój, ciemność, koniec. Trudno było zdać sobie sprawę, czego od nas chcą, co z nami zrobią i oni zdawali się także nie wiedzieć, wrzeszcząc i doskakując w nieuzasadnionej furii, jakby sam nasz widok doprowadzał ich do rozpaczy.

— Teraz — pomyślałam, zrobiwszy parę kroków po chwiejącej się ziemi. — Teraz...

I zobaczyłam Lucynę.

Być może jak większość niedoszłych samobójców i ja padłam wtedy ofiarą silniejszego nad rozum i chęci instynktu, może cały czas łudziłam się tylko niezależnością, posiadaniem klucza, a i teraz byłoby tak samo, obeszloby się bez przyjazdu Lucyny, odkładałabym ażby minęło, ażbym przeżyła. Przecież żyję. Może wystarczyłaby mi sama zmiana formy udręki, sam marsz o świcie może by wystarczył, gdy ja tak lubię iść, marsz przez las bardzo jeszcze nierealny, ledwo dający się wyczuwać we mgłę barykami drzew, świerków i sosen, bardzo wyniosłych i spokojnych przez kontrast z nami, jak stworzenia wyższego

rzędu. Może sama ciekawość co będzie dalej wystarczyłaby, żeby mnie powstrzymać aż do chwili, kiedy i tak zrobiło się za późno, kiedy nam kazano się rozebrać w łaźni, kiedy musiałam zdjąć płaszcz i odrzucić go na stertę szmat. A może to ziarenko w rękawie nie ogórze żadną śmiercią nie było, może mi je dano tylko na pociechę, dla kurażu, tak jak dziecku daje się cukierek by się nie bało w nocy, dziecku, którym wtedy byłam?

W takim razie wersja, jakoby Lucyna już wtedy zaczęła ratować mi życie, co zresztą powtórzyło się potem nie jeden raz, a właściwie nie powtarzało się tylko trwało nieustannie przez lata, w takim razie wersja ta byłaby tylko legendą, apokryfem na użytek przyjaźni, na gloryfikowanie jej początkowe, na obecny żal i pogardę. A jednak nie, całe moje wewnętrzne przekonanie to potwierdza, razem z pamięcią, że tylko dzięki Lucynie, od pierwszej chwili, od pierwszego spotkania rozpoznania, powitania, wymiany litości, pociechy, przerażenia, wymiany, która w religii nazywa się obcowaniem i która doskonale obywa się jednym mgnieniem oka, jednym spojrzeniem, od tej chwili możliwość załatwienia na własną rękę mej sprawy, możliwość wyłączenia się od tego losu, stała się dla mnie problematyczna. Przestałam myśleć: ja. Pomyślałam: my.

Stałyśmy blisko, twarzą w twarz, ale nas zaraz rozdzielili, wtłoczyli w odległe szeregi, które formowały się na leśnej drodze. Straciłam ją z oczu, ale wiedziałam, że idziemy razem, że gdzieś nas razem prowadzą, myślałam: jak to? Ona tutaj? Jakim sposobem?

Byłam ciekawa i rada. Pochodziłyśmy z jednego miasta, chodziłyśmy do tej samej szkoły, ona o parę klas wyżej i, znając się wyłącznie z widzenia, dużo wiedziałyśmy o sobie.

To prawda, o tym muszę pamiętać, bez tego nie mogłoby się obyć, że za Lucyną dla mnie, za mną dla Lucyny, stały rzeczy utracone, dom, szkoła, miasto, był między nami już wtedy Leszek, widywałam ich na ich narzeczęńskich spacerach, ogładałam się za nimi, przystawałam. Całe przedtem było między nami, już gotowa więź i chociaż takiego ranka, po takiej podróży sprawy te musiały nam się wydawać odległe i przesądzone, to jednak do nich nawiązywałyśmy w pierwszym rzędzie nawiązując do siebie, byłyśmy sobie ich emanacją, ich delegacją, jakbyśmy w pewnej mierze dzięki wzajemnemu spotkaniu odzyskiwały to, co nam zabrano, powracały tam, skąd nas wywieziono, jak gdyby powrót był możliwy. I nie wątpię, że owe potencjalne więzi między nami były punktem wyjścia, źródłem impulsu, który kazał nam myśleć o sobie, szukać się oczami, już za bramą obozu, na wielkim placu, przed frontem niskich baraków, w długie godziny czekania, gdy mgła skraplała się na zimnie i potem nawet ukazało się słońce.

Impuls ten kazał nam prawie że ogłuchnąć, oślepnąć, co z miejsca było połową ocalenia, na to co się działo wokoło, co się nam szykowało, pozwolił nam otrząsnąć z siebie nawet koszmar podróży, a za to mrugać do siebie, przysyłać sobie znaki ponad głowami zastygłymi w czworoboczny profil. Właś-

nie dzięki sobie nawzajem wydawałyśmy się jedyne posiadacze w tej masie jakie takie odrębne istnienie, istnienie dość anachroniczne zresztą w swych objawach, bo wspinając się na palce, pilnując aby nas nie przyłapano na tym, porozumiewałyśmy się znakami, umawiałyśmy się na modłę z poprzedniego, jakże mało aktualnego życia, jakby to była nudna jakaś lekcja i jakby plecy, których każde odwrócenie się należało, to był punkt honoru, wykorzystać w ten sposób, były tylko plecami surowego profesora.

Jeszcze jeden miałam moment wahania i może ten w znaczenie wyraźniejszy sposób obrazuje, do jakiego stopnia Lucyna, sama jej obecność w tych właśnie okolicznościach pokierowała moim wyborem, dlaczego wybrałam życie. Przyszła na nas wreszcie kolejka i manewrując tak by możliwie najbliżej być sobie weszłyśmy prawie jednocześnie, ona pierwsza, ja za nią, do baraku gdzie nas rejestrowano. Trzeba tam było, wciąż w atmosferze pośpiechu, ich i nas wzajemnego terroru, podać nazwisko, wzamian otrzymać numer, a potem przejść do sali, która jak się okazało była przedsionkiem łaźni i tam rozebrać się, odrzucić swoje rzeczy na stertę szmat, która już się piętrzyła pod ścianą. Wielkie drzwi w głębi kolebały się dwiema swymi połowami, spoza których buchała para, szum wody i krzyk.

Jeszcze było w tym momencie wszystko możliwe, jeszcze czułam, pamiętałam, pod palcami, poprzez szorstką wełnę rękawa moje ziarenko, może tylko cukierek, a może przecież własną moją śmierć, wybraną, moje na to wszystko veto, nie pozwalałam. Ale przy drzwiach, tych właśnie drzwiach do łaźni, których kolebanie miało w sobie coś fascynującego, zobaczyłam Lucynę.

Była już naga. Weszła w te drzwi. Pochłonęły ją i dalej się kolebały.

Jakim szaleństwem wydawało mi się chcieć, żeby taki cud teraz się powtórzył, liczyć na to, że znowu uda mi się odrzucić odrębny los, że po raz drugi razem nam się uda przekroczyć jakieś drzwi bez strachu, bez namysłu. Jeżeli to się miało nawet stać, powinno stać się samo i moje zabiegi, moja krzątanina, przejmowały mnie przesadną obawą, choć nie było w mojej mocy przestać się krzątać i zabiegać.

Takie na przykład mieszkanie, wysprzątane odświeżone, budziło we mnie to zadowolenie, to wspaniałość. Ukośne promienie słońca, promienie dnia właściwie, takie to słońce po nocnych ulewach wstało chmurne i rozproszone, wydobywało pękami połyski ze wszystkich powierzchni. Widziałam, że nigdzie ani pyłka, ani plamy, jakbym niczego nigdy nie dotykała i ta bezosobowa schludność, czystość, przypominała mi w przykry sposób, że nie jestem właściwie u siebie, chociaż mieszkam tutaj nic tutaj mojego, że nie wybierałam żadnego z tych mebli, nie wpływałam nawet na ich wzajemny porządek, na ich ustawienie, że ograniczyłam się tylko do utrzymania ich w stanie pozornej nowości, która mnie do tego mieszkania tak przychylnie usposobiła pierwszego dnia, mimo że było właściwie



nawet jak na mnie bardzo skromne, bardzo ubogie. Zgodziłam się więc bardzo łatwo zamieszkać tu, wejść w to mieszkanie przez które poprzedni lokatorzy przesunęli się jak duchy, nie pozostawiając niczego po sobie, ani plamy, ani rozdarcia, ani zadrażnienia, ani zapachu, niczego, co się mimo woli pozostawia, tak że nie podobna było domyśleć się, co to za ludzie, kim byli, co robili. Bardziej widome już ślady zostawiał niewidzialny, conocny pochód, ów przeciąg, wiatr i jęk, gdyż podłoga przy oknie błyszczała, zatarta wilgocią.

Jedyną rzeczą, z którą mnie tu łączyły więzy bardziej uczuciowe, bardziej osobiste, była niewielka rycina za szkłem, przedstawiająca przejście przez morze Czerwone. Uciekinierzy śpieszyli na drugi brzeg dnem jak gdyby górskiej rozpadliny, do tego stopnia morze wzniesione nad ich głowami przybrało masowność i zwalistość skalnych bloków i tylko u samego szczytu pojedyncze fale wywijały się morskim sposobem w muszle i kędziory. O suchej stopie biegli więc tym wąwozem zadzierając głowy do góry, patrząc na morze zawisłe nad ich głowami i widok ten bardziej ich musiał przerażać niż pierwsze straża Faraona, które nadbiegały w kłębie kurzawy. Paru udało się już wdrapać na drugi brzeg. Ci byli ocaleni.

Jeden tylko człowieczek pozostawał sam, w tyle za wszystkimi, po egipskiej stronie, po stronie pustyni. Mógł to być pierwszy z armii Faraona, ale raczej ostatni ze zbiegów, małego serca. Nie był pewien, czy ten cud także i jego dotyczy. Stał i wahał się z wysuniętą naprzód jedną stopą.

— Czy on zdąży? — zastanawiałam się. — Czy morze na niego poczeka?

W tej malutkiej, nieufnej postaci było pewne podobieństwo ze mną. I ja także odbiłam się, pozostałam po egipskiej stronie. Kto miał przejść dawno przeszedł na drugi brzeg, był taki moment, że otwarły się wody. Przeszła przecież na drugi brzeg, nie oglądając się na mnie, co mówię, depcząc po mnie, Lucyna. Ale ja nie mogłam uwierzyć, pozostawszy sama, że cud także i mnie dotyczy. Wysuwałam jedną stopę naprzód, cofałam ją pisałam listy do Lucyny i wyzywałam cierpliwość fal.

Deszcz, którego w nocy zdążyło napadać obficie, stał bajorami na rozkopanej ulicy, koło biura podróży i przeskakując z jednej kamiennej płyty na drugą, wzdłuż otwartego, kanalizacyjnego rowu, na dnie którego połyskiwały rury obnażonymi grzbietami, jeszcze raz rzuciłam porozumiewawcze spojrzenie na samolot zawieszony na jednej nici pomiędzy niebem a ziemią, tu fale, tam obłoki, na stewardesse i na jej tacę z napojami, na lotnika, na puste fotele, na śmigła rozpylone u jedynego skrzydła makiety, jakbym się z nią żegnała, jakby i dla mnie podróż dobiegała końca i kiedy Lucyna dążyła w moją stronę, jakbym i ja kończyła przebijając się do niej przez ostatnią warstwę nocy, przez ostatnią warstwę czasu.

Wszystko było odświeżone ulewą. Na placyku, koło przystanku autobusowego, drzewa o przerzedzonych już mocno

koronach stały po środku własnych, spadłych liści, co sprawiało wrażenie jakiegoś bogactwa, jakiejś rozrzutności na pokaz i ten zetlały, żółty kolor rozgrzewał dzień, dodawał blasku słońcu, wciąż rozproszonemu i niebu, które dopiero przeglądając się w kałużach, pomiędzy spadłymi liśćmi, nabierało właściwej sobie głębi.

— Jak ładnie — myślałam. — Będziemy chodziły na spacer. Miasto przynajmniej powinno spodobać się Lucynie.

Ale autobus spóźniał się jakoś, nie nadchodził. Czekalam oparta o słup z napisem: przystanek na żądanie, podczas gdy drzewa dorzucały jeszcze po liściu na ziemię, pojedynczo, z wielką solennością, a niektóre z tych liści, którym udawało się osiąść na warstewce wody, dublowały w niej swoje odbicie. Na moim zegarku, z którego wciąż i wciąż odsuwałam rękaw dla sprawdzenia, minuty następowały po sobie w zadziwiająco wolny sposób, niewspółmierny do mojej niecierpliwości, gdy tymczasem może dlatego że się tak niecierpliwiłam, w innym zupełnie wymiarze, zanim wskazówka mojego zegarka zdążyła odmierzyć jedną czy dwie z sześćdziesiątych części swojego obrotu, zanim jeszcze jeden liść opadł, ociągając się i kołując i odbił się w wodzie, we mnie, na migających coraz bardziej gorączkowo fasetach wewnętrznego lustra całe lata, całe płyty życia migaly tężając czasem w jeden gest, w jeden obraz. I nagle: — Leszek jest! Leszek jest! — własne moje wołanie ze snu przypomniało mi się tak pełne wiary, tak gwałtowne, że obejrzałam się czy kto nie słyszy, niepewna czy nie gadam sama do siebie, nie macham rękami, jak niektóre dziwadła, które się widzi na ulicy.

Autobus wciąż nie nadjeżdżał. Za moimi plecami ludzie przemykali, wszyscy jacyś zmarznięci, zmoknięci, choć trudno byłoby narzekać na pogodę. Leszek jest! Leszek żyje! A gdyby tak okazało się, że oboje z Lucyną lecą do mnie, że obojgu wychodzę na spotkanie? Któż był przy jego śmierci? Któż mógł zaręczyć z całą pewnością, że nie ma go wśród śpieszących za moimi plecami przechodni, że nie jest on jednym z nich? Cóż właściwie śmierć jego znaczyła?

Przecież dwa razy tylko udało nam się z Lucyną wyjść poza oboz do pracy i za każdym razem takie miałyśmy szczęście, że natrafialiśmy na kolumnę więźniów z sąsiedniego, męskiego obozu, pod eskortą, tak jak i my, i za każdym razem miałyśmy przekonanie, że Leszek jest pomiędzy nimi, że idzie. Co mówię, wtedy kiedy rzeczywiście mógł iść, kiedy mogło ostatecznie tak się zdarzyć, szanse były znikome ale były, bo jeszcze żył, za pierwszym więc spotkaniem wrażenie to było słabsze niż za drugim, bo nie byłyśmy przygotowane. Nie wiedziałyśmy jeszcze wtedy dokładnie gdzie on jest, czy naprawdę trzymają go w sąsiednim obozie, jak lubiłyśmy przypuszczać czasami, bo to nie był najgorszy z męskich obozów, nie miałyśmy na to jednak żadnego dowodu, żadnego znaku. Pierwszym znakiem od Leszka był najpierw mój sen, a potem depesza, które się w taki dziwny sposób zbiegły, potwierdziły, wykluczyły, tak

że wiadomość o tym, że zmarł była jednocześnie wiadomością, że żył i gdzie żył, nadana właśnie z tamtego obozu, do którego należeli spotykani czasami, gdy szczęście dopisało, za murami więźniowie. Dopiero depesza, która przysłała już po pierwszym spotkaniu na drodze, potwierdziła domysły nasze i przecucia, czarno na białym dowiodła ich słuszności.

Cóż więc dziwnego, że za drugim razem, już bliżej zimy, kiedy znów udało nam się na jakieś zastępstwo wyjść z leśną kolumną do pracy poza obręb obozu i kiedy znowu nadeszli więźniowie, pomyślałyśmy obie: Leszek idzie! Z daleka słysząc było marsz zbiorowy, ale myśmy słyszały, wyróżniały z daleka tylko jego kroki. Ciężki wóz naładowany drzewem ustawał, a kiedy się zbliżyli, kiedy kazano nam stoczyć wóz na bok drogi, odwrócić się do niej plecami, twarzą do lasu, słyszałyśmy wiedziałyśmy za tym drugim razem z pewnością bardziej śmiała i bardziej całkowita niż za pierwszym, gdy oni szli, mijali nas, pociągając drewniakami w fałszywym pośpiechu, że Leszek jest pomiędzy nimi, że idzie i dla nas był, szedł. Całe nastawione wstecz, całym sercem podane ku niemu, choć i on, gdyby szedł, nie mógłby w żaden sposób odróżnić nas w tej grupce pasiastej, spłoszonej, gdy nam nie wolno było drgnąć, obrócić głowy, żeby ich nie narazić ani siebie, z zamkniętymi oczami, bo i tak nie mogliśmy patrzeć na siebie, witałyśmy się z nim, żegnaliśmy, dla nas szedł, był, mijał nas, oddalał się z żalem, pod przymusem, z podobnym do naszego rozdarciem.

Wszystko to wyraźniejsze było i prawdziwsze za drugim razem niż za pierwszym, kiedy to ostatecznie mogła być prawda bardziej prawdziwa, bo wtedy może jeszcze żył, a potem na pewno już nie, choć długo trwało nim daliśmy wiarę depeszy. I tak spotkanie bez spotkania, spotkanie z umarłym, ważniejsze było dla nas i mocniej odczute od spotkania, być może, z żywym.

Gwizdek dał nam znać po pewnym czasie, że możemy odwrócić się, podjąć robotę. Spojrzałam na Lucynę: miała przymknięte oczy, poruszała wargami. Stałam tak aby popychając wóz położyć moją rękę na jej dłoni.

Ciężko było ruszyć z miejsca, koła zaryły się w piach, ciężko nawet potem, gdy nierówno zaczął się toczyć i podskakiwać na korzeniach wrzosu. Ale dla nas ważne było to, że idziemy w tę samą stronę, w którą poszedł Leszek, tą samą leśną drogą co on, że widzimy ten sam las, te same drzewa i to nasze spotkanie przedłużyło się gdy wóz skręcił do kobiecego obozu, zaturkotał lżej na szosie, przejechał bramę, która na długo znowu zamknęła się za nami, przedłużyło się po nocną rozmowę z Lucyną, po wiele nocnych rozmów i, kto by to pomyślał, przedłużyło się po mój sen, który tak niespodziewanie, w noc jej przyjazdu, po latach, przejął z moich rąk inicjatywę i po swojemu, sobą wszystko przesycił.

Z jego to przyczyny z pewnością leśne to spotkanie przedłużyło mi się aż do teraz, kiedy stałam oparta o słup z napisem: przystanek na żądanie, wyglądając autobusu, który wciąż

nie nadjeżdżał i kiedy niezależnie od zwykłego toku myśli, spoglądania na zegarek, snucia praktycznych projektów co będziemy jadły dziś, jutro, niezależnie ode mnie samej, odgłos czyichś kroków na trotuarze kazał mi oglądać się z niczym nieusprawiedliwioną nadzieją.

### III

W gazetach, naturalnie, musiała być o tym mowa, że dworzec lotniczy ma ulec przebudowie, obito mi się to kiedyś, jakoś o uszy, ale cóż za poploch ogarnął mnie, kiedy prosto z taksówki wpadłam jak na pustynię, jak do lasu, pomiędzy rusztowania i sztaby, pokryte cementowym pyłem, opuszczone. Była właśnie przerwa w pracy, nigdzie ani żywego ducha, tu gdzie powinien być hall, gdzie powinna być poczekalnia, i była, i był z pewnością hall i poczekalnia, nie dalej niż tydzień temu, kiedy wstąpiłam tutaj z ciekawości, w przewidywaniu rychłego przyjazdu Lucyny, jak na próbę, tu gdzie powinny stać niskie fotele, gdzie na okrągłych stolikach powinny leżeć pisma ilustrowane z emblematami linii lotniczych, takimi samymi jakie zdobyły moją wystawę w biurze podróży, które już znałam na pamięć, pisma, które obiecywałam sobie że będę przeglądała czekając na Lucynę, bo liczyłam oczywiście na to, że zjawię się grubo za wcześniej, znając siebie, tutaj wreszcie gdzie były drzwi przeznaczone dla pasażerów przyjeżdżających z lotniska, drzwi opatrzone odpowiednim napisem, teraz znalazłam spustoszenie, chaos porzuconej na przerwę obiadową roboty, mokre płachty, deski, wiadra z farbą, gruz. Co się stało z drzwiami, przez które Lucyna miała wyjść do mnie, przez które już powinna do mnie wychodzić, już była ta chwila?

Moje oszołomienie było tak wielkie, że kiedy w pewnym momencie, tuż koło mnie zastukały obcasy i stewardessa w furazerce nasuniętej na jedną brew ukazała mi się pośrodku tego spustoszenia i przebiegła obok mnie zaaferowanymi kroczkami, zamiast wykorzystać to spotkanie i poprosić ją o informacje, odprowadziłam tylko wzrokiem jej figurkę obciśniętą mundurem.

Poploch mój zaczął się już na przystanku autobusowym na żądanie. Jeden z autobusów, przeładowany, wcale się na moje żądanie nie zatrzymał, drugi uciekł mi w momencie, kiedy rzuciłam się na połów taksówek. Wszystkie były zajęte. Wreszcie jedna z nich zabrała mnie w istną kalwarię najeżoną przeciwnościami, serią czerwonych świateł, zatorów, objazdów, gdy tymczasem pod odsuniętym na dobre rękawem płaszczka czas mijał teraz w sposób zupełnie widomy, wskazówka popychała minuty.

— Szczęście, że chociaż znam dworzec, że wiem, którądy iść, którym wejściem, gdzie hall, gdzie poczekalnia, u których drzwi upatrywać Lucyny — tak się pocieszałam, ale na odwrót,

okazało się, że znajomość ta była mi bardziej zawadą niż pomocą, z jej winy straciłam parę drogich, ostatnich sekund, nim zrozumiałam co się stało, nim przestałam upierać się, szukać czego nie było, nim zaufałam strażalce, napisom, nim upewniłam się w okienku, oczywiście poinformowano mnie źle, nim zbiegłam po nieprzewidywanych schodach, nim natrafiłam na właściwy korytarz, właściwą poczekalnię, właściwe drzwi, nim, zadyszana, zaczęłam tych drzwi niepotrzebnie pilnować. Bo już nie było po co.

Nie było po co stać tam i pilnować, ale ja jeszcze nie wiedziałam, że jestem spóźniona, przysunęłam się więc możliwie blisko tych drzwi, lakierowanych białą i jakby trochę szpitalnych, których dwa luźne skrzydła, trącone przez kogoś, może nawet przez Lucynę, bo i ona musiała przejść tamtędy, kolebały się i miały z impetem i choć ten impet stopniowo słabł, choć za każdym razem mniejsze powstawało między nimi wychylenie, mnie przyszły znowu na pamięć tamte drzwi, drzwi łaźni, w których Lucynę zobaczyłam i musiałam pójść za nią, żeby cokolwiek by się miało dziać, razem nam się działo. Od pośpiechu, od biegania po schodach, a pewno także od emocji, serce waliło we mnie, w oczach mi ciemniało i sama już nie wiedziałam, gdzie jestem, gdzie prowadzą te drzwi, pod którymi stoję, czy zza nich znowu nie buchnie przypadkiem para i krzyk.

Ale na podjeździe, pod szklanym daszkiem, stał tylko autokar znany mi z widzenia. To on przywiózł Lucynę wraz z innymi pasażerami z lotniska, które było daleko za miastem.

I tak o mało nie rozminęłyśmy się, najgłupiej we świetle, o parę minut, o parę metrów, otarłyśmy się dosłownie o siebie, nie widząc, na którymś korytarzu, na schodach może, może tuż pod drzwiami, które wciąż jeszcze kolebały się, trącone jej ręką. I gdy pomyśleć sobie jakie wszystko było tym razem ułożone pomiędzy nami, przewidziane, i jak pomimo tego wystarczyło parę drobnych okoliczności, ich niefortunny zbieg, aby nas sobie zasłonić, aby nas zmylić, tym większe zdumienie ogarnia, żeśmy przecież spotkały się wtedy, na leśnej stacyjce i potem, na placu lagrowym, i za drzwiami łaźni.

Zresztą w skrytości ducha rada byłam czekać jak najdłużej. Tchórzyłam po prostu, jak zwykle kiedy ma stać się coś, czego zbyt długo się pragnęło. Dlatego pewno nie obejrzałam się od razu. Słyszałam głos, słyszałam śmiech, ale czas pewien minął zanim dopuściłam ten głos i ten śmiech do siebie, zanim odwróciłam głowę, zanim dopuściłam pewno, że to już jest Lucyna.

To było jakby jakiś gong uderzył, jakiś znak został dany. Przestałam ją pamiętać, nie wiedziałam już nawet jak ją pamiętałam, porównanie, jeżeli było, odbyło się tak szybko we mnie, że nawet nie zdążyłam zdać sobie z tego sprawy. Już więc nie pamiętałam jej, tylko widziałam, ją, wiedziałam że to ona. Była zajęta rozmową z kimś, kto stał odwrócony ode mnie plecami, tak że miałam czas, mogłam, niezauważona, przyglądać jej się do woli.

— To ona — myślałam — nie zmieniła się wcale.

A jednak tożsamość ta, identyczność, którą odkrywałam w każdym jej rysie, w każdym poruszeniu, to wierne przechowanie własnego podobieństwa zamiast ośmielić mnie, przeciwnie, większym napełniało zakłopotaniem. Było mi aż nieporęcznie, że taka jest jak była, gdy ja się na pewno zmieniłam ogromnie, i powtórzyło mi się dziwne bardzo uczucie, którego doświadczyłam już w pewnym stopniu przed wyjściem na dworzec, trudno określić inaczej, wstyd, ambaras.

Przypomniało mi się właśnie że mam i na intencję przyjazdu Lucyny wyciągnęłam z samego spodu walizki, spod rzeczy nienoszonych, przesypanych naftaliną, nie wielki woreczek, ściągnięty za pomocą nawleczonego w obrębek szpagatu, woreczek, w którym zachowało się całe nasze dawne gospodarstwo: dwie łyżki, trójkątny nóż, szczotka do zębów i ręcznik.

Na ich widok zrobiło mi się dziwnie jakoś i pojęłam, że co innego pamięć, a co innego przedmiot tej pamięci, jego osobne istnienie, i zanim oswoiłam się z tymi rzeczami na nowo, zanim po raz drugi weszłam w ich posiadanie, ich wygląd, ich tożsamości, ich wierność sobie przepelniła mnie zażenowaniem, jakbym przez ten czas o coraz to innych łyżkach pamiętała, o coraz to innych ręcznikach, odsuwając się bez własnej woli ni wiedzy, niedostrzegalnie, od tych, które w woreczku, na dzień mojej walizy, ustrzegły się wszelkich przeobrażeń.

Szczotka nadawała się tylko do wyrzucenia, co też uczyniłam, ale łyżki zapragnęłam zachować, bawiły mnie, dziwiły, ich na przykład lekkość zaskakiwała mój zmysł dotyku jak coś nowego, niewygodnie byłoby mi jeść nimi, a przecież jadłam nimi przez całe lata i całe lata miałyśmy je, a właściwie posiadałyśmy. Mieć to mało, posiadanie określa lepiej ów stan wiecznie zagrożonej, czujnej własności, nieproporcjonalny do przedmiotu. Ale jakież posiadanie niepokoi się o proporcje? Fakt, że liche i blaszane, stanowiły skarb do tego stopnia łaskomy, że trzonki ich przedziurawiłyśmy kiedyś gwoździemi na wylot, by je móc nosić zawieszono na szyi. Skradziony w kuśnierni nóż krajał chleb starannie i sprawiedliwie.

Otóż na widok tych rzeczy tak czujnie posiadanych przez lata, nic się we mnie nie odezwało, jakby mi je kto podrzucił, jakbym o innych jakichś nożach i łyżkach wspominała od czasu do czasu. Niby je poznawałam, bo wiedziałam że to one, odcyfrowywałam na nich nasze do inicjały, nasze numery, które wyryłyśmy na nich, aby zwiększyć nasze do nich prawa, coś z tego, kiedy równocześnie nic się we mnie do posiadania tych przedmiotów nie przyznawało, ich dotyk, ich kształt nie budził we mnie żadnych przyzwyczajęń. Właściwie lepiej je pamiętałam na niewidzianego, łatwiej mi było je mieć nie oglądając. Toteż dla zabawy bardziej niż dla czego innego postanowiłam użyć tych łyżek jako nakrycia do pierwszego z Lucyną posiłku, ręcznik powiesiłam przy umywalni, zaś nóż mógł mi wspaniale się przydać do rozcinięcia stroniec książek.

Był jeszcze w tym woreczku, jak się okazało, arkusz papieru pakowego, starannie złożony, a kiedy wyprostowałam go i zacząłam zastanawiać się, skąd się wziął i do czego mógł służyć, co znaczą powycinane w nim figury jakieś prostokąty i kwadraty, przypomniało mi się, że ja z tego papieru wykrawałam przecież właśnie tym naszym nożem kawałki na listy, które rozsyłałam w ślad za Lucyną, gdy mi tak nagle zginęła, listy, za pomocą których usiłowałam ją odnaleźć.

Prawdziwego papieru listowego, kopert, jeszcze wtedy nie miałam i pewno nie starałam się mieć, czy w ogóle pisywał już ktoś wtedy na prawdziwym papierze listowym, a zresztą, jeżeli o mnie chodzi, tak nie daleko były czasy grypsów, pisywanych na byle skrawku, byle ogryzkiem ołówka czy kredy, że bez żadnych wolnościowych zahamowań pierwsze moje listy do Lucyny, za Lucyną, wycinałam właśnie z tego szarego, bibulastego papieru i jeszcze byłam pewno szczęśliwa, że go mam. Powystrzygane dziwacznie brzegi tego arkusza przechowały kontur moich listów, złożyło się więc tak, że mogłabym według tego określić zupełnie dokładnie ich kształt, ich rozmiar, gdy treści przytoczyć nie byłabym już w stanie. Chociaż pisane były już na wolności, miały nie tylko pozór więziennych grypsów, ale także i losy, bo jak się okazało, żaden nie dotarł do rąk Lucyny, porzepadają po drodze.

Wyglądając machinalnie arkusz wojennego, lichego papieru, miałam przed sobą nie tyle to, co do Lucyny kiedyś pisałam, ile to co miałam jej jeszcze do napisania, to co mogłabym jej napisać, gdyby nie straciła wiary w skuteczność tego rodzaju poszukiwań, gdyby mi ręce nie opadły. Powystrzygany niestarannie brzeg arkusza stanowią więc linię podziału, wzdłuż której rzeczy wypowiedziane zostały odcięte od tego, co już nie znalazło wyrazu, od milczenia.

Wokoło mnie wciąż zmieniali się ludzie, kręcili się w kółko, jedni wracali, drudzy uciekali dalej, jedni na wschód, drudzy na zachód, wielkim rojowiskiem, jak gdyby z końcem wojny nikt już nie wiedział co ma ze sobą zrobić, gdzie jest jego właściwe miejsce na świecie, jakby dla wielu miejsce takie w ogóle nie istniało. Ja jedna tkwiłam dłuższy czas na bardzo głupim i przechodnim miejscu postoju, bałam się ruszyć, żebyśmy gorzej jeszcze przez to się nie pogubiły, pisałam listy na kawałkach wycinanych z arkusza pakowego papieru, rozsyłałam jak mogłam, gdzie mogłam, okazjami, spodziewając się, że któryś wreszcie odnajdzie mi Lucynę i sprowadzi. Strzeżałam też woreczka ze szczotką, ręcznikiem, nożem, łyżkami, całym naszym majątkiem.

Żart zapowiadał się znakomity, ciekawa byłam czy Lucyna pozna te łyżki, przy swoim talerzu, nóż na nocnym stoliku, a jeśli pozna to co powie, jak zareaguje, czy bardzo będzie mnie podziwiała, że przechowałam je po dziś dzień? Było co podziwiać, nie tyle że przechowałam je na spodzie walizki, co nie świadczyło o niczym, ale że je przeniosłam przez wszystkie

wędrówki, wszystkie zdarzenia, nie dla ich obiektywnej wartości bo takiej przecież nie miały, tylko jako wspólną naszą własność, coś naszego, co pozostało przy mnie, gdy straciłyśmy się z oczu, gdy w pierwszy dzień ocalenia, którego z całych sił starałyśmy się dożyć razem, nagle znalazłam się sama nie pojmując jak to możliwe.

Właśnie, dlaczego, jak to było możliwe, żeby nasze drogi rozeszły się, takie zrosnięte, że to było rozdarcie dla mnie, a nie rozejście się? Jak to się mogło stać, że obudziłam się wtedy, pod lasem, w opuszczonej szopie, ściskając woreczek z łyżkami zawieszony na szyi, a Lucyny nie było przy mnie, choć zasypiałyśmy razem, okryte wspólnym kocem, przytulone, aby sobie użyć ciepła?

W okresie pisania listów na pakowym papierze, w okresie pierwszych, gorączkowych poszukiwań, ta myśl prześladowała mnie: dlaczego? I, jeżeli chciałam tak koniecznie Lucynę odnaleźć, to nie tylko po to, żeby znowu być z nią razem, ale żeby nareszcie wiedzieć, dlaczego sama, beze mnie, wolała przejść na drugi brzeg.

Lata minęły i nagle Lucyna stała tuż, o parę kroków i już zaraz miała nastąpić ta pierwsza chwila, tyle razy przeżywana myślami. Beret podróżny zmieniła trochę proporcje jej twarzy, ale to była wciąż ta sama trójkątna twarz zza mchu, zza pleśni, mizerna, cała w oczach, które podnosiła z uśmiechem do kogoś, kogo jeszcze wcale nie brałam pod uwagę, przekładając mu coś i tłumacząc. Z dawną siłą zapragnęłam przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego to zrobiła, dlaczego zostawiła mnie samą bez jednego słowa, jak gdybym nie dla trudności moich obecnych, życiowych, tylko dla wyjaśnienia tamtych dawno nieaktualnych spraw ściągała ją przez ocean.

Miałam więc już rzucić się do niej, wołać, pytać, ale w tej samej chwili ona wspięła się na palce, położyła ręce na ramionach mężczyzny, który jej towarzyszył i zobaczyłam, że się całują.

— Leszek! — dopuściłam do siebie absurdalną myśl.

Wszystko we mnie krzyczało: Leszek! Znalazł się! Przyjechali obydwój! Potem pomyślałam sobie, że ja na pewno jeszcze śpię i zaraz się obudzę. Bo jakże tłumaczyć, że znowu widzę ich razem, znowu tu ja, osobno, a tam oni razem? Byłam rażona literalnie tym pocałunkiem, jego widok trzymał mnie na uwieży, ale i na dystans, ani się od nich oddalić nie mogłam, pójść sobie, ani przybliżyć, jakby znowu wyrosła pomiędzy nami przezroczysta, nieprzenikliwa ściana. I znowu i znowu jeszcze sen i jawa zabełtały się we mnie, przemieszały, a wielkie płyty czasu, jakby ruszone dźwigiem, przesuwają się, odkrywając utajone przepaści.

Ile razy mijałam ich, tyle razy musiałam obejrzeć się, przystanąć, nie dlatego, żeby wydawali mi się jacyś wyjątkowo piękni czy godni zazdrości każde z osobna, ale dlatego, że kiedy szli tak razem, przesuwawa się wraz z nimi przezroczysta, zamknięta sfera, w której, odgradzeni od wszystkiego, a już

najbardziej od spojrzeń takich jak moje, wzajemnie na siebie promienieli. Byli razem, gdy ja dopiero przy nich przekonywałam się, jak dalece jestem sama, tak że z zachwytem moim łączyło się ściśnienie serca i dziecinna potrzeba leż, jak kiedyś w mroźną noc zaglądać w okna cudzego domu.

Nie byłoby dla mnie większej radości jak przydać im się na coś, bez przeszkadzania im, broń Boże, bez wtrącania się do nich, pomiędzy nich. Nosiłabym z chęcią teczkę za Lucyną, służyła Leszkowi za posłańca, bez żadnej ujemy na honorze, różnica wieku pomiędzy nami wydawała się wtedy zresztą taka ogromna. Ale to moje pragnienie, tak skromne, tak pokorne, a takie żarliwe, było jednak czymś niemożliwym do osiągnięcia, cierpiałam więc gdy mijali mnie, unosząc swój świat niedostępny i niepodzielny i, ledwo mnie minęli, przystawałam, oglądałam się, zagapiona i smarkata, w kusym szkolnym paltociku, który wydawał mi się jedną z głównych przyczyn dla których mną gardzili. Wreszcie znikali mi, rozplywali się jednocześnie, jak jedna podwójna osoba, ja zaś szłam swoją drogą, tyle mając ambicji i siły woli, że nie za nimi, żeby nie wyglądało że ich szpieguję. Gdy było błoto albo śnieg starałam się stawiać moje stopy w ślady, które po nich pozostały.

Ta nieprzenikliwa, wyłączna sfera przysła, a właściwie nie przysła tylko rozstąpiła się przede mną, zagarnęła mnie w ciepło swoje wewnętrzne, w ich wspólny ciepły świat, bo Leszek zawsze był przeciwieństwem z nami w myślach i rozmowach, dzieliłyśmy jego obecność. To nastąpiło nagle i bez żadnych zasług z mej strony wtedy na leśnej stacyjce. Pierwszy raz w życiu i zresztą jedyny zdarzyła mi się taka integracja, takie z kimś wewnętrzne zjednoczenie. Wyraźnie mi się wtedy życie przelało, bardziej definitywnie niż przez sam fakt aresztowania, niż przez wojnę, wyraźny był moment, w którym osobne nasze losy, mój i Lucyny, a więc i Leszka, zaskoczyły, zamieniły się w jeden, dzielony.

Czułam to, odrzucając na stertę łachów moje szkolne palto, a w jego rękawie ziarenko, które mogło mnie w definitywny sposób ocalić. Ten pierwszy gest przyjaźni zrobiłam w uniesieniu, czując, wiedząc, że większe czekają mnie rzeczy. Czułam to, stając przy Lucynie w jednym szeregu, co nie było wcale łatwą rzeczą kto wie jak się odbywało takie ustawianie, co wymagało wielu manewrów i mogło narazić nas na dodatkowe brutalności. A jednak z jaką radością podjęliśmy to ryzyko, jak każda z nas przepychała się, lawirowała i osiągnąwszy wreszcie to: razem! — które odtąd było naszym celem i naszą potrzebą przez lata, stając obok siebie w jednym szeregu, już przebrane w strój obozowy, zmienione nie do poznaki, trzymając się nieznanie samymi koniuszkami palców za ręce, obie czułyśmy chyba jednakowo, że teraz dopiero liczy się prawdziwy początek tego, co się z nami stanie.

Przed nami leżał obóz, droga lagrowa wysypana czarnym żużlem, baraki ustawione symetrycznie po obu jej stronach a dalej mur z przewodami wysokiego napięcia, wieże strażnicze

z nastawionymi na nas ślepiami reflektorów, które choć biały był dzień jeszcze nie pogasły, a wyżej niebo nic z tym wszystkim nie mające wspólnego, zajęte szybko pędzącymi obłokami, którym wiatr coraz to inne nadawał postaci. Strażnicy uwijali się koło nas, zaganiali nas, ustawiali, wyrzaskując niepojęte rozkazy, a psy rwały się im na smyczach do nas z chciwością w pyskach, gorliwością w ślepiach. Wreszcie wrzask od czoła kolumny, lekkie jej kołysanie, dało nam znać, że zaczęło się, że ruszamy.

— *Links!* — wrzasnęła nam w przelocie dozorczyńni, łopocząc czarną peleryną, przytrzymując furazerkę na blond lokach.

To znaczyło: lewa. Lucyna szła koło mnie. Spod drewniaków, które surażyły, spadały nam z nóg, groteskowo wielkie, pryskał czarny żużel. Bałam się. Ale byłam też w pewien sposób przejęta i szczęśliwa.

Otoczona sferą, która tak niespodziewanie rozstąpiła się przede mną i przyjęła do czyjejs wspólnoty, umiałam, chciałam żyć, nawet w obozie. Nie było rzeczy, do której nie byłabym zdolna. Biorąc moje życie, mieszając je ze swoim, Lucyna ratowała nas obie.

Teraz stała przede mną, odnaleziona, a jednak jakby z powrotem niedostępna. Pomiedzy nami rosła ściana. Ich pocałunek trwał.

W parku miejskim, gdzie czasami udawało mi się ich natopkać, Leszka i Lucynę, na jednej z bardziej ustronnych alejek, w zagłębieniu ze strzyżonych ligustrów, stała na pół ukryta ławka do której zła sława przylgnęła od niepamiętnych czasów, tak że przyspieszałam kroku przechodząc tamtędy. Na jej poręczach okrągłe, rude oka cieni poruszały się nieustannie, a mnie wydawało się, że na drewnie ożywa, nabrzmiewa rdza jakaś lepka, ślady krwi po legendarnym morderstwie, które ongiś na tej ławce właśnie popełniono. Nie wiedziałam jakie było jego tło, jakie okoliczności, wiedziałam tylko tyle, że to było morderstwo z miłości, tak mówiono, a choćby to nie była prawda wszystko jedno, ławka ustawiona na uboczu, przy alejce którą rzadko kiedy ktoś przechodził, zarośniętej, aż ciemnej, wydawała mi się rodzajem pułapki, predystynowana do scen gwałtownych i krwawych. I jakby krew, którą była kiedyś podobno obficie zbroczona mogła raz jeszcze wystąpić na stare jej drewno, poplamieć, albo pobudzić do szaleństwa, mało kto na tej ławce siadywał, o czym świadczyły jesienią liście, które wyściełały ją grubo, zimną nietkniętą śnieg.

Na tej właśnie ławce, wyzywając los, usiedli Leszek i Lucyna, kiedy spotkałam ich ostatni raz, gdy byli we dwoje. Siedzieli całując się, obejmując i widziałam z bliska zupełnie, jak teraz na dworcu lotniczym, przymknięte oczy Lucyny, jej rozsypane włosy, jego nachylony kark, zarośnięty w sposób, który jeszcze dziś wzrusza mnie u nieznanym ludzi, jakby stanowił jakąś obietnicę. Pierwszy raz miłość objawiła mi się w całej swojej rzeczywistości, coś możliwego, coś osiągniętego, ale nie dla mnie

jednakże i dlatego bardziej niż kiedykolwiek na ich widok poczułam się odrażona, jak gdyby pozbawiali mnie czegoś mojego, jak gdyby moim jakimś cieszyli się i rozporządzali udziałem. Było mi też nieprzyjemnie i pierwszy raz pożałowałam, że na umyślnie tu przyszedłam za nimi. Chciałam zawrócić, ale żwir zazgrzytał mi pod nogami i wtedy Lucyna otworzyła oczy.

Wiedziałam, że i tym razem będzie tak samo, że Lucyna otworzy oczy i sponad tych ramion, spoza tego ciemno zarosłego karku, zobaczy mnie i co wtedy, czy znowu pod jej spojrzeniem obrócić się w powietrze, w nikogo? — To nie Leszek — przekładałam sobie — Leszek nie żyje! I wydawało mi się, że dzieje się coś, co nie powinno się dziać, czemu jednak nie mam żadnej mocy przeszkodzić. Tuż nad moją głową megafon powtórzył w paru językach zapowiedź, której nie starałam się nawet zrozumieć.

Takie było moje spotkanie z Lucyną, które sobie na tyle rozmaitych sposobów wyobrażałam, ani myśląc że przywiedzie mnie ono do czasów, z których wszystko wzięło początek, do spotkań nieumyślnych a wyczekiwanym, do spojrzeń ukradkowych, tłumionych wstydem, do śladów, których kształt nie pasował do moich stóp obutych w śmieszne, dziecinne kalosze, do owej nieprzenikniewej sfery, o którą obijałam się, gdy oni w jej wnętrzu królowali oboje w niekończącym się pocałunku, na ławce usianej w rude oka cieni, jak na ołtarzu kiedyś, przez kogoś dla nich przez krew poświęconym, wyzywając to przekleństwo, ściągając je lekkomyślnie na swoje głowy. Wszystko więc było znaczące tego dnia, począwszy od snu, który ostrzegł mnie i przygotował, poprzez kroki na przystanku autobusowym, na odgłos których musiałem się odwrócić, poprzez pośpiech mój i błąkanie się pośród rusztowań i gruzów, aż do drzwi, których niepotrzebnie pilnowałam, pod którymi niepotrzebnie wyczekiwałam Lucyny, wpatrzona w ich kołysanie się, mijanie, w czarną szparę pomiędzy dwojgiem ich skrzydeł, aż do tego pocałunku nareszcie, o którym wcale nie wiedziałam do jakiego stopnia nawiązuje do dawnych czasów, ale którego widok, jak przed laty, zamienił mnie w słup soli.

#### IV

Nie bardzo pamiętam, co ja takiego napisałam w tym liście, jakich słów użyłam, jakiego argumentu, właściwie nie wiem nawet dokładnie, o który to list chodzi, który z moich listów tak szczególnie trafił do Lucyny, tak ją potrafił przekonać, że jest mi bez zwłoki potrzebna, a nawet, jak mi to zaraz po przywitaniu zaczęła żartobliwie wypominać, zaszantażował ją do tego stopnia, że nie doczytawszy go podobno do końca pobiegła nadać do mnie depeszę: przyjeżdżam, choć naprawdę wcale nie wiedziała w tym momencie ani jak tego dotrzymać, ani kiedy, było to cześć słowo, słowo na wiatr, na pocięgę, na

tymczasem, tak jak tonącemu rzuca się na tymczasem koło ratunkowe, żeby się go uczeplił, żeby utrzymał się na powierzchni, zanim ten co stoi na brzegu zdecyduje się skoczyć do wody.

Prawdę powiedziawszy wszystkie moje listy do Lucyny zawierały takie wołanie, to była ich treść wyłączna, choć nie zawsze słowami wyrażona, wszystkie zasługiwały na to, by ich wysłuchała, od tych pierwszych, bazgranych rozpaczliwie, na kolanie, gdy siedziałam owinięta wspólnym naszym kocem, który mi zostawiła odchodząc, którym mnie szczerzej okryła, pewno żebym nie obudziła się z zimna, żeby miała czas oddalić się póki spałam? Długo bardzo nie ruszałam się z tej szopy w strachu, że się jeszcze gorzej pogubimy i siedząc w kucki na barłogu, gdzie na słomie przechował się jakiś czas odciśnięty kształt jej głowy, pisywałam listy, które nie miały żadnych szans aby dojsz do jej rąk. I właściwie cóż się potem zmieniło, choć znalazłam pracę, mieszkanie, choć zaczęłam tak zwane normalne życie, w którym Lucyna, gdy mi się wreszcie odnalazła na antypodach, odgrywała już tylko rolę odległej korespondentki, przyjaciółki z obozu, cóż się zmieniło, gdy wciąż czekałam na coś, kogoś wołałam, nie wiedząc nawet na co czekam, kogo wołam. Dlatego pierwszą moją reakcją na depeszę Lucyny: przyjeżdżam, było najpierw zdziwienie, a potem radość.

Przypuszczam, domyślam się tylko, że przyjazd Lucyny zawdzięczam bardziej bezpośrednio listowi, który pisałam jak inne, bez specjalnych intencji, bo i bez nadziei, wracając z jeszcze jednego nieudanego urlopu, bardzo rozstrojona. Najgorsze było, że chociaż źle się czułam sama w miejscowości, którą inni wspominali jak raj i zachwalali, choć wcale tam nie wypoczęłam, o nic, o nikogo tam się w najbardziej choćby przelotny sposób nie zaczęłam, to i wracać mi się nie chciało do zwykłego trybu życia, żadnej w tym nie widziałam potrzeby ani konieczności, miałam uczucie, że zupełnie niepotrzebnie ten gwałt sobie zadaję, że cokolwiek zrobię, wszystko zda się na nic, czy pozostanę na noc w tym obcym mieście, czy na całe życie, czy też pojedę gdzie indziej, ale dokąd, ale po co, czy też powrócę do tego mojego niby domu, gdzie właściwie od zaraz mogliby się wprowadzić nowi lokatorzy i nie musieliby zmieniać, przestawiać niczego.

Było ciemno, było zimno, to znaczy kiedy usiadłam na tarasie tej małej kawiarni czekając na pociąg, był jeszcze dzień, ale potem, nie wiadomo kiedy, nagle zmierzchno się, porwał się wiatr, tak że szczykałam zębami sama jedna na ulicy, bo stoliki wystawione były po prostu na chodnik i tyle tylko miałam światła do pisania, ile mi go padało z wnętrza kawiarni. Było tam pełno ludzi, ich rozmowy, ich śmiechy dochodziły niewyraźnym brzęczeniem do mnie, ale gdybym weszła do środka nie przestałabym przez to być sama, zamknięta w sobie, wołałam więc już marznąć na dworze, a przede mną, dokoła mnie półokrągły placzyk kończył się parkiem, prawie lasem i wiatr odginał liście, gwałt gałęzie drzew, które zasłaniały mi widok na

miasteczko. Tylko miejscami, u wylotu czarnych, rozchodzących się promieniście alej widziałam jak falują, zmieniają się światła i wiedziałam, że i tam ludzie są razem, rozmawiają, przechadzają się, śmieją. Znow jednak było to jak gdyby po drugiej stronie morza, na którego przebycie nie miałam nadziei.

Te drzewa to były platany. Ich zbyt gładkie, jakby pozbawione kory pnie bieleły w mroku plamiście, powykęcane w muskularnej potężności i na ich widok budził się we mnie ów rodzaj bólu przez imitację, jak przy oglądaniu plansz z wyobrażeniem systemu mięśniowego człowieka odartego ze skóry.

Było mi tak źle, tak zimno, tak ciemno, godziny wydłużały mi się w taką jakąś prefigurację życia, mojego właśnie bezsensownego życia, że z tej sytuacji, z tego nastroju sporo musiało przeniknąć do listu, który zaczęłam pisać do Lucyny z przyzwyczajenia, a także dla dodania sobie animuszu, dla zabicia czasu, tym samym właściwie odruchem, jaki dyktował mi pierwszą listy w leśnej szopie. W każdym razie bez intencji, bez nadziei. Tymczasem, tak to sobie dzisiaj wyobrażam, ten właśnie list przemówił do niej z większą siłą niż wszystkie dotychczasowe, tak że nie doczytawszy go do końca, pobiegła nadać do mnie depeszę, której się wcale nie spodziewałam.

Teraz myślę, że lepiej było nie pisać. Od początku, nie pisać, nie wołać w ogóle. A skoro to już się stało, najrozsądniej byłoby zawrócić na pięcie od razu, na dworcu i pozostawić tych dwoje samym sobie. Wszystko co się miało stać, już się przecież stało w tym momencie, wszystko zostało przesądzone, a nie tylko na przyszłość, nie tylko na ten jeden dzień nieudanego pobytu Lucyny u mnie, ale i wstecz, bo zdarzenia, minione i ustalone w przeszłym czasie, w formie dokonanej, doczekały się spóźnionego sądu, jak gdyby nagle powstał przeciwko nim nieprzychylny świadek.

To nie był Leszek. To była Lucyna.

Nie wiem, które z nich wydało mi się bardziej stracone, bardziej umarłe, on, który w mojej pamięci przechowywał się jednak wierny samemu sobie, zabezpieczony, czy też ona, którą mogłem wreszcie porównać, którą odnajdywałam i traciłam, której każdy gest był dla mnie konfrontacją? Która świadczyła przeciwko samej sobie?

W każdym razie, jeżeli mój list wzięła na serio, do tego stopnia, że przyjechała do mnie z tak daleka, nie powinna była od razu poruszać naszych spraw, moich spraw, przy tym obcym bądź co bądź człowieku, nie powinna, nie wysunawszy się jeszcze całkiem z jego ramion, robić aluzji w żartobliwy sposób do moich bied, do moich skarg i dziwić się, że jak na desperatkę całkiem dobrze wyglądam. Jakże myślała więc zastać mnie, na marach, czy na łożu boleści?

Odpowiadałam półsłówkami, ten towarzyski, lekki ton niczego nie ułatwiał, żadnych lodów nie topił, przeciwnie, większe jeszcze teżały między nami. Wszystko było niezręczne, nieszczerze, od powitania, którego hałaśliwą serdecznością chciała pewno zatrzeć we mnie pamięć innych czułości, aż do mo-

mentu, w którym nie wiadomo dlaczego wszyscy troje znaleźliśmy się w jednej taksówce. Przyjrzałam mu się bliżej, był tęgi, starszawy i dla mnie odpychający ze swymi manikierowanymi paznokciami i błyszczącymi spinkami u mankietów. Nie umiała mi go nawet przedstawić i tylko parę mruknięć pełnych zakłopotania dało mi do zrozumienia, że to świeża znajomość z podróży. Udawałam, że nie widzę znaków, którymi prosiła mnie o cierpliwość, o wyrozumiałość, że nie widzę jak męczy się, jak w zupełnie wyraźny sposób wstydzi się przede mną, a jednak nie jest w stanie zlikwidować swego zestrojenia się fizycznego z tym człowiekiem. I choć usiłowała żartami i paplaniną ukryć to przede mną, wiedziałam że dla niej każde zetknięcie się z nim ramieniem, każde spojrzenie pełne jest specjalnego znaczenia, specjalnej treści. Wstydziałam się więc i ja, odwracałam, ciążyła mi rola intruza, rola niepotrzebnego świadka tego, co nie było miłością, a tylko jej karykaturą, nie w ten sposób wstydziałam się przecież kiedyś, kiedy zastałam ich z Leszkiem na ławce parkowej. Wszystko to nie miało sensu, na taką sytuację nie byłam zupełnie przygotowana i mimowoli, gdy szofer zwalniał biegu przy czerwonych światłach, wspominałam ze wzruszeniem ramion, jak po przykrym bardzo wytrzeźwieniu, jazdę moją w odwrotnym kierunku sprzed godziny bez mała, gdy śpieszyłam po Lucynę taka skoncentrowana na myśli o niej, o Leszku, taka przepojona ich bliskością ze snu, tak zabezpieczona, zamknięta w sferze serdecznego z nimi obcowania, że nie wyobrażałam sobie by cokolwiek mogło zazgrzytać z miejsca przykrym dysonansem. I ze ściśnięciem serca już, z goryczą, przeżyłam jeszcze raz w myśli ranne moje przebudzenie, ów moment, taki ulotny a taki realny, gdy Leszek jeszcze był, jeszcze stał w przejściu pomiędzy łózkami, a ja obracałam się w stronę Lucyny, wołając że on jest, że on żyje, pragnąc pośredniczyć w ich spotkaniu.

Ten sen przypominał mi się także może i dlatego, że powietrze przesycone było zapachem jakby z tamtych czasów eksfumowanym, ciężką bardzo perfumą, którą Lucyna musiała skropić się zbyt obficie, a która w dziwny sposób kontrastowała z drobną jej twarzą, ze spojrzeniem smutnym właściwie, takim jakie zapamiętałam, spojrzeniem zza mchu, zza pleśni, z którym klóciły się uśmiechy, rozkoszne szczebiotanie, kokieteria, nieznanne mi i niemiłe. Za każdym więc jej ruchem całe kłęby tego zapachu wstawały z futrzanego kołnierza, z puszystej czapeczki, tak że nim dojechaliśmy do domu głowa rozboleła mnie aż do ciemności w oczach, do szumu w uszach i ten ból, to oszołomienie nie opuściło mnie do końca.

Nie rozumiem zupełnie, dlaczego nie umówili się od razu, głośno, na wieczór, skoro świeże ich pragnienie domagało się tak bezwzględnie zaspokojenia, nie byłoby w tym nic dziwnego ani zdrożnego, przeciwnie, przystałabym na to z ochotą. Wolałabym naprawdę czekać jeszcze jeden wieczór, tłumaczyć sobie, że nic się nie stało, że nic się jeszcze nie liczy, wołałabym raz

jeszcze ten deszcz za oknami, wiatr i pochód mój niewidzialny, szarpący zamkniętymi drzwiami, conocną od lat inscenizację snów. Mówiłabym sobie, że Lucyna jeszcze do mnie nie przyjechała, że jeszcze się do mnie przedziera z nie wiadomo jakich antypodów, że wcale jeszcze nie jesteśmy po tej samej stronie ziemi, w tej samej porze. Ale oni woleli to zrobić po cichu, wstydliwie i od razu kłamstwem tym odcięli się ode mnie.

Było to jak gdybyśmy najniespodziewaniej w świecie zamieniły się rolami i ta zamiana ról, choć na moją korzyść, wcale mi nie była miła. Z nas dwu opoka, pewnością, słuszością, była zawsze Lucyna, to ja musiałam się z nią liczyć, nie ona ze mną, to ja koło niej kręciłam się, skruszona, niespokojna, nadrabiając miną, gdy wychodziły na jaw moje kłamstewka, wypierając się tego, na co miałabym po kryjomu ochotę, to ona miała mi do wybaczenia różne wstydlive historie, a nie ja jej i wybaczała mi. Czyż nie miała więc prawa liczyć teraz na wyrozumiałość z mojej strony?

Ale wyrozumiałość to wyższość, a ja nie pragnęłam być wyższa, przeciwnie, ja się na niej pragnęłam jak dawniej opierać. Mając nagle moc robienia jej przykrości przy ciągłym, gęstniejącym bólu głowy mściwie, paskudnie z tej mocy korzystałam, przedłużając milczenie, robiąc jej afront przesadnej grzeczności, jak gdyby była kimś obcym i w dodatku niezbyt miłym i tym bardziej rozzuchwalając się, im ona bardziej pokorniała i starała się załagodzić sprawę.

Ostatecznie cóż to była za przewina, jaki to związek miało ze mną, z nami, że w czasie podróży poznała kogoś, kto się jej spodobał, kto ją pociągnął? Nawet Leszek nie mógłby mieć tutaj po latach nic do powiedzenia, a cóż dopiero ja. Poznali się, spodobali się sobie, mieli ochotę zobaczyć się jeszcze, sami, odwiózł nas do domu, pomógł wnieść walizkę — nie było w tym nic, co by mogło usprawiedliwić owo zacietrzewienie we mnie, które same sobą podniecało się i rosło, a któremu Lucyna skrępowaniem swoim dawała uzasadnienie, jak gdyby przyznając się do jakiejś winy.

A już naprawdę nic, ale to nic nie mogło usprawiedliwić gwałtowności, z jaką wydarłam jej ręcznik, ów nasz wspólny, obozowy ręcznik, który wyjęłam specjalnie i powiesiłam obok umywalni, ciesząc się z góry jaki to dobry żart. Ale tymczasem minęła noc i przysnił mi się ten sen i wszystko w zupełnie innym świetle ustawił, tak że potem nie spałam do rana i zupełnie inaczej na Lucynę czekałam i nawet na Leszka, do tego stopnia ożyła we mnie dawna nasza uparta wiara że on żyje. Do tego stopnia, że wbrew rozsądkowi, gdy niechcący byłam świadkiem pocałunku Lucyny z nieznanym towarzyszem podróży, myślałam w pierwszej chwili, że to Leszek, że razem przyjechali i może właśnie dlatego nie mogłam później ścierpieć tego człowieka, tak że powrót do domu w jego nieprzewidywanym towarzystwie był dla mnie torturą, tym bardziej że Lucyna wstydziała się i ukrywała przede mną co się z nią dzieje. Wieki więc,

można powiedzieć, dzieliły moment, kiedy ręcznik ten, spraną, wystrzępioną szmatę, wieszałam przy umywalni w nadziei zabawienia Lucyny, od momentu, kiedy bez żadnego usprawiedliwienia wyszarpnęłam go z jej rąk z brutalnością, która mnie samą zaskoczyła i zastanowiła.

Ale, wieszając go, czy mogłam wiedzieć, co się później stanie, jak się to wszystko potoczy i że nagle spojrzę na tę szmatę innymi oczami, że inaczej zobaczę stare na niej, zetlałe plamy i zacieki i że jedna z tych plam wystąpi wyraźnie, czerwona? Wyrwałam go Lucynie z rąk, nie zastanawiając się, nie łagodząc niczym mego gestu, bo nie chciałam dopuścić aby i ona przypomniała sobie że kiedyś, przytknąwszy go do twarzy, poplamiła się krwią. Na to była dla mnie kimś zbyt obcym, zbyt wstrętnym w tej chwili.

— Mam swój — powiedziała po prostu. — Zaraz go sobie wyjmę z walizki.

Tym jednym spokojnym odezwaniem się przywróciła — o, tylko na chwilę — sprawy nasze do dawnego porządku. Dopiero teraz poznałyśmy się, powitałyśmy. To ja byłam winna, nie ona, to ja zachowałam się nie tak jak należy, ale ona mi to wybaczała. Dawne, miłe uczucie skruchy, zawstydenia zarumieniło mi policzki, załzawiło oczy, gdy wciąż jeszcze jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku, chowałam za plecami ręcznik, który jej wydarłam tak gwałtownie. Z drobnej, trójkątnej twarzy ściągniętej zmęczeniem, przykrością, patrzyły na mnie po dawnemu ze spokojnym autorytetem oczy zza mchu, zza pleśni. Nie gniewała się, nie dziwiła.

— Poznajesz? — powiedziałam jak na przeprosiny.

Cieszyło mnie jej zdziwienie, jej okrzyki, pomagałam jej odszyfrowywać znaki na łyżkach, które przyniosłam do kompletu, pochwalałam się nożem i nic mi nie szkodziło w tym momencie, że wycierając twarz tą starą, obozową szmatą ona także przypomina sobie może to, co mnie chwilę temu stanęło przed oczami: łaźnię blokową o kamiennych, oblodzonych muszlach, kłęby pary buchające z naszych ciał, gdy prerażona tym co się stało, zawstydzona śmiertelnie, słów nie znajdując przeprosin, słucham jak ona mnie pociesza, jak mi spokojnie tłumaczy, że to nie moja wina, że nic w tym wstrętnego ani brzydkiego nie ma, że przy wspólnym ręczniku to rzecz nieunikniona i jak, nie śpiesząc się z obmyciem tej plamy, która pali mnie na jej policzku, gratuluje mi, że nareszcie stałam się kobietą.

V

O jakiejś porze usłyszałam zgrzyt klucza w zamku: to była Lucyna. Nie udało mi się więc zasnąć przed jej powrotem i na darmo przez tyle nocnych godzin leżałam zwinięta w kłębek, zaciskając powieki, wyrównując oddech, w nadziei że sen przynajmniej rozluźni tę czujność nieznośną, to oczekiwanie, nad-



śluchiwanie, gdy tymczasem obrazy i uczucia, sprzeczne, rozszarpały mnie pomiędzy siebie.

Rejestrowałam, interpretowałam teraz każdy odgłos dochodzący z przedpokoju. Dziwnie długo nie mogła uporać się z drzwiami, a przecież uczyłam ją wieczorem, jak się otwiera. — Nie czekaj na mnie — mówiła — ja zaraz wrócę, ale nie czekaj, jesteś zmęczona. — Otworzyła nareszcie. Potem towarzyszyłam jej słuchem w skradaniu się, w wodzeniu ręką po ścianie, gdy szukała przełącznika i wiedziałam do jakiego stopnia trudno jej było odnaleźć się w moim mieszkaniu, w którym ciemności zakrywały, deformowały układ rzeczy. Ledwo podłoga skrzypnęła głośniejsz, zamierała, nasłuchując. Potem i tak narobiła hałasu, potknąwszy się o własną walizkę stojącą w kącie.

Gdyby udało mi się zasnąć i dospać do rana i nie słyszeć tych jej ostrożności, które mnie upokarzały, tego powrotu, cichaczem, chyba już pod sam koniec nocy! Otworzyłabym oczy, byłby dzień, Lucyna leżałaby obok mnie, jak w tym śnie, który rozwiął mi się za wcześnie, biłoby od niej znajome ciepło, głowa jej zagłębiałaby się w pościeli ciężarem swego bezwładu. Niczego bym nie wiedziała, niczego bym nie pamiętała, dzień zacząłby się od początku, od pierwszej chwili, jak piękny, nowy zeszyt od pierwszej strony.

Albo lepiej, obudziłabym się i obok mnie nie byłoby nikogo. W przedpokoju nie stałaby walizka, na wieszaku nie byłoby puszystej czapeczki, na krzesłach rozpostartych sukienek, nawet oczekiwanie, nawet spodziewanie się byłoby już poza mną, nawet rozczarowanie.

Czego właściwie spodziewałam się, czego wyczekiwałam? Przecież nie tego że Lucyna przyjeżdża po to, żeby z powrotem związać nasze losy? Ale przecież i nie tego, że przegrada pomiędzy nami takiej nędznej okaże się natury.

A jednak, kiedy znalazłyśmy się razem, to co się nazywa być razem, kiedy jej towarzysz podróży, pomógłszy nam wtaszczyć walizkę do przedpokoju, wyniósł się nareszcie, co jej także wyraźnie sprawiło ulgę, taka była pomiędzy nami nieszcześliwa, kiedy całe to nieporozumienie, cała ta niezręczność pierwszych momentów przestały nas dzielić, na pierwsze jej słowo, na pierwsze wyciągnięcie ręki dałam się unieść radości. Moje życie znieruchomiałoby przecież i zaschło od lat w oczekiwaniu tej chwili. Lucyna pozbyła się swej puszystej czapeczki, porzuciła suknie na poręczach krzesel, żeby się rozprostowały po drodze, rozłożyła walizkę na samym środku przedpokoju, tak że nie sposób było przejść i w jednej chwili u mnie była u siebie. Wszędzie zrobiło się pełno jej rękawiczek, jej pantofli, jej słoików z kremem. Moje staropanięskie, wysprzątane mieszkanie nabrało pozorów szczęśliwego rosgardiaszu.

— Dobrze nam się będzie tutaj mieszkało — powiedziała tak sobie, od niechcienia, a mnie tylko tych słów było potrzeba, aby utwierdzić się w radości. Była to zwykła radość, ile razy udało nam się znaleźć, wywalczyć sobie wspólny kąt i dobrze ją pamiętałam, chociaż ostatni raz doświadczyłam jej bardzo

dawno temu i już wtedy, jak się okazało, była bezpodstawna, bo nie dzielona. Było to w szopie na skraju lasu i gdyśmy ten nocleg znalazły, nadspodziewanie dobry nocleg na pierwszą noc wolności, cieszyłam się, bo nie wiedziałam co Lucyna planuje, jak jej ze mną ciężko, jak ją zamykam, odgradzam, jak ją zobowiązuje, choć to co mnie wydawało się etapem, dla niej było metą i odtąd nie miałyśmy już razem nocować nigdzie ani mieszkać, ale ja nie przeczuwałam niczego i w wielkiej, dziecinnej dumie kazałam jej po kilka razy chwalić siebie za to, że wypatrzyłam ten daszek, na pół zrośnięty z lasem, że postawiłam na swoim, by podejść, by się przekonać.

Skrzyp drzwi przejął nas dreszczem. Gdyby tam w środku poruszyło się coś żywego, strach poraziłby nas chyba śmiertelnie, chociaż skończył się już okres dozwolonego na nas polowania. Ale w szopie było pusto, nic nie mąciło półmroku, tylko w paru miejscach przeszywały go pasma słońca, które zachodząc wciskało się przez szpary i dziwnie wszystko stroiło, tak że nawet wiązka słomy rzucona w kącie, miała pod jego aureolą pozór jakiegoś komfortu, przepychu, który z miejsca wprowadził nas w zachwycenie. Po zaduchu obozowych natłoczonych sal sypialnych wyglądało na to, że będziemy spać w pałacu.

Przyciągnęłyśmy skrzypiące drzwi za sobą i ten gest oznaaczał objęcie w posiadanie, a gdy okazało się, że jest sposób by je zaryglować od środka, gdy zrobiło się cicho i ciemno, gdy zaczęłyśmy poruszać się w tych warunkach czysty i ciemności, gdy zaszeleściła słoma, wcale nie taka wilgotna, gdy rozpostarłam na niej nasz koc, wtedy, w tych czterech ścianach zbitych z surowych desek poczułyśmy się takie bezpieczne, tak u siebie, że nie podejmując żadnych środków ostrożności, nie bawiąc się w żadne kolejki do czuwania, posnęłyśmy natychmiast na naszym barłogu, przestoczonym przez słońce, które jeszcze nie zgasło.

Rozpostarcie koca, przygotowanie posłania, było czynnością która należała do mnie, czynnością prawie symboliczną, bo siennik zasłany naszym kocem stawał się naszym siennikiem, naszym mieszkaniem, a to wcale nie było takie łatwe, zdobyć miejsce do spania, za każdym razem trzeba było dopiąć tego sprytem albo siłą, gdy przerzucano nas z miejsca na miejsce, z baraku do barku. Przeprowadzki takie, albo raczej takie wędrówki narodów, odbywały się zwykle pod wieczór, po pracy, po apelu, bez żadnego uprzedzenia i nigdy nie było wiadomo kiedy, z woreczkiem naszym, z łyżkami, szczoteczką i kocem, staniemy się znowu bezdomne. Cienie nasze robiły się długie i chude na piachu, którego poszczególne ziarenka kłuły bosc nogi igłami z lodu, zwłaszcza gdy to był wieczór marcowy lub kwietniowy i z nocą wracała zima. Noc zapadała więc powoli, a z nią i zima, nam kazano czekać i stać i tylko bosc nasze nogi, łamiąc nakaz bezruchu, dreptały w miejscu, chrzęściły na piachu owadzim jakimś chrobotem, jaki wydają chrabąszcze zamknięte w blaszance. Czas mijał, stygła w kotłach nie rozdzielona zupa, a myśmy stały, drepcząc i wciąż nie było wiado-

mo gdzie nas przydzielą, do którego bloku, do gorszego czy do lepszego i czy razem, razem?

Wreszcie od czoła kolumny podnosił się głos jak na sąd i zaczynał wyczytywać numery. Wtedy zamierałyśmy, ja z kocem naszym zrulowanym pod pachą, Lucyna z naszym ręcznikiem, szczoteczka, bo przecież poza wszystkim ręcznik, szczoteczka, koc, każdy z tych skarbów, każda z tych rzeczy codziennego użytku, stanowiła wystarczający powód byśmy pragnęły, musiały być razem.

Wywołane wybiegały przed front i legitymując się numerem przszytym na rękawie, dostępowały szczęścia, przywileju, pierwsze wpadały do baraku. Przez okna obserwowaliśmy bezsilnie, jak instalują się, jak się mnożą, przemykają pomiędzy łózkami, zapobiegliwie jak myszy, gdy nasze losy wciąż w zawieszaniu, gdy nasze szanse bycia razem maleją. I chociaż przeprowadzka taka z bloku na blok nie była, obiektywnie rzecz biorąc, wielką zmianą, choć wszędzie piętrzyły się takie same rzędy prycze, tak samo wybrzuszały się w szparach pomiędzy deskami sienniki, chociaż wszędzie panował taki sam tłok, gwałt, zapachy, taki sam przymus, nam wydawało się, że stoimy w progu czegoś nieznanego, co zadecyduje o naszym losie.

— Prędzej — Lucyna wypychała mnie jak do startu. Mój numer padał w wielkiej ciszy.

Już biegłam, już wdzierałam się jak do oblęganego miasta, już byłam w sali sypialnej, już wdrapywałam się na drugie, na trzecie piętro łóżek, już wpadałam w rozpacz, takie wszystko było zajęte, rojące się. Zawsze jednak w ostatniej chwili migała mi gdzieś w kącie ostatnia wolna prycza. — Mamy szczęście — rozpamiętywałyśmy później, wdzięczne losowi. Dopadałam jej bez tchu, rozkładałam na niej nasz koc, znak naszych do tego legowiska praw i zaczynałam warować.

Wreszcie Lucyna przedzierała się do mnie wśród ścisku, niosąc resztę naszego dobytku. Na ten raz byłyśmy razem.

Noc zapadała spóźniona, jak zwykle w dni przeprowadzek. Oddalały się brzęcząc za oknami puste kotły po zupie i prawie natychmiast następowała nocna wacha chrzęszcząc butami i psy skomliły na smyczy. W drewnianej hali, zabudowanej łózkami po sufit, pełnej jak plaster pszczeli, roiły się, gnieździły przypadkowe, nienawistne sobie istnienia, skazane na intymność snu. Wrzały kłótnie o koce, o prycze, bójkę o chleb. Aż do syreny na nocną ciszę, aż po wrzask nocnej wachy za oknem przedłużał się gwałt i jęk, gwałt wielkiego poruszenia, w którym nasza prycza, zaślana naszym kocem, według naszego porządku, stanowiła bezcenną oazę.

— Razem! — tyle lat wibrował we mnie ten krzyk, coś więc dziwnego, że wydało mi się jakbym go słyszała na nowo. — Razem! — od pierwszej chwili, od spotkania na stacji leśnej, bardziej jeszcze od chwili, kiedy na stos odzieży odrzucałam w łaźni lagrowej mój płaszcz, a w jego rękawie zaszyte ziarenko, moje osobne wyjście z sytuacji, od tej chwili nasz los był jeden

i dzielony. — Razem! — przedłużało się także i wstecz, zastępowało mi pustą przeszłość, niewdzięczne dzieciństwo, niczego prócz tego — razem — nie znałam w życiu ani nie pragnęłam i razem z nimi, z Leszkiem i Lucyną królowałam w moich wspomnieniach na ławce parkowej, upstrzonej w rude oka cieni, dla mnie także ta ławka była ołtarzem byłego szczęścia, dla mnie także Leszek był utraconą lecz obecną miłością. I kiedy oglądałam się jeszcze raz, czekając na Lucynę, po ciemku, na tamte lata, które jedyne dla mnie się liczyły, widziałam żeśmy je przekuśtykały razem, boso czy w drewnianych chodakach, razem, obok siebie, wprzęgnięte do jednego wozu z kamieniami, pchając jedną łorę żwiru, rozładowując jeden wagon węgla, prując tę samą stertę futer, śmierdzącą perfumami i krwią. Przestaliśmy te lata w jednym szeregu, na apelu, dotykając się końcami palców dla otuchy, gdy za ręce trzymać się nie było wolno, a tymczasem daleko, przed frontem przeraźliwy głos wyczytywał z listy numery i echo salw przebiegało nad murem, spoza którego wyglądały czubki brzoź.

Wywołane na śmierć odchodziły, nie oglądając się, ku bramie. I na nas mogła przyjść w każdej chwili kolej, ale cóż, byle razem. Syrena dawała znak do rozejścia się i jeszcze raz biegłyśmy do naszego baraku, do naszego kąta, na pryczę zaślana naszym kocem, dzieląc na połowę każdy kartofel, każdy kawałek chleba, ciesząc się ze wspólnego odroczenia, bo razem.

Jakże się dziwić więc, że mi się zdawało, że znowu jakiś głos wyczyta razem nasze numery? Moje życie było przecież stanieniem i czekaniem na niekończącym się apelu.

Lucyna dobrnęła wreszcie do łaźienki. Smuga światła przesunęła się stamtąd pod drzwiami i wspięła aż na moją koldrę. Wzdrygnęłam się, jak pod czymś dotknięciem.

Która to mogła być godzina? Wilgotny ciąg od okna chłodził mnie, zaczynało chyba szarzeć. Byłam zupełnie wybita ze snu i trzeźwa tą jakąś śródnocną, niebezpieczną trzeźwością, która wszystko dramatyzuje i jątrzy. Oto nadeszła pora, nie przeżywać po raz drugi, nie nawiązywać, tylko sądzić.

— Wyjdz z obozu — powiedziała mi — wyjedźże ty raz nareszcie z obozu, dziewczyno.

To znaczyło: przestań tak na mnie patrzeć, przestań pamiętać, przestań porównywać. Musiało być w moim wzroku coś, co ją wprowadzało w zakłopotanie, może sam mój wygląd wprowadzał ją w zakłopotanie, surowy i dziwaczny wygląd, z którego zdałam sobie sprawę dopiero, gdy w lustrze, w tym samym lustrze, w którym wychodząc po nią na stację nie mogłam dopatrzyć się zmian, teraz zobaczyłam nagle nasze wspólne odbicie.

Był pomiędzy nami kontrast prawie komiczny gdy pomyśleć że nas kiedyś brano za siostry i że naprawę wyglądałyśmy jak siostry. Dla Lucyny kontrast ten musiał być jeszcze bardziej dotkliwy niż dla mnie, bo z wielkim pośpiechem, z wielkimżywieniem dopadła swojej walizki pełnej sukienek i blu-

zek, bardzo kolorowych i za bardzo pachnących, co chwila narzucając mi jakiś gałganek na szyję, wykręcając mnie ku światłu, oceniając efekt, jak gdyby pomoc, jakiej od niej wyczekiwałam, była przede wszystkim garderobianej natury i jakby zmiana w sposobie ubierania się mogła pociągnąć za sobą korzystną zmianę wyposażenia, wyprowadzić mnie z niewoli, którą miałam wypisaną na twarzy.

Dawałam okręcać sobą, przymierzać sobie, coś trzeba było przecież zrobić gdy byliśmy razem i gdy bezpieczniej było nie zaczynać rozmowy. Było mi też właściwie miło, że Lucyna tak się mną praktycznie zajmuje, że jest jak dawniej opiekuńcza i serdeczna, i chociaż sama zdawałam sobie sprawę, że żadna z tych cienkich, barwnych powłok nie pasuje do mnie, że wyglądam w nich jeszcze gorzej, jeszcze dziwniej, posłusznie obracałam się, rozstawiałam ręce, przytrzymywałam brodą ześlizgujące się materie. Byłam jak poczwarka, która przegapiła stosowną dla siebie porę przeobrażeń, a teraz bez wielkiej wiary daje w siebie wmawiać, że jeszcze czas by wymieniła zrogowaciałą skórę na skrzydła motyla.

Z czym jabym zresztą nie rozstała się, co mnie trzymało w tym życiu, w tej skórze? Czego by Lucyna nie zrobiła ze mną, dawna Lucyna, ilu by mi nie ujęła lat, jakiej nie dodała urody? Otwarta walizka, wysypujące się z niej gałganki wprawiały mnie w nastrój jak przed wielką podróżą. Nie umiałam się ubierać, to prawda, nie umiałam żyć, ale, czy nie było od zawsze ustalone, że ona to wszystko potrafi za nas obie? Zostawiając mnie samą czy nie wiedziała co mi robi?

Ileż to razy w czasie nocnej pracy w kuźnierni, przy długim stole, w baraku o szczelnie pozamykanych, zaciemnionych oknach, krając trójkątnym nożem futra o ponaszywanych przy kołnierzu wspaniałych firmach, słuchałam, jak Lucyna za nas obie decyduje, które by do której pasowało? Przecież to ona, z podobnym do dzisiejszego ożywieniem, dokonywała pomiędzy nas rozdziału krojów, kolorów, gatunków, biorąc przy tym pod uwagę nie tylko swój własny gust i własne doświadczenie, którego zdążyła nabyć, bo zdążyła jednak przed tym wszystkim być młodą kobietą, lecz również gust Leszka, swojego męża, jego upodobania, tak że właściwie obydwójce bardzo starannie, z wielką miłością, z wielką wymyślnością tych marzeń, stroili mnie i czesali, przeobrażali w istotę piękną, wolną i szczęśliwą, istotę jaką bez nich nigdy nie mogłam być, ani przedtem ani potem, jaką nie byłam nigdy, tylko właśnie wtedy, gdy powietrze w baraku gęstniało i błamy futer, poruszane, przyprowadziły nas o kaszel i mdłości.

Już wtedy przecież w projektach tych prócz zachwyconej zgody nie umiałam wziąć innego udziału, nic nie miałam do powiedzenia na ten temat, nic mi moja własna wyobraźnia nie podpowiadała, bo ja nie zdążyłam być nikim i tylko to mogłam mieć, tylko tego pragnęłam, co mi oni z siebie dawali. I powinna chyba domyśleć się teraz, gdy mnie tak na poczekaniu pragnęła upiększyć i przeobrazić, gdy ją tak raziliam, że to właśnie

pamięć tych sukien i fryzur, pamięć tej wyprawy, którą dla mnie w długie godziny nocnej zmiany z takim namysłem, z takim znanstwem kompletowali, była przyczyną mego zubożenia i zeszywnienia, które potem żadnym samodzielnym wyborem nie pozwalało mi się cieszyć. Było mi wszystko jedno co noszę, tak jak było mi wszystko jedno co robię, ponieważ i tak nic nie mogło równać się wspólnej przyszłości, którą w te same nocne godziny nad błamami mdłących futer dla siebie i dla Leszka zestawialiśmy i komponowaliśmy.

Jej — wyjdź z obozu — obecne, znaczyło więc: zostaw to wszystko. Odejdź ode mnie, tak jak ja od ciebie odeszłam. Przestań czekać. Przestań liczyć na mnie.

Na poręczach wszystkich krzeseł wisały te szmatki, pachniały mocno w ciemnościach i teraz dopiero w ich niemej maszaradzie dopatrzyłam się takiego szyderstwa, takiego oszukaństwa, że przyszło mi do głowy wstać i pociąć je naszym nożem kuśnierskim, który leżał pod ręką, na nocnym stoliku, tak jak kiedyś cięłyśmy na strzępy nazbyt piękne futra. Jeśli zmieniałam się, skurczyłam, poszarzałam — leżało to na linii życia, na jakie mnie skazała. Ale ona? Co ona ze sobą zrobiła?

I znów widziałam scenę na dworcu, ciemny kark tego mężczyzny, ręce Lucyny zaciskające się na jego ramionach, jej rozrzucone włosy, przymknięte oczy, a potem jej wstyd, zmieszanie, gdyśmy razem jechali do domu i jej bezsilność wobec tego, co poddawało ją pod władzę każdego z takich spotkań. Ona, która łapała mnie za rękę, gdy chciałam brać chleb od Michaliny nie zdając sobie sprawy ile to kosztuje, albo gdy schylałam się po niedopałek ciśnięty na drogę przez żołnierza, teraz dawała mi lekcję pokazową palenia niedopałków, jedzenia odpadków. Bo gdyby chociaż była przy tym szczęśliwa! Gdyby nie musiała tak strasznie wstydzić się przede mną! Gdy odwracała oczy, gdy jękając się, szukała kłamstw, wykrętów, byle wyrwać się na tę noc beze mnie do miasta, cierpiałam za nas obie.

Znalazłam się chyba jednak w pewnym momencie na samej granicy snu i tak cała ta sprawa, zawarta pomiędzy dwoma snami, we snach, w przewidzeniach znajdowała właściwszy wyraz niż na jawie. To był sen, bo nie zdziwiłam się wcale, kiedy znowu w ciemnościach pochylił się nade mną Leszek. Znowu szumiało dokoła, rzeziło, ale nie były to oddechy śpiących na sąsiednich pryczach. Leżałam na pustyni, a przede mną piętrzyło się skamieniałe morze, którego otwartym dnem, jak skalną rozpadliną ciągnął potykając się, lamentując wielki pochód uciekinierów. To była ostatnia chwila, już fale zwieraty nad ich głowami kamienne muszle i kędziory. Nie byłam jednak zdolna postąpić kroku z wielkiego głodu i osłabienia.

— Daj — mówiłam do Leszka i nie mogłam się doczekać. — Prędzej, póki Lucyna w łazience.

Bo nie straciłam wcale poczucia, tak śniąc, gdzie jestem, że u siebie, że to deszcz poruszany wiatrem tak się cisnie i bije o szyby, że to przeciąg tak sunie środkiem mojego pokoju, że

Lucyna jest, że przyjechała. Unosiłam się na poduszce, podawałam twarz ku temu, co miał dla mnie zbawczego i posilnego i naprawdę coś nasuwało się, coś zbliżało, jak wtedy, kiedy ręka Michaliny szukała mnie z chlebem.

Wreszcie poczułam na języku smak, którego pragnęłam. Nie był to jednak chleb, którego gliniasty miąższ tak trudno było jeść po kryjomu. To było małe ziarenko, moje stracone ziarenko z rękawa. Rozpłynęło mi się w ustach.

— A więc to taki smak — pomyślałam z ulgą i obróciłam się ku Lucynie.

Leżała koło mnie, drobna i ciepła, przesiąknięta zapachem nocnych godzin, papierosów, tych swoich perfum bez miary i alkoholu. — Jest pijana — pomyślałam i odsunęłam się by jej nie dotykać. Spała twardo, jej profil odcinał się już wyraźnie w szarości dnia i widziałam, jak na odrzuconej do tyłu szyi pulsuje tętnica.

Było więc naprawdę w mojej mocy zatrzymać to życie, które płynęło, szemrało pod skórą w zamkniętym swoim obwodzie, do którego miałam przecież większe prawo niż ktokolwiek inny na świecie. Było w mojej mocy zatrzymać ją w tym właśnie punkcie życia na tym skrzyżowaniu, zanim znowu czas nie przekreśli się, zanim znowu godziny nie zaczną liczyć się dla nas osobno, inaczej. Nie wiem jak długo trwałam tak nachylona nad nią, wsparta na łokciu, aż zdrewniał mi i wypełnił się mrówkami. — Razem! Razem! — dawny krzyk wewnętrzny ogłuszał mnie, jak kiedy apel kończył się i nie wiedziałam, czy nasze numery znajdują się na jednej liście.

Trójkątny nóż kuśnierski mimo pozorów był jeszcze bardzo ostry. Ścisnęłam go tak mocno w rękę, nie zdając sobie z tego sprawy, że w pewnym momencie na policzek jej upadła ciężko kropla krwi. To ją **zbudziło**.

Nie wstając z łóżka przyglądałam się jej pakowaniu. Zerkałam w moją stronę bez wielkiego przestachu, ze wstydem raczej, z przygnębieniem, ściągając z poręczy krzesła pstre swoje sukienki, wrzucała do walizki słoiki, flakony i znowu pokój mój zrobił się porządnym, pustym, jakby nikt w nim naprawdę nie mieszkał, jakby się jego mebli żadne życie nie imało. Deszcz ustał i słońce świeciło, kiedy usłyszałam na dole, na pustej jeszcze ulicy oddalające się kroki.

Ja wierzę jednak, że to zrobiłam. Woreczek z łyżkami, ręcznikiem i nożem wyrzuciłam, tak jak się wyrzuca dowody zbrodni. Nie pisuję listów, nie czekam, nawet nie mam znaczących snów. Mówią mi, że jestem chora, łykam czasem jakieś pigułki. Czyż zdrowie, życie znaczy nie oglądać się za siebie, tylko dążyć naprzód? Spojrzenie wstecz kosztowało mnie już nazbyt wiele, ale cóż, przede mną morze zawarło ostatecznie kamienne podwoje. Zresztą na drugim brzegu jest także pustynia.

Zofia ROMANOWICZ

## Archiwum polityczne

### Czy Niemcy wrócą na Wschód?

Czy charakter narodowy ulega przemianom? Czy na przykład fakt, że Polska geograficznie „przesunęła się” na Zachód wywrze z czasem formatywny wpływ na nasz charakter narodowy?

Polski wschód produkował specjalny typ Polaków. Osobiście nie wyobrażam sobie by Ksawery Pruszyński, bracia Mackiewicz, Miłosz czy Waclaw Zbyszewski mogli urodzić się i wychować w Katowicach. Czy to oznacza, że utraciwszy polski wschód utracimy równocześnie typ Polaka reprezentowany przez zacytowane powyżej nazwiska?

Czy istnieją realne przesłanki do wniosku, że charakter narodowy Niemców ulegnie przemianie? Od odpowiedzi na to pytanie zależy niezmiernie wiele. Tylko bowiem zakładając tę przemianę można myśleć o nowej epoce w stosunkach polsko-niemieckich.

Karl Rabson, korespondent „The Economist” w Bonn w jednym ze swych artykułów opisał następujący, jakże charakterystyczny, epizod. W roku 1940 ktoś ofiarował mu książkę pt. „The Spirit of Man”. Jest to antologia zredagowana przez Roberta Bridges, którą wydano w czasie pierwszej wojny światowej by krzepić ducha w narodzie brytyjskim, walczącym wówczas przeciwko Niemcom. Na początku drugiej wojny światowej wydano antologię powtórnie bez jakichkolwiek zmian. Bridges nie uważał nawet za potrzebne przededagować swej przedmowy z pierwszego wydania. Niemcy nie zmienili się i antyniemiecka antologia po dwudziestu latach była równie aktualna jak w 1914 roku. Czy za następne 20 lat przyjdzie nam robić trzecie niezmienione wydanie tej antologii — zapytuje melancholijnie Rabson.

Ileż to mowa o niemieckim charakterze narodowym nieodmiennie pada słowo: Prusy. Przez prusactwo rozumiemy ów

zespół cech charakterologicznych, które z Niemców czynią złych sąsiadów. Polskiemu czytelnikowi nie ma potrzeby katalogowania tych cech. Niestety są nam wszystkim zbyt dobrze znane. Warto może jednak podkreślić, że w aspekcie politycznym prusactwo wyraża się pewną konkretną tradycyjno-historyczną postawą. Winston Churchill w jednej ze swych ostatnich mów parlamentarnych nazwał Adenauera największym po Bismarcku kanclerzem Niemiec. Jeżeli ów komplement miał zawierać również porównanie — to analogia jest całkowicie chybiona. Adenauer jest katolikiem i pochodzi z Nadrenii. Jest w pełnym tego słowa znaczeniu Niemcem zachodnio-europejskim. Skłonny jestem przypuszczać, że prof. A.J.P. Taylor ma słuszość twierdząc, że Adenauerowi bardziej zależy na jedności zachodniej Europy niż na zjednoczeniu Niemiec. A Bismarck? Bismarck gdyby żył dążyłby uparcie i konsekwentnie do zjednoczenia wszystkich ziem niemieckich.

Jest rzeczą wysoce pouczającą spojrzeć na mapę Prus w jej granicach terytorialnych sprzed r. 1866. Może zbyt ryzykowny byłby sąd, że Prusy są w pewnym stopniu naszym dziełem. Faktem natomiast jest, że nie umieliśmy rozwiązać tego problemu i tego dziejowego zadania dokonała za nas Rosja. Sowiety zlikwidowały Prusy. Te Prusy, które były kolebką niemieckiego militarysty i pan-germanistycznej ideologii aż po Hitlera. Czy można mówić o zjednoczeniu bez pruskiej zjednoczycielki? Czy mogą odrodzić się Prusacy i prusactwo bez Prus?

W jesieni owego pamiętnego 1945 roku, przeprowadzono na obszarze Prus reformę rolną bez odszkodowania. Pruskie junkierstwo znalazło się jednego dnia dosłownie bez miejsca pod słońcem. W Polsce, komunistyczna reforma rolna była tylko wyciągnięciem poduszki spod głowy umierającemu. Wprawdzie w roku 1939 istniało jeszcze w Polsce 12 tysięcy obszarów dworskich, ale nasze ziemiaństwo grzęznące w długach i w zacołaniu, politycznie nie reprezentowało żadnej siły ani żadnej myśli.

Junkierstwo pruskie odlane było z innego kruszcza. Do końca stanowiło model autorytatywnego, nacjonalistycznego społeczeństwa i pełniło rolę elitarnego „obszaru rekrutacyjnego” dla armii i administracji państwowej. Żadna z reform rolnych przeprowadzonych w Europie nie miała w sensie historycznym tak rewolucyjnego charakteru. Junkrowie pruscy jako warstwa społeczna przestali istnieć.

Gdyby wyobrazić sobie geopolitycznie absurdalną sytuację, a mianowicie, że Prusy znalazły się po wojnie w sferze wpływów Zachodu — profil współczesnych Niemiec kształtowałby się dziś zupełnie inaczej.

Tak jak my nie będziemy już nigdy mieli Wołodyjowskich, których „wielbłądy chodziły po stepie”, tak Niemcy nie będą już nigdy mieli pruskich junkrów, nosicieli tradycji krzyżackich.

„Drang nach Osten” — tak polski jak i niemiecki skończył się definitywnie.

Człowiek, któremu utną nogę przez wiele lat odczuwa chłód lub ciepło w kończynie, którą stracił. Żywy organizm potrzebuje czasu do oswojenia się z każdą nową sytuacją. Byt nie określa świadomości. Byt zawsze wyprzedza świadomość.

Czesław Miłosz w jednym ze swych szkiców zwrócił uwagę na fakt, że dawna Rzeczpospolita w jej granicach z 1772 — jako państwo obecne w odczuciu swych obywateli — zaczęła się rozpywać dopiero po roku 1863. I równie słuszną jest uwaga, że antypolskie wiersze Puszkina były fragmentem rozprawy z rywalem o panowanie nad wschodnią Europą. Rywalem pokonanym, ale nie pogodzonym ze swoim losem. Jeszcze kijowska wyprawa Piłsudskiego należy do tego kontekstu historycznego. Była dziełem „niepogodzonych”.

A myśmy się pogodzili. I Niemcy z czasem się pogodzą. Pruska epoka i tradycja w historii Niemiec należą do przeszłości. Odcięcie od Niemiec Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska — było nie tylko przemyślaną akcją odwetową. Rosji chodziło przede wszystkim o wydarcie Niemcom historycznej bazy wypadowej „marszów ku wschodowi”. W ten sposób Rosja zlikwidowała drugiego z kolei rywala w walce o władzę nad europejskim wschodem. Pozostała na placu sama i zwycięska.

Ogrom klęski Niemiec najplastyczniej uzmysławia fakt, że po tysiącu latach „Drang nach Osten” znalazł się dokładnie w punkcie startu. Wystarczy spojrzeć na mapę by się o tym przekonać. Dziesięć wieków „Ostpolitik” leży w gruzach. Na placach i zieleńcach wrocławskich grają w piłkę nożną chłopcy urodzeni w tym mieście, którzy nawet nie wiedzą, że ich rodzinny gród nazywał się kiedyś „Breslau”. Junkierskie zamki obrasta trawa. Taki zamek — jak informowała prasa krajowa — można kupić za symboliczną złotówkę, ale mimo zachęcającej ceny — nabywców brak.

Wydawać by się mogło, że tego rodzaju klęska i przewrót winny wyrwać formatywny wpływ na psychikę narodu niemieckiego. W moim przekonaniu poważne przemiany już nastąpiły, a przywiązywanie przesadnej wagi do krzykliwej propagandy rewizjonistycznej utrudnia dostrzeżenie tych nowych rysów.

Rewizjonizm idzie w dwóch kierunkach. Rewizjonizm terytorialny, nacjonalistyczny — prowadzony jest nakładem wielkich kosztów i przy błogosławieństwie rządu w Bonn — zarówno na poziomie „propagandowo-ziomkowskim” jak i na poziomie naukowym. Göttinger Arbeitskreis — Instytut Herdera — dziesiątki instytutów w Bonn, Monachium, Kolonii itd. — produkują tony rewizjonistycznej literatury i tuziny rewizjonistycznych periodyków.

Ale istnieje również i drugi typ rewizjonizmu, zmierzający do wypracowania nowej, radykalnie antytradycyjnej koncepcji

polityki niemieckiej. Ten prąd jest jeszcze bardzo wąty, ale do niego należy przyszość.

Polacy i Niemcy są narodami o wielkim i — powiedzmy ogólnie — przewrażliwionym poczuciu narodowym. W obu społeczeństwach terror narodowego, tradycyjnego konformizmu odgrywa olbrzymią rolę. Jakiej trzeba odwagi by na łamach polskiego emigracyjnego pisma podjąć nieśmiałą próbę zbliżenia polskiego i ukraińskiego punktów widzenia w sprawie Lwowa. Natychmiast podnosi się krzyk. Następują protesty, uchwały — kłątwa. W „Kulturze” znamy ten proceder z własnych doświadczeń.

Analogiczna sytuacja panuje w Niemczech zachodnich. Publicysta, który by wystąpił twardo i otwarcie przeciwko rewizjonizmowi, który by domagał się uznania granicy na Odrze i Nysie — znalazłby się jednego dnia nie tylko poza nawiasem ale i bez chleba. To samo dotyczy historyków, profesorów itp. Intelktualiści są wszędzie do wynajęcia i charakteryzuje ich raczej oportunist, a nie cywilna odwaga.

Staraniem Zachodniej Agencji Prasowej i Rady Naczelnej TRZZ — ukazują się w Kraju przekłady materiałów pierwszego i drugiego Seminarium Wschodniego Wyższej Szkoły Nauk Politycznych w Monachium. W materiałach tych — nie wyłączając wykładów prof. Dr. H. Kocha — roi się od „nieporozumień” i irytujących wypaczeń.

Ale jakież obiektywizm my przeciwstawiamy wypowiedziom prof. Kocha i jego kolegów?

Ukazała się niedawno w Kraju „Mała Encyklopedia Powstania”. Encyklopedię firmuje kolega po fachu Dr. Kocha, bo również profesor uniwersytetu i historyk, dr Bogdan Suchodolski. W tejże encyklopedii koszmarną zbrodnię katyńską przypisano Niemcom.

Po tej stronie barykady zarówno Polacy jak i Niemcy zdają sobie sprawę, że w Polsce Ludowej nie można opublikować historycznej prawdy o Katyniu. Ale jak się ma do wyboru fałsz lub milczenie — należy wybrać milczenie. Katyń należało w ogóle pominąć — ale prof. Suchodolski i jego współpracownicy ze względów oportunistycznych opublikowali sowiecką brednię i nie zawahali się swoimi nazwiskami zażywać obrzydliwego historycznego fałszu.

Jak długo w Polsce ukazywać się będą tego rodzaju wydawnictwa, jak cytowana „encyklopedia” — współpracownicy zastużonej skąd inąd Agencji Zachodniej, historycy i publicyści — nie będą mieli moralnego prawa piętnowania fałszów historyków niemieckich.

Na tym większą uwagę zasługują głosy autentycznego rewizjonizmu historycznego — tj. rewizjonizmu doktryny, a nie granic. Wymienić tu należy przede wszystkim odważną książkę Paula Wilhelma Wengera pt. „Wer gewinnt Deutschland?” Tom liczący 500 stron zasługiwałby niewątpliwie na obszernie

omówienie. W tym artykule chciałbym poruszyć tylko pewne problemy pracy Wengera, które bezpośrednio wiążą się z interesującym nas tematem.

Autor jest daleko większym realistą jako historyk, niż jako polityk. Jego krytyczna analiza niemieckiej polityki ekspansji, oceny takich postaci jak Fryderyk II, Bismarck, Hitlera — są wnikliwie i nowe. Książka obfituje w doskonałe, lapidarne ujęcia. Weźmy dla przykładu następujące tezy: „Niemcy znacjonalizowały się bardzo późno, ale za to najstraszliwiej”. „Przejęcie przez Prusy hasła Rewolucji Francuskiej o „jednym, niepodzielnym narodzie” — w konsekwencji zatomiło Europę”. Albo takie stwierdzenie: „Pruskie Niemcy były zawsze zbyt silne na pokój, a zbyt słabe na wojnę, którą w konsekwencji prowokowały”.

Poczucie realizmu zawodzi jednak Wengera, gdy w oparciu o krytyczną analizę przeszłości formułuje plany polityczne na przyszłość.

Autor odrzuca kategorycznie tradycyjną unitarną koncepcję polityki niemieckiej, która w rezultacie przyniosła hitleryzm z jego hasłem „Ein Volk, ein Reich, ein Führer”. Owey pan-germanistycznej doktrynie Wenger przeciwstawia koncepcję federacji europejskiej, opartej o zasadę równi z równymi — wolni z wolnymi.

Pięknie — ale jak ów program federacyjny zrealizować? W tym właśnie punkcie kończy się Wenger publicysta i historyk a zaczyna się Wenger — autor fantastycznych powieści.

Niemcy winny podjąć inicjatywę — pisze autor omawianej pracy — i przekonać mocarstwa zachodnie o konieczności rewizji granicy polsko-sowieckiej, bo... inaczej Wrocław nigdy nie wróci do Niemiec.

Wydaje mi się zbędne przytaczać szczegółowo wypracowany schemat przyszłej granicy polsko-niemieckiej wraz z „wolnymi miastami” Królewcem i Szczecinem. To wszystko jest po prostu bez sensu.

Podstawą realistycznego myślenia politycznego musi być zawsze trzeźwa ocena sytuacji obecnej, aktualnej. Planowanie jutra możliwe jest tylko w oparciu o bezbłędną analizę dnia dzisiejszego. Ponieważ dzień dzisiejszy nie przedstawia się zachęcająco, dlatego tak trudno zdobyć się nam na realizm. Ale innego wyjścia przed nami nie ma. Realizm nie przestaje bowiem być realizmem nawet wówczas, gdy jest pesymistyczny.

Wszelkie rozważania na temat przebudowy „węzła środkowo-wschodnio-europejskiego” — trzeba rozpocząć od lakonicznego stwierdzenia, że możliwości w tym względzie są bardzo ograniczone. Niemcy winny zrozumieć, że pozycja Rosji w Europie środkowo-wschodniej nie jest wynikiem ciemnych machinacji w Teheranie czy w Jałcie — lecz jest konsekwencją siły. Rosja jest najsilniejszym państwem w tym rejonie i jeżeli wyłączamy wojnę — ów fakt uznać trzeba za czynnik stały.

Wenger sądzi, że gdyby Polska odzyskała Lwów — wytworzyłoby to klimat umożliwiający pokojowe uregulowanie granicy polsko-niemieckiej. W moim przekonaniu zachodni męźowie stanu nie będą nigdy w możności — bez ultimatum atomowego — domagać się od Rosji cofnięcia się na granicę z 1939 roku. Nie sądzę również, by istniał jakikolwiek związek przyczynowy pomiędzy Lwowem a Wrocławiem. Lwów jest zagadnieniem polskim i ukraińskim, ale w żadnym wypadku nie jest zagadnieniem polityki niemieckiej.

Można oczywiście snuć plany w oparciu o domniemanie, że kiedyś dojdzie do wojny, którą Zachód wygra. Jeżeli jednak przyjmiemy w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, że do wojny prawdopodobnie nie dojdzie — należałoby rozważać tylko takie plany przebudowy, które można wynegocjować przy stole obrad. Wszystko inne jest nierealne. W żadnej ze stolic świata nie ma takiego stołu, przy którym można by od Rosji wynegocjować powrót do granic z 1939 roku. To byłaby kapitulacja. Nikt nie kapituluje jeżeli nie jest do tego zmuszony siłą. Niemcy powinni wiedzieć o tym lepiej niż kto inny.

Obserwując powojenną politykę Sowietów w stosunku do Niemiec — trudno oprzeć się wrażeniu — że Rosja nie tylko nie zamierza wycofać się ze Lwowa — co proponuje Wenger — ale zdecydowana jest zatrzymać Prusy, Pomorze i Śląsk w sferze swojego bezpośredniego wpływu. Taktyka sowiecka w Genewie zmierza do zdobycia uznania dla rządu wschodnio-niemieckiego. Do czego to jest Moskwie potrzebne? Z chwilą, gdy będą istniały dwa międzynarodowo uznane rządy niemieckie — wówczas teza sowiecka, głosząca że zjednoczenie jest problemem wewnętrznym niemieckim, zyska nieodpartą siłą argumentacyjną. Rząd wschodnio-niemiecki międzynarodowo uznany — a będący sojusznikiem Rosji — nie zgodzi się oczywiście nigdy na inne zjednoczenie jak tylko na warunkach sowieckich. Moskwa będzie mogła wówczas spokojnie umyć ręce i oświadczyć: „istnieją dwa suwerenne rządy niemieckie i ich rzeczą jest wypracować formułę zjednoczenia. My się do tego nie mieszamy”. Nie będzie można wtedy wysuwać zarzutu, że Rosja uniemożliwia zjednoczenie bo całą brudną robotę torpedowania porozumienia weźmie na siebie p. Ulbricht. W ten sposób do zjednoczenia nie dojdzie „z winy samych Niemców”.



Istnieje jeszcze inny moment, który we wszystkich planach federacyjnych musi być uwzględniony, a mianowicie moment psychologiczny.

W pierwszych latach ubiegłej wojny idee federacyjne po tej linii frontu były w wielkiej modzie. Pisaliśmy o „Miedzymorzu”, o federacji środkowo-wschodnio-europejskiej itp. Równocześnie jednak, w dziesiątkach artykułów i dziesiątkach broszur rozpylaliśmy się nad wspaniałością i rozmachem idei

jagiellońskiej. W naszym nacjonalistycznym upojeniu nie zdawali sobie sprawy, że dla naszych przyszłych kandydatów do federacji idea jagiellońska ma zupełnie inny wydźwięk niż dla nas. Myśmy myśleli o historycznych świetnościach, a Ukraińcy o... pacyfikacji. My śpiewamy „Obok Orła znak Pogoni” — ale współczesnych Litwinów ten typ tradycyjnego polskiego sentymentu napęla wielką nieufnością.

Dla profesora Kocha tysiącletnia niemiecka misja na słowiańskim wschodzie — to piękne miasto założone na prawie magdeburskim — sławni drukarze — uczeni w piśmie — cywilizatorzy świeccy i duchowni. Ale dla nas — Polaków współcześnie żyjących, — owa „misja” to Oświęcim — Generalne Gubernatorstwo i Gestapo. I tego nie odrobiją żadne książki. To może odrobić tylko życie.

Wenger — choć w pełni doceniając zarówno jego odwagę, erudycję jak i wspaniałą krytycyzm — nie zdołał jednak uniknąć pewnej zasadniczej sprzeczności. Nie można mówić o federacji i rewizjonizmie terytorialnym równocześnie. To tak jakby Polacy proponując Ukraińcom federację, zgłaszali pretensje do Kijowa, który niegdyś należał do Polski.

Rewizjonizm niemiecki w jego obecnej postaci jest nie tylko nonsensem ale i nonsensem wysoce szkodliwym. Plan rewizjonistów mogłyby być zrealizowane tylko w drodze zwycięskiej wojny. Jeżeli Niemcy rezygnują z użycia siły — tym samym de facto rezygnują ze swych pretensji terytorialnych. Podtrzymując jednak w teorii owe roszczenia — żywią dniem i nocą niewygasłą jeszcze w Polsce nienawiść do Niemców i dają komunistom bezcenny argument w ich propagandzie sojuszu z Rosją.

W współczesnym rewizjonizmie niemieckim jest również coś fałszywego. Nie mogą oprzeć się wrażeniu, że Niemcy zmienili się znacznie gruntowniej niż zechcieliby to przyznać eksperci z wszystkich Ost-Institutów. Rewizjonizm jest ruchem propagandowym nakręcanym „odgórnie” z coraz węższym pokryciem w odczuciu szerokich mas zachodnio-niemieckich. Odprusaczenie Niemiec nie mogło minąć bez echa i bez wpływu.

Czy dla Niemców istnieje możliwość powrotu na Wschód — jeżeli wyłączą wojnę?

Odbudowa pozycji Niemiec vis à vis narodów wschodnio-europejskich musiałaby się zacząć od radykalnej re-orientacji polityki niemieckiej. Uzbrojone, atomowe Niemcy nie mają żadnej szansy przełamania muru nieufności i podejrzeń. Nie mają również żadnej szansy zmiany układu w Europie wschodniej.

Gdyby natomiast Niemcy przyjęły dobrowolnie postawę neutralną miałyby możliwości rozluźnienia „żelaznej kurtyny”. Nie jest wyłączone, że w zamian za demilitaryzację Niemiec Rosja zgodziłaby się na włączenie do pasa neutralnego również Polski, Czechosłowacji i Węgier.

Jestem przekonany, że gdyby tego rodzaju konstrukcję powiodło się stworzyć — po dziesięciu czy piętnastu latach w ramach pasa neutralnego powstałyby zupełnie nowe sąsiedzkie stosunki. W takim układzie kompleks nieufności do Niemiec rozładowałby się w sposób organiczny i naturalny.

W rejonie środkowo-wschodnio-europejskim mamy na wokandzie około 30 zatargów terytorialnych oraz kocioł nacjonalizmów. Przebudowa obecnego układu musiałaby się rozpocząć od „odnacjonalizowania” całego rejonu środkowo-wschodnio-europejskiego. Niemcy przyjmując dobrowolnie politykę neutralności miałyby szansę stać się osią krystalizacyjną nowego układu, reprezentując wielki potencjał gospodarczy i wysoką kulturę technologiczną.

Nigdy nie będzie już Prus — junkrów, ani prusko-śląskiej bazy wypadowej. Unitarna koncepcja polityki niemieckiej utraciła raz i na zawsze swój fundament. Po dziesięciu wiekach „krwi i żelaza” Niemcy zostali odrzuceni na punkt startu. Byłoby szaleństwem i głupotą gdyby z uporem ślepców podjęli wschodnią próbę ponownie. Jeżeli jednak Niemcy rozumieją swą lekcję historyczną — mogą odegrać w przyszłości wielką rolę w Europie. Zneutralizowane granice wschodnio-europejskie nie będą stanowiły przeszkody dla neutralnych, zdemilitaryzowanych, dobrych niemieckich sąsiadów. Innej drogi powrotu na Wschód dla Niemców nie ma.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

## Kronika angielska

### GRZEBIĄC W POPIOLACH I W CELOFANACH

W tym roku minie 20 lat od klęski wrześniowej. Na przestrzeni tych dwu dziesiątków lat ukazało się wiele opracowań, relacji i pamiętników. Podejmowano próby ustalenia winy — krytykowano dowództwo — politykę zagraniczną — zachodnich sprzymierzeńców i... zdumiewającą pogodę jaką owej jesieni obdarzyły nas nieba.

Faktem jest jednak, że na emigracji — a więc w atmosferze zdawać by się mogło całkowitej wolności — nikt do tej pory nie ośmielił się skonkretyzować wniosków, które wypływają z historycznej lekcji wrześniowej.

Wniosek numer 1 brzmi następująco: Polska nigdy nie może prowadzić wojny na dwa fronty. Ten truizm powtarza dziś wielu. Ale to oczywiste stwierdzenie jest pustym dźwiękiem dopóki nie jesteśmy gotowi przyjąć wynikających z niego logicznych konsekwencji. W praktyce oznacza

to bowiem, że z jednym z naszych potężnych sąsiadów musimy mieć przyjazne stosunki.

Odrzucenie powyższej tezy doprowadziło nas do politycznej schizofrenii. Katelbach w pamiętnikach wydanych przez „Kulturę” pisze: „...Przeżytałem wiadomość, która podziałała jak kojący balsam na wzburzone nerwy. Niemcy odebrali Charków”. Nie winię Katelbacha — przeciwnie, sądzę, że wykazał wiele cywilnej odwagi odnotowując ówczesne nastroje. Tak jak on myślało wówczas dziesiątki tysięcy Polaków nie tylko w Anglii, ale i w Afryce i na Środkowym Wschodzie.

Niemniej był to przecież patologiczny objaw. Niemców pod Charkowem uważaliśmy za de facto sojuszników — bo tylko sojusznikowi żyć się zwycięstwa. Tych samych Niemców w Afryce uważaliśmy za wrogów, a w Polsce za krwawych okupantów. Tej schizofrenicznej polityce przyświecała nadzieja, że Niemcy rozbiją Rosję — a Niemców z kolei rozbiją alianci.

Ponieważ Polska niepodległa powstała w okresie gdy Niemcy były pobite, a Rosja pogrążona w chaosie — za ideał narodowego szczęścia przyjęliśmy ów obraz, który patronował rodzinom drugiej Rzeczypospolitej. I jeszcze tu, na emigracji, w roku 1943 marzyliśmy o wskrzeszeniu panoramy z 1918 roku.

Logika wskazywałaby, że nie możemy być równocześnie antyrosyjscy i antyniemieccy i że wskutek tego musimy przynajmniej z jednym z naszych sąsiadów mieć przyjazne stosunki. Zwolennicy pro-rosyjskiej orientacji w Kraju starają się nadać realny kształt powyższej zasadzie.

Ci z nas, którzy na emigracji odrzucają pro-rosyjską orientację czynią to z dwóch przyczyn: po pierwsze warunkiem przyjaznych stosunków z obecną Rosją jest „friendly government”. Klauzula ta oznacza w praktyce rząd i ustrój komunistyczny. Po drugie istnieje tak olbrzymia różnica w potencjale sił Polski i Rosji, (no i metody sowieckie), że trudno sobie wyobrazić „przyjazne stosunki” wolne od dyktatu.

Ale odrzucając orientację pro-rosyjską nie wypracowaliśmy żadnej innej koncepcji. Gdyby na emigracji istniało ugrupowanie jawnie pro-niemieckie z całą pewnością nie należałbym do niego, ale musiałbym przyznać, że politycy ci zmierzają do wypracowania alternatywnej koncepcji politycznej.

Odrzucając orientację tak pro-rosyjską jak i pro-niemiecką — co nam właściwie pozostaje? Pozostaje nam tylko klisza z 1918 roku — to znaczy pobite Niemcy i pobita Rosja. Jak się to ma stać o tym wieszczowie milczą.

Jałowość, beznadziejność, znużenie emigracji tu mają swoje źródło. Tak zwany kryzys na emigracji to nie tyle rozłamy i wewnętrzne spory, ile pogłębiające się w masach emigracyjnych przekonanie — że zawiedliśmy jako partner. To znaczy — że polityce Gomułki nie umieliśmy nawet w teorii przeciwstawić jakiegś konkretnej koncepcji. Rzykuję w tym miejscu opinię, którą wielu uzna za absurdalną. Niemniej jestem pewien, że się nie mylę. Twierdzą, że usztywnienie stanowiska w stosunku do Gomułki, które obserwujemy w prasie emigracyjnej (nie wyłączając „Kultury”) — odzwierciedla poglądy redaktorów, a nie nurt opinii społecznej. Popularność Gomułki na emigracji nie maleje.



Kochamy się w niekonformistach właśnie dla tego, że wszyscy jesteśmy zatwardziałymi konformistami. I dlatego wymagamy, by nasi sztandarowi przedstawiciele, jak również organy prasowe, głosiły nonkonformistyczne hasła. Być może datuje się to jeszcze z tradycji zaborczej, faktem jest jednak, że Polak uważa, iż co innego jest tzw. „ton oficjalny”, a co innego praktyka dnia codziennego. Ten sam emigrant, który na takiej czy innej uroczystości będzie okłaskiwać podniosłe przemówienie prezesa czy generała — w prywatnej rozmowie wypowie się za „modus vivendi” z Krajem i z Gomulką. Emigracyjna polityka niepodległościowa to jest sztandar, który spoczywa w celofanie. A w cieniu tego sztandaru toczy się życie i „business as usual”. Polacy na emigracji, w swojej masie, przez tych 20 lat niezmiernie się upraktycznili. Lecz ten sam pan, który za paszportem brytyjskim odwiedza Polskę i poprzez swą firmę prowadzi z Krajem rozległe interesy handlowe — zachowuje sentyment dla swego pułku i czasem nawet zapłaci składkę. Ale to są echa młodości i z polityką nie ma to absolutnie nic wspólnego. Dla przytłaczającej masy pracującej i dorabiającej się emigracji — Instytut Gen. Sikorskiego — odznaczenia w szufladzie biurka — płaszcz wojskowy nadjezdzony przez mole — wszystko to jest melanz sentymentu i wspomnień. Jestem jak najdalszy od lekceważenia tej więzi. Kryzys młodych na emigracji polega m.in. na tym, że brak im jest wspólnego zaplecza. Koła pułkowe i przyjaźnie wojskowe bez jakichś form organizacyjnych — chronią do tej pory emigrację od atomizacji. Zawsze w sąsiedztwie mieszka dwóch albo trzech byłych żołnierzy i jest z kim wieczorem wypić szklanekę piwa i porozmawiać. Młody człowiek bez tych więzi, jeżeli nie zdoła wyrobić sobie przyjaznych stosunków wśród Anglików — gdy po pracy wróci do domu, jest sam. Według moich obserwacji młode pokolenie, które już weszło w życie zawodowe, jest bardziej samotne niż pokolenie nasze, wojskowe. I na tym tle następują charakterystyczny powrót młodych na „ojczyzny łono” — ale to jest zagadnienie odrębne.

Jeżeli powiedziałem powyżej, że proces akceptacji Polski Ludowej i Gomulki postępuje na emigracji — nie oznacza to bynajmniej, że popularność gen. Andersa proporcjonalnie maleje. Generał jest nadal najpopularniejszym człowiekiem na emigracji i to się nie zmieni. Te sprawy nie wykluczają się wzajemnie, ponieważ toczą się na dwóch różnych płaszczyznach. Emigracja nie uznaje PRL i Gomulki de iure, ale uznaje PRL de facto. Podróżujemy, handlujemy, pełno nas jest we wszystkich ambasadach i konsulatach — ponieważ jednak na te tematy zachowujemy dyskretne milczenie nie wszyscy zdają sobie sprawę z wymiarów tych kontaktów. I nie może być inaczej. To jest naturalny i normalny bieg rzeczy.

Grupa przywódców skupiona koło sztandarów w celofanie nie tylko nie ma szans wypracowania nowej koncepcji polityki emigracyjnej, ale w ogóle nie powinna podejmować takich prób. Ci sami emigranci, którzy są za jakimś „modus vivendi” z Krajem — oburzyliby się do żywego gdyby — powiedzmy dla przykładu — Generał Anders zmienił na jotę tenor swoich przemówień. Sztandary i wodzowie powinni pozostać w naszych wspomnieniach takimi jakimi są. Sentyment żołnierski odcina

tych ludzi od praktycznej polityki. Tacy ludzie jak Gen. Anders są dożywotnimi więźniami swojej przeszłości.

Próby wypracowania nowej koncepcji politycznej musieliby podjąć nowi ludzie.

Polityka to nie tylko logika i zdrowy rozsądek, lecz również psychiczna i charakterologiczna dyspozycja narodu. Przeciętny Polak na dnie duszy żywi niechęć i nieufność zarówno do Rosji jak i do Niemiec. W Kraju pro-rosyjska orientacja jest formą polityki akomodacji i wyrazem przystosowania się do narzuconych warunków. Na emigracji przejawiamy wrogi stosunek do Rosji i niechętny, pełen rezerwy stosunek do Niemców. Tego typu narodowej dyspozycji czyniłby zadość tylko status mocarstwowy. W gruncie rzeczy do tej pory nie nauczyliśmy się być małym państwem. Nie umiał tego Piłsudski, ani jego następcy. Mit mocarstwowy do dziś dnia stanowi zasadniczy element polityki niepodległościowej, tak jak tę politykę rozumie obóz piłsudczyków. Polska w granicach na wschodzie z 1939 roku — na zachodzie w 1959 roku — suwerenna, niepodległa, uzbrojona i od nikogo niezależna.

Nie mamy żadnych szans odbudowy mocarstwowego stanowiska Polski. Mit mocarstwowy należy wyłączyć z polityki niepodległościowej jako balast historyczny, nieprzydatny w współczesnej epoce. Jeżeli nie chcemy być satelitą ani Rosji ani Niemiec, a nie mamy możliwości stania się mocarstwem — jakaż jeszcze inna droga stoi przed nami otworem? W moim rozumieniu tą drogą jest neutralność. Niestety nie jesteśmy w pozycji Austrii i osiągnięcie statusu neutralnego byłoby dla nas rzeczą niełatwą. Ale o ile neutralność leży w granicach możliwości o tyle odbudowa mocarstwowości jest zwykłą mrzonką. Oczywiście Polska osiągnąć może status neutralny tylko łącznie z grupą państw, które oddzielałyby Rosję od Zachodu.

Neutralność dla Polaka wychowanego od kolebki na mocarstwowej strawie jest czymś nie tylko obcym i bez precedensu — ale równoznacznym niemal z „bezwartkową kapitulacją”. Polak na emigracji nie porównuje sytuacji Polski Ludowej z proponowanym statusem neutralnym — tylko porównuje mitologiczną mocarstwowość z neutralnością.

Polska wchodząca w skład bloku państw zneutralizowanych miałaby szanse podnieść się gospodarczo. Mimo, że produkcja w zasadniczych gałęziach przemysłu w przeliczeniu na cyfrę mieszkańców wzrosła niemal trzykrotnie — niemniej nie osiągnęliśmy jeszcze poziomu Stanów Zjednoczonych z roku 1900, ani poziomu Niemiec z roku 1920. W zasadniczych przemyślach jesteśmy opóźnieni o 50 lat — a nie brak wielkich pości krajów, które są opóźnione w rozwoju o 200 lat. Gdyby na skutek neutralizacji wydatki na armię i zbrojenia zostały zredukowane do minimum — pozwoliłoby to na dokonanie wielkiego skoku naprzód w gospodarce polskiej.

Należy wyjaśnić jeszcze jedno wielkie nieporozumienie związane z problemem neutralności. Naszym emigracyjnym mocarstwomcom, jak również pewnym politykom amerykańskim, wydaje się, że neutralność to „appeasement” i rezygnacja z „twardej” polityki w stosunku do Rosji. Trudno o sąd bardziej fałszywy. Tylko bardzo twardy i zdecydowany rząd amerykański miałby szansę wynegocjowania od Rosji statusu

neutralnego dla państw środkowo-wschodnio-europejskich i tylko twardy, nieustępliwy rząd amerykański mógłby zapewnić sukces tego typu politycznej konstrukcji. To nie jest ani inicjatywa ani plan dla chwiejnych uspokajaczy, którzy za ideał polityki uważają łatanie sytuacji od kryzysu do kryzysu.

Jeżeli chodzi o polski punkt widzenia to powinniśmy raz wreszcie zrozumieć, że nie wybieramy pomiędzy polityką „wyzwolenia” a polityką neutralności — tylko wybieramy pomiędzy ewentualną neutralizacją, a groźbą uznania przez Zachód status quo w Europie wschodniej.

Polityka niepodległościowa nie może być z jednej strony sztandarem w celofanie, a z drugiej strony bajeczką o kanarku, który chce pożreć dwa czyhające na niego koty. Status neutralny, który obejmowałby również Niemcy — pozwoliłby nam wreszcie wyjść z tego dylematu.

### ZBRODZIA BEZ WINNYCH

„Polish Perspectives” zamieściły piękny i interesujący szkic Kazimierza Brandysa pod angielskim tytułem „Aspects of our times”: Są to wrażenia autora z podróży po zachodnich Niemczech.

Brandys urzeczony jest procesem de-personifikacji poczucia winy. Hitleryzm w odczuciu współczesnego Niemca jest zbrodnią bez zbrodniarzy. Nikt nie chce przyznać się do tej „drugiej połowy” swojej osobowości, która wysługiwała się reżymowi hitlerowskiemu. Owe pół-winy i pół-odpowiedzialności — pisze Brandys — przybrały formę anonimową i określa się je bezosobowo słówkiem „wówczas”.

A jak jest u nas, w Polsce? Gdzież są winni zbrodni Bezpieki ujawnionych na VIII Plenum? Kto się chce dziś przyznać do tej „drugiej połowy” swojej osobowości — tej połowy, która wysługiwała się stalinowskiemu reżymowi?

W obu wypadkach działa ten sam mechanizm de-personifikacji winy. Za zbrodnie Bezpieki odpowiada „miniony okres” — lub jeżeli ktoś pragnie być bardziej dokładny „miniony okres błędów i wypaczeń”. „Miniony okres” jest również bezosobową formą gramatyczną, która pokrywa wstydliwie owe „pół-winy” i „pół-odpowiedzialności” tych, którzy połową lub całością swojej osobowości współpracowali ze stalinowskim systemem.

Brandys rozczarowany jest zachodnio-niemiecką powojenną literaturą. Podziela w pełni to rozczarowanie. Przyznaję mu również rację, że literatura ta nie przyniosła „katharsis” — nie stała się ogniem oczyszczającym.

Ale czy rosyjska lub polska literatura spełniły tę rolę?

Proces oczyszczenia — zapoczątkowany na XX Zjeździe — został zatrzymany. Przerażono się, że „katharsis” mogłaby sięgnąć zbyt głęboko i wstrząsnąć podstawami systemu.

„Wiemy” — pisze Brandys — „że z włosów pomordowanych kobiet można zrobić materace, ale stary nawyk każe nam wierzyć, że dusze pomordowanych ożyją na stronicach książek”.

Gdzie są te książki, w których ożyły dusze milionów sowieckich więźniów i łagierników? Brandys zapewne pamięta tragiczne, męczeńskie dzieje tow. Kedrowa, któremu dłuższy ustęp poświęcił Chruszczow w swym „tajnym” referacie na XX Zjeździe. Kedrow, którego los woła o pomstę do nieba i ziemi — zmartwychwstał na łamach książek, ale wydanych na Zachodzie, nie w Rosji.

Osobiście „starym nawykiem” wierzę również, że dusze pomordowanych, poniewieranych, krzywdzonych zmartwychwstaną kiedyś na stronach książek pisarzy rosyjskich, polskich i węgierskich. Ale — jak mówi Goethe — co ma żyć w pieśni, musi umrzeć w życiu. By zmartwychwstały ofiary musi wprawdzie zemrzeć system, który je mordował.

### CZY TO BYŁO POTRZEBNE ?

Stefan Korboński, autor doskonałej książki „W Imieniu Rzeczypospolitej” — która była jednym z „best-sellerów” Biblioteki „Kultury” nadesłał mi materiały, z których wynika bezspornie, że Roman Bratny pisząc swą trylogię „Kolumbowie — Rocznik 20” czerpał z książki Korbońskiego obiema rękami. Książka Bratnego ukazała się w trzy lata po wydaniu przez „Kulturę” „W Imieniu Rzeczypospolitej”. Z zestawień jednoznacznych fragmentów wynika, że Bratny wziął z książki Korbońskiego nie tylko fakturę historyczną, lecz również charakterystyczne epizody, postacie, barwy i smakowite szczegóły i sytuacje. Innymi słowy, oryginalnymi fragmentami dzieła Korbońskiego podbudował literacką atmosferę swojej trylogii.

W ramach tej notatki nie mam możliwości przytoczenia tekstów — ale podobieństwo tych „bliźniąt” jest uderzające.

Bratny wydając swą trylogię w Warszawie nie mógł oczywiście napisać we wstępie, że korzystał z książki Korbońskiego. Mógł jednak zaznaczyć, że korzystał z opracowań historycznych, nie wymieniając nazwiska autora. Domyślilibyśmy się wówczas kogo ma na myśli. Ale Bratny uważał widocznie, że w stosunku do pisarza emigracyjnego nawet taki gest jest zbędny.

LONDYŃCZYK

## Przegląd niemiecki

Zamykając w Getyndze semestralny cykl wykładów o historii drugiej wojny światowej, profesor Percy Ernst Schramm nazwał ostatnią jej fazę „najstraszniejszym czasem, jaki zna historia Niemiec, od najazdu Hunów

poprzez wojnę trzydziestoletnią". Dalej stwierdził, że świat „ześliznął się” w pierwszą wojnę, natomiast drugą rozpętał Hitler, a tym samym Niemcy. Zakończył zwracając się do znacznej większości obecnych, to znaczy do młodszych roczników, dla których nazwiska Hitlera czy Goeringa są tylko postaciami z nieprzeżywanej osobiście przeszłości:

„Młoda generacja może z całą słuszością zapytać nas, starszych, — Jak mogliście do tego dopuścić! Czy aż tak dalece zawiodło wasze pokolenie? My, starsi, musimy te zarzuty przyjąć. Możemy jedynie odpowiedzieć: Większość z nas nie miała możliwości dostrzec w porę tego co nadchodzi. Ale wy obecnie macie wszystkie możliwości badań i nauki. Nie będziecie mogli kiedyś powiedzieć: Myśmy tego nie wiedzieli...”

Jak z tych rzeczywiście niczym teraz nieskrępowanych możliwości badań i nauki skorzysta narastające pokolenie — przyszłość pokaże. Na razie dokonują się w Niemczech Zachodnich wielkie przemiany wewnętrzne i przewartościowywanie wielu poglądów. Stwierdzają to powstałe po wojnie, i cieszące się wzrastającym uznaniem, instytuty badań demoskopijnych. Przykłady:

Na pytanie „Jakbyś się zachował gdyby nowa nazi-partia próbowała dojść do władzy?” — więcej niż czwarta część wszystkich Niemców zrobiłaby wszystko możliwe, żeby do czegoś podobnego nie dopuścić; 26% byłoby przeciwnikami, lecz nie podejmowałoby jakiejś specjalnej przeciwakcji; 20% przyjęłoby to obojętnie. Pięć odniosłoby się przychylnie nie podejmując jednak współdziałania. Trzech na stu wspomagałoby utworzenie neo-nazi-partii, a 19% nie potrafi określić swego stanowiska.

W porównaniu z wynikami badań sprzed dwóch lat, antysemityzm jest w odplywie, mimo głośnych wybryków radcy szkolnego Zind'a i hamburskiego kupca Nieland'a. Obecnie 38% Niemców uważa obecność Żydów za fakt korzystny dla państwa. 22% jest odwrotnego zdania, a 40% nie potrafi dać zdecydowanej odpowiedzi.

Na pytanie czy istnieją jakieś wartości lub idee, dla których warto poświęcić życie, 42% odowiada, że nie istnieje nic co byłoby warte stawki życia; 25% jest zdania, że za Niemcy, za naród i za ojczyznę należy umierać. Ale 79% młodzieży odmawia dobrowolnej służby wojskowej, a 80% nawet w marzeniach nie myśli o zawodowej karierze w wojsku.

Zawodowa polityka nie jest w Niemczech popularna. Na pytanie: gdybyście mieli syna czy chcielibyście żeby został politykiem — 70% odpowiedziało: „Niechętnie”; 21% — „Obojętnie”, a 9% „Owszem”.

Popularność Adenauera jest bardzo duża: 26% Niemców uważa go za męża stanu, który najwięcej dał swemu krajowi. Na drugim miejscu jest Bismarck, którego 23% uważa za największą postać swej ojczyzny. 4% za taką postać uważa Hitlera.

Ilość książek wydawanych w Niemczech jest olbrzymia. W ostatnich trzech latach powyżej czterestu tysięcy tytułów rocznie. Nakłady studyjne nie są rzadkością. W ciągu kilku zaledwie miesięcy sprzedano ponad trzysta tysięcy egzemplarzy „Doktora Żiwago”. (Cena sześć dolarów!). Jednocześnie 35% „gospodarstw domowych” nie posiada żadnej książki, nawet do nabożeństwa, chociaż 78% wierzy w Boga.

## OCHRONA POMNIKÓW NIE CHRONI GENERALÓW

Jesienią 1954 roku rozgłośnia hamburska nadała słuchowisko obrazujące upadek Brestu w końcowej fazie drugiej wojny światowej. Autor słuchowiska uczestniczył w tej walce jako szeregowiec-telegrafista przy dowództwie, a w napisanym na dziesięciolecie słuchowisku barwnie i interesująco udratyzował dwa zagadnienia:

— Czy dowódcy wolno poświęcać tysiące żyć ludzkich w absolutnie beznadziejnej sytuacji, dla obrony pozycji leżącej setki kilometrów poza frontem i poza granicami własnego kraju?

— Czy rozkazy wysyłające na niechybną śmierć, a wydawane z dobruze ubezpieczonego schronu, wypływają wyłącznie z wewnętrznego bohaterstwa dowódcy i woli walki do upadłego w obronie wyznawanej idei, — czy też próżność, pycha, nadzieja na buławę i order, lub wreszcie tępota ślepego wykonywania odgórnych rozkazów, są decydującymi czynnikami.

Autor nie daje odpowiedzi na rzucone pytania, przypomina jedynie, że w obronie Brestu zginęło około dziesięciu tysięcy niemieckich żołnierzy, a strategiczne znaczenie walki — polegające na rzekomym związaniu większych sił alianckich — porównuje do szkody jaką odczuje Vanderbilt, gdy mu skradną sto dolarów.

Były dowódca obrony Brestu, emerytowany generał spadochroniarzy Bernard Ramcke, uznał słuchowisko za uwłaczające i oskarżył autora wraz z kierownikiem audycji o obrazę. Sprawa nabrała wielkiego rozgłosu i ciągnęła się kilka lat. Mozolnie odszukano i przesłuchano dwustu osiemdziesięciu świadków. Gdy wreszcie 26 lutego rb. do głosu doszedł prokurator, jego mowa oskarżycielska stała się obroną oskarżonych.

„Druga wojna światowa — mówił prokurator — głęboko skrzywdziła niemal każdego mieszkańca Europy i wielu na pozostałych kontynentach. Wojnę tę rozpętał ustrój, który we własnym kraju w barbarzyński sposób gwałcił zasady prawnopanstwowe. Uciemienieni wówczas ludzie żądają teraz rozrachunków od osobistości odpowiedzialnych. Generałowie nie podlegają dzisiaj ustawom o ochronie pomników i muszą się poddać krytyce”. W zakończeniu prokurator stwierdził że nie widzi w słuchowisku obrazy lub zniesławienia.

Wyrok uniewinnił obu oskarżonych. Według słów generalnego prokuratora w Hamburgu, proces ten stał się wielką demonstracją wolności przekonań i niezależności sądów. Może proces ten był także aktem wypełniania niektórych złych tradycji pruskiej generalicji? Ale to tylko domysł.

Ciekawy incydent. Gdy prokurator w pierwszej części swej mowy powiedział, że „nie ma chyba zawodu, który by przywiązywał większą wagę do zewnętrznego blasku niż wojskowi do barwnych mundurów do błyskotliwych orderów i oznak honorowych”, że „dopiero w ostatniej wojnie używano mundurów skromniejszych i nierzających, lecz i to ze względu na niebezpieczeństwo...” — przysłuchujący się rozprawie hamburski adwokat dr Wilhelm Heins, prezes miejscowego stowarzyszenia byłych spadochroniarzy, zerwał się z miejsca i gromko oświadczył: „Dłużej

nie mogę tego słuchać! Na znak protestu opuszczam salę i ze mną wszyscy spadochroniarze. Koledzy — za mną!”

W ślad za podnieconym adwokatem opuściło salę kilku mężczyzn. Przewodniczący zarządził przerwę, a po wznowieniu posiedzenia ogłosił wymierzenie krawiennemu prawnikowi 600 marek kary porządkowej. Zdaniem kilku świadków tego zajścia — było ono z góry ukartowane. No cóż, cyfry instytutów demoskopijnych wyraźnie wykazują możliwość takich incydentów.

## PRAWO CZY DYGNITARZE

W kwietniu zakończono w Bonn proces wytoczony dwóm dyplomatom niemieckim bardzo wysokiej rangi. Na ławie oskarżonych zasiadli: były wice-minister spraw zagranicznych, ostatnio prezydent Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, profesor Walter Hallstein, oraz ambasador niemiecki w Paryżu, Herbert Blankenhorn. Zarzucono im fałszywe obwinienie i zniesławienie rady ministerialnego Stracka.

Przyczyny procesu sięgają czasów pertraktacji z Izraelem o zawarcie umowy pojednawczo-odszkodowaniowej. Podówczas Hallstein był wice-ministrem, Blankenhorn kierownikiem wydziału politycznego w Urzędzie Kanclerskim (*Bundeskanzleramt*), a Strack kierownikiem referatu Bliskiego Wschodu w Ministerstwie Gospodarki. Na skutek rzekomych pogłosek, że Strack jest przeciwnikiem zawarcia umowy z Izraelem, oraz poufnego donosu, złożonego przez konsularnego attaché prasowego Egiptu, oskarżeni spowodowali zawieszenie w czynnościach radcy Stracka, nie sprawdzwszy należycie ani pogłosek, ani donosu Egipcjanina, zarzucającego Strackowi przekupstwo. Zdyskredytowany radca wystąpił na drogę sądową. Po kilku latach żmudnych badań i sensacyjnych debat sądowych zapadł wyrok. Blankenhorna skazano na cztery miesiące więzienia z dwuletnim zawieszeniem wyroku, oraz na zapłacenie 3000 marek grzywny na rzecz Czerwonego Krzyża. Hallsteina zwolniono z braku dowodów winy, Radcy Strackowi przyznano całkowitą rehabilitację.

Sprawa nie jest zakończona. Skazany wniósł apelację. Ale dalszy jej przebieg będzie już mniej ciekawy, jak również mniej interesujące są domniemane pobudki działania oskarżonych — prawdopodobnie troska o urczywistnienie układu pojednawczego z Izraelem. Waga procesu leży nie w meritum a w imponderabiliach. Proces ten wykazał że:

— Niezawisłość sądownictwa, nie zupełnie ustabilizowana za Republiki Weimarskiej, a całkowicie zdyskredytowana za czasów nacjonal-socjalizmu, staje się faktem dokonanym i czynnikiem równowagi w młodej Demokracji Zachodnio-Niemieckiej.

— Wynikające z historii Niemiec pewne skłonności do rządów nazbyt autorytatywnych spotkały się z najodpowiedniejszym przeciwdziałaniem, to znaczy ze zdecydowaną postawą niezależnego sądownictwa.

— Poddanie tak wysokich dygnitarzy orzecznictwu sądu pewno osłabiło powagę poszczególnych osób, ale na pewno wzmocniło autorytet zarówno rządów jak i sądów.

## ZBĘDNA PLAMA

Układ pojednawczy z Izraelem i postawa sądownictwa w opisanych procesach, stanowią dość niezrozumiały kontrast z plamą ciężącą od kilku lat na prawodawstwie zachodnio-niemieckim. Mowa o dyskryminacji tzw. „narodowo prześladowanych” w czasach nacjonal-socjalizmu. Czym się kierują odnośne czynniki, by sprawa ta w piętnastym roku po zakończeniu wojny nie mogła doczekać się należytej regulacji — trudno zgadnąć. Chyba nie małostkowymi względami finansowymi, gdyż postępowanie nawet najbardziej hojne nie wymagałoby sum astronomicznych. Względę polityczne natomiast — jeżeli w Niemczech nie traktuje się wschodnich sąsiadów za pozycje bezpowrotnie odpisane z Zachodniej Europy na rzecz Związku Sowieckiego — przemawiają za szybkim i pozytywnym usunięciem tego zgrzytu.

Na ten temat zmarnowano już mnóstwo papieru i wypowiedziano potoki ładnych i brzydkich słów. Sprawy jednak nie ruszono z martwego punktu i nie wykroczone poza obręb zjazdowych deklamacji.

## NIEMIECKI I POLSKI SŁOŃ

Pocziwy słoń bezsprzecznie jest poważnym łącznikiem niemiecko-polskim. Nie bez słuszności często wypomina się nam dowcip szeroko znany w Niemczech pod skrótem „Słoń a sprawa polska”. Nie możemy się jednak uskarżać, żeby nasi sąsiedzi nie dawali nam okazji do pożartowania sobie z ich słoniam, tego w składzie porcelany.

Ostatnio taką okazję daje nam Związek Wyszędleńców Sudeckich. Wznawia się tezę, że osławione układy monachijskie z 1938 roku nadal obowiązują, że przyłączone wówczas ziemie stanowią integralną część Niemiec, i tak dalej. Jak dotąd wszystko dobrze. Tezy można głosić jakie się komu podoba. Ale Sudetczycy sądzą, że powołując się na „monachijską” argumentację, zdołają zrobić na Zachodzie poważną propagandę dla swych tez!

Prawdopodobnie w związku z powyższą akcją sudetczyków, profesor Carlo Schmid oświadczył w interview udzielonym Radiu Bawarskiemu, że tylko pomylenie może myśleć o przyłączeniu Sudetów do Niemiec. Oczywiście takie oświadczenie wywołało wiele protestów różnych organizacji i prasy uchodźców. Protesty te jednak nie robią wrażenia powszechnej i spontanicznej reakcji. Raczej wyczuwa się w nich jakby wypełnianie uciążliwego obowiązku.

## DWA NOWE MIESIĘCZNIKI (1)

Zachodnio-Wschodni „Arbeitskreis” we Vlotho nad Wezerą zainicjował w listopadzie 1957 roku wydawnictwo skromnego początkowo

(1) West-Ost-Berichte, Bad Oeynhasen, Koblenzer Str. 3.  
West-Oestliche Begegnung, Berlin-Charlottenburg 9, Kaiserdamm 83/IV.

miesięcznika pod tytułem „West-Ost-Berichte”. Zadaniem pisma jest popularyzacja w Niemczech wiadomości o ich wschodnich sąsiadach. W ciągu półtorarocznej zaledwie działalności pismo zwiększyło objętość, zastosowało ozdobny papier i ilustracje, oraz interesującą treścią zdołało znacznie rozszerzyć swój zasięg. Dotychczasowa rzeczowość i obiektywizm w traktowaniu spraw wschodnio-europejskich pozwalają widzieć w tym piśmie poważnego partnera dyskusyjnego. Redakcją pisma kieruje Armin Dross, któremu zawdzięczamy kilka doskonałych tłumaczeń na niemiecki. Między innymi „Kontry” i „Drogi do nikąd” J. Mackiewicza, „Obozu wszystkich świętych” T. Nowakowskiego, a w niedalekiej przyszłości „Ferdurke” Gombrowicza.

W lutym r. ukazał się w Berlinie drugi nowy miesięcznik o podobnych celach, pod tytułem „West-Oestliche BEGEGNUNG” z podtytułem „Niemcy i ich sąsiedzi na wschodzie”. Pismo jest pomyślane jako ilustrowany magazyn publicystyczno-literacki, zajmujący się w pierwszym rzędzie zagadnieniami niemiecko-polskimi, z szerokim uwzględnieniem ogólnych zagadnień Europy Wschodniej. Wybór Berlina jako siedziby, oraz tytuł pisma „Spotkanie”, mają symbolizować ducha niepodległości i porozumienia. Według słów założyciela i redaktora, celem pisma jest stworzenie demokratycznej wolnej trybuny dla dążących do trwałego porozumienia niemiecko-polskiego, a nie do zaspokojenia nacionalnych ambicji.

S. W. KOZŁOWSKI

## AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe  
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

*Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych  
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.*

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:  
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue  
Toledo 7, Ohio  
U. S. A.

Kraj

## “Współczesność”

Na samym wstępie tego artykułu chciałbym się zastrzec, że w miarę możliwości będę starał się ograniczać do faktów i unikać komentarzy. Zdaję sobie sprawę, że fakty te nie wszystkim są na rękę, a historia „Współczesności” przez wielu jest przeinaczana, przekręcana, lub po prostu nierozumiana.

To, że drukuję niniejszy artykuł w „Kulturze” może stać się także pretekstem do wielu zarzutów, dlatego jeszcze raz muszę powtórzyć: taka właśnie była historia „Współczesności”, dobra czy zła, i nic na to nie mogę poradzić.

Dzieje „Współczesności” to splot nierozzerwalnie złączonych wydarzeń tragicznych i komicznych. Nasze perypetie, bezwątowania zabawne dla osób patrzących z dystansu, były przez nas odbierane śmiertelnie poważnie.

„Współczesność” była chyba jedynym pismem w krajach demokracji ludowych i Z.S.S.R. wydawanym prywatnie. Nie byliśmy też pismem żadnej organizacji, żadnego związku, lecz po prostu grupą ludzi. W tym kryła się nasza niezwykłość, która zdumiewała wszelkie oficjalne osobistości, z którymi mieliśmy do czynienia.

- Jak to, nikt was nie wydaje?
- Jak to, od nikogo nie zależy?
- Co, jesteście samodzielni?

W tym było coś podejrzanego i zazwyczaj odmawiano nam załatwienia sprawy. Dopiero od chwili, gdy słowo *eksperyment* stało się modne, mieliśmy bardziej znośne życie. Psychika biurokratów zaszeregowała nas pod tą nazwą.

Data powstania projektu wydawania pisma i samej idei „Współczesności” zbiega się ze śmiercią Bieruta.

Rok 1956 był rokiem narastania rewolucyjnej fali, śmiałych żądań, okresem rewizji oficjalnie podanych do wierzenia dogmatów. Młodzi pisarze i poeci pierwsi podchwycili rewolucyjną

nutę. W wierszach swych wyrażali niezadowolenie z otaczającą rzeczywistością, chęć zmian i reform.

Na zebraniach Koła Młodych przy Zarządzie Głównym Z.L.P. toczyły się wielogodzinne, gorące dyskusje na temat czy wiersze Śliwonika są czymś wrogim socjalizmowi, czy też są epokowym wydarzeniem.

Sam mistrz Putrament brał często udział w tych dyskusjach i ku naszej zgrozie przytaczał zabawne anegdotki o Rosjanach i odpowiadał na drastyczne kwestie nie mające nic wspólnego z literaturą.

Adam Ważyk ścigał tłumy obietnicą pojawienia się i w ostatniej chwili zawodził, a Kuśmerek tragicznym głosem przytaczał rewelacyjne odkrycia z prowincji.

W wypełnionej papierosowym dymem sali Z.L.P. panował prawdziwie konspiracyjny nastrój. Reformowano wszystko, usuwano wszystkich, domagano się powrotu Władysława Gomułki i kardynała Wyszyńskiego. Z bólem głowy łapało się ostatni tramwaj do domu, by od jutra zacząć wszystko od nowa.

Jednak między młodymi nie było prawdziwej jedności. W owych czasach Koło Młodych pod przewodnictwem Eugeniusza Kabatca i Magdy Leji było niemniej skłócone niż tak zwany „Stary Związek”.

Z jednym tylko zgadzali się wszyscy. Młodym potrzebne jest pismo. Ich własne, w którym mogliby stosować swoje kryteria i oceny, gdzie nie byłoby klik i protekcji.

Projekt stworzenia ogólnego pisma młodzieży literackiej pod nazwą „Współczesność” spotkał się jednak z ogólną niechęcią i pesymizmem.

„Ty chcesz pismo założyć! Tyłu przed tobą próbowało, szkoda czasu. My, jako Koło Młodych, w to się nie mieszamy” — oznajmił Kabatec.

„Wielu było takich co pisma zakładali a pism nie ma. Ostatnio byłem chyba na stu zebraniach, na których zakładano pisma” — stwierdził Andrzej Dobosz.

Mimo to na pierwsze historyczne zebranie „Współczesności”, odbyte w mieszkaniu kol. Pankracowej na Woli, stawiała się przeszło połowa Koła Młodych i wielu niezrzeszonych.

Cenna zwłaszcza była współpraca dwu poetów młodego pokolenia Romana Śliwonika i Z.J. Bolka.

Warunki dla powstania pisma młodych literatów były sprzyjające. W kraju narastała ogólna fala niezadowolenia, oraz rozruchu intelektualnego. Wrzało zwłaszcza między młodymi. Niezadowolenie ich często wynikało przede wszystkim z niemożności druku. Powstanie pisma młodzieżowego mogło rozładować napięcie, zwrócić z powrotem uwagę młodzieży na zagadnienia literackie.

Partia, najważniejszy czynnik w kraju, zdawała sobie z tego sprawę. Łatwiej było zaryzykować danie zezwolenia na wydawanie pisma młodym, nieznanym ludziom, niż osobisto-

ściom, którym nie ufano. My byliśmy niezapisaną kartą, a prócz tego mieliśmy mniejsze wymagania. Chcieliśmy tylko zezwolenia na wydawanie pisma, choć takie zezwolenie bez bazy finansowej oznaczało naturalną śmierć pisma w warunkach, gdy cała prasa jest subsydiowana. Jednym słowem byliśmy nieszkodliwi.

Na początek starczyło nam zezwolenie na jedniodniówkę.

Po nieskończonych konferencjach, przy wybitnym poparciu Putramenta i Broszkiewicza, Z.L.P. wyasygnował na ten cel trzy i pół tysiąca złotych.

Był do dopiero początek naszej krzyżowej drogi. Uplynęły jeszcze nieskończone godziny oczekiwań na korytarzu na panią Zatorską dyrektora C.U.W., osobę decydującą co z punktu widzenia planowej gospodarki może się okazać, a co nie. Nawiasem mówiąc C.U.W. pod zmienioną, kamuflażową nazwą — z panią Zatorską na czele — istnieje nadal i rozwija się pod opiekuńczymi skrzydłami Ministerstwa Kultury, podczas gdy opinia publiczna jest przeświadczona, że instytucja ta dawno przestała istnieć.

Otóż do wyżej wymienionej pani Zatorskiej udało się nam dotrzeć pod koniec miesiąca wyczekiwań, dzięki desperackiej odwadze kol. Turskiego, który wtargnął na jedną z Nadzwyczajnie Ważnych Konferencji i zdobył cenny podpis.

Teraz pozostawały tylko dwie, zdawałoby się proste, sprawy: zdobycie papieru i miejsca w drukarni. Papier jest ściśle reglamentowany i brakiem jego tłumaczy się wszelkie ograniczenia nakładu prasy, podczas gdy jest tajemnicą Poliszynela, że ten sam bezcenny papier eksportujemy zagranicę. Mimo posiadanego w kieszeni zezwolenia na wydanie jednego numeru „Współczesności” byliśmy bezradni. Nie mieliśmy przydziału papieru. Rozdzielnik był już dawno opracowany i na nadzwyczajny przydział nie mogliśmy liczyć.

Ze znalezieniem drukarni sprawa przedstawiała się podobnie. Wszystkie drukarnie w Warszawie odmówiły przyjęcia „Współczesności”. Nie byliśmy w planie, a ponadto byliśmy prywatnym wydawnictwem. Na skutek przestarzałego parku maszynowego, braku fachowców i nadmiaru pism, drukarnie były zawalone robotą i broniły się rękami i nogami przed przyjmowaniem nowych zamówień.

Na całe szczęście w rozwiązaniu tego problemu pomógł nam kol. Wilczur. Dzięki osobistym znajomościom wpakował nas do drukarni i zdobył „ścinki”, na których wydrukowaliśmy pierwszy numer. Zresztą ten sam człowiek tak śmiertelnie przeżył się zobaczywszy „rewolucyjną” treść pisma, że ze względów asekuracyjnych, ogłosił nas wszem i wobec na zebraniu w Z.L.P., agentami imperializmu. Na poparcie tej tezy przytoczył argument że cały nakład został rozkupiony, przez przedstawicieli wrogich mocarstw jak Z.S.S.R. To przejęzyczenie się uratowało nas. Sala długo się nie mogła uspokoić i nikt na serio nie wziął argumentów Wilczura.

Incydent ten pobudza jednak do poważniejszych refleksji, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Jacek Wilczur był za okupacji jednym z najdzielniejszych partyzantów. Późniejsze lata zamieniły go w człowieka bojącego się własnego cienia i dbającego o spokój za wszelką cenę.

Pierwszy numer „Współczesności” przeleżał w drukarni przeszło trzy miesiące. Nie trzeba chyba udowadniać jak to odbiło się na aktualności pisma. Mimo to jednak rozszedł się do ostatniego egzemplarza.

W międzyczasie cała praca redakcyjna skupiała się w moim małym pokoiku na ulicy Ludnej. Redaktorzy, interesanci, ludzie którzy przychodzili pogawędzić, przesiadywali całymi dniami, a w okresie druku i nocami.

Wkrótce po ukazaniu się pierwszego numeru „Współczesności” „Życie Warszawy” wydrukowało ciepłą wzmiankę, i zaraz potem zdjęła nas kronika filmowa. Film jednak nigdy nie ukazał się na ekranach. Prawdopodobnie nie chciano nas zrobić zbyt popularnymi.

Żeby uzyskać pieniądze na wydawanie następnych numerów zmuszeni byliśmy zaincjonować zapomnianą w Polsce formę sprzedaży ulicznej i po kawiarniach. Na ulicach witano nas z entuzjazmem, często zresztą spowodowanym tym, że brano nas za „Po Prostu” — w każdym razie tak zwana opinia publiczna i starzy literaci byli zaszokowani.

Po krótkim okresie samozadowolenia przystąpiliśmy do dalszej „pracy”. Były to niekończące się konferencje z przedstawicielami Z.G.Z.L.P., z członkami K.C. i R.S.W. Prasą. Tym razem szybko otrzymaliśmy beczenną rzecz — papierkę z podpisem prezesa Rajskiego, który wówczas trząsł prasą polską a obecnie zdaje się jest zagranicą, pozwalający nam na wydawanie miesięcznika pod nazwą „Współczesność”, kolumn 12.

W tym to okresie minister Kuryluk, o którym głośno utrzymywano, że ma węża w kieszeni, zdobył się na wielkoduszny gest i po jeszcze jednej konferencji przeznaczył nam aż 20 tysięcy! Tym razem była to suma nie do pogardzenia, i mimo wszystkich późniejszych zdradzień pozostał mi wdzięczny.

Z dumą spoglądaliśmy na „dekadentów”, którzy przedtem usiłowali pochwytać nas w swe szpony. Historia tej efemerycznej grupy jest niesłychanie charakterystyczna dla nastrojów poprzedzających październik. W owym okresie rozluźnienia cenzury (podobno na jednym z zebrań P.O.P. Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk uchwalono, że cenzurę należy rozwiązać. Cenzury co prawda nie rozwiązano, lecz zmieniono wielu cenzorów) nie tylko my chcieliśmy wydawać pismo. Najważniejszym konkurentem (konkurentem — bo wydanie jednego zezwolenia najczęściej wykluczało inne) był Lew Kaltenberg. Kaltenbergowi, przemiłemu mitomanowi, udało się skupić wokół siebie silną grupę, dziennikarzy, poetów i prozaików. Zbierał ich co tydzień po różnych lokalach i karmił pokrępowanymi sprawozdaniami z legendarnych konferencji, które miał odby-

wać z najwyższymi czynnikami. Jak wymawiał z przekąsem z „czynownikami”.

Pismo miało się zwać „Dekada” stąd rychło utarła się nazwa dekadentów. Kaltenberg koniecznie chciał nas ściągnąć do siebie i nawet obiecał nam całą kolumnę w swym piśmie. Ludziom, którzy go nie znali propozycja wydawała się realniejsza niż walka o własne pismo. Dlatego dopiero po wielu wewnętrznych dyskusjach zrezygnowaliśmy z współpracy z Kaltenbergiem. Program jego wydawał się nam zbyt wielki, jego projekty zbyt wspaniałe aby mogły być rzeczywiste. Przyszłość wykazała, że my mieliśmy rację. Ten sam Kaltenberg rycersko wieszował nam podczas jednego z burzliwych zebrań Z.L.P. wydania drugiego „dobrego” numeru.

Numer ten, chociaż również rozkupiony do ostatniego egzemplarza (10 tysięcy nakładu), spotkał się z dużą krytyką i niechęcią. Wynikało to z dwu powodów. Pierwszy i najważniejszy, że byliśmy nową grupą w zastałym światku literackim, nie mieliśmy znajomości i protekcji, byliśmy niczym a mieliśmy pismo. To oburzało.

Drugim powodem było, że wielu ludzi spodziewało się, że jesteście jakąś gałęzią „Po Prostu”, i zawiedli się.

Być ubogą imitacją „Po Prostu” nie było naszym założeniem. Chcieliśmy być przede wszystkim piśmie literackim. Zresztą na to by stać się „Po Prostu”, nie mieliśmy ani ludzi ani bazy materialnej.

Tutaj muszę wyjaśnić, że zawsze uważaliśmy „Po Prostu” za pismo stojące w uprzywilejowanej pozycji do reszty młodzieży. Właściwie prawem kaduka mieli pismo w swoich rękach i odstawiali wielkie tajemnice, które były rewelacją dla nich samych i dla ex-stalinowców.

Podobna sytuacja istniała również w świecie literackim. Największymi rewizjonistami, przewodcami intelektualnymi października, byli uprzedni szermierze socrealizmu i piewcy Stalina. Rzadko i nieśmiało dochodzili do głosu ludzie, którzy już od dawna mieli otwarte oczy. Gdy ktokolwiek ośmielił się wspomnieć o niechlubnej przeszłości dzisiejszych przewodców i spytać się o moralne prawo do krytyki, zakrakiwano go natychmiast.

Zwłaszcza zaś młodzi pisarze, którzy nie zdobyli, lub nie mogli zdobyć ostróg literackich w socrealizmie, po prostu nie liczyli się. Prawo krytyki należało do „nawróconych”. (Hłasko był specyficznym wyjątkiem od tej reguły).

Praktycznym i namacalnym dla nas potwierdzeniem tej teorii było zamknięcie nas przez cenzurę w przeciągu 24 godzin, przy pomocy jednego podpisu i nawet bez uprzedzenia nas. To pierwsze zamknięcie bez prawa obrony, pozostawiło na nas wszystkich uraz, który do dziś istnieje. Poczucie niepewności, brak gwarancji, przeświadczenie, że cały nasz wysiłek w jednej chwili może być zmarnowany, zawsze splatało się z wszelkimi naszymi poczynaniami.

Zamknięto nas bez ceregieli za wiersz Śliwonika pt.: „Braćiom Węgrom”. Podobno nieszczęsny wierszyk zwrócił na siebie uwagę, samego Władysława Gomułki, który uznał nas za winnych zadrażniania stosunków międzynarodowych.

Od tego czasu mieliśmy gorzkie przeświadczenie, że nasze skromne pismo jest czytane więcej niż starannie przez najwyższe czynniki w państwie i dziwiliśmy się jak im na to, w tak rewolucyjnym okresie, starcza czasu.

Nasz los podzieliło kilka innych pism młodzieżowych, jak na przykład „Horyzonty”, które zaczęły stawać się niemniej popularne niż „Po Prostu” i „Odnowa”.

My jednak desperacko chcieliśmy wydawać nasze pismo.

Po wielu dniach udało mi się wreszcie rozmawiać z Władysławem Gomułką. Nie będąc teraz przytaczał szczegółów tego charakterystycznego spotkania. W każdym razie, w wyniku długiej rozmowy, Władysław Gomułka skreślił kartkę adresowaną do kierownika wydziału prasowego, Artura Starewicza, i po kilku konferencjach w Partii otrzymaliśmy zezwolenie na wydawanie pisma pod warunkiem, że będzie to pismo czyste i wyłącznie literackie.

Jednocześnie w całym kraju powstawała siatka klubów „Współczesności” i zaczynał się szary okres walki o byt.

Zezwolenie na wydawanie pisma wydrukowane na ładnym papierze i z podpisem samego dyrektora Cenzury wreszcie spoczywało bezpiecznie w mojej kieszeni. Bez papieru jednak, bez pieniędzy, bez lokalu na redakcję, szanse nasze na przetrwanie były znikome.

W tych warunkach większość naszego czasu poświęciliśmy na staranie się o pieniądze, nie zaś na redagowanie pisma. Spotkał się wszystkie osobistości, które mogłyby nam pomóc finansowo, zaczynając od Słonimskiego, a kończąc na Kazimierzu Rusinku. W większości wypadków roniono nad nami łezkę, wspominając z rozczuleniem, te złote czasy gdy to się, panie dzieju, samemu wydawało pisma, „ale wtedy było jeszcze gorzej, bo nie tylko pieniędzy nie było, ale policja przesładowała”. Zazwyczaj kończyło się wszystko na obietnicach i wyznaczeniu spotkania za parę następnych miesięcy.

Tymczasem drukarnie wiedząc, że jesteśmy w opresji (taki był bezpośredni rezultat przyjemnej notatki w radiu o naszych kłopotach) zażądały od nas płacenia rachunków z góry. Było to czymś bez precedensu i zaskakującym nas ogromnie, ponieważ normalnie wszelkie rachunki wysyłano w parę tygodni po wydrukowaniu numeru.

Znów musieliśmy wyjść na ulicę ze sprzedazą „Współczesności”. Sukces czwartego numeru był olbrzymi. W przeciągu paru dni napelnialiśmy całą Warszawę gwarem i sprzedaliśmy piętnaście tysięcy egzemplarzy. Pomogło to nam do pokrycia wydatków „manipulacyjnych”, niezbędnych przy załatwieniu, każdej sprawy w Polsce i wypłacenia części honorariów tym, którym się już dosłownie buty rozlatywały, i jeszcze starczyło na część długów.

Było to jednak tylko prowizoryczne rozwiązanie sytuacji. Zwłaszcza, że po naszej akcji ulicznej przeprowadzonej na szeroka skalę, nagłe staliśmy się znani. W prasie pojawiły się nieprzychylnie wzmianki. Przypisywałem je początkowo zawodowej zazdrości, później jednak doszedłem do wniosku, iż była to zupełnie prawidłowa reakcja. Otóż ni stąd ni zowąd pojawia się grupka młodych smarkaczy i od razu pismo, podczas, gdy starzy i zasłużeni literaci doprosić się nie mogą. Oczywiście z pismem kojarzą się wysokie zarobki redakcyjne, lokal i czas na wydawanie. Dlatego też nierówny poziom pojawiających się nieraz na tej samej stronie artykułów i fatalną korektę tłumaczono sobie jednoznacznie: — nieuctwo.

Natomiast zupełnie był dla mnie niezrozumiały atak Prezesa Związku Literatów Polskich, Antoniego Słonimskiego. Ni mniej ni więcej oskarżył nas on o faszyzm, o nawiązanie do faszystowskich poezji Marinettiego i do innych irracjonalnych prądów, jak np. do futurystów polskich z ich straszliwym wodzem Anatolem Sternem na czele.

Takie oskarżenie wychodzące spod pióra prezesa Z.L.P. miało swój ważki ciężar gatunkowy. Nie mogliśmy tego uznać za słuszny sposób rozwiązywania sporów literackich i zmuszeni byliśmy niemniej energicznie odpowiedzieć. W ten sposób wdaliśmy się w niesmaczną kłótnię, która przeciągnęła się parę miesięcy.

Rychło stanęło przed nami widmo zagłady naszych dwuletnich już wysiłków. Problemu finansowego nie mogliśmy rozwiązać. Zawiodła nawet rozpaczliwa próba drukowania reklam, która przyniosła więcej zarobku „Szpilkom” niż nam. Tylko znikoma część firm pokryła rachunki.

W tym to krytycznym okresie zwrócił się do nas PAX z propozycją pomocy w finansowaniu pisma. Propozycja została przedstawiona w sposób delikatny przez jednego z najinteligentniejszych paxowców p. Mieczysława Kurzynę.

— Chcemy wam pomóc bezinteresownie — powiedział — jesteście cenną inicjatywą kulturalną a nam zależy na popieraniu każdej inicjatywy kulturalnej. Nie wymagamy od was nic.

Propozycja brzmiała szczerze i uczciwie. Mimo skrzyżnego obracania jej na wszelkie strony nie mogliśmy znaleźć żadnego haczyka.

Mimo to, przed ostateczną zgodą, zawiadomiliśmy wszystkie czynniki oraz Stronnictwo Demokratyczne, które od dłuższego czasu wahało się czy nie przygarnąć nas pod swe skrzydła, jednak po którymś „rewolucyjnym” numerze wycofało swe propozycje.

Ponieważ od nikogo nie otrzymaliśmy nawet najskromniejszej pomocy finansowej, a na samowystarczalność przy ostrej cenzurze prasowej nie można było liczyć, nie mając innego wyjścia, po wielu burzliwych dyskusjach, zgodziliśmy się na pomoc PAX’u. Pomoc to była skromna, redaktorzy ledwie zarabiali na życie, ale umożliwiała wydawanie pisma. Byliśmy zadowoleni.



Niedługo jednak trwała nasza radość. Wpakowano nam na sekretarza redakcji zażartego paxowca, Józefa Szczawińskiego, a wkrótce potem zasugerowano, żebyśmy się zapisali do PAX'u. Potem zawiadomiono nas, że PAX zamierza stworzyć młodzieżową organizację, w której nasza grupa i pismo miały odegrać decydującą rolę. Mimo kuszących propozycji materialnych nie zgodziliśmy się. Sytuacja była coraz bardziej napięta.

Do kryzysu doprowadziła sprawa wierszy Romana Śliwonika. Już od dłuższego czasu PAX poza cenzurą zewnętrzną wprowadził swoją, wewnętrzną. Bez litości obciachiwano nam nasze materiały a pakowano paxowskie kawałki ideologiczne. Ta polityka doprowadziła do spadku nakładu pisma z trzydziestu pięciu tysięcy do trzech tysięcy egzemplarzy.

Szczawiński wyobraził sobie, że w wierszach Śliwonika są nuty antypaxowskie i polecił do Przetakiewicza, specja od prasy. Przetakiewicz oczywiście podzielił jego zdanie. Postawiłem sprawę na ostrzu noża. Jeśli wiersze Śliwonika nie pójdą, nie podpiszę numeru do druku. Wezwano mnie do Przetakiewicza.

Przetakiewicz urzęduje na trzecim piętrze odnowionego budynku PAX'u w gabinecie całkowicie obitym materacami. Za wchodzącym automatycznie zatrząskują się drzwi, a w oknach widnieją kraty. Spojrzał na mnie dopiero po dłuższej chwili sponad kart maszynopisu.

— Tych wierszy nie wydrukujemy i proszę nie dyskutować!

Zapomniałem powiedzieć, że w PAX'ie dyskusja jest czymś niedopuszczalnym. Praktycznie biorąc od decyzji kierownika działu jest tylko jedno odwołanie: do samego wodza — Bolesława Piaseckiego, co nie zawsze bywa przyjemne dla oponenta.

Jednak ośmieliłem się dyskutować. Bezpośrednim tego wynikiem było, że nazajutrz zastaliśmy drzwi do redakcji zamknięte, zaś materiały redakcyjne zarekwirowane przez Centralę na Mokotowskiej.

Nie poddaliśmy się. Zezwolenie, na całe szczęście, było na nas, a nie na PAX. Natychmiast pojechałem do drukarni na Marszałkowską zastrzec numer. Nie było to łatwe. Kierownictwo drukarni wyraźnie odnosiło się do nas z niechęcią. PAX drukował tutaj swe pisma od przeszło dziesięciu lat i stworzył sobie sytuację. Początkowo drukarnia odmówiła nam druku, później zaczęły nam ginać materiały skomponowanego na poczekaniu numeru, oraz wszelkie klisze.

W ostatniej chwili, gdy numer był już na maszynach, zawiadomiono nas, że wywiad z pierwszej kolumny (jedyne materiały ocalone ze starej redakcji) jest nieautoryzowany, a osoba z którą go przeprowadzano nie zgadza się na zamieszczenie.

Z tak brutalnymi metodami nigdy dotąd nie spotkaliśmy się. Wkrótce jednak PAX przeszedł do bardziej wyrafinowa-

nych. Poproszono mnie do pani Teresy Englert, kierownika Instytutu Wydawniczego.

Pani Englert spytała mnie: — „Czy pan chce, żebyśmy wydrukowali pańską książkę?”

Naturalnie, że chciałem, ostatecznie moja książka mimo, że zatwierdzona do druku jeszcze w 1956, z przyczyn cenzuralnych, planowych i innych do tej pory nie ukazała się.

— Oczywiście, że tak! — odpowiedziałem — jeśli się nie myłę jest zatwierdzona do druku na maj br.

— Tak, ale ukaże się jedynie wtedy, jeśli pan napisze do nas list, że wszystkie ostatnie nasze kłótnie to tylko nieporozumienie.

Takiego listu nie napisałem i nawet nie mieliśmy gorzkiej satysfakcji zamieszczenia artykułu o paxowskich metodach, bo go nam zdjęła cenzura.

Mimo, że PAX użył wszystkich swych wpływów i groził nam procesem, próba wydarcia pisma nie powiodła się. Przy pomocy „Ruchu”, po raz pierwszy wreszcie wolni od trosk finansowych i bezpośrednich politycznych, zaczęliśmy wydawać takie pismo jakie chcieliśmy. Zaczęli do nas napływać ludzie. Zgłosił się Grochowiak, Krzysztoń, Dołęgowski, Stiller i inni. Skupialiśmy większość młodzieży artystycznej. Udało się nam pozyskać do współpracy takie pióra jak Rembek, Jastrun, Sandauer. Nakład powoli, ale stale wzrastał.

Jednocześnie Kluby Współczesności w dużych i małych miasteczkach zaczęły przeżywać swe odrodzenie. Klub gdyński skupił całe Pomorze. Toruń był wyjątkowo aktywny i nawet w małych dziurach rosły kluby Współczesności, jak grzyby po deszczu.

Zaczęliśmy być siłą i to był początek końca. Po kilkunastu konferencjach na najwyższym szczeblu Kluby nasze przeszły pod zarząd Z.M.S.

Następnym szczeblem było przysłanie na zastępcę redaktora naczelnego tow. Józefa Lenarta, ex-przywódcy Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Lenart był jednym z naszych najstarszych wrogów. Jeszcze jako działacz Z.M.S. zawezwał mnie i Korczaka do siebie i zagroził zamknięciem pisma, jeśli nie usuniemy z zespołu paru osób i nie przejdziemy do Z.M.S.

Gdy odmówiliśmy, powiedział, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną niż my jeszcze jeden numer wydamy. Lenartowi włosy na dłoni nie wyrosły, ale za to został zastępcą redaktora naczelnego pisma.

Lenart zresztą okazał się przy bliższym poznaniu zupełnie miły, ale jego polityka redakcyjna, którą zaczął na siłę przeprowadzać, była dla pisma zabójcza.

Z magazynu o charakterze literacko-artystycznym chciał przejść na pismo będące czymś w rodzaju omnibusu przypominającego w głównych zarysach sławetne almanachy Koła Młodych przy Z.L.P.

Równocześnie zaczęło się wykruszanie starego zespołu „Współczesności”.

Szkic ten, oczywiście, nie podaje wszystkich szczegółów, faktów i ciekawych wydarzeń, w jakie obfitowała historia „Współczesności”. Świadomie też omijam tu niemniej ciekawy rozdział o wewnętrznych sprawach pisma, ale nie chciałbym spotkać się z zarzutem nielojalności czy chęci tzw. „prania brudnej bielizny”.

Leszek SZYMAŃSKI

## Nauka czy propaganda?

Staraniem belgijskiego *Ośrodka Badań Państw o Ustroju Komunistycznym* (1) odbyło się z końcem maja w Brukseli kilkudniowe kolokwium poświęcone ustrojowi i instytucjom Polskiej Republiki Ludowej. Zadaniem Ośrodka, który powstał parę lat temu przy Uniwersytecie brukselskim i Instytucie Socjologicznym im. Solvay'a, jest prowadzenie obiektywnych, naukowych studiów nad zagadnieniami dotyczącymi krajów komunistycznych. Kierownikiem Ośrodka jest profesor Artur Wauters, były ambasador belgijski w Warszawie i w Moskwie.

Jakim cel przyświeca pracom Ośrodka? Broszurka poświęcona jego działalności podkreśla konieczność „wciągania szerszych kół uniwersyteckich i intelektualnych na Zachodzie” do dyskusji nad problematyką komunizmu, zarówno w teorii jak i w praktyce. Przemawiając na kolokwium dotyczącym Polski, Ambasador Wauters kładł szczególnie nacisk na swobodną wymianę informacji i poglądów o charakterze naukowym pomiędzy ekspertami polskimi i zachodnimi. W istocie autorami referatów wygłoszonych w Brukseli byli w połowie Polacy, w połowie osobistości zachodnie. Niewątpliwie tak modne dzisiaj hasło kontaktów Wschód-Zachód nadawało ton całemu zebraniu.

Gwarancją „naukowości” i „obiektywizmu” referatów i dyskusji miały być nazwiska i tytuły naukowe referentów i uczestników kolokwium. Ze strony polskiej zaproszeni zostali do wygłoszenia referatów: minister Czesław Bobrowski, który mówił o ustroju ekonomicznym Polski; profesor Stefan Rozmaryn (rola parlamentu w PRL); profesor Bohdan Suchodolski (polityka kulturalna) i profesor Maurycy Jaroszyński (instytucje polityczne). Żaden minister nie reprezentował wprawdzie Zachodu, ale profesorów prelegentów było także trzech, i to niepoślednich: G. Fried-

(1) Centre National pour l'Etude des Pays à Régime Communiste, Institut de Sociologie Solvay, 49 rue du Châtelain, Bruxelles.

mann, znany socjolog paryski (referat o radach robotniczych), F. Sellier z Marsylii (plac i świadczenia społeczne), J. Klatzmann z Instytutu Statystycznego w Paryżu (polityka rolna) oraz adwokat belgijski, obrońca Murzynów kongoleskich, mecenas Jules Wolf (sądownictwo). Wszyscy prelegenci zachodni byli w Polsce po Październiku i studiowali na miejscu problemy „polskiej drogi do socjalizmu”.

Audytoryum nie ustępowało wcale prelegentom poziomem intelektualnym i tytułami formalnymi. Wśród siedemdziesięciu nazwisk naliczyłem dwóch ambasadorów (polski i szwajcarski), jednego rektora, około dwudziestu profesorów uniwersytetów z Belgii, Francji i Anglii, kilkunastu dyrektorów różnych instytutów specjalnych i dziesiątki delegatów rozmaitych ministerstw i komisji, Wspólnego Rynku, Rady Europejskiej itp. Było też dwóch deputowanych, Włoch Basso i Polak, młody i bezpośredni w obejściu p. Stanisław Kuziński, który w spisie uczestników kolokwium figurował jako Prezes Sejmowej Komisji Handlu Zagranicznego i członek Rady Ekonomicznej. (Z Polaków z Kraju, oprócz prelegentów i Kuzińskiego, przyjechali jeszcze profesorowie Wyka i Andrejew oraz specjaliści młodszej generacji, pp. Dunajewski i Rybicki).

Z powyższych danych wynika jasno, że cała impreza pomyślana była na serio, jako poważna i rzeczowa konfrontacja opinii o charakterze informacyjnym. Celem jej było pogłębienie zrozumienia spraw polskich na Zachodzie i zacieśnienie wzajemnych stosunków między uczonymi polskimi i specjalistami zachodnimi. Jakaż doskonała okazja do tego, aby nową Polskę powojenną, po-Październikową, pokazać zagranicy, odmalować jej trudności i konflikty, starać się dać wybitnym i nierzadko wpływowym europejskim osobistościom, których ambasador Wauters sprowadził do Brukseli, możliwie wierny obraz naszej rzeczywistości, niebezpieczeństw jakie nam grożą i walorów jakie posiadamy, słowem pokusić się o przedstawienie choćby w części sedna sprawy!

Niestety okazało się, że z jednym jedynym wyjątkiem profesora Friedmanna, prelegentów nie stać było na tego rodzaju przedsięwzięcie. Potoki drętwej mowy polskich prelegentów i drobiazgowe wyliczania faktów i cyfr, nie dotyczących istoty zagadnienia, spowily dyskusje brukselskie w oparach nudy, sprowadzając całe spotkanie niemalże do rzędu jeszcze jednej półurzędowej propagandówki.

Postawmy sprawę jasno. Nikt nie wymaga od Polaków z kraju aby w szerszym gronie na Zachodzie mówili całą prawdę i nic tylko prawdę, aby roztrząsali trudne i niebezpieczne sprawy polskie przed obcym, często krytycznym i niezorientowanym w sytuacji audytoryum, w którym nie brak oczu i uszu Moskwy i naszych własnych „ubeków” z ambasad. Co więcej, pewna ilość propagandy jest rzeczą nieuniknioną w tego rodzaju imprezach. Nikt nie może odmówić rządowi PRL prawa wykorzystania zebrania ambasadora Wautersa dla przedstawienia Polski gomułkowskiej w jak najkorzystniejszym, propagandowym świetle. Toteż ze względu na tę specyficzną polską sytuację, zachodni uczestnicy podobnych imprez zachowują zazwyczaj daleko idącą rezerwę w krytykach i dochodzeniu prawdy, z ostrożnością stawiają pytania i formułują obiektywne jak człowiek stąpający po trzęsawisku, milczeniem pomijają wypowiedzi przymusowe, oficjalne.

Ale ta wyrozumiałość zachodnia jest uzasadniona tylko wtedy, gdy polscy delegaci nie przekraczają dopuszczalnych granic w niezbędnych niedomówieniach i ustępstwach na rzecz tez oficjalnych. Nie wymagamy od Bobrowskiego, aby nam składał zagranicą sprawozdanie ze sporów w Radzie Ekonomicznej, ani nie chcemy, aby robił raz jeszcze proces autorów nieprawdopodobnej plałty, do której doprowadziły Polskę rządy przed-gomułkowskie. Ale z kolei Bobrowski nie może oczekiwać, aby audytorium zachodnie, jako tako zorientowane w sprawach polskich puściło, płazem oświadczenie o „jednomyślną aprobacie nowego polskiego modelu ekonomicznego” — i to w spaczonyj formie w jakiej został wprowadzony w życie — albo twierdzenie, że kłeskowy plan sześcioletni (1949-1955) był w najgorszym razie... pół sukcesem!

Profesor Suchodolski uznał za stosowne wprost nieprzyzwoicie zaatakować „liberałów zachodnich” za ich rzekomą opozycję wobec rozpowszechniania kultury, nie wspominając słowem o cenzurze, w odczycie poświęconym polskiej polityce kulturalnej. „Kto decyduje o doborze repertuaru teatralnego” — zapytano w pewnym momencie z sali. „Dyrektor Teatru” — odpowiedział Suchodolski bez zająknięcia. Broniąc się przed zarzutami prof. Friedmanna, Suchodolski zaślaniał się niezwykłą teorią, według której wydarzenia naszej epoki mogą być należycie ocenione jedynie z punktu widzenia przyszłości — tak jak w okresach minionych przeszłość była niezbędna dla zrozumienia terażniejszości. *Mais alors, c'est de la science-fiction* — powiedział Friedmann, zaprzestając dalszej dyskusji.

Niesposób wyliczać tu wszystkich absurdalnych wypowiedzi polskich prelegentów. Obraz Polski jaki powstawał z tych referatów był obrazem sztucznym, nierealnym. Prof. Suchodolski mówił o kulturze, pomijając całkowicie jakże aktualne zagadnienia pisarzy, książek, wydawnictw, prasy. Godzinny wykład prof. Jaroszyńskiego składał się z oświadczeń w rodzaju: „Konstytucja PRL gwarantuje wszystkie prawa i wolności obywatelskie... Sekret korespondencji zagwarantowany przez Konstytucję jest w pełni przestrzegany... (Zapewne dlatego listy z Warszawy do Paryża często idą aż 8 dni). Państwo gwarantuje obywatelom wolność słowa... Jaroszyński miał przynajmniej tę zasługę, że swoje kategoryczne twierdzenia opatrzył krótką uwagą o „granicach wolności nałożonych przez dyktaturę proletariatu”. Ale po co w takim razie wyliczać te wszystkie gwarancje i prawa konstytucyjne? Dlaczego w odczycie o instytucjach politycznych polskich wstydliwie przemilczać kierowniczą rolę PZPR oficjalnie głoszoną przecież w Kraju.

Sluchając wywodów ministra Bobrowskiego miało się wrażenie, że Polska to naprawdę szczęśliwy kraj! Oto grono wybitnych uczonych z mądrym Bobrowskim na czele zgodnie doradza dzielnym i szlachetnym przywódcom partyjnym jak to najlepiej służyć polskiemu masom robotniczym i chłopskim, żeby im socjalistycznego ptasiego mleka nie zabrakło. Pada na sali jakiś głos krytyczny; już Bobrowski zrywa się z odpowiedzią: przecież nie można było inaczej, już tam on sam, Bobrowski, nad tym czuwał, sam obliczył, że to trzy procent, że to dochód narodowy, że wariant planu, że fundusz płac... Owszem, niedociągnięcia może są, ale gdzież ich nie ma, ale za to Plan, Panie, Plan socjalistyczny! Zzianjany,

zachrypnięty, z rozwianym siwawym włosom, Bobrowski siada dumny i szczęśliwy, wielki Ekspert Planowania, który wszystko wie i wszystko tłumaczy. Z łagodnym wyrzutem prawdziwego uczonego słusznie powiedział mu w pewnej chwili Friedmann: „Drogi przyjacielu, człowiek akcji bierze u Pana górę nad człowiekiem nauki”.

Prelekcja profesora Rozmaryna o kontroli parlamentarnej w Polsce miała tę samą zasadniczą wadę: pomijała jedyny istotny aspekt problemu — w tym wypadku preponderancję Partii. „Jak można mówić o Parlamencie nie mówiąc o partiach?” — denerwował się deputowany włoski Basso. „Partie to nie jest temat mego odczytu” — odpowiadał niewzruszony Rozmaryn. Zresztą trzeba przyznać, że prof. Rozmaryn był jedynym członkiem polskiej delegacji, który wykazał pewną klasę w dyskusji. Przyparty do muru, umiał przyznać się gładko do nieprzyjemnej prawdy, przedstawiać ją w sposób zręczny, kulturalny, lekki, jako rzecz rozumną i potrzebną, tuszując niemiłe jej aspekty. „Cenzura — jest, owszem, coś — cenzorzy biedni ludzie, wszyscy na nich krzyczą, źle płatni” (sala się śmieje)... „chodzi o poszanowanie w prasie stosunków międzynarodowych i społecznych wewnątrz kraju” — (sala poważnie, cień tragedii węgierskiej zawisa nad audytorium). — „Głosuje się w Polsce na jedną listę — w istocie, ale to są właściwie plebiscyty, tak też je społeczeństwo rozumie, dlatego taka frekwencja przy urnach wyborczych...”.

Wystąpienia Rozmaryna (członka partii), które swą otwartością i zachodniością odbijały od stalinowskiego charakteru wypowiedzi jego kolegów, audytorium witało z ulgą i podziwem. Co prawda przypominało to trochę, niestety, reakcję widzów w ogrodzie zoologicznym: „Patrzcie jak ona się drapie, zupełnie jak człowiek” — mówią matki do dzieci przed kłatką z małpami. Nie chcę tu bynajmniej nikogo urazić. Złe wrażenie jakie na ogół wywołało zachowanie polskich delegatów, było rezultatem propagandowej sztancy, którą „uzgodniono” z góry, względnie którą oni sami postanowili przykładać do swoich wypowiedzi zapewne naskutek wadliwej oceny własnej swobody ruchów, oportunistu, obawy czy niezrozumienia sytuacji. „Suchodolski nie partyjny, to musi być dogmatyczny, co innego Rozmaryn” — powiedział mi w kącie jeden z polskich gości. Najdziwniejsze jest to, że ani władze polskie, ani sami zainteresowani nie zdają się rozumieć, że metody stalinowskiej drętwej mowy na odcinku wymiany kulturalnej z Zachodem przynieść mogą tylko kłeskę propagandową.

Głosłownych, rażąco jednostronnych deklaracji naszych — wstyd powiedzieć — profesorów audytorium, złożone bądź co bądź w poważnej mierze z naukowców, słuchało chwilami z wyraźnym zażenowaniem. Co byśmy powiedzieli w Warszawie o profesorze belgijskim, który by miał odczyt o Kongu, nie wspominając ani słowem o problemie emancypacji czarnych? Albo o ministrze francuskim, który dyskutując finanse Francji pominąłby koszt wojny w Algierze? Jak najgorsze świadectwo wystawiają i Polsce i sobie samym, ci Polacy, którzy przemawiając zagranicą posługują się stalinowską metodą wybielania czy przemilczania wszystkiego co czarne, czy nawet szare w polskiej rzeczywistości. Jeśli polski Październik wywołał taką falę sympatii, zaciekawienia, nierzadko i entuzjazmu w świecie to dlatego, że dla ludzi wierzących w jakiś

postęp był on dowodem zwycięstwa zdrowego rozsądku nad sztywną doktryną i stalinowską sztancą, był nadzieją — wszystko jedno uzasadnioną czy nie — na jakieś uczłowieczenie się komunizmu, szansą prawdziwej realizacji ideałów sprawiedliwości społecznej i wolności.

Tymczasem nasi profesorowie w Brukseli złożyli najlepsze świadectwo tego, że w Polsce nastąpił odwrót od Października, że sztanca partyjna wypiera wszelki sens i prawdę i że komunizm nie jest do pogodzenia z wolnością.

Może ktoś powie, że powinniśmy się cieszyć z tej propagandowej klapy. Niestety — ta porażka jest jednocześnie ustępstwem na rzecz stalinizmu, wstydem dla Polski i Polaków i przeszkodą w normalnych stosunkach Polski z Zachodem.

Powtarzam raz jeszcze. Nie chodzi tu o deklaracje „buntownicze” oskarżające reżym zagranicą; przeciwnie, rozumiemy nie tylko przemilczanie, ale nawet propagandę. Chodzi tylko o pewien umiar, o minimum przyzwoitości i rzetelności, bez której kontakty z Zachodem tracą wszelki sens i pożytek i stają się upokarzającą rozgrywką propagandową.

Strona zachodnia też nie jest tu bez winy. Przede wszystkim jeżeli zebranie brukselskie pomyślane było jako obiektywne, naukowe studium polskich problemów, to każdy temat powinien być omawiany dwukrotnie — raz przez eksperta polskiego i raz przez zachodniego. Stworzyłoby to atmosferę bardziej sprzyjającą obiektywizmowi, niż grzecznościowe komplementy pod adresem wyraźnie jednostronnych mówców. Po drugie prelegenci zachodni nie stali często na wysokości zadania. Nie chcę być gołosłownym. Profesor Klatzmann dokonał nielada wyczynu: omawiając politykę rolną w Polsce po Październiku, zresztą w sposób niezmiernie dokładny i udokumentowany, użył tylko raz jedno słowo kolektywizacja, w krótkim zdaniu stwierdzającym, że problem ten w Polsce nie istnieje. Kolektywizacja w rolnictwie nie jest problemem w państwie socjalistycznym! Przecież w Polsce sprawa rolnictwa da się sprowadzić do bardzo prostej alternatywy: albo kolektywizacja albo... żywność. Ale profesor Klatzmann problemu tego nie widzi. Drugi przykład. Mecenas Wolf oświadczył z całą powagą, w odpowiedzi na nietaktowne pytanie o cenzurze, że zapewne w Polsce nie ma cenzury prewencyjnej, ale rząd radzi sobie z nieposłusznymi dziennikami zmniejszając im przydział papieru. „Na Zachodzie też stosuje się często system przydziału papieru” — wtrącił szybko ambasador Wauters, nie chcąc broń Boże dopuścić do urażenia polskich gości. (W kularach mecenas Wolf tłumaczył mi się, że nie mógł się w Polsce doprosić tekstów dotyczących kontroli nad prasą, udało mu się natomiast wy dostać dokument cofający przydział papieru dla „Po Prostu”).

Jaka płynie nauka z tego belgijskiego eksperymentu? Istnieją na Zachodzie Europy nieliczne zresztą ośrodki dokumentacji o Polsce. Na nich powinien leżeć obowiązek dostarczania materiałów, prelegentów i dyskutantów na zebrania w rodzaju tego, które urządził Wauters w Brukseli. Chodzi o to aby na sali obrad byli świadkowie, gotowi w razie potrzeby dać świadectwo prawdzie. Miejmy nadzieję, że sama ich obecność byłaby wystarczająca, aby uzdrowić atmosferę tych spotkań.

## Jeszcze o konkursie policyjnym

W numerze 15 z dn. 10 czerwca rb. „Les Lettres Nouvelles” zamieściły notatkę, którą podajemy poniżej w dosłownym tłumaczeniu:

### „TWÓRCZOŚĆ” NIE BYŁA WINNA

W numerze z dn. 6 maja, na str. 6, zamieściliśmy pod tytułem „Kwestia zapatrywania”, notatkę, że miesięcznik „Twórczość” ogłosił konkurs na nowele i powieści, mające wslawić polską policję. Dodaliśmy, że „Kultura”, miesięcznik polskich emigrantów w Paryżu, ogłosiła podobny w którym jednak wypowiedzieć się miały ofiary.

W związku z tym nasz przyjaciel, Jerzy Lisowski, redaktor „Twórczości” pisze nam z Warszawy: „Jest niedokładnością twierdzić, że ten konkurs został ogłoszony przez „Twórczość”, ponieważ był on opublikowany przez całą prasę polską, a więc i przez „Twórczość”, zresztą bezpłatnie i na stronie przeznaczonej zwykle na ogłoszenie. To byłoby wystarczające, żeby stwierdzić, że nie byliśmy ani inspiratorami ani organizatorami tego konkursu. Skądinąd nie można zaprzeczyć nikomu — nawet samemu Ministerstwu Spraw Wewnętrznych — prawa ogłaszania konkursów literackich według swego wyboru i informowania o tym publiczności za pośrednictwem prasy...”

Dotykając sedna sprawy, Lisowski dodaje:

„Można uważać, że wybrano zły moment dla uczczenia rocznicy policji i że pomysł sam w sobie jest dość humorystyczny (cocasse), ale to jest inna sprawa, która w sumie interesować może tylko ewentualnych uczestników tego konkursu. Nie patrzcie na to błędnie: o ile „Twórczość” nie myśli o tym, aby przemawiać w imieniu katów, o tyle „Kultura” nie myśli o wzięciu w obronę ofiar...”

To nas uspakaja, ale w dalszym ciągu myślimy wraz z Lisowskim, że „sama myśl takiego konkursu jest dość humorystyczna (cocasse)” nawet w kraju, w którym — nie mamy prawa w to wątpić — wolność opinii jest obecnie respektowana”.

◆  
Nie wiadomo co bardziej podziwiać: czy rzeczowość wyjaśnienia redaktora „Twórczości”, czy optymizm paryskiej revue. Nam literacki konkurs policyjny nie wydaje się humorystyczny (cocasse) i, o ile nam wiadomo, opinia w kraju zareagowała w sposób najbardziej jednomyślny na „liberalizm” — nielicznych na szczęście — pism, które uważają, że „każdy, nawet Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ma prawo organizować konkur-

sy literackie". Chętnie wierzymy, że konkurs został rozesłany do całej prasy krajowej. Niemniej ogłoszony został, poza „Twórczością”, jedynie w „Przeglądzie Kulturalnym” (redaktor naczelny Gustaw Gottesman) i „Życiu Literackim” (redaktor naczelny: Władysław Machejek). Inne pisma okazały się mniej „liberalne”. (Gdybyśmy przypadkiem nie dostrzegli ogłoszenia w innych pismach, zawsze gotowi jesteśmy tę „złą listę” uzupełnić).

My jednak wbrew twierdzeniu p. Lisowskiego, jesteśmy po stronie „ofiar”. Konkurs „Kultury” trwa, jak również zbiórka na nagrody. Apelujemy o wpłaty na „Secret Police Fund”.

**WYSYŁAMY DO POLSKI**  
na zlecenie krewnych i znajomych z zagranicy

### MASZYNY DZIEWIARSKIE

oraz szereg innych artykułów, jak maszyny i narzędzia rzemieślnicze itp.

Wysyłamy towary wysokogatunkowe  
— i po niskich cenach hurtowych —

Piszcie jeszcze dziś do nas po bliższe informacje

**“ W I M E X ”**

Solothurnerstrasse 15, BASEL 2 (Suisse)

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O. - WOLNE od CŁA**  
**LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 200 popularnych paczek  
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)  
na żądanie.

**CENTRALA WYSYŁKOWA**

**HASKOBA LTD.**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



## Sprawy i troski

### Rolnicy

Posiadanie ziemi miało zawsze dla nas znaczenie niewspółmierne do jej pieniężnej wartości. Nie trzeba chyba tego udowadniać. W naszej literaturze zadłużony ziemianin, opędzający się od wierzycieli, i żyłasty, zapracowany chłop, to prawie zawsze postaci i swojskie i na swój sposób romantyczne; od bogatego fabrykanta, czy dobrze płatnego robotnika wieje obcość.

W Kraju sentymenty te miały realne odbicie w dążeniach wielkiej części narodu; na emigracji stosunkowo niewielka garstka Polaków zarabia na życie pracą na roli. Dzieje się tak mimo tego, że przecież dobrze ponad 50% emigracji pochodzi ze wsi. Swój głód własności zaspakajają tutaj Polacy kupując raczej kamienicę, niż kawałek ziemi.

Istnieją jednak wyjątki. Ogółem na wyspie pracuje obecnie na własnych gospodarstwach około 300 rolników-Polaków. Większość z nich (podobno około 90%), zrzeszona jest w „Związku Rolników Polskich w Wielkiej Brytanii”, do którego należy także około 300 robotników rolnych. Związek, jedna z najstarszych emigracyjnych organizacji społecznych, pamięta czasy, gdy było ich znacznie więcej.

Kiedy po zakończeniu wojny powstał problem rozsielenia żołnierzy polskich, przypuszczano że duża ich część znajdzie zatrudnienie w rolnictwie. Dlatego też, jeszcze w 1945 roku, powstały na terenie Szkocji szkoły rolnicze, które miały dać Polakom fachowe przygotowanie do pracy w miejscowych, dość specyficznych, warunkach klimatycznych. Z tych to szkół wyszła inicjatywa założenia własnej organizacji zawodowej. Związek Rolników Polskich w Wielkiej Brytanii zawiązany został w Edynburgu, 8 listopada 1945 roku i przez pierwszy rok swego istnienia ograniczał swą działalność wyłącznie do terenu Szkocji. W lutym 1947, po przyjeździe na wyspę żołnierzy 2 Korpusu, siedziba Związku przeniesiona została do Londynu. Atmosfera tamtych lat nie sprzyjała jednak tworzeniu organizacji tego typu, opartej na członkach rozproszonych po wszystkich częściach

wyspy. Nic dziwnego, że Związek przechodził dość ostry kryzys. W roku 1948 działalność Związku wygasła prawie zupełnie. Formalnie jednak organizacja istniała nadal, a w miarę stabilizacji życia polskiego, następowało jej faktyczne odrodzenie. Stopniowo, z doświadczenia lat, powstawał twór dość dziwny: dostosowana do warunków organizacja o specyficznym towarzystwo-zawodowym charakterze.

W okresie demobilizacji wydawało się, że duża część, o ile nie większość, polskich oficerów zawodowych zechce osiąść na roli. Tradycja miała tu zapewne wpływ spory, ale i niektóre względy praktyczne, jak np. częsta nieznajomość języka, zdawały się przemawiać za wyborem tego zawodu. W tym okresie (1947-1949) Związek Rolników udzielił kilku tysiącom osób informacji o warunkach kupna farm. Przy braku bliższych danych można jedynie zgadywać, jaka część zainteresowanych zdecydowała się ostatecznie na kupno gospodarstwa. W każdym razie ilość farm, nabytych w tym okresie przez Polaków przewyższała o wiele ich obecny stan posiadania, a ilość osób pracujących na własnych warsztatach rolnych szła w tysiące, gdyż zjawiskiem typowym była obfitość spółek, często wieloosobowych, których celem było nagromadzenie kapitału, wystarczającego obok pożyczki hipotecznej na kupno gospodarstwa. Jeśli nie liczyć kilku „kasztaniarzy”, którzy dorobili się na spekulacjach walutowych w czasie wojny lub bezpośrednio po niej, skromne oszczędności Polaków nie pozwalały myśleć o samodzielnym gospodarowaniu. Wystarczy powiedzieć, że w roku 1948 95% farm polskich stanowiło własność spółek, obecnie spółki nie przekraczają 5%.

Rozczarowania nie kazały długo na siebie czekać. Praca na roli jest zawsze ciężka, a cóż dopiero dla człowieka, który po wstrząsach psychicznych, spowodowanych abnormalnym trybem życia w latach wojny, znalazł się na wsi egzotycznie obcej, w wyjątkowo ciężkich warunkach klimatycznych i z niedostatkiem kapitału, który łączyć trzeba było dodatkowym wkładem własnej pracy. Jednocześnie rozpoczynała się „prosperity”, co oznaczało, że w miastach było łatwo o stosunkowo niezłe płatną pracę. Nieuniknione zgrzyty pomiędzy wspólnikami były często ostatnim żdźbłem, decydującym, że ciężar stawał się ponad siły. Tak więc nieomal jednocześnie z osiedleniem, rozpoczął się odpływ polskich rolników do miast. Początkowo dość silny, (masowym trudno go nazwać ze względu na szczupłość samego osiedlenia), odpływ ten słabł w miarę aklimatyzacji Polaków, a przed paru laty ustał właściwie zupełnie. Sporadyczne wypadki sprzedaży gospodarstw, wyrównywane są obecnie przez równie nikły, ale istniejący ruch w stronę przeciwną.

Ucieczka rolników z własnych gospodarstw nie mogła się jednak równać z nasileniem migracji najemnych robotników rolnych. Po wojnie, a szczególnie po wypuszczeniu niemieckich jeńców wojennych, w rolnictwie brytyjskim odczuć się dał ostry brak robotnika. Miejscowe władze nie kryły swego rozczarowania z powodu słabych wyników, jakie akcja rekrutacyjna do rol-

nictwa dała w PKPR. Polscy żołnierze, choć najczęściej pochodzenia wieśniaczego, nie kwapili się do pracy na cudzym gospodarstwie. Niepodeznanie tej akcji stało się jednym z motywów decyzji rządu brytyjskiego rekrutacji DP'sów z terenu Niemiec i Austrii. Wśród tych tzw. E.V.W.s, (*European Voluntary Workers*), sprowadzonych na wyspę w latach 1947-1949, znalazło się około 15.000 Polaków, z których większość skierowana została do pracy w rolnictwie. Opieka nad tymi ludźmi, rozmieszczonymi w kilkudziesięciu rozrzuconych w terenie hostelach, stała się dodatkową, nieoczekiwaną odpowiedzialnością Związku Rolników, przerastającą raczej możliwości młodej jeszcze, nieokrzepłej i ubogiej organizacji. Na szczęście, po paru latach problem sam się rozładował. Po wygaśnięciu kontraktów, zwerbowanym w Niemczech robotnikom wolno było przenieść się do przemysłu, co większość z nich uczyniła skwapliwie.

Ustabilizowana sytuacja ułatwiła okrzepnięcie form organizacyjnych. Związek Rolników jest dziś jedną z niewielu sprawnie funkcjonujących organizacji społecznych na emigracji. Mimo dość niskich składek, („farmerzy” £ 1.10.0. rocznie, robotnicy rolni £ 1.4.0. rocznie), Związek finansowo jest całkowicie niezależny. Pieniądze płyną z dochodowego, wynajętego na prywatne mieszkania domu i z imprez, wśród których najważniejszą są doroczne „Dożynki” — najelegantszy bal polskiego Londynu. Skromny (poniżej £ 2000) budżet organizacji pozwala jednak na utrzymanie stałego biura, opłacanie sekretarza generalnego (jest nim od szeregu lat inż. L. Woronowicz) i dochodzącej na popołudnia sekretarki, wydawanie powielanego biuletynu i „Przewodnika Farmerskiego” i finansowanie szeregu drobnych a potrzebnych inicjatyw. Biuro Związku nie tylko udziela porad zawodowych, prawnych i ułatwia kontakty z miejscowymi Związkami Zawodowymi, ale załatwia i takie sprawy jak wyrabianie dokumentów podróży i wiz dla członków, spędzających wakacje zagranicą, nocleg i zwiedzanie stolicy dla tych, którzy przyjeżdżają do Londynu. Sekretarz generalny, rozporządzając zakupionym przez Związek samochodem, odwiedza regularnie farmerów, osiadłych nawet w najbardziej odległych zakątkach wyspy. Wizyty te, oficjalnie znane jako inspekcje, mają, jak zresztą cała działalność Związku, charakter w połowie przynajmniej towarzyski. Rozwożone po całej wyspie sąsiedzkie ploteczki nawiązują nitki kontaktu silniejsze zapewne od form organizacyjnych, z konieczności luźnych.

W skład Związku Rolników wchodzi 20 kół terenowych i 2 specjalne koła zawodowe (pieczarkarzy i ogrodników). Większość kół składa się z członków tak rozproszonych w terenie, że o jakiegokolwiek poważnej działalności trudno jest myśleć. Pojedyncze polskie gospodarstwa spotkać można we wszystkich kątach wyspy, ale tylko w paru rejonach zagęszczenia gospodarstw są na tyle silne, że zawoławszy na pomoc patriotyczną wyobraźnię, możemy już mówić o polskich skupiskach rolniczych. Zagęszczenia te występują w Szkocji, Wali i Devonie.

Szkocja, mimo surowego klimatu i gleby nie najwyższej jakości, posiada wysoką kulturę rolną. Specjalizacja posunięta jest daleko, szczególnie w południowej części kraju. Gdzie indziej piszemy o niektórych polskich farmach, a raczej hodowlanych i ogrodniczych przedsiębiorstwach, charakterystycznych dla tej części Szkocji. Wspomnieć tu warto, że dalej na północ, w okolicy Aberdeen, istniały farmy polskie, stosujące konwencjonalną, „mieszaną” uprawę, przypominającą gospodarstwa w Kraju. Słaba jednak opłacalność tego typu gospodarstwa, czy po prostu surowy, nieprzytulny klimat, skłoniły większość Polaków do sprzedaży farm i dalszej migracji. Część wyjechała za morza, do Kanady lub Stanów Zjednoczonych, część znalazła pracę w szkockich miastach. Na wsi pozostało jedynie paru „niedobitków”.

Podobna sytuacja istnieje w Walii. Kraj ten, o ubogich, kamienistych glebach, obfitujący w nieużytki, wydawał się specjalnie naszych rolników pociągać. Działała tu przede wszystkim niska, stosunkowo niska cena gruntu, choć nie jest wykluczone, że w niektórych wypadkach grała też rolę dodatkowa atrakcja malowniczego krajobrazu i obecność tubylców przystępniejszych od Anglików, o temperamentie prawie kontynentalnym. Okazało się wkrótce, że piękny ten kraj wymaga od rolnika niestęchanie ciężkiej, pionierskiej często pracy, za wynagrodzenie bodajże niższe niż gdzie indziej. Najlepiej się tu jeszcze oplaca hodowla bydła i owiec, wymagająca wkładu kapitału, na który Polaków rzadko było stać. Odplyw ze wsi zaczął się więc w Walii wcześniej i trwa, zmniejszając się wprawdzie strugą, do dziś dnia. Ale jest już też spora grupa Polaków zasiedziały i zagospodarowanych, którzy wracać do miast nie mają zamiaru. Ostatecznie Walia ma swe dobre strony. Należą do nich przede wszystkim rzeczywiście przyjemne stosunki z sąsiadami — Walijszykami. Polacy i Walijszycy chętnie udzielają sobie nawzajem sąsiedzkiej pomocy. Istnieje nawet podobno pewnego rodzaju sojusz walijskich farmerów z Polakami, wymierzony przeciwko Anglikom, których sporo osiedliło się w tutejszych dolinach. Zdarzyło się kiedyś, że Anglik klótnię sąsiedzka z Polakiem postanowił rozstrzygnąć w sądzie. Sprawę wygrał Anglik, nasz rodak skazany został na grzywnę 100 funtów. Oburzeni Walijszycy zebrali pomiędzy sobą pieniądze na pokrycie całej sumy.

Kierowanie sporów na drogę sądową uważane jest na walijskiej wsi za postępowanie nieetyczne. Stosują się do tych norm Polacy — jeśli idzie o Walijszyków, robiąc tylko czasem wyjątki dla rodaków. Opowiadano nam inną, charakterystyczną historię. Polak podał do sądu rodaka, nie wiedząc, że ten ma współnika Walijszyka. Kiedy Walijszyk zjawił się w sądzie, reprezentując stronę pozwaną, speszony Polak skargę czym prędzej wycofał. Cała sprawa jest ironiczną ilustracją niezbitę na pewno prawdy: polscy rolnicy przystosować potrafią się do warunków, ale wynarodowienie im nie grozi.

Devon ze wszystkich skupisk najbardziej jest skrytalizo-

wane, najmniejszym też podlega wahaniom. Początkowo wprawdzie i stąd wielu Polaków uciekało do miast, ale ta migracja skończyła się już dawno. Obecnie w Devonie, wraz z przyległymi hrabstwami Somerset i Cornwall znajdują się 32 polskie farmy. Wszyscy ich właściciele zrzeszeni są w miejscowym kole Związku Rolników, którego sekretarzem jest p. Tadeusz Zieliński, rodem z Podhala. W gościnnym Wigdon Mill, posiadłości p. Zielińskiego, znaleźliśmy kwatery, wyczerpujące informacje i w osobie gospodarza chętnego przewodnika po okolicznych polskich gospodarstwach.



Wigdon Mill, dawny młyn, (jak z nazwy łatwo się domyśleć), leży na cyplu, u zbiegu dwóch wartkich strumieni. Okolica — jak mówi p. Zieliński — przypomina Podhale. Dom wszystkimi oknami patrzy na zieleń pobliskich wzgórz, u podnóża obrośniętych gęstą, bujną paprocią, z łysymi łakami na szczycie, z rzadka upstrzonymi kępami drzew. Biegnące stokami wzgórz rzędy płotów zamykają na pastwiskach stada „Devonek” — czerwonych krów miejscowej rasy, wyglądających z daleka jak gromady leniwych biedronek. Na południu rysują się na horyzoncie garby Dartmoor'u, odległe stąd o jakieś 10 mil. Dartmoor służy tu jako barometr: jasne, lub lekką mgiełką przysłonięte góry wróżą pogodę, przed deszczem czernieją i jakby przybliżają się.

P. Zieliński, oficer Drugiej Pancерnej Dywizji, gospodaruje w Wigdon Mill już od 10 lat. Osiedlił się tu wkrótce po ślubie z błękitno-krwistą Angielką, panną Brendą Harington, córką rodu o prawdziwie wielkich tradycjach, choć materialnie podupadłego. Państwo Zielińscy mają dwoje dzieci, 9-letniego syna i 4-letnią córeczkę; obok nich jedynym ludzkim mieszkańcem Wigdon Mill jest „pan Jan”, robotnik polski.

P. Zieliński uprawia gospodarke mieszaną, — wszystkiego po trochu. Hoduje bydło, świnie i trochę kur, sieje zboże, ma nawet małą pasiekę. Jest też w Wigdon Mill zwyczaj pieczenia własnego chleba i ubijania masła, co razem nadaje tutejszemu życiu charakter autentycznie wiejski, rzecz niezbyt często spotykana na zmechanizowanych angielskich farmach. Co poniedziałek, raz w tygodniu, pani domu jedzie jasnym Austinem do odległego o 8 mil Okehampton, załatwiać konieczne sprawunki. Resztę daje ziemia.

Jak i wszędzie, Polacy w Devonie początkowo musieli pracować w dwójnasób. Prawie wszyscy zaczynali ze szczupłym kapitałem własnym, zaciągając często wysokie pożyczki. Piędzy wystarczyło jedynie na najbardziej niezbędne narzędzia. Wszelkie niedostatki łątać trzeba było własnym wysiłkiem. Okazało się też, że uprawa w Anglii niewiele ma wspólnego z gospodarowaniem w Polsce. Odmienny jest klimat i gleba, inne zapotrzebowania i mechanizm rynku. Doświadczenia ze wsi polskiej nieraz wprost tu przeszkadzają. Rzecz charakterystyczna: wśród farmerów polskich dorabiających się, prowadzących nieraz wzo-

rowe gospodarstwa, spotyka się niezmiernie rzadko rolników sprzed wojny. Wielu farmerów klepie dotychczas biedę, nie potrafiąc się nagiąć do zmienionych warunków i metod uprawy. W Anglii każdy, bez względu na doświadczenia, musiał uczyć się rolnictwa od początku, na kosztownych często błędach. Nauka obejmowała nie tylko samą uprawę. W Anglii dobry rolnik musi być także sprytnym kupcem. Musi umiejętnie korzystać z wielu udogodnień, kredytów i subsydiów, jakie rolnictwu w W. Brytanii udostępnia rząd. Tak np. warto jest karmić bydło robioną u siebie kiszonką, nie tylko dlatego, że daje to dobre rezultaty, ale i dlatego, że rząd popierający produkcję „Silasu” pokrywa lwią część kosztów, związanych z wybudowaniem potrzebnych urządzeń lub — przykład mniej ważny, ale barwny i dobitny — przed zabiciem wieprza na własny użytek należy go sprzedać, po czym czym prędzej kupić z powrotem. W ten sposób realizuje się subsydujum, utrzymywane przez rząd, by umożliwić angielskiej wieprzowinie konkurencję na wewnętrznym rynku z mięsem importowanym. Dopiero po takiej transakcji, na której rolnik zarabia na czysto kilka funtów, przystąpić można do robienia polskich kiełbas.

Sąsiedzkie stosunki z Anglikami w Devonie są, prawie bez wyjątku, poprawne. W razie potrzeby jedni drugim wypożyczają narzędzia i maszyny i pomagają bezpośrednim wkładem pracy. Ale wzorowe na ogół współzycie prawie nigdy nie przeradza się w ściślejsze, towarzyskie stosunki. Ta towarzyska rezerwa Anglików tym silniej wiąże ze sobą polskich rolników. Kiedy czas pozwala, odwiedzają się, podróżując nieraz poprzez wielkie polacie Devonu, by wpaść do rodaka na chwilę sąsiedzkiej rozmowy. Miejscowe koło Związku Rolników także służy celom towarzyskim. Zjazdy członków (każde zebranie jest — dosłownie — zjazdem) mają miejsce w prywatnych domach, według ustalonej uprzednio rotacji. Gospodarze przyjeżdżają z rodzinami i zebranie, po załatwieniu nielicznych na ogół spraw organizacyjnych, przymuje formę staro-polskiej „party”. Istnieje jednak i inna, ściślejsza forma zebrań. Przynajmniej raz do roku członkowie koła robią „inspekcję” jednej z miejscowych, polskich farm. Po oględzinach wymieniają doświadczenia, krytykują i radzą.

Emigracyjna polityka w życiu polskich rolników odgrywa niewielką rolę. Współzycie z naturą, bezpośrednia zależność od ziemi, sprzyjają konserwatyzmowi i nasze spotkania i rozmowy zasadę tę na ogół potwierdzają. Postawa polityczna polskich rolników nie wychodzi poza ogólny, mało konkretny antykomunizm, a w życiu angielskim poza sympatie do konserwatywnych rządów. W Devonie postacią ogólnie popularną jest gen. Anders, co zresztą w większości wypadków wcale nie jest jednoznaczne z zaangażowaniem się w wojnę pomiędzy „Zamkiem” i „Obozem Zjednoczenia”. Te sprawy interesują niewiele.

Wiejski konserwatyzm jest też zapewne czynnikiem ochraniającym polskość emigracyjnych rolników. Wprawdzie, przyje-

cia nabierają niektórych cech angielskich „parties”, ale tego rodzaju wpływy nie sięgają głęboko. Polskość pielęgnowana jest pieczołowicie i chyba świadomie.

Małżeństwa mieszane są zjawiskiem raczej rzadkim. Państwo Zielińscy są wypadkiem pod wieloma względami wyjątkowym. Pani Brenda mówi płynnie po polsku i tego języka używa zwracając się do dzieci. Zresztą, nawet przed zamążpójściem, interesowała się ona żywo Polską. Pod swym panięmskim nazwiskiem ogłosiła powieść, „For Hope Remains”, w której postaciami głównymi są Polacy. Dzieci są rzeczywiście dwujęzyczne, — obydwo ma językami posługują się swobodnie.

Co drugi dzień odbywa się w Wigdon Mill rytuał ubijania masła. Pan Jan wnosi do kuchni uroczyście swój stary, ręczny patefon i stos polskich płyt. W takt starych szlagierów chlupie śmietana. Kiedy płyta dobiega końca, pan Jan wstaje i wolno, z namysłem wybiera następną. Po czym mały emigracyjny dramacik toczy się dalej; „Chlup! Chlup!” sentymentalnie pod „Dwadzieścia mam lat”, „Chlup! Chlup!” bohaterko pod „Maki na Monte Cassino”.

Pan Zieliński, pamiętając, że „pańskie oko konia tuczy” (krowę też?) przynajmniej dwa razy na dzień zagląda na pastwisko. Staje na szczycie pagórka i woła: „Chodź! Chodź! Chodź!” I bydło przerywa gryzienie trawy i idzie pod górę, w takt kroków kiwając łbami. Pierwszy dochodzi do nas czerwony, młody byk, Wojtek, i ostrożnie, jak pies, obwąchuje nieznanomych.

Materialnie Polakom w Devonie powodzi się nieźle, tj. dochodzą na ogół do poziomu, na którym żyją angielscy farmerzy. Na stosunki miejskie nie jest to poziom wysoki, ale porównanie trudno jest przeprowadzić. Z gotówką prawie zawsze jest skąpo, ale potrzeby mieszkańca wsi są o wiele mniejsze od potrzeb mieszczaucha. „Kieszenie mam puste, ale nikt w mieście nie zjada co dzień tyłu jaj, co ja”, powiedział nam, trochę naiwnie, jeden z naszych rozmówców. Wypowiedź jest dość typowa. Ogólnie biorąc, rolnicy zdając sobie sprawę ze swych skąpych, w stosunku do włożonej pracy zysków, mieszkańcom miast wygod nie zazdroszą. Niezależność, fakt posiadania ziemi, świadomość, że jest się „panem na własnych śmieciach”, kompensują trudy wiejskiego życia.

Zdarzają się, oczywiście, smutne wyjątki. Opowiadano nam w Devon o pewnym Polaku, chorym nerwowo, któremu doktor zalecił pobyt na wsi. Polak ten za swe skromne oszczędności kupił parę akrów gruntu i kilka świń. Z prasowanych bełek słomy sklecił prymitywny szałas i zamieszkał w nim razem ze świniami. Zyl tam w straszliwych warunkach przez szereg miesięcy, żywiąc się surową brukwią i odpędzając siekierą ciekawych, a może i współczujących sąsiadów. Kiedy relacje o niezwykłym zachowaniu się rodaka dotarły do miejscowych Pola-



ków, zajęło się nim Koło Związku Rolników. Niefortunna próba „kuracji” zakończyła się sprzedażą gospodarstwa i powrotem Polaka do miasta.

Od budowy szafasu zaczęli też gospodarzkę niektórzy zamężni dzisiaj farmerzy. Tak zaczął, mówiono nam, major Rozwadowski, który mieszkając w szafasie budował własnoręcznie oborę, a dopiero potem — dom. Podobną też drogą dorabiają się państwo Starzakowie, których udało nam się odwiedzić w czasie naszego pobytu w Devon.

Starzakowie, bezdzietne małżeństwo w średnim wieku, wyjechali z miasta przed paru laty, w nadziei, że wiejskie powietrze wzmocni słabe zdrowie kobiety. Oszczędności wystarczyło na zakup kilkudziesięciu akrów ziemi bez zabudowań i narzędzi. Oboje Starzakowie znaleźli pracę na pobliskiej, angielskiej farmie i co dzień wieczorem, skończywszy pracę na obcej ziemi, zaczęli na własnej. Z uprawą wielkiego kłopotu nie było, bo p. Starzak obsiewał grunta trawą, i siano sprzedawał na pniu. Nie posiadając żywego inwentarza, Starzakowie budowę zaczęli od domu dla siebie. Stan finansów nie pozwalał nawet marzyć o zaangażowaniu architekta i robotników. Pozostało jedno tylko wyjście: zrobić projekt i zrealizować go samemu, w czasie wolnym od pracy zarobkowej, polegając, poza parą rąk własnych, na uczynności rodaków. Dom stanąć miał w szerszym polu, z dala od ludzkich osiedli; trzeba więc było wykopać studnię i założyć kanalizację, doprowadzić elektryczność. Zdarza się często, że gdy ktoś podejmuje się zadania, przerastającego zdawałoby się ludzkie siły, los śmiałkom nogę podstawią. Tak było i tym razem. W czasie kopania studni p. Starzak uległ wypadkowi. Diagnoza wykazała uszkodzenie kręgosłupa. Oznaczało to unieruchomienie — dosłowne — na kilka tygodni. Nie zniechęciło to jednak Starzaków, i skoro tylko pan domu (nieistniejącego jeszcze) wstał z łóżka i mógł się swobodnie poruszać, przerwana praca znów podjęto. Upór Starzaków musiał imponować okolicznym polskim rolnikom, którzy w „Week-end'y” — czas na wsi względnie wolny — przyjeżdżali pomóc sąsiadowi w budowie. Po dwóch latach wysiłków, w pustym polu, o kilkadziesiąt metrów od drogi, stanął ładny, murowany parterowy domek. Państwo Starzakowie mogli w końcu zamieszkać na własnym gospodarstwie. Stopniowo dekorowali i meblowali wnętrze. Dla człowieka przyzwyczajonego do mieszkań urządzonych byle jak, zawsze pełnych nastroju tymczasowości, dom państwa Starzaków jest przeżyciem niezwykłym. Każdy szczegół jest częścią jednego, przemyślanego drobiazgowo planu. Pewnego rodzaju arcydziełem jest pod tym względem kuchnia. Pani domu ma tu wszystko, czego potrzebować może na odległość ramienia. Z ciasnoty uczyniono cnotę; ekonomia ruchów, racjonalne użytkowanie przestrzeni, doprowadzone są do ostateczności. Dom pasuje do mieszkańców, jak rękawiczka.

Budowa nie skończyła się z domem. Obok wyrósł garaż z pustaków, w garażu zamieszkał mały „Morris”. Państwo Sta-

rzakowie zmienili pracę. Obecnie zatrudnieni są oboje w odległej o kilkanaście mil fabryce cukierków, dokąd udają się co rana swoim „Morrisem”. Wieczorami i w czasie „week-end'ów” dalej rozbudowują gospodarstwo. Plany na najbliższy okres przewidyują budowę chlewu, gdyż Starzakowie zamierzają zająć się chowem świń.

Wobec tak ogromnej, prawie anormalnej pracowitości, człowiek staje zdumiony i bezradny. Tego rodzaju tryb życia, ciągnący się przecież przez długie lata, nie pozostawia, oczywiście, miejsca na czytanie, na szersze zainteresowania, na branie bezpośredniego udziału w życiu społeczności polskiej. Ale czyż można potępić życie tak intensywne i tak wierne w stosunku do wytyczonych sobie celów? Patrząc z zewnątrz, można wątpić, czy cele usprawiedliwiają aż tak wielki wysiłek, ale Starzakom argument taki wydałby się zapewne bezsensowny. Ich praca ma w sobie coś z pasji twórczej artysty.

W ten sam dzień, w którym poznaliśmy państwa Starzaków, pojechaliśmy na farmę „czterech Świętych”. „Czterej Święci”, jedna z nielicznych w Devonie spółek, interesowali nas, między innymi, ze względów klasowych. Była to — poinformowano nas — spółka na równych prawach dwóch majorów z dwoma sierzantami. Nie wiemy jak zrodził się przydomek i czy ma coś wspólnego ze znaną pobożnością jednego z majorów, ale nie dziwi nas, że określenie przyłgnęło do tych czterech samotnych starszych panów, żyjących ze sobą, biorąc pod uwagę warunki i różnice rang, nadspodziewanie zgodnie. (Dla ścisłości powiedzieć tu musimy, że „Świętych” pozostało już tylko trzech. Czwarty sprowadził sobie żonę z Polski i, w kilka tygodni po jej przyjeździe, przeniósł się na stałe do miasta). „Czterej Święci”: wszystko panowie koło sześćdziesiątki, są właścicielami dużej farmy (ponad sto akrów) i kilkudziesięciu sztuk bydła. Łąki i pastwiska stanowią lwią część gospodarstwa, ale w granicach farmy znajdują się i pola uprawne. Moc bieżącej pracy i brak rąk kobiecych odbijają się przede wszystkim na stanie zabudowań i domu mieszkalnego. W głębi błotnistego podwórka stoi krzywa biała chatka, pęknięta w pół, z szeroką rysą biegnącą od dachu aż po ziemię. Pod oknami rośnie jedna kępa wysokich, płomienistych kwiatów, znanych tutaj jako „Red-hot Pokers” (tłumacząc dosłownie: „Rozpalone Pogrzebacze”). We wnętrzu, na parterze, sufit zwisa wielkim brzuchem tak nisko, że wysoki mężczyzna uważać musi, by głową nie zaczepić o belkę. Ma się wrażenie, że byle silny podmuch zmiótłby chatkę z powierzchni ziemi. Obok, w dużym, zapuszczonym sadzie wałęsają się krowy.

Jak dowiedzieliśmy się, „Święci” od dawna myślą o sprzedaży farmy. Główną przeszkodą jest właśnie stan domu mieszkalnego. Krzywa i rozlatująca się, choć malownicza, chatka odstrasza zainteresowanych, lub w innych wypadkach, obniża cenę tak dalece, że współnicy nie wycofaliby utopionych w farmie kapitałów. Z konieczności gospodarują więc dalej.

W parę miesięcy po naszej wizycie w Devonie mówiono nam, że sytuacja „Świątych” poprawiła się. Chatę podobno wyremontowali i wzięli się do pracy z nową energią.



Jak już pisaliśmy, stan liczebny rolników polskich utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie. W bliskiej przyszłości nie należy oczekiwać większych zmian. Na miejsce tych nielicznych, którzy, jak „Czterej Świąci”, przeniosą się zapewne do miast, przyjdą inni. Są nawet nadzieje, że ilość rolników z czasem wzrośnie. Podobno na Midlandach, w okręgu, który dotychczas farm polskich nie posiadał, nasi robotnicy, pochodzący przeważnie ze wsi, chętnie obecnie lokują swoje oszczędności w ziemi. Urządzają małe, 10 — 20 akrowe gospodarstwa, pracując jednocześnie w fabrykach. Żyją w stylu Starzaków. Być może, że niedługo będziemy mieli czwarte polskie skupisko rolnicze, o odmiennym od innych charakterze.

Związek Rolników czuje się organizacją na tyle permanentną i zabezpieczoną, że podjął ostatnio inicjatywę zakreśloną na szereg lat. Chodzi o kupno i urządzenie gdzieś pod Londynem tak zwanego „Domu Społecznego” — przytułku dla starych rolników, połączonego z hodowlą pomidorów. Otwarty specjalny fundusz rośnie mozolnie. W tym tempie wiele lat minie, nim dom zostanie otwarty. Nikt się tym jakoś nie przejmuje. Obcowanie z ziemią rozwija cierpliwość.

Na tle masy emigracyjnej, mała grupka rolników wygląda raczej sympatycznie. Większość tych zapracowanych i twardych ludzi „urządziła się” w Anglii w głębszym i pełniejszym tego słowa znaczeniu niż to, w jakim używamy go w odniesieniu do obrotnych Polaków w miastach. Co więcej, pozostają oni prawie zawsze, żywymi członkami emigracyjnej społeczności.

Bogdan CZAYKOWSKI

i

Bolesław SULIK

P.S. : — 1) Przypomnieć tu też warto, że „Angielsko-polski i polsko-angielski słownik rolniczy”, który ukazał się na rynku przed paru miesiącami opracowany został przez inż. Woronowicza i wydany przez Związek Rolników przy pomocy amerykańskiego „The East Europe Institute”. Wydawnictwo, obejmujące 20.000 słów, zamierzone jest jako trwała pozycja w piśmiennictwie fachowym, raczej niż podręcznik dla rolników polskich na emigracji.

## Najnowsza historia Polski

### Ze wspomnień kowieńskich 1938/39

Koniec kwietnia i połowę maja 1938 roku wypełniły mi całkowicie oficjalne wizyty, obowiązujące mnie jako polskiego attaché wojskowego, u wojskowych Litwinów oraz zapoznanie się z grubsza z terenem. Pierwszą wizytę złożyłem Szeffowi Oddziału II Sztabu Generalnego Litewskiego pułkownikowi S. G. Dulksnysowi. Stanowiło to nie tylko moje pierwsze zetknięcie się z przedstawicielem Wojska Litewskiego, ale w ogóle pierwsze oficjalne spotkanie oficera Wojsk Polskich z oficerem Wojsk Litewskich od roku 1920.

Rano 23 kwietnia 1938 roku, nazajutrz po przyjeździe moim do Kowna, prosiłem radcę p. Załęskiego, obeznanego ze zwyczajami miejscowymi ponieważ już od miesiąca przebywał w Kownie, aby jeszcze tego samego dnia zorganizował moją wizytę u Szefa Litewskiego Oddziału II-go. Prosiłem również p. Załęskiego, aby zwrócił się do Sztabu Litewskiego o przysłanie po mnie przewodnika do Hotelu Metropolis, aby nie błądzić znów po Kownie, tak jak to było wczoraj. Za chwilę przyszedł do mnie p. Załęski z wiadomością, że Sztab Litewski odpowiedział, że wizyta jest wyznaczona dzisiaj na godzinę 12.00 i że po mnie przyjedzie samochodem do Hotelu Metropolis oficer Oddziału II Litewskiego Sztabu.

O godzinie 11,45 zaanonsowano mi telefonem od portiera hotelowego, że czeka na mnie porucznik Szutys. Poleciałem prosić go na górę do mojego pokoju. Gdy porucznik Szutys wszedł, był u mnie radca Maciej Załęski, sekretarz naszego Poselstwa. Porucznik Szutys znalazł się bardzo poprawnie, *correct*, ściślej po wojskowemu, ale widoczne było, że jest nieprawdopodobnie i nieprzeciętnie zemocjonowany i że traktuje swoją rolę, prze-

*Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

wodnika polskiego attaché wojskowego, narzuconego Litwie prawie siłą, jako wyraźny „dopust Boży”.

To dziwne, dlaczego tyle emocji towarzyszy nawiązaniu stosunków litewsko-polskich! Bo i nam, mnie i radcy Załęskiemu, było jakoś nieswojo w tym momencie.

Porucznik Szutys nie mówił ani słowa ani po polsku, ani po rosyjsku, ani po francusku. Znał natomiast zupełnie poprawnie język niemiecki i w tym języku rozmawialiśmy, my kłęcząc go przeraźliwie. Opowiedziałem porucznikowi Szutysowi w żartobliwej formie moje wczorajsze przygody z odszukaniem w Kownie Hotelu Metropolis, podkreślając na zakończenie, że uważam dla siebie za bardzo pomyślny omen na przyszłość, iż w osobie litewskiego oficera znalazłem w stolicy Litwy pierwszą pomoc. Nie jestem jednak pewien czy porucznik Szutys zrozumiał moją intencję, a zwłaszcza, czy powtórzył to, co mu powiedziałem. Były jednakże w rozmowie z nim duże trudności językowe, ponieważ zarówno mój niemiecki jak i p. Załęskiego, nie należą do najlepszych. Porucznik Szutys przez cały czas pobytu w moim pokoju czuł się źle; był jakby złapany, co chwila błął, to znowuż czerwieniał, w dodatku pot mu spływał ciurkiem po twarzy; jednym słowem czuł się fatalnie, co było niedwuznacznie widoczne.

Przed samą 12.00 pojechaliśmy, ja i porucznik Szutys, wielkim wojskowym samochodem z podoficerem jako szoferem, do Sztabu Litewskiego. Oddział II Sztabu Litewskiego mieści się w niewielkiej, jednopiętrowej kamienicy na placu, przy końcu Laisves Aleje, niedaleko dawnego soboru prawosławnego, obecnie przerobionego na rzymsko-katolicki kościół garnizonowy. Od Hotelu Metropolis do siedziby Litewskiego Oddziału jest bardzo niedaleko, kilka minut spacerem. Do biur Oddziału II Sztabu Generalnego Litewskiego wchodzi się po staromodnych, bardzo krętych i potwornie skrzypiących, stromych schodach na pierwsze piętro, najpierw do obszernej sieni, a następnie do dużego pokoju, urządzonego jako poczekalnia. Umeblowanie poczekalni bardzo proste i skromne: kanapa wyścielana, przed nią stół z dziennikami, zdaje się litewskimi, kilka krzesel, na ścianach jakieś oleodruki; żadnych dywanów na podłodze, żadnych firanek lub portier na oknach. Po spartańsku i po wojskowemu! Na prawo z poczekalni znajduje się pokój adiutanta Oddziału II-go, na lewo drzwi prowadzą do gabinetu Szefa Oddziału II-go pułkownika Dulksnysa. Gdy weszliśmy z porucznikiem Szutysem do poczekalni czekał już na mnie starszy, siwawy oficer litewski. Powitał mnie bardzo służbowo mówiąc po rosyjsku, i prosił chwilę zaczekać: pułkownik Dulksnys już wie o moim przybyciu i za chwilę wyjdzie sam. Oficer ten, kapitan Czemakis, był adiutantem Szefa Oddziału II Litewskiego Sztabu. Przypomniał mi żywo swoją sylwetkę polskiego adiutanta Szefa II Oddziału Sztabu Głównego w Warszawie, kapitana Dziedzickiego (1938), Kawalera Orderu Virtuti Militari, też weterana od początku I-ej wojny światowej i długoletniego,

wytrawnego, bardzo lubianego przez wszystkich, pewnego siebie adiutanta, specjalnie wyszkolonego do przyjmowania attachés wojskowych państw obcych. Ten kapitan litewski był wspaniale pewny siebie, opanowany, wiedział, co ma mówić i jak rozmawiać z cudzoziemcem, P o l a k i e m w dodatku, pojawiającym się po raz pierwszy w Sztacie Litewskim. Bardzo mi się podobało, że w krótkiej rozmowie ze mną nie pokazał po sobie najmniejszych śladów emocji lub zdenerwowania; kapitan Czemakis bawił mnie rozmową, tak, jakby to czynił z każdym innym cudzoziemskim oficerem, do których jest przecież już przyzwyczajony.

W pewnej chwili wszedł do poczekalni pułkownik Dulksnys. Pierwsze wrażenia z zetknięcia się z zupełnie obcym mi człowiekiem, z którym będę miał dużo do czynienia, uważam za niezmiernie ważne dla siebie, toteż starałem się jak najbardziej przyjrzeć się pułkownikowi Dulksnysowi. Wszakże z nim, albo przez niego lub z jego pomocą, będę musiał wykonywać powierzone mi, niełatwe i mozolne zadania na Litwie.

Pułkownik Dulksnys podobał mi się z miejsca; ma on w sobie coś, co od razu usposabia do niego ludzi przychylnie. Ma w oczach jakąś magnetyczną siłę, która przyciąga. Pułkownik Dulksnys jest raczej niskiego wzrostu, dosyć krępy, nieco nawet zaokrąglony w brzuszku, ciemny brunet z bujną czupryną; ma duże pałające piękne, czarne, bardzo południowe oczy; w ruchach trochę nerwowy, porywisty; głowa okrągła z bardzo wysokim czołem; rysy twarzy dosyć proporcjonalne; oczy niezwykle czujne i uważające, a w wyrazie twarzy znać, jakby pewne napięcie. Pułkownik Dulksnys jest młodym człowiekiem, na pewno poniżej czterdziestki. Zastanawiające jest, że nic w nim nie ma typu litewskiego — skąd, tutaj na Litwie wziął się taki typ południowca, o wybitnych cechach śródziemnomorskich krótkogłowca?

Przedstawienie odbywa się po francusku, potem przechodzimy do jego gabinetu. Usiedliśmy w fotelach i zapaliliśmy papierosy. Rozpoczęliśmy rozmowę. Mówiliśmy po francusku. Wydawało mi się, że pułkownik Dulksnys był bardzo wyraźnie, poważnie wzruszony, względnie silnie poruszony i podenerwowany. Był blady na twarzy, na czole ukazały się krople potu, ręce lekko mu drżały, gdy zapalając papierosa podnosił zapalną. Drżał mu także nieco i głos gdy mówił do mnie. Panował jednak w zupełności nad sobą i zachowywał się, jako gospodarz na swoim terenie, wzorowo i bez najmniejszego zarzutu. Rozmowa nasza, mimo, że starałem się forsować swobodny ton i nawet wnosić pewien nastrój humoru (z jaką okropną męką to robiłem, bo też byłem bardzo przejęty i poruszony!), szła raczej kulawo. Poruszaliśmy tematy, które nazwać można okolicznościowymi — o mojej podróży samochodem z Warszawy do Kowna, o mieście Kownie itp. Po kilkunastu przerzuconych w ten sposób zdaniach pułkownik Dulksnys sam podał mi plan dalszych moich oficjalnych wizyt wojskowych. Za parę dni ma

mnie przyjąć generał Rasztikis, Dowódca Wojska Litewskiego Kareuminas Vadas, oraz generał Czernius, Szef Sztabu Wojska Litewskiego. Pułkownik Dulksnys wyjaśnia, że obecnie obaj generałowie są nieobecni w Kownie lecz powracają za kilka dni; przyjąłem to oświadczenie z oznakami oczywistego zadowolenia, chociaż wiedziałem, że nie zgadzało się ono z prawdą — chodziło o to, aby pierwszy polski attaché wojskowy nie został za wcześniej przyjęty przez Naczelnego Wodza Litwy, zwłaszcza po ultimatum ze strony Polski. Zapytałem pułkownika Dulksnysa, czy nie uważałby za wskazane, abym złożył wizytę również Ministrowi Spraw Wojskowych Litwy, generałowi Reklajtisowi. Zostało to dobrze przyjęte. Następnie pułkownik Dulksnys wystąpił do mnie z małą przemową, w której prosił, abym czuł się na Litwie jak najlepiej, zupełnie swobodnie, że wszędzie swobodnie mogą jeździć samochodem, koleją i chodzić pieszo, że zawsze jest sam do mej dyspozycji, gdybym miał jakiegokolwiek trudności, czy też jakieś sprawy do załatwienia i że ma szczerą nadzieję, iż będziemy się często widywali. W miarę, jak pułkownik Dulksnys mówił do mnie, uspakajał się coraz bardziej i stawał się bardziej naturalny i swobodny. Ustąpiły w nim wszystkie objawy podenerwowania i podniecenia. Spostrzegłem również, że ma on dużą, wrodzoną łatwość w obcowaniu z ludźmi i że tylko wyjątkowa okoliczność — pierwsze spotkanie po ultimatum polskim do Litwy — w jakiej zetknęliśmy się z nim, była przyczyną początkowych chropowatości wizyty. Pułkownik Dulksnys ma niesłychanie miłą, ujmujący uśmiech, wprawdzie rzadko się uśmiechał w czasie mojej pierwszej wizyty, ale go ma, to podpatrzyłem.

Po 15 minutach wstałem, pożegnałem się i wyszedłem. Wrażenia? Wzruszenie, czy też podniecenie lub zdenerwowanie, pułkownika Dulksnysa, to jest ta emocja z jaką i ja wjeżdżałem na Litwę i — do czego zupełnie szczerze przyznaję się — szedłem do Litewskiego Szefa Oddziału II-go z pierwszą od 1 a t d w u d z i e s t u oficjalną wizytą. Dla Litwinów emocja ta jest tym większa, że m u s z a s i ę c z u ć bez wątpienia głęboko pokrzywdzeni, nawet upokorzeni, narzuconą im formą nawiązania stosunków z Polską. Litewska opinia publiczna nie wie z pewnością, jak sprawy dokładnie stoją z niedostępnym do skutku porozumieniem z Polską, ale to co wie wystarcza dla wrogiego stosunku do Polski: dwadzieścia lat niezałatwionego sporu o Wilno, które jednak było s t o l i c ą dawnej Litwy, i życia obok siebie w jednostronnej, głównie ze strony Litwinów, atmosferze wrogości, musiało wyrzucić na Litwie bardzo poważne skutki. Stawiając sam siebie w położeniu pułkownika Dulksnysa, rozumiałem go aż nadto dobrze; mimo wszystko przyjął on polskiego Attaché Wojskowego, przedstawiciela Polskich Sił Zbrojnych, z p e ł n ą k u r t u a z j ą i niczym nie dał poznać po sobie, że polski Attaché Wojskowy jest w Litwie gościem, który się sam nachalnie zaprosił. Toteż pierwsze moje zetknięcie z Szefem Litewskiego Oddziału II-go pozostawiło

wrażenie na ogół dodatnie — tak też doniosłem do Warszawy. Wyczułem co prawda — w zachowaniu pułkownika Dulksnysa uczucie poważnej przykrości i niemiłego wrażenia, że m u s i przyjąć mnie, oficera Wojsk Polskich i ich przedstawiciela, ale nie znalazłem nic, absolutnie nic, wrogiego w stosunku do mnie, jako do zwykłego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Można z dużym trudem z racji mojego litewskiego pochodzenia, porównać to pierwsze nasze spotkanie, Litwina i Polaka, do spotkania dwóch przedstawicieli bliskich sobie od dawien dawna rodzin, czy rodów, które dłuższy czas żyły w ostrej niezgodzie, aż wreszcie wysłały nieznanym sobie nawzajem posłów, w celu zakończenia sporu i nawiązania przerwanych pomiędzy sobą stosunków.

Niedawno popełniliśmy wszyscy razem, całe Poselstwo Polskie w Kownie, pierwszą dużą „gaffę dyplomatyczną” wprowadzając w niemały kłopot Litewskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a przede wszystkim Litewskiego Szefa Protokołu, Girdwajnisa. Jednocześnie ze składaniem przez nas pierwszych wizyt oficjalnych, miały miejsce również wizyty naszych żon. Wizyty te organizowała pani Charwatowa, żona naszego posła, która według vox-populi, słynęła z gruntownej znajomości protokołu dyplomatycznego, jako, że kiedyś była sekretarką posła na placówce (Charwata) i posiadała wielkie talenty towarzyskie i dużą znajomość wielu obcych języków. Pani Charwatowa pewnego dnia zatelefonowała osobiście, czy też przez sekretarkę swojego męża pannę Białkównę, do pani Łozorajtisowej, żony Ministra Spraw Zagranicznych Litwy, zapowiadając wizytę pań z Polskiego Poselstwa u niej. Telefon ten przyjął ktoś z otoczenia bliskiego ministra Łozorajtisa i, prawdopodobnie, wskutek nieporozumień językowych, odpowiedź została zrozumiana w Poselstwie Polskim, że pani Łozorajtisowa oczekuje członków Poselstwa Polskiego następnego dnia o godzinie 17-ej na herbacie, u siebie. Minister Charwat i pani Charwatowa przyjęły tę odpowiedź, jako nieoczekiwane i niespodziewane zaproszenie nas wszystkich, całego składu członków Poselstwa z żonami, do pani Łozorajtisowej. Uważane to było nawet, jako niezwykły sukces dyplomatyczny Polski na Litwie... Toteż następnego dnia o godzinie 17-tej, bardzo uroczyście, trzema samochodami, w pełnym komplecie czterech par małżeńskich (pp. Charwatowie, Załęscy, Dziarczykowsy i my) oraz dwóch kawalerów (Drobnik i Stanisław Westfal), pojechaliśmy do państwa Łozorajtis, bowiem p. Charwat liczył się z tym, że i minister Łozorajtis również będzie obecny na herbacie. Przy naszym tłumnym wejściu do salonu pani Łozorajtis nastąpiło zupełne „tableau” — niema scena absolutnego zaskoczenia pani Łozorajtisowej, która była zupełnie sama, bez żadnego otoczenia, i oczekiwała przybycia tylko czterech pań polskich, a nie całego kompletu Polskiego Posel-

stwa z Ministrem na czele, w towarzystwie munduru attaché wojskowego. Pani Łozorajtisowa do tego stopnia straciła kontenans, zaskoczona niespodziewanym przybyciem nieznanych jej sześciu panów, że się z nikim z nas mężczyzn, nie przywitała. Zapanowało na dłuższą chwilę kłopotliwe zamieszanie. Przepuszczalnie jednak był ktoś w domu pp. Łozorajtisów, kto zorientował się w sytuacji, bo po upływie krótkiej chwili zjawił się zdyszany i spocony Szef Litewskiego Protokołu p. Girdwajnis i szybko, co trzeba mu przyznać, opanował położenie. Dostaliśmy czarną kawę, ciastka i po kilkunastu minutach bardzo wymęczonej rozmowy, prowadzonej notabene tylko przez jedną panią Charwatową, w niewyraźnym nastroju odjechaliśmy do naszego hotelu.

W czasie tej mocno niefortunnej wizyty miałem sposobność obejrzenia urzędzenia domu Ministra Spraw Zagranicznych Litwy. Budynek sam jest bardzo okazały, dwupiętrowy, położony w pobliżu gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zapewne jest to dawny dom mieszkalny jakiegoś dygnitarza rosyjskiego. Wchodzi się do dużego hall'u; przy drzwiach stoi jak posąg, majestatyczny policjant w ogromnej czapie z herbem Pogoni, następnie szerokimi, wyłożonymi dywanem schodami idzie się na pierwsze piętro gdzie znajdują się apartamenty reprezentacyjne ministra. Byliśmy przyjmowani w głównym, bardzo obszernym salonie i w dwóch przylegających, mniejszych salonikach. Wszędzie meble staroświeckie, antyki: mahonie i hebany, kryte przeważnie czerwonym adamaszkiem. Dobre, przeważnie francuskie dywany, pokrywające całe posadzki i dużo różnych drobnych bibelotów na starych, antycznych sekretarzykach i stolikach. Ogólne wrażenie bardzo zamożnego domu wysokiej plutokracji. Obrazów było niewiele, ale niektóre wydały mi się dobrymi. Do kawy podano bardzo ładny srebrny serwis i cenną zastawę porcelanową. Służba — dwóch lokajów i pokojówka — sprawiała się bez zarzutu ale lokaje byli wyraźnie wynajęci, być może byli to woźni Litewskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Muszę tu dodać, że pani Łozorajtisowa ochłonawszy z zaskoczenia, jakim była dla niej wizyta w komplecie Poselstwa Polskiego, o którym jeszcze stary Xenofontes zwykł mawiać, że czy przyjemne czy też nieprzyjemne, zawsze wywołuje wielką emocję, okazała się bardzo miłą, urodziwą i sympatyczną osobą.

Nazajutrz po tej „gaffie” — długo potem wspomianej w korpusie dyplomatycznym Kowna — zostałem powiadomiony przez pułkownika Dulksnysa osobiście przez telefon, że generałowie Rasztikis, Czernius i Reklajtis przyjmą mnie: dwaj pierwsi 27 kwietnia br., a generał Reklajtis 28 kwietnia br.

3 maja 1938 roku, w dniu Polskiego Święta Narodowego, nasz Poseł i Minister p. Franciszek Charwat urządził w Hotelu Metropolis, w osobnej sali, obiad galowy dla całego „personelu”

Poselstwa Polskiego w Kownie. Minister Charwat zawsze wszystkim głośno mówił o członkach Poselstwa: „m ó j p e r s o n e l” — o ile pamięć mnie nie myli, zaliczał on do tej kategorii i również moją osobę. Obiad galowy 3-go maja 1938 roku był dla mnie pamiętny. Ale o tym — potem. Na razie, była to dla mnie o tyle niecodzienna okazja, że musiałem po raz pierwszy w życiu ubrać się w pełny cywilny strój wieczorowy, to jest włożyć frak. Minister Charwat dlaczego uparł się stanowczo i zdecydowanie i nie chciał w żaden sposób, abym wystąpił w moim mundurze szwoleżerskim. Nigdy przedtem nie miałem nic do czynienia z tajemnicami cywilnej garderoby męskiej wyższego szczebla, chociaż od dawna, poza służbą, nosiłem ubrania cywilne. Obiad był wyznaczony na godzinę 8-mą wieczorem; przezwornie rozpocząłem ubierać się około godziny szóstej po południu. Jak się to później okazało, było to bardzo roztropne, gdyż samo zapięcie koszuli frakowej i kołnierzyka zajęło mi ponad godzinę czasu. Przy tej okazji stwierdziłem, że istnieje olbrzymie pole dla wynalazków w dziedzinie ulepszenia sztuki wkładania tej kategorii garderoby męskiej. Na przykład, kombinacja zapinania twardej, wykrochmalonej koszuli frakowej na śrubki jest potwornym pomysłem. Wiązanie krawatu — białej kokardki — stanowiło dalszą wymyślną torturę. W czasie obiadu galowego nastąpiła dosłownie katastrofa: spinki-śrubki, wkręcone moją niewprawną ręką, puściły na całym froncie koszuli frakowej... Musiałem aż do samego końca obiadu, siedzieć sztywno wyprężony na hacznosc przy stole, aby wskutek ruchów nie rozchyłał się mój gors i by... nie gorszyło to moich dwóch nadozobnych sąsiadek. W ogóle miałem tego wieczoru zły humor, jak się to mówi, wisielczy. Była ponadto i inna tego przyczyna i dlatego powiedziałem, że obiad galowy 3-go maja 1938 roku był dla mnie pamiętną chwilą. Minister Charwat wygłosił pod koniec obiadu do obecnych członków poselstwa i gości, pomiędzy którymi był minister Jan Wszelaki z Warszawy, „patriotyczną” mowę, zresztą wcale ładną, ale zakończył ją toastem: „Obyśmy, my, Poselstwo Rzeczypospolitej w Litwie, stali się tutaj jak najrychlej W o j e w ó d z t w e m K o w i e Ń s k i m !” Voilà! Był to dla mnie, a przypuszczam i dla członków Poselstwa naszego, nieoczekiwany i najzupełniej niezrozumiały w y s k o k elokwencji Ministra Charwata. Na pewno nikt nie myśli podobnie w całej Polsce, a ponadto jest to w zupełnej sprzeczności ze znanymi mi instrukcjami, które minister Beck wydał mnie i posłowi Charwatowi, a również potwierdził je i Rząd Polski. Niezwłocznie po skończonym obiedzie powiedziałem ministrowi Charwatowi, co myślę o jego wystąpieniu. Sytuacja była o tyle gorsza, że do stołu podawała służba hotelowa litewska, która, niestety, była przy wygłaszaniu tej mowy postą Charwata, a niewątpliwie rozumiała dobrze po polsku. Była to najzupełnie zbędna prowokacja Litwinów, a minister Charwat, jak to miałem możliwość później stwierdzić, zamknął sobie niestety drogę do szczerych stosunków z Litwinami.

10 maja 1938 roku... Właśnie, przed chwilą wróciłem ze śniadania w Kasynie Garnizonowym w Kownie, wydanym przez generała Rasztikisa na moje, a raczej przedstawiciela Wojska Polskiego, powitanie. Przebieg śniadania był niezwykle ciekawy i dał mi dużo tematów do przemyślenia. Trzeba przyznać z całą szczerością, że generał Rasztikis i jego generałowie i starsi oficerowie Litewskiego Sztabu, między innymi i pułkownik Dulksnys, są bardzo dobrymi i zręcznymi dyplomatami.

Oficerskie Kasyno Garnizonowe w Kownie zasługuje raczej na nazwę wielkiego hotelu-klubu, wzorowanego na dużych klubach lub hotelach w Anglii czy w Ameryce. Kasyno Garnizonowe mieści się w ogromnym, wielopiętrowym, ultra-nowoczesnym i specjalnie na ten cel zbudowanym gmachu, w pobliżu Laisves Alei. Kasyno służy jednocześnie, tak jak i niektóre kluby w Londynie i w Waszyngtonie, jako hotel dla oficerów przyjezdnych, a zarazem prowadzi kawiarnię i restaurację dla ogółu publiczności. Nasze polskie Kasyno Garnizonowe w Warszawie wygląda w porównaniu z nim niezwykle mizernie.

W tymże Litewskim Kasynie Garnizonowym, w obszernym hall'u, o godzinie 12.28 po południu, oczekiwał na mnie pułkownik Dulksnys w towarzystwie majora, gospodarza Kasyna. Wprowadzony zostałem na pierwsze piętro do obszernego salonu. Oczekiwało mnie tu pierwsze przyjemne zaskoczenie. Na środku salonu stał generał Rasztikis za nim, nieco z tyłu, Szef Sztabu generał Czernius, a w pewnym oddaleniu, w półkolu kilkunastu generałów i wyższych oficerów litewskich. Wszyscy oficerowie ubrani wieczorowo — w „szaserach”, przy pełnych orderach i w galowych pasach. Czerwień wyłogów mundurowych i lampasów generalskich ze złotem wyszywanymi kołnierzami, złote akselbanty mundurów sztabowych mieszały się ze sobą. Ta uroczysta forma spotkania bardzo mnie ujęła. Według obowiązujących mundurów przepisów Wojska Polskiego z 1938 roku, niestety, nie stanąłem na równi z Litwinami; mój strój był zwyczajny: służbowy, to znaczy pas koalicyjny, szabla i długie buty — z pełnymi orderami; strój wieczorowy, galowy, mogliśmy nosić dopiero po godzinie 6-ej po południu; odnosiło się to do garnizonów w Polsce, lecz nie było żadnych zmian w przepisach dla zagranicy.

Generał Rasztikis i generał Czernius witają się ze mną, a następnie generał Rasztikis zaczynając od prawego skrzydła, przedstawia mi kolejno generałów i pułkowników Wojska Litewskiego. Są obecni: generał Adamkovicus, dowódca 2-ej dywizji piechoty i zarazem Komendant Garnizonu Kowieńskiego; generał Gustajtis, dowódca lotnictwa; generał Vitkauskas, Inspektor Piechoty; generał Popieluszka, dowódca saperów; generał Taltat-Kiełpsz, Inspektor Kawalerii; generał Nagevicius, Szef Służby Zdrowia i Dyrektor Muzeum Wojska w Kownie; generał Mustejkis, Komendant Szkoły Podchorążych w Kownie;

pułkownik Valuszys, dowódca 1-go pułku huzarów w Kownie oraz kilku pułkowników ze Sztabu Litewskiego, których nazwisk niestety nie zapamiętałem. Razem było zebranych ponad 20 osób.

Po przywitaniu się atmosfera była dla mnie trudna i raczej ciężka. Litwini, generałowie i pułkownicy, patrzą na mnie jak na raroga, nie spuszczaają ze mnie oczu, patrzą wprost, i milczą głucho. Czuję się trochę jak na cenzurowanym albo jak amator-aktor na scenie. Trzeba jednak coś powiedzieć, coś zrobić, ale Litwini nie dają pierwszego znaku, choć zagajenie rozmowy do nich należy. Zwracam się więc do generała Rasztikisa po rosyjsku i zaczynam podziwiać piękno gmachu Kasyna Oficerskiego. Koło generała Rasztikisa i mnie stoją generał Czernius i pułkownik Dulksnys ale nie biorą udziału w rozmowie. Wszyscy pozostali oficerowie stoją nadal w półkolu — patrzą się na mnie z natężeniem i milczą, nawet nie rozmawiając pomiędzy sobą. Słuchają bardzo pilnie tego, co mówię do generała Rasztikisa — i milczą. Miało tak być, aż do samego końca śniadania...

Szefem protokołu na tym śniadaniu był pułkownik Dulksnys, z pomocą gospodarza Kasyna. Pułkownik Dulksnys w pewnej chwili zwraca się do generała Rasztikisa i prosi abyśmy przeszli dalej, że śniadanie jest już podane. Mówimy wszyscy po rosyjsku, bo ten język wszyscy znamy. Generał Rasztikis zwraca się do mnie ze słowami: „Pójdziemy coś zjeść i wypić, Panie Pułkowniku, a przy sposobności zobaczy Pan nasz dom wojskowy — uważamy go za wspólną naszą własność”. — Idziemy, generał Rasztikis ze mną na przedzie, reszta generałów i pułkowników posuwa się za nami. Mijamy szereg dużych sal i salonów bardzo gustownie urządzonych. Wszędzie wisi dużo dobrych obrazów i różnych pamiątek historycznych: stara broń, sztychy, nawet stare mapy itp. Całość obrazuje historię starej Litwy w dużym skrócie, ale historię Wielkiego Księstwa Litewskiego przed połączeniem w roku 1386 z Koroną Polską. A właściwie jest to historia Wielkiego Księstwa Litewskiego za czasów panowania Wielkiego Księcia Witolda. Patrząc odnosi się wrażenie, że przewodnią intencją ludzi, którzy planowali urządzenie, a zwłaszcza dekoracje Kasyna Garnizonowego w Kownie, było odrzucenie i wykreślenie z historii Litwy całej kilkunastowiecznej epoki wspólnoty Wielkiego Księstwa Litewskiego z Koroną Polską w ramach jednej wielkiej Rzeczypospolitej. Tak, tutaj jest ta nowa Litwa!

Po drodze generał Rasztikis tłumaczy mi znaczenie mijanych obrazów, postaci w brązie, sztychów, wielkich map itp. Generał Rasztikis jest doskonałym mówcą i jednocześnie wielkim erudyta w zakresie historii litewskiej. Niezmordowanie opowiada, rzucając daty epok i ważniejszych faktów, wymieniając liczne historyczne imiona. Rolę *guide'a* spełnia generał Rasztikis bardzo umiejętnie i z dużą swobodą. Z jego ust padają imiona Mendoga, Świdrygajły, Kiejstuta, Giedymina, Olgierda i Witolda — wszyscy oni byli Wielkimi Książętami Litwy, a niektórzy z nich królami Litwy. Lecz nigdzie ani śladu Władysława Jagiełły, ani

jego potomków dynastii Jagiellonów, sławnej w historii już nie tylko Rzeczypospolitej Polskiej, ale Europy Wschodniej. Ani jednym słowem o królu Władysławie Jagiellie, Królu Polskim i Wielkim Księciu Litewskim nie wspominał mi generał Rasztikis. Panuje tutaj wszechwładnie duch Wielkiego Księstwa Litewskiego o d r ę b n e g o , s a m o d z i e l n e g o , nie złączonego z Koroną Polską, takiego, jakim miało być za Wielkiego Księcia Witolda, zwanego przez Litwinów — Wielkim.

Powoli zaczyna mi się przejaśniać w głowie, zaczynam rozumieć o co chodzi, teraz już wiem, że jest to wspaniale zorganizowana demonstracja, ubrana w bardzo subtelną formę, mająca na celu silne zaakcentowanie wobec polskiego attaché wojskowego tradycji i ducha Wojska Litewskiego, opartych na prawdziwie niezależnej, wolnej Wielkiej Litwie, sprzed okresu Unii z Koroną Polską, w Krewie w roku 1386.

Bardzo podoba mi się pomysł tej demonstracji i sposób jej wykonania. Ale cóż wspólnego z Wielkim Księstwem Litewskim Witolda ma d z i s i e j s z a Litwa?

W pochodzie przez sale reprezentacyjne Kasyna Garnizowego — na przodzie generał Rasztikis ze mną, a z tyłu reszta generałów i pułkowników — dochodzimy do sali urządzonej jak starożytna komnata litewska, z okresu XIV albo może XV wieku. Sala ta stanowi wierne odbicie sali z jakiegoś zamku na Litwie. Dookoła sali długie dębowe, ciemne ławy, a przed nimi stoły dębowe oparte na krzyżakach. Posadzka, wyłożona pięknie kamieniem, zasłana była wielkimi niedźwiedzimi i wilczymi skórami. Na olbrzymim kominku paliło się kilka dużych kłód drzewa; przed kominkiem stał duży, ciężki rzeźbiony stół pokryty cenną starą makatą. Na ścianach, na barwnych kilimach wisiało wiele starej broni — miecze, szable, kopie itp. Ponad kominkiem, oświetlony odbłaskiem ognia, ogromny portret Wielkiego Księcia Litewskiego Witolda naturalnej wielkości. W tej sali zatrzymaliśmy się. Służba, cywilni lokaje we frakach, wniosła na tacach krupnik na zimno i przekąski. Krupnik — specjał litewski — podano w dwóch odmianach: złotawo-żółty i ciemno-wiśniowy. Generał Rasztikis i generał Czernius „przebijają” do mnie. Reszta osób ugrupowała się dookoła, piją, owszem, nader chętnie krupnik, ale nadal zachowują absolutne milczenie. Krupnik litewski jest naprawdę świetny; piję go po raz pierwszy na Litwie; jest on znacznie mocniejszy, aniżeli nasze polskie, domowej roboty „krupniki litewskie”.

Rozglądam się po sali. Odblaski ognia na kominku padają na salę, na stare meble: ławy i stoły, na skóry niedźwiedzie na przepięknej posadzce; wszystko to nadaje specyficzny ton, koloryt i urok starożytności. I ten olbrzymi wizerunek Wielkiego Księcia Witolda, który jakby patrzył surowymi oczami spod nawisłych brwi na zebranych tu Litwinów i jednego Polaka! Nastrój, dla mniej przynajmniej, stał się całkowicie niezwykły. Mam wrażenie bardzo silnie odczuwane, że znam ten miniony

świat starożytnej Litwy, Litwy Mendogów i Giedyminów, że to wszystko co mówił mi generał Rasztikis, że to, co oglądałem przed chwilą, nie jest mi bynajmniej obce!

Przyglądam się uważnie obecnym oficerom, którzy wciąż zachowują niezmiennie milczenie. Jest to doprawdy trochę denerwujące! Z wyjątkiem generałów Adamkovičiusa i Nageviciūsa, wszyscy są jeszcze zupełnie młodymi ludźmi. Generał Adamkovičius jest wysokim, tęgim mężczyzną z wielkimi siwymi wąsami i siwą na jeża przystrzyżoną okrągłą głową. Wspaniała postać starego żołnierza i dawnego szlachcica litewskiego. Generał Nageviciūsis jest niezwykle wysoki (Longinus Podbięta z Sienkiewicza!), tyczkowaty, przygarbiony, w okularach, o twarzy zarazem uczonego i rewolucjonisty, typu rosyjskich studentów z początku XX wieku; ma coś wybitnie sarkastycznego w całej swej postaci. Rysami twarzy, jak mi się zdawało, wyróżniają się generałowie Rasztikis i Gustajtis oraz pułkownik Valuszys. Ten ostatni, żonaty z córką Prezydenta Litwy, Smetony, dlaczegoś od momentu kiedy wszedłem do kasyna, nie spuszcza ani na chwilę ze mnie oczu, po prostu fotografuje każdy mój ruch i każde słowo.

Pijemy krupnik, ale wszyscy są nadal skupieni i ciągle nieustannie milczą. Rozmowę ze mną podtrzymują — raczej skąpo — generałowie Rasztikis i Czernius.

Na śniadanie, przechodzimy do innej sali — zapewne, już dziesiątej z rzędu. Jest to sala jadalna, na wskroś nowoczesna i stanowi dobry kontrast z poprzednią. Pośrodku stoi długi stół, wybornie nakryty zastawą stołową i srebrami; naokoło stołu krzesła, kryte ciemną skórą. W odróżnieniu od poprzedniej, ta sala jest niezwykle jasna z dużymi oknami. Moje miejsce wypada na prawo od generała Rasztikisa; obok siebie mam generała Vitkauskasa, naprzeciwko zaś generała Czerniusa i zaraz przy nim siedzi pułkownik Valuszys. Pułkownik Valuszys wciąż nie spuszcza ze mnie wzroku; siedzi on, przy tym stole, stanowczo za wysoko, według mego przekonania, nawet, jeśli jest zięciem Prezydenta Litwy.

Przy stole rozmowę rozpoczyna generał Rasztikis; zapytuje mnie, z jakiej części Polski pochodzę. — Odpowiadam mu, że ze strony rodu mego Ojca pochodzę z ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, a mianowicie z Mohylewsczyzny, spod Rohaczewa nad Dnieprem, a ze strony mojej Matki z Królestwa Polskiego, z Ostrołęckiego, że urodziłem się w Zambrowie pod Łomżą. Wszyscy obecni słuchają mego *curriculum vitae* z ogromnym i nieukrywaniem zainteresowaniem. Pytanie co prawda jest trochę obcesowe, ale wobec dużego zainteresowania, jakie spowodowała moja odpowiedź, postanawiam iść dalej. Dodaję wobec tego, że ród mego Ojca pochodzi ze Zmudzi, z bojarów litewskich i że o ile wiem, za czasów Witolda albo nawet za Mendoga, przeniosła się jedna gałąź tego rodu na Białoruś do Księstwa Mściśławskiego, do Rohaczewa, który, jak wiadomo, był od XIV wieku warowną osadą litewską. Mówię to po to,

aby sprawdzić, jakie wrażenie na obecnych wywrze moje pochodzenie i wspomnienie epoki Witoldowej i aby dać im do zrozumienia, iż przeniknąłem ich zamiary i intencję pokazania mnie, Polakowi, Litwy Witoldowej.

Jednak nie mogę się dopatrzeć żadnej, najmniejszej reakcji. Twarze wszystkich generałów i pułkowników litewskich pozostają kamienne, nieruchome, nikt się nawet nie uśmiechnął. Prawdziwi Litwini!

Generał Rasztikis kontynuuje, w sposób niezwykle grzeczny i uprzejmy, ale znowuż bezceremonialnie, swoje zapytania. Naturalnie, że te pytania generała Rasztikisa, skierowane do mnie w czasie pierwszego śniadania, były z góry ułożone. „Pan Pułkownik naturalnie zna doskonale całą Polskę, a ponieważ pochodzi Pan z tak zwanych przez was, Polaków, kresów wschodnich, to oczywiście musiał Pan zauważyć, że pomiędzy właściwą Polską, a tymi kresami wschodnimi istnieją bardzo poważne różnice. Inni ludzie, inny język, inne obyczaje. Na przykład całe północno-wschodnie i południowo-wschodnie obszary Polski są przecież kompletnie niepodobne do waszej, jak mówicie, Kongresówki, a zwłaszcza do obszarów zachodnich, jak Pomorze, Poznańskie i Śląsk. My, Litwini, Polski zupełnie nie znamy. Nasze wiadomości o Polsce czerpiemy z czasopism i z książek. Dziś po raz pierwszy mamy przyjemność gościć w naszym gronie wojskowym Polaka z Polski i radzielibyśmy byli, gdyby Pan zechciał nam coś na ten temat powiedzieć” — powiedział do mnie generał Rasztikis. Zupełnie nie byłem przygotowany do wygłoszenia przed generalicją litewską z jej Naczelnym Wodzem na czele, odczytu o sytuacji narodowościowej Rzeczypospolitej Polskiej, tematu i tak dostatecznie trudnego. Zapytanie generała Rasztikisa miało zresztą zupełnie wyraźnie na celu zbadanie mojej, a tym samym, w słusznym jego rozumieniu, opinii moich mocodawców, co do naszych polskich poglądów, na sprawę Wilna i Wileńszczyzny, kamienia śmiertelnej niezgody między Litwą a Polską od roku 1920.

Postawiony byłem przez generała Rasztikisa w niełatwą sytuację, tym więcej, że pamiętałem zbyt dobrze instrukcję generała Wacława Stachiewicza, Szefa Polskiego Sztabu Głównego, aby, w razie poruszenia tej kwestii przez Litwinów, sprawa Wilna była dla mnie „tabu”. „Wilno jest miastem polskim i takim być ma” — powiedział generał Stachiewicz na moje zapytania. Miałem więc do wyboru, albo wygłosić ostrą replikę, podnosząc absolutną etniczną i kulturalną polskość naszych wschodnich obszarów z Wilnem i Lwowem, bo o to właśnie chodziło w pytaniu mnie postawionym, albo też zająć mniej krańcowe, bardziej pokojowe, i... prawdziwe, stanowisko w tej materii i postarać się zmienić temat rozmowy, aby nie znajdować się w postawie obronnej. Wybrałem, naturalnie, to drugie rozwiązanie. Odpowiedziałem generałowi Rasztikisowi,

że, wiadomości jego są słuszne. Polskie kresy wschodnie je-  
s z c z e się różnią poważnie od centrum Kraju i od obszarów zachodnich. Jest to przykra konsekwencja poprzednich lat historii zaborów przez Rosję i Austrię. Nie wolno zapominać — powiedziałem — że od 18-tu, a właściwie dopiero od 15-tu lat, mamy możliwość urządzania życia Narodu Polskiego w Rzeczypospolitej Polskiej; robimy to od nowa i prawie z niczego. Co do języka na wschodnich kresach polskich, to wiadomości generała Rasztikisa są również prawdziwe. Oprócz mniejszości narodowych, jak Ukraińcy i Białorusini, posiadamy, jak i każdy większy naród — jak Niemcy, Anglicy, Francuzi, Rosjanie — dialekty dzielnicowe. Rzeczywiście, inaczej mówi Polak spod Nowego Sącza, inaczej z Helu lub z Kościerzyny, jeszcze inaczej Polak z Puszczy Kurpiowskiej, a zupełnie inaczej Polak z Wilna lub ze Lwowa. W tych dwóch miastach — w Wilnie i we Lwowie — powiedziałem — Polacy mówią podobnie i, według mojego osobistego przekonania, mówią po polsku najpiękniej ze wszystkich Polaków, nie wyłączając Warszawy i Krakowa. O ile jest mi wiadomo — ciągnąłem dalej — bo znam te sprawy tylko teoretycznie, z ostatnich mych niedawnych studiów, to i Litwa posiada też w pewnym stopniu podobną sytuację. Kraj Kłajpedzki i obszar północny Zarasai (Jeziorosy) różnią się także od obszaru, który my, Polacy, zwykliśmy nazywać Żmudzią. Polska — mówiłem dalej — podobnie, jak wiele innych państw Środkowo-Wschodniej Europy, posiada dość znaczny odsetek mniejszości narodowych. Oczywiście, nasze, polskie, mniejszości mówią swoim językiem, innym językiem, niż język polski i to nadaje charakter trochę odrębny naszym kresom wschodnim. Generał Rasztikis po wysłuchaniu, razem z generałami i z pułkownikami z dużą uwagą moich wywodów, nie zrezygnował jednak z dalszego natarcia na mnie i zapytał: — „Przyzna jednak Pan, Panie Pułkowniku, że w Wilnie i we Lwowie jest i n n a Polska i i n n a p o l s k o ś ć, aże w Warszawie, Poznaniu i w Krakowie?” — Uznałem po tym pytaniu, że dalsze przeciąganie podobnej rozmowy z generałem Rasztikisem, Naczelnym Wodzem Litwy, w otoczeniu kilkunastu wyższych oficerów litewskich, byłoby zupełnie niecelowe. Toteż uśmiechnąłem się, jak umiałem najmilej i najwdzięczniej i powiedziałem: „Ależ naturalnie, Panie Generale, nie można nawet porównywać atmosfery Wilna i Lwowa z Krakowem, albo nawet z Warszawą. W Wilnie i we Lwowie w latach 1918-1920, a również i obecnie, ludzie wciąż żyją epoką polskiego patriotyzmu, opartego na najczystszej wodzie romantyzmu naszych wieszczów narodowych i na epickich, bohaterskich wzorach z rycerskiej przeszłości. Brałem sam udział bojach o Lwów w 1919 roku i nieustannie mam w pamięci, jak wspaniałe, jak podniosłe były nastroje Polaków ze Lwowa i jak wielkie ich przywiązanie do Polski”. O Wilnie nie wspominałem, bo stanowiłoby to do pewnego stopnia prowokację uczuć Litwinów, bądź co bądź moich w tym dniu



gospodarzy. Chociaż należałoby im powiedzieć, że obecne Wilno liczy zaledwie około 2.000 Litwinów na ponad 185.000 ludności.

To moje oświadczenie zamknęło ostatecznie rozmowę polityczną, rozpoczętą przez generała Rasztikisa. Generał Rasztikis nie kontynuował więcej tego tematu, a nader zrećnie wprowadził rozmowy generała Czerniusa i innych, bliżej siedzących generałów i pułkowników. Zaczęliśmy mówić o sprawach ogólnych i obojętnych. Usłyszałem po raz pierwszy parę słów, wypowiedzianych do mnie dobrym akcentem rosyjskim przez generała Vitkauskasa. Po deserze służba nałaga do kielichów szampana. Generał Rasztikis, nie powstając z krzesła, wygłosił krótkie przemówienie, w którym powitał mnie, jako pierwszego attaché wojskowego z Polski, życzył powodzenia i w końcowym zdaniu wyraził nadzieję, iż zapoczątkowane między Polską a Litwą stosunki będą rozwijały się pomyślnie. Odpowiedziałem, nie powstając również, że jestem prawdziwie zaszczycony i wdzięczny za tak gościnne przyjęcie, że cenię to sobie bardzo wysoko. Co do przyszłych stosunków litewsko-polskich mam przekonanie, że we wspólnym interesie leży, aby się one pomyślnie i najprzyjaźniej rozwijały. „Polacy cenią nade wszystko wolność i, chociaż dziś może to już trąci anachronizmem, zwykli walczyć: — o nasza i w a s z a wolność. To hasło powinno nam Litwinom i Polakom — przywieczać w układaniu naszych wzajemnych stosunków” — powiedziałem przy końcu mego przemówienia.

Wstaliśmy od stołu i powróciliśmy do sali z kominkiem. Nazwałem ją: „salą Witoldową”. Śniadanie było wystawne, a menu litewsko-polskie: barszcz z pierożkami z mięsem, indyk z kompotem z borówek, znakomity tort w rodzaju sernika, a na zakończenie orzechy i jabłka — wspaniałe dorodne antonówki (w maju!). Wina podawano francuskie, i to bardzo obficie. W sali z kominkiem — Witoldowej — zasiedliśmy, już bez dawnego protokołu, przy stołach na dębowych ławach; podano czarną kawę i na nowo krupniki zamiast likierów. Dopiero teraz, po blisko trzech godzinach uporczywego milczenia, rozwiązały się nagle wszystkim języki. Nastrój gruntownie się zmienił — wszyscy wyraźnie się odprężyli. Nie poruszano już więcej trudnych zagadnień i problemów politycznych obu krajów. Rozmowa stała się bardzo ogólna, bezpośrednia, prawie, że szczerza, taka, jak w każdym żołnierskim gronie. Wypytywano mnie teraz o różne rzeczy z naszego polskiego, wojskowego życia i codziennego życia w Polsce. Generał Gustajtis żywo interesował się polskim przemysłem lotniczym. Generał Tałat-Kiełpsz wypytywał się o polską hodowlę koni i o sprawę remontu koni do kawalerii litewskiej. Generał Popieluszka pytał się o swoich krewnych w Polsce — żona jego jest rodzoną siostrą generała polskiego X. Generał Rasztikis w pewnej chwili wypowiedział kilka zdań po polsku — notabene z zupełnie dobrym akcentem — cytując

któregoś z naszych wojskowych autorów polskich. W bardzo przyjemnej — (na końcu śniadania!) — atmosferze przesiedzieliśmy do godziny 3.30 popołudniu. Nie bardzo wiedziałem, czy będzie zgodne z protokołem w Litwie jeżeli ja pierwszy pożegnaję generała Rasztikisa. Powiedziałem więc generałowi Czerniusowi, że właściwie muszę już iść, gdyż o 4-ej po południu mam zajęcie, ale nie wiem, czy nie popsuję tym tak miłego i udanego zebrania. Generał Czernius spojrział na zegarek i z dobrze udanym przerażeniem głośno zawołał: „To już jest tak późno! — Wszystkim nam już dawno czas powrócić do pracy!”

Opowiadano mi później, że rozmowa między generałem Rasztikisem a mną w czasie tego śniadania była bardzo szeroko komentowana w całym Kownie. Moi informatorzy powtarzali mi prawie słowo w słowo to, co do mnie mówił generał Rasztikis i to, co ja mu odpowiadałem. Naturalnie, jak zawsze w podobnych wypadkach, było wiele rzeczy dodanych, lub przekręconych, zwłaszcza jeśli chodzi o Wilno. Daleki mój kuzyn w Kownie, dr G., mówił w kilka dni po śniadaniu, że się dobrze przedstawiłem Litwinom i że z dużym uznaniem wyrażali się o moich wysiłkach wyjścia z trudnego położenia...

W tym czasie Minister Spraw Zagranicznych Litwy p. Łozorajtis wydał powitalny obiad na cześć Posła Rzeczypospolitej Polskiej p. Charwata, zapraszając cały skład członków Poselstwa Polskiego wraz z paniami. Na obiedzie, który odbył się w prywatnych apartamentach pp. Łozorajtis, obecny był cały gabinet litewski z premierem księdzem Mironasem na czele. Wojsko litewskie reprezentował jedynie generał Reklajtis, Minister Spraw Wojskowych. Obiad był ze wszech miar udany i panowała na nim zupełnie przyjemna towarzyska atmosfera. Litwini nauczyli się, albo też zawsze dobrze umieli, jak na przykład my, Polacy, podejmować gości — wszystko jedno, proszonych, czy też nie proszonych. Jednym słowem wszystko szło bardzo składnie. Moje miejsce przy stole było na szarym końcu; siedziałem między panią Matulis, żoną Ministra Oświaty w Litwie, a p. Girdwajnis, Szefem Protokołu dyplomatycznego w litewskim MSZ. Moja żona siedziała znacznie wyżej ode mnie, bo pomiędzy dwoma ministrami litewskimi. Ekwiwalent był więc zachowany! Pan Girdwajnis mówił na wpół po francusku, na wpół po polsku, przy tym z doskonałym akcentem czysto warszawskim. Okazał się bardzo dowcipnym, z odcieniami wyszukanej złośliwości „causeur'em”. Przez cały czas trwania obiadu nie ustawał w puszczaniu ostrych, bardzo ciętych szpilek pod adresem prawie wszystkich obecnych ministrów litewskich. P. Girdwajnis dobrze znał Warszawę; opowiadał nam dużo o swoich warszawskich wspomnieniach, szczególnie o teatrze polskim z okresu sprzed 1914 roku. Poza tym, obiad był o bardzo wystawnym menu

z długą listą dobrych win, z szampanem na końcu, ale bez żadnych mów. Po obiedzie nastąpiło dłuższe posiedzenie w salo-  
nach pp. Łozorajtis, znanych już z poprzedniego opisu, gdzie  
po czarnej kawie i licznych likierach, podano anglosaskim zwy-  
czajem „whisky and soda”. Z obecnych pań wyróżniały się  
urodą i sposobem bycia pani Łozorajtisowa i Indryszunas, żona  
Ministra Finansów. Pani Indryszunas przypominała mi do złu-  
dzenia moją kuzynkę, której bardzo dawno nie widziałem.

W czasie tego przyjęcia rozmawiałem z premierem Mi-  
ro-nasem i z ministrem Łozorajtisem, wymieniając zwykle w tych  
wypadkach uprzejmości.

W parę dni później Minister Charwat przedstawił mnie ofi-  
cjalnie w Litewskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Byliś-  
my kolejno u Ministra Łozorajtisa, wiceministra Urbszysa i dy-  
rektora departamentu polskiego Turauskasa. Minister Łozorajtis  
wygłosił do mnie, a może też do ministra Charwata i do mnie,  
dłuższe exposé, z którego najważniejsze zdania brzmiały w tłu-  
maczeniu na polski (minister Łozorajtis mówi po francusku, jak  
paryżanin!) następująco: „Litwa pragnie jedynie pokoju i tylko  
pokoju. My, Litwini, nie mamy żadnych aspi-  
racji terytorialnych (?). Pragniemy rozwijać się  
gospodarczo, pragniemy pogłębiać dobrobyt naszego kraju i na-  
szych obywateli. Dążymy usilnie w naszej polityce, aby pozostać  
n a u b o c z u (à l'écart) od wszelkich konfliktów możliwych  
w przyszłości”. — Popelnilem, zdaje się, duży nietakt w stosunku  
do mego Posła p. Charwata, ale nie wytrzymałem, jako żołnierz,  
i odpowiedziałem Ministrowi Łozorajtisowi: „To bardzo słuszny  
i godny wszelkiej pochwały program polityczny Litwy, panie  
Ministrze. Nie pragnąłby nikt z Polaków innego także i dla  
Polski, ale, jako żołnierz, pozwałam sobie przypomnieć Panu,  
iż historia wojen w Europie uczy nas, że ziemie naszych krajów,  
Litwy i Polski, leżą na przechodniej ulicy dla agresorów, idących  
na Wschód, lub wracających ze Wschodu. Obawiam się, że jeżeli  
będzie wojna europejska, to ani Litwa, ani Polska, niestety,  
nie będą mogły pozostać *à l'écart* od wypadków wojennych”.  
— Minister Łozorajtis ani jednym słowem mi nie odpowiedział.

Minister Łozorajtis, prezentuje się niezwykle korzystnie na  
gruncie swego ministerstwa, urządzonego bardzo porządnie, ale  
raczej skromnie. Posiada doskonałą, naturalną postawę dyploma-  
ty, ubrany jest bez zarzutu, a że zewnętrznie przedstawia typ  
zblizony do francuskiego na innym gruncie można by łatwo wziąć  
go za paryżanina. Panowie Urbszys i Turauskas wymienili z mi-  
nistrem Charwatem i ze mną zwykle okolicznościowe grzeczności,  
żadnych tematów politycznych nie poruszaliśmy. Wiceminister  
Urbszys jest bardzo młodym człowiekiem, uchodzi tutaj za nas-  
tępcę p. Łozorajtisa na stanowisku Ministra Spraw Zagranicz-  
nych Litwy. Jak mówią, Urbszys nie jest przychylnie nastawio-  
ny do Polski. P. Turauskas, nieco starszy wiekiem jegomość,  
o bardzo sympatycznym wyglądzie, jest już od dłuższego czasu

w litewskiej służbie dyplomatycznej; ostatnio, przed kilku laty,  
był posłem litewskim w Pradze.

Wizyta u p. Łozorajtisa i zwłaszcza jego przemówienie do  
mnie, które stało się znane i sławne w kołach naszego MSZ. i  
Sztabu w Warszawie, postawiło na porządku dziennym kwestię:  
kogo należy brać pod uwagę na Litwie — Generała Rasztikisa  
i Sztab Litewski, czy Ministra Łozorajtisa i Rząd Litewski? —  
Dla naszych celów jest to nielada problem.



W początkach czerwca 1938 roku prosiłem pułkownika  
Dulksnysa, aby ułatwił mi zwiedzenie Muzeum Wojska w Kow-  
nie. Pułkownik Dulksnys na razie ociągał się z odpowiedzią,  
ale po kilku dniach zadzwonił do mnie i powiedział, że Dyrektor  
Muzeum, generał Nagevicius, czeka na mnie każdego dnia  
i że będzie rad oprowadzić mnie osobiście po Muzeum. Umówiłem  
się na godzinę 10-tą rano dnia 14 czerwca br.

O Muzeum Wojska w Kownie byłem już poprzednio do-  
kładnie poinformowany, że jest to główna centrala anty-pol-  
skiej propagandy i tendencyjnie gromadzonych pamiątek z prze-  
szłości litewsko-polskiej z wyraźnym celem wykazania wrogiego  
stosunku Polski do Litwy. Wiadome mi było w szczególności, że  
w Muzeum Wojska, w jednej ze sal jest marmurowy nagrobek  
z napisem (po litewsku): „Litwinie? Pamiętaj, że zdradziecki  
Polak w dniu 19 października 1920 roku odebrał Tobie W i l -  
n o , Twoją stolicę!” Mógłbym zwiedzić co prawda Muzeum  
Wojska sam, bez zawiadamiania o tym Litewskiego Sztabu,  
wolałem jednak wybraną przeze mnie drogę, aby postawić sprawę  
jasno, bez nieudomówień. O dyrektorze Muzeum Wojska w Kow-  
nie generale dr. med. Nageviciusie wiedziałem, że jest on dla  
Polski wyraźnie nieprzychylny i że jest on jednym z najbardziej  
czynnych członków Związku Wyzwolenia Wilna. Celem moim  
w wizytowaniu oficjalnie Muzeum Wojska, było przede wszy-  
stkim zaakcentowanie, że nie widzę powodów do bojkotowania  
przez Polaka Muzeum Wojska oraz wpisanie się jako przedsta-  
wiciele Wojska Polskiego, do księgi pamiątkowej Muzeum silnej  
deklaracji, podkreślającej przyjazne stanowisko Wojska Polskie-  
go do niezawisłości i niepodległości n o w e j Litwy.

Jednakże, idąc w oznaczonym dniu do Muzeum Wojska,  
postanowiłem dla zademonstrowania, że nie wszystko, co tam  
jest wystawione, może aprobować oficer polski, Polak, wystąpić  
w cywilnym ubraniu, a nie w mundurze polskim. Dotknąłem  
tym, zdaje się, generała Nageviciusa, który oczekiwał mnie w  
pełnej gali generalskiego munduru, i był najwidoczniej nieprzy-  
jemnie zaskoczony moim granatowym skromnym ubraniem. Ge-  
nerał Nagevicius dał temu wyraz zaraz w pierwszych nieomal  
zdaniach naszej rozmowy przed zwiedzaniem Muzeum. Porusza-

jąc temat swoich podróży zagranicznych, powiedział: „Na stanowiska odpowiedzialne i trudne w dyplomacji wojskowej powinni być wysyłani ludzie specjalnie przygotowani, a w szczególności obyci zagranicą. Wielkim błędem byłoby wyznaczanie na odpowiedzialne stanowiska attachés wojskowych, na przykład, m ł o d y c h dowódców pułków, wziętych wprost z linii”. — (Rozmowa toczyła się po rosyjsku; był to język dyplomatyczny w Kownie, jeśli chodzi o Litwinów). — *Pointa* tego sarkastycznego powiedzenia generała Nageviciusa polegała na tym, że po mojej nominacji do Kowna na stanowisko attaché wojskowego, Polska Agencja Telegraficzna podała mój życiorys (bardzo krótki), za moją zresztą zgodą, w którym z przebiegu mojej służby wojskowej podane było tylko: dowódca pułku kawalerii i poprzednio wykładowca w Wyższej Szkole Wojennej, a o ostatnim okresie mojej trzyletniej pracy, jako 1-szy oficer sztabu w Inspektoracie Armii generała Leona Berbeckiego, w GISZ'u, nic nie było wspomniane. — Dla litewskiej opinii publicznej, a zresztą także i polskiej, przybyłem więc na stanowisko attaché wojskowego na Litwę — po raz pierwszy od 20 lat po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Litwą — wprost z jakiegoś malutkiego kawaleryjskiego garnizonu, jakiejś polskiej Pipidówki. Generał Nagevicius powiedział to bardzo sprytnie; nie mogłem nawet przyjąć tego do siebie, ponieważ Sztab Litewski właśnie ogłosił, iż Attaché Wojskowym Litwy w Polsce, będzie pułkownik sztabu generalnego Valuszys, obecny dowódca 1-go pułku huzarów imienia Księcia Janusza Radziwiła. Pułkownik Valuszys jest podobnie jak ja, względnie młodym człowiekiem.

Litewskie Muzeum Wojska stanowi jeden z najbardziej okazałych gmachów w Kownie. Gmach ten składa się z trzech części, złączonych w jedną całość, stanowiących razem piękną kompozycję architektoniczną. Część środkowa mieści właściwie Muzeum Wojska. Skrzydło lewe stanowi rodzaj mauzoleum z wieżą zegarową, z której co godzina słychać melodie litewskich pieśni patriotycznych. Na obszernym skwerze przed gmachem Muzeum stoją dwa pomniki — pomnik Wolności Litwy i „Dzwon Wolności Litwy”, ten ostatni jest to dar Litwinów z Ameryki dla Ojczyzny. Pomnik Wolności Litwy jest to wysoka, prostokątna wieża z symboliczną figurą skrzydlatej Nike, odlanej w brązie i umieszczonej na szczycie wieży. W pobliżu „Wieży Dzwonów” znajduje się grób Nieznanego Żołnierza Litewskiego, zbudowany z szarych polnych kamieni, zebranych na polach wszystkich gmin wiejskich obecnej Litwy; grób Nieznanego Żołnierza otoczony jest licznymi krzyżami i kapliczkami z figurami Świętych Kościoła Katolickiego, tak charakterystycznych dla krajobrazu Litwy, a zwłaszcza Żmudzi, gdzie przy drogach i na rozdrożach, często widzi się podobne krzyże i kapliczki. Na wieży zegarowej stale pełni służbę wartownik w mundurze weteranów wojska litewskiego. Ze szczytu wieży powiewa dumnie sztandar Litwy: czerwono-zielono-żółty. Codziennie o godzinie 6-ej po południu,

na dziedzińcu przed Muzeum Wojska odbywa się uroczystość opuszczenia sztandaru. Ceremoniał ten jest bardzo uroczysty. Polega on na tym, że przed godziną 6-tą z lewego skrzydła Muzeum Wojska wychodzi pluton weteranów z orkiestrą i bardzo powolnym, uroczystym krokiem **maszeruje do wieży** zegarowej, następnie ustawia się frontem do grobu Nieznanego Żołnierza. Punktualnie o godzinie 6-ej trębacz z wieży gra capstrzyk i następuje spuszczenie sztandaru państwowego Litwy przy dźwiękach litewskiego hymnu narodowego, po czym, pluton weteranów powraca do gmachu Muzeum. — W czasie tej codziennej uroczystości przed Muzeum Wojska w Kownie zbiera się liczna grupa publiczności. Parokrotnie przyglądałem się tej uroczystości. Bardzo liczne wycieczki ludności wiejskiej z całej Litwy i niemniej liczne wycieczki szkolne, głównie z dalekich prowincji litewskich, były zawsze tam obecne. Zachowanie się wycieczek i w ogóle publiczności bardzo poważne, jakby nabożne, wskazywałoby, że Muzeum Wojska, a zwłaszcza ten codzienny ceremoniał służy dla utrzymania wysokiego stanu ducha patriotyzmu.

Moje wrażenia ze zwiedzania Muzeum Wojska w Kownie (Kara Muzejis) były bardzo mieszane. Z jednej strony z prawdziwym, niekłamanym uznaniem podziwiałem włożoną w urządzenie Muzeum sztyfową pracę i wysiłek, by nadać całości eksponatów charakter, dokumentujący historyczne prawa o b e c n e j Litwy do bytu niepodległego, ale z drugiej strony, jako Polaka drażniły mnie pewne niepotrzebnie przejawione akcenty ze w s p ó l n e j polsko-litewskiej przeszłości, trwającej w i e l k i, mające na celu bezwzględne w y m a z a n i e tej w s p ó l n o t y Litwy i Polski z j e d n e j Rzeczypospolitej. — Innym, nieprzyjemnym momentem, było globalne litwinizowanie, w obecnym sensie tego słowa, ludzi tej miary jak Adam Mickiewicz, który, mówiąc nawiasem, nie umiał nawet mówić po litewsku. Obecna Litwa potrzebuje historii, jest to najzupełniej zrozumiałe, ale n o w a L i t w a nie powinna opierać się w tworzeniu historii na wspólnych dokonaniach Litwinów, którzy stali się już Polakami oraz rdzennych Polaków, na przestrzeni wieków, od XIV wieku do roku 1905.

Z generałem Nageviciusem wchodzimy do gmachu Muzeum. Przy wejściu do głównej sali pierwszym moim wrażeniem było ogromne, piorunujące wprost zdumienie. Doprawdy, nie wiedziałem, w pierwszej chwili, gdzie się znajduję — w litewskim Kownie, czy też w polskim Krakowie lub w Warszawie... Na wprost drzwi wejściowych, na przeciwległej ścianie, wisi olbrzymich rozmiarów płótno: kopia „Grunwaldu” J. Matejki, a tuż obok „Unia Lubelska” tegoż malarza. Poza tym wiszą takie obrazy jak Jana Matejki „Vytautas” — portret Wielkiego Księcia Witolda, Tadeusza Styki tryptyk obrazujący bitwę pod Grunwaldem i Jana Styki „Przysięga młodego Witolda”. Obrazy obu Styków są niewątpliwie autentyczne, obrazy Jana Matejki to dobre kopie. Ponad tymi wielkimi płótnami, w długim szeregu, w górnej kon-

dygnacji sali znajduje się galeria w s z y s t k i c h Królów Polskich i Wielkich Książąt Litewskich, władców Rzeczypospolitej Polskiej, od Władysława Jagiełły począwszy aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego. Królowie polscy byli jednocześnie Wielkimi Książętami Litewskimi a więc z tego tytułu z pewnością, dużym, naciągnięciem mogła nowa Litwa przyjąć ich do swojego Muzeum. Chociaż nowa, etnograficzna, włościańska i na wskroś demokratyczna Litwa, to nie d a w n e Wielkie Księstwo Litewskie, tym niemniej odczuwam potężne wrażenie, że jestem w Rzeczypospolitej Polskiej i to uczucie pozostaje we mnie na długo.

Na prawo od portretu Stanisława Augusta Poniatowskiego wisiał portret obecnego prezydenta Litwy, Antanasa Smetony. Omen nomen! — Dwa dalsze wolne miejsca były pozostawione dla przyszłej historii współczesnej, nowej Litwy.

Te pierwsze wrażenia wspólnoty historycznej Litwy i Polski miały jednak w miarę dokładniejszego zwiedzania Muzeum. W Muzeum, podobnie, jak w salach Kasyna Garnizonowego, panuje wszechwładnie kult Wielkiego Księstwa Litewskiego z okresu Witolda Wielkiego. Kult i uwielbienie dla olbrzymiego obszaru ziemi, od morza Bałtyckiego po morze Czarne, wysuniętego daleko na wschód pod Psków i Smoleńsk, pod Kijów i pod Czernichów, a na zachodzie sięgającego po Bug i po Narew, Wielka Litwa! Wielki Książę Witold w Muzeum Wojska symbolizuje wyraz dążeń narodu litewskiego, jego credo polityczne. W głównej sali znajduje się kilkanaście portretów Wielkiego Księcia Witolda w różnych okazjach historycznych. Najbardziej udanym obrazem w tej serii jest obraz Tadeusza Styki „Przysięga młodego Witolda” — przysięga zemsty nad Krzyżakami...

Jedna z sal Muzeum poświęcona jest pamięci książąt Radziwiłłów, którzy właściwie byli bojarami litewskimi przed Unią 1386 roku; tytuł książęcy otrzymali od cesarza Maksymiliana I w roku 1515; przyłączeni zostali do szlachty polskiej na Sejmie w Horodle, w roku 1413. Litwini nazywają ich: Radvilla. Szczególniej czczona jest na Litwie dzisiejszej pamięć księcia Janusza Radziwiłła vel Radvilla. W ozdobnych gablotkach umieszczone są oryginały (względnie dobre kopie) paktów zawartych przez księcia Janusza Radziwiłła z królem szwedzkim Gustawem Adolfem, a właściwie z generałem szwedzkim, działającym w jego imieniu, o oddzielenie Wielkiego Księstwa Litewskiego od Korony Polskiej, od Rzeczypospolitej. W Rzeczypospolitej Polskiej, dawnej i obecnej, Janusz Radziwiłł zajmuje w historii tego niezwykle smutnego okresu (połowa XVII wieku) całkowicie odmienne miejsce; uważany jest, jeśli nie za zdrajcę, to za wroga jedności Litwy z Polską, za wroga jedności Rzeczypospolitej.

Przechodzimy teraz na pierwsze piętro Muzeum. Tu są sale poświęcone historii współczesnej, odrodzonej, nowej Litwy. W jednej z nich stoi właśnie ów nagrobek na pamiątkę Umowy

Suwalskiej pomiędzy Polską a Litwą z 1920 roku. Jest to wykuty z czarnego marmuru niewielki obelisk, o typie stosowanym zazwyczaj na cmentarzach rzymsko-katolickich na Litwie i w Polsce. Na obelisku, w miejscu gdzie zwykle umieszcza się epitafię dla zmarłej osoby, wybity jest srebrnymi literami napis po litewsku: „Litwinie! Pamiętaj, że zdradziecki Polak (Lenkas) odebrał Tobie Wilno (Vilnius) — Twoją Stolicę!” Na obelisku wyłożony jest w żałobnych, czarnych obwodach pełny tekst Umowy Suwalskiej, z autentycznymi podpisami przedstawicieli polskich (Łukasiewicz i pułkownik Mackiewicz) i litewskich. Stałem dłuższy czas w skupionym milczeniu przed doprawdy żalobnym nagrobkiem przyszłości Litwy i Polski, bowiem Umowa Suwalska, a raczej niedotrzymanie jej przez Polskę, pogrzebały możliwości porozumienia się n o w e j Polski z n o w ą Litwą na 18 lat, a kto wie, może i n a z a w s z e. Generał Nagevicius, widząc moje wrażenia, odezwał się: „Wielka szkoda, że tak się stało — mogłoby być dzisiaj z u p e ł n i e i n a c z e j pomiędzy n a m i”.

Przechodzimy dalej. W sali „najwybitniejszych Litwinów” znajduje się piękna rzeźba głowy Adama Mickiewicza, wykonana w brązie. Na brązowej tablicy, zaraz pod rzeźbą, umieszczony jest słynny czterowiersz z „Pana Tadeusza”: „Litwo, Ojczyzno moja Ty jesteś, jak zdrowie...” — napis ten jest naturalnie wykonany po litewsku, ale niżej jest także tekst polski. Są tu również pamiątki po Adamie Mickiewiczu z jego kowieńskich czasów, gdy był tutaj nauczycielem w gimnazjum. W tej samej sali „najwybitniejszych Litwinów” — których Polacy uważają za Polaków — znajduje się piękny portret Emilii Platerówny, której pamięć pielęgnowana jest tutaj z kultem, należnym bohaterce narodowej Litwy. Są również, między innymi, portrety Sierakowskich i generała Giełguda (1831); Zygmunta Sierakowskiego, powstańca 1863 roku, naczelnego wodza powstania na Litwie i Żmudzi, straconego przez Rosjan w Wilnie i Józefa Sierakowskiego, członka deputacji Litewskiej do Cesarza Napoleona I w roku 1807. Sierakowscy nazywają się po litewsku: Sierakaukas. Jedynie tylko kilka nazwisk umieszczonych w sali „najwybitniejszych Litwinów” brzmiało naprawdę prawdziwie po żmudzku albo po litewsku, i to głównie spośród nowej inteligencji litewskiej: byli to księża katolicy i włościanie.

Nieoczekiwanie dla mnie jest dobry portret Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego, nie wisi on w sali „najwybitniejszych Litwinów”, lecz w sali „Wileńskiej”, zawierającej eksponaty o charakterze wybitnie propagandowym, anty-polskim. Jest tu również i herb Polski: biały orzeł z koroną królewską. W pobliżu portretu Marszałka Piłsudskiego znajduje się duży obraz wojennego sądu litewskiego w Kownie, zdaje się z 1921 roku, nad Polakami, głównie z Litwy, członkami Polskiej Organizacji Wojskowej, sądzonymi i skazanymi na więzienie za spisek przeciw Niepodległości Litwy: za chęć przyłączenia Litwy do Polski.

W sali „najwybitniejszych Litwinów” na widok obcesowego, bezceremonialnego „litwinizowania” polskości i polskich nazwisk przez obecną nową Litwę, nie jeden spośród bardziej krewkich Polaków mógłby się dać ponieść temperamentowi (jak to się zdarzyło nieco później Zygmunтови Nowakowskiemu) i bardzo gorąco, gwałtownie zaprotestować. Na przykład Adam Mickiewicz znajduje się tu jako Mickevicius, Giełdow — jako Gelgudas, Teofil Lenartowicz — jako Lenartovicus itd. Z Litwinami dzisiejszymi w dziedzinie kultury i przede wszystkim historii, my, Polacy możemy pogodzić się, tylko na jednej płaszczyźnie: zapomnijmy o przeszłości — patrzmy w przyszłość; to co było dobrego w naszej wspólnej polsko-litewskiej historii i w naszym współżyciu kulturalnym, uważajmy za wspólne dobro. Adam Mickiewicz był w takim samym stopniu Litwinem, jak i Polakiem, za swoją Ojczyznę uważał on Litwę, jako część składową tej Rzeczypospolitej, która od dawna jest już przeszłością historyczną.

Jedna z dużych sal Muzeum Wojska poświęcona jest wojsku nowej, powstałej w 1918 roku, Litwy. Są to zbiory, dotyczące historii wszystkich pułków i samodzielnych oddziałów. Każdy pułk, względnie samodzielna jednostka, posiada własną część sali gdzie w sposób bardzo pomysłowy i niezwykle przejrzysty zobrazowano działalność bojową i ważniejsze fakty z życia danego oddziału. Naturalnie zwróciłem najwięcej uwagi na historię kawalerii litewskiej: 1 pułk huzarów imienia księcia Janusza Radziwiłła (Radvilla) i 2 pułk ułanów mają swoje miejsca w jednym kącie sali; 3 pułk dragonów powstał już po wojnach, w czasie pokoju. Ogólną charakterystykę rozwoju wojska litewskiego ilustruje bardzo dokładnie statystyka. Nawiasem mówiąc, jeśli chodzi o wojenne czyny wojska litewskiego, to miały one miejsce w walkach przeciwko Rosjanom, bolszewikom, lub też... Polakom, tych ostatnich jest najwięcej.

Lotnictwo litewskie posiada także własną salę. Tutaj, między innymi eksponatami, zwracają uwagę szczątki samolotu i pamiątki osobiste po braciach Adamovicusach, którzy zginęli nad Prusami Wschodnimi, pod Królewcem, w katastrofie lotniczej, lecąc przed kilkoma laty ze Stanów Zjednoczonych Ameryki do rodzinnej Litwy. W części Muzeum poświęconej wojsku znajdują się bardzo ładne i stosunkowo bogate zbiory najprzeróżniejszej broni, starożytnej i nowoczesnej.

W tylnej części gmachu Muzeum mieści się Muzeum Kultury Litewskiej. Ale właściwie jest to dopiero — i słusznie — początek Muzeum Kultury Litewskiej, składający się, na razie, z kilku niezbyt bogato wyposażonych działów. Historia, archeologia, etnografia etc., są dopiero w stanie początkowym. W każdym razie eksponaty Muzeum Kultury Litewskiej są bardzo cenne i interesujące. Właściwie, kultura litewska dopiero zaczyna się rozwijać od chwili uzyskania przez Litwę niepodległości. Do niedawna, przynajmniej do roku 1905, była ona prawie polską,

a w niektórych szczegółach na wskroś polską. — Sztuka litewska reprezentowana jest w Muzeum przez najwybitniejszego artystę-malarza litewskiego, Mikołaja Czurlonisa, którego obrazy znacznie powiększają wartość zbiorów muzealnych. Mikołaj Czurlonis, związany był poniekąd z Polską i jest wychowankiem jej szkoły malarskiej, studiował bowiem w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Generał Nagevicius nie odzywał się prawie wcale w czasie oprowadzenia mnie po Muzeum Wojska, a zwłaszcza absolutnie milczał, gdy oglądałem salę „najwybitniejszych Litwinów”. Uwaga, jaką zrobił przy nagrobku Umowy Suwalskiej — to były jedyne jego żywe słowa. Milczałem więc i ja. Było to o tyle męczące, że zwiedzanie Muzeum zajęło nam (mnie i generałowi Nageviciusowi) dwa dni — od 10-ej rano do 3-ej po południu.

Po zakończeniu zwiedzania, zgodnie z góry powziętym zamiarem, wpisałem do książki pamiątkowej, znajdującej się w przedśionku Muzeum Wojska co następuje: „Muzeum Wojska jest wymownym świadectwem, że Naród i Wojsko Litewskie pragną przekazać następnym pokoleniom tradycje walk o Niepodległość, zdobytą ceną własnej krwi. Tradycje niepodległościowe i wynikający z nich nakaz utrzymania i ugruntowania niepodległego bytu Narodu Litewskiego są zrozumiałe i bardzo bliskie sercu polskiego żołnierza”.

Podpisałem się pod tym: „Pierwszy Attaché Wojskowy na Litwie z Polski”. Następnego dnia cała prasa litewska umieszczała na czele kroniki Kowieńskiej, tłumaczenie na język litewski mojego oświadczenia z bardzo życzliwym komentarzem. Przyjęte było ono przez całe społeczeństwo litewskie — jak mi mówiono i jak okazało się w bliskiej przyszłości — bardzo dobrze.

A jednak Litwini byli tylko sobą, zaciętymi Litwinami: podano w prasie litewskiej: pulkininkas Leonas Mitkevicius-Zoltkas, Lenkijo Karo Attaché... Dalibóg! ich przodkowie nigdy, od co najmniej XIV wieku, nie nazywali tak żadnego Mieszkwicza vel Mitkiewicza!

W kilka dni potem postanowiłem złożyć oficjalną wizytę generałowi Nageviciusowi, aby mu podziękować za oprowadzenie mnie po Muzeum Wojska. Podałem w ten sposób powód i cel mojej wizyty do Sztabu Litewskiego. Właściwy cel mojej wizyty był cokolwiek inny, chodziło mi o to, aby tym razem złożyć generałowi Nageviciusowi wizytę w pełnym stroju wojska polskiego. Uważałem, że uraził go fakt, że zjawilem się w Muzeum Wojska po cywilnemu. Tym razem więc wizytowałem generała Nageviciusa, jako Szefa Służby Zdrowia Wojska Litewskiego w jego biurze i wystąpiłem w pełnej gali służbowego stroju oficera polskiego, przy pełnych orderach, szabli itp. Generał Nagevicius ocenił właściwie moje postępowanie, bo rewizytował mnie osobiście w moim biurze w Poselstwie Polskim zaraz następnego dnia.

Dni świąt narodowych Rzeczypospolitej Polskiej: 3 maja i 11 listopada, Poselstwo Polskie obchodziło bardzo uroczystie.

W Kownie tylko dwa razy mieliśmy możliwość obchodzenia tych świąt: 11 listopada 1938 i 3 maja 1939 roku. W tych dniach Poselstwo Polskie, gościnny dom państwa Charwatów, był szeroko otwarty dla wszystkich bez wyjątku członków miejscowej Polonii i przez dom Posła R.P. przewinęło się co najmniej 700 — 800 osób. Na przyjęcia te przychodził każdy, kto czuł się Polakiem z urodzenia, każdy, kto tylko chciał uściśnąć dłoń Posła Rzeczypospolitej Polskiej i spędzić kilka chwil na terytorium symbolicznie polskim. Zebrania te były najbardziej demokratyczne. Obok księży, inteligentów, robotników, włościan-chołpów, szlachta zaściankowa i przedstawiciele rodzin ziemiańskich i arystokracji polsko-litewskiej. Stroje były najrozmaitsze — od wizytowych popołudniowych czarnych tużurek i pasiastych spodni do zwykłych bluz i „kombinezonów” robotniczych i wiejskich kapot z samodziału z wpuszczonymi w długie buty spodniami. Przychodziły nawet Polki-pensjonariuszki domu ubogich starców w Kownie w swoich barwnych perkalach i podobnie ubrane dzieci z ochrony polskiej w Kownie.

Na tych przyjęciach u państwa Charwatów z okazji świąt narodowych rozmawiałem dużo z Polakami z Litwy. Mundur mój działał jak magnes na wszystkich, młodych i starych, na kobiety i na mężczyzn. Przecież oni, ci Polacy z Litwy, pierwszy raz w życiu widzieli żołnierza polskiego! Naturalnie mundur mój najmocniej pociągał młodzież obojga płci. Byłem w permanentnym oblężeniu przez uczniów i uczenie starszych klas Kowieńskiego Polskiego gimnazjum i zasypywany tysiącem pytań o wojsko polskie. Interesowały ich najdrobniejsze szczegóły mego munduru, znaczenie każdej wstążeczki orderowej, orzełków na kołnierzu, gwiazdek na naramiennikach, wężyka srebrzystego na kołnierzu munduru, szwoleżerskiego proporczyka szytego srebrnymi nićmi na nim — słowem interesowali się dosłownie wszystkim. Zapytywali się o szablę i czapkę moją szwoleżerkę, koniecznie prosili o pozwolenie ich dokładnego i z bliska obejrzenia; zwłaszcza młodzieńcy pożerali po prostu oczyma polski mundur Szwoleżerów Rokitniańskich. W oczach każdego z nich błyszczał wielki zapal i prawdziwa chęć przywdziania na stałe munduru wojska polskiego. Tak, był to rok 1938 — listopad. Być może, że zgrzeszyłem wówczas ciężko, podsycając ich entuzjazm do wojska polskiego moimi opowiadaniem o naszych pięknych pułkach, o ich bojowej historii i o ich niezłomnych tradycjach... Ale, mój Boże, któż by się mógł oprzeć w t e d y temu, tak silnie udzielającemu się nastrojowi młodzieńczych, szlachetnych porywów i zapalów, związanych z imieniem Wojska Polskiego.

Leon MITKIEWICZ

## Chlubne karty historii PPS

Jawnym celem nader interesującej książki p. Henryka Jabłońskiego (1) — równie jak innej, podobnie „naukowej” literatury, wydawanej pod patronatem komunistycznym w Kraju — jest zohydzić naszą przeszłość, obedrzeć Piłsudskiego ze sławy, a rolę jaką odegrała PPS w decydujących dla narodu chwilach napiętnować jako... odstępstwo. Gdy się zamyka tę pełną treści książkę, wrażenie na czytelniku pozostaje odwrotnym do zamierzonego: z każdym rozdziałem urasta znaczenie Polskiej Partii Socjalistycznej jako jednego z podstawowych czynników w odzyskaniu niepodległości.

Zanim jednak autor niniejszego omówienia przystąpi do treści, zmuszony jest on, wbrew swym zwyczajom, pisać o sobie samym. Jabłoński wymienia wielokrotnie moje nazwisko, omawia mą politykę, analizuje taktykę — wszystko po to, aby uzyskać więcej materiału do ukamienowania PPS, za której inspiratora i jednego z przywódców mnie uważa. Otóż ani w początku i w toku pierwszej światowej wojny, ani w latach ją poprzedzających członkiem PPS nie byłem. Z socjalizmem zerwałem na przełomie 1907-8 roku, a datę ścisłą tego zerwania określają dość zresztą dziwaczne „Szkice Polityczne”, ogłoszone przeze mnie w warszawskim „Witeziu”, organie Artura Sławińskiego. Odtąd jeszcze dwukrotnie wyraziłem moją duchową pokrewność z dawną mą partią: raz w październiku 1908, zamieszczając w krakowskim „Przedświcie” recenzję „Róży” — złego dramatu Żeromskiego — ku obronie moich towarzyszy rewolucyjnych walk: po wtóre w tymże piśmie a nieco później, drukując wiersz ku chwale robotniczej Warszawy. Sam stałem już wówczas z daleka — poza partią, jej instancjami zarówno jak szeregami.

Wydaje mi się dzisiaj właściwym określić powody tego zerwania. Pierwszym była rosnąca niechęć do „socjalizmu naukowego”, a w szczególności odraza do teorii Marksa, w którym wyczuwałem zawsze twięce na dnie szalbierstwo. Intelktualnie byłem wychowankiem sceptycznego Paryża i nie wyobrażałem sobie, aby mogła istnieć doktryna, kasująca wszystkie inne a sama nie podlegająca powszechnemu losowi ludzkich systemów — starzeniu się, przemianie, przeczeniu. Drugim powodem było to, co zobaczyłem na ulicach Warszawy w dniu 1 listopada 1905 — wrażenie utwierdzone na zjeździe lwowskim PPS w lutym 1906: że socjalizm „międzynarodowy” zastosowany w Polsce

(1) Henryk Jabłoński, *Polityka Polskiej Partii Socjalistycznej w czasie wojny 1914-1918*. Warszawa 1958. Państwowe Wydawnictwo Naukowe (Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk). Stron 662, 4 nlb. i mapa.

może stać się narzędziem odpolszczenia mas w rękach wroga. Pierwszy raz stanęło przede mną widmo wynarodowienia Polski. Trzecim wreszcie motywem zmiany był rozwijający się w moim życiu duchowym estetyzm, prowadzący w ostatnim rachunku nawrotem do średniowiecza, wraz z jego religijnym, artystycznym i społecznym podkładem.

Oczywiście takie moje stanowisko ideowe wywoływało niezadowolenie u moich byłych towarzyszy; był to bowiem nie „rewizjonizm”, ani też inne wyklinane przez Jabłońskiego herezje — lecz był to sprzeciw w stosunku do Marksa, do walki klas, a nawet do prymatu proletariatu. Świadomie lub nie, zbliżałem się do haseł solidaryzmu społecznego jako przygotowania do wojny narodowej o niepodległość Polski. Wysyłany w latach 1912-14 jako emisariusz Piłsudskiego do Warszawy i Wilna wyznawałem to, co dzisiaj bym nazwał woluntaryzmem powstańczym. Wiedziałem jednak, że moją wiarę w walkę i moją łączność z ludem wzięłem dziedzictwem od PPS i dlatego nigdy się jej, obojętnie ani publicznie nie zapierałem. Jako przykład przytoczę, że mój kolega konserwatywny z Naczelnego Komitetu Narodowego w latach 1914-16, Jan Hupka, mógł mnie nazwać w swych pamiętnikach — niezasłużenie — „socjalistą”, dlatego zapewne, że socjalistów w NKN nie zwalczałem. Inną jednak rzeczą jest składanie, jak to czyni p. Jabłoński, odpowiedzialności za mnie, za moją politykę czy taktykę — na PPS. Jest to może uproszczeniem sobie zadania, gdy się ma na widoku, w interesie bolszewickiej PZPR, i dla dzisiejszej koniunktury, likwidować chlubną przeszłość PPS i piętnować ją jako herezję; nie ma to jednak nic wspólnego ani z prawdą, ani z historią.



Książka Jabłońskiego jest interesującą i ważną przede wszystkim ze względu na zużytkowane lub przytoczone w niej źródła. Okazuje się — rzecz to niezwykle sensacyjna — iż część przynajmniej archiwów walki o niepodległość ocalała. Naturalnie nie znajdujemy rejestru ani inwentarza tych źródeł, z opisem ich stanu i ich historii; ale, zestawiając wyjątkowo bogate przypisy można przynajmniej częściowo odtworzyć ich listę i dzisiejszą dyzlokację. I tak pamiętniki Walerego Sławka znajdują się w Warszawie w rozporządzeniu docenta Stanisława Płoskiego; pamiętniki Jana Rozwadowskiego, przedstawiciela ND w krakowskim Naczelnym Komitecie posiada, wraz z jego papierami, Ossolineum; notatnik Witolda Jodki-Narkiewicza wraz z aktami Polskiej Organizacji Narodowej przechowuje Zakład Historyczny Archiwów partii PZPR; tamże znajduje się archiwum pozostałe po Jędrzeju Moraczewskim; papiery Bronisława Piłsudskiego są w Ossolineum; akta I Brygady i część archiwum NKN ma Centralne Archiwum Wojskowe — reszta jest, jak się zdaje, w zbiorach wojewódzkich krakowskich; w tym dziale przechowywane są ważne raporty Wilhelma Feldmana z Berlina i Sta-

niława Wędkiewicza ze Stockholmu; Ossolineum ma również papiery Erazma Piltza, a Uniwersytet w Lublinie zachował pieczę nad całym kompleksem obszernych archiwów premiera Jana Steckiego, włącznie z ważnymi policyjno-politycznymi aktami z czasów Regencji. Poza tym Zakład historyczny partii posiada najwidoczniej rozmaite zespoły pochodzące z archiwów PPS, teki — niesprecyzowane — dotyczące Piłsudskiego i Legionów; zaś nieznanie nam bliżej Archiwum Akt Nowych posiada osobny dział określony jako „akta luźne”.

Oto jest pobieżny rejestr papierów, o których istnieniu dowiadujemy się z przypisów w książce Jabłońskiego. Nie znam jednak kolei ich losów. Nie wiemy, skąd się wzięły, jak ocalały, w jakim są stanie, czy są to „luźne” tylko szczątki skrzętnej pracy archiwalno-bibliotecznej z czasów niepodległości, czy są to całe uratowane zespoły. Nie wiemy też, czy przynajmniej najważniejsze z nich mają ujrzeć światło dzienne w ich istotnym tekście i postaci, czy też mamy być zdani na wybór i interpretację mniej lub więcej urzędową — na interpretatorów.

Tymczasem w dziedzinie interpretacji, a nawet w wyborze i w cytowaniu, wolno żywić obawy. Książka Jabłońskiego ma za swój cel dowieść, że Piłsudski był przed wojną i w chwili jej wybuchu uzależniony od sztabu Austro-Węgier; że następnie stał się „aktywistą” proniemieckim; że jego podkomendni działali najpierw w interesie imperializmu niemieckiego, aby się następnie przerzucić na imperializm zachodni; że wreszcie PPS — a z nią razem PPSD galicyjska — dzieli z nim w pełni odpowiedzialność za udział w wojnie po stronie państw centralnych, za aktywizm, za PON, NKN i POW, za uzależnienie od imperializmu Entente — a to dlatego, iż uznawała od początku do końca Piłsudskiego za kierownika politycznego i za wodza. W tak przedstawionym jarmarku orientacji zatracą się całkowicie prawda, gubi się gdzieś fakt górujący nad wszystkim, walka o niepodległość, którą wszczął i prowadził od początku do końca Piłsudski, i której służyła, w interesie ludu roboczego Polski, PPS.

Taki cel książki decyduje o interpretacji faktów i źródeł. Historyk, jeśli tendencję powziął z góry, jest w stanie, przez dobór cytat i przez interpretację, odmienić prawdę zdarzeń. Dość przytoczyć Jabłońskiego. Opowiadając dość mętnie o rozmowie odbytej 28 lipca 1914 w Wiedniu między niektórymi członkami Komisji Stronnictw Niepodległościowych a płk. Hranilowic'em, wywołuje potem u czytelnika wrażenie, jak gdyby to sam Piłsudski konferował kiedykolwiek z tym, którego nazywa „szefem wywiadu”, a który w istocie był szefem II Oddziału armii austro-węgierskiej i stał się, na tym doniosłym politycznym posterunku właściwym kierownikiem spraw polskich monarchii habsburskiej i — dodajmy od razu — dwuznacznym jej inspiratorem. Otóż Piłsudski odznaczał się w stosunku do obcych poczuciem godności i niezmienną rezerwą, i w rozmowach z wyższymi instancjami wojsk austro-węgierskich czy nie-

mieckich, to znaczy tam, gdzie natrafiał na przeszkodę nierówności we wzajemnym położeniu — w ogóle nie uczestniczył (2). Drugi przykład: Jabłoński cytuje w pamiętniku Sławka następujące zdanie o trudnościach finansowych roboty wojskowej: „...sytuacja, w jakiej znajdowaliśmy się, polegająca na opieraniu się wyłącznie o skarb austriacki, nie uległa zmianie”. Jedno z dwojga: albo cytata jest fałszywa, albo jej znaczenie zniekształcono przez opuszczenie części zdania „Skarb austriacki” — a raczej armia a-w — dały nam zezwolenie na ćwiczenia oraz karabiny do tych ćwiczeń, przeważnie bezużyteczne w boju karabiny Werndla; napewno zaś ani jednego grosza. Nawet tak zwane „pamiętniki Rybaka”, byłego c.k. kapitana i pośrednika pomiędzy sztabem a Piłsudskim, o stosunkach pieniężnych nie mówią. Ci co żyją jeszcze z moich kolegów z letniej szkoły wojskowej w Stróży, potwierdzą w jak prymitywnych warunkach egzystowali tam w 1913 przyszedli dowódcy pułków, dywizji, armii polskich — z powodu braku pieniędzy w Komendzie. Sam zresztą jako kontroler — wraz z Władysławem Sikorskim — Związków i Drużyn strzeleckich w 1913-14 sprawdzałem ich stany kasowe i wiem, jakie pozycje składały się na ich dochody.

Tyle o ścisłości w podaniu tekstów i o interpretacji źródeł. Jednakże, poza tym mylne oceny faktów u Jabłońskiego pochodzą przeważnie z nieznajomości rzeczy. Aby sprostować szereg twierdzeń trzeba by napisać ponownie tę książkę. Wypada się więc ograniczyć do epizodów przede dniami i początku wojny w 1914. Jabłoński nie zna zupełnie kryzysów w stosunkach między kierownictwem Związków i Drużyn. Nie wie nic o kryzysach w Komisji Tymczasowej, w Związkach i w PPS: nie zna spraw Władysława Dehnela i Witolda Jodki, które temu ostatniemu nie pozwoliły odegrać właściwej roli w początku wojny; nie zna sprawy uczestnika Bezdan, Mementowicza (Felka) oraz późniejszego generała Henryka Minkiewicza (Fiuta) i jego żony Markowskiej; mało wie o kulisach i przebiegu misji z ramienia Polonii amerykańskiej wysłanej dla zbadania i oceny przygotowań wojskowych w 1914. Nie ma widocznie materiałów do genezy posiedzenia Koła Sejmowego i Komisji Tymczasowej i do jego przebiegu w dniach 15-16 sierpnia, wraz z poufnym porozumieniem konserwatystów krakowskich z przedstawicielami KSSN i mylnie przedstawia skład uczestników w tym porozumieniu. Nie zna oczywiście żadnych elementów położenia, w jakim się znalazł Piłsudski po cofnięciu się sztabu austro-węgierskiego od zawartej z nim umowy i ultimatywnym żądaniu rozwiązania oddziału, a z drugiej strony po proklamowaniu Le-

(2) Wzmianki o rozmowie Stanisława Downarowicza i Hipolita Sliwińskiego z Hranilović'em podaje Jabłoński na podstawie notatnika Witolda Jodki. Wiedział on o niej co najwyżej z pośrednich zakulisowych źródeł, sam bowiem wówczas nie należał ani do kierownictwa PPS, ani nie był już sekretarzem KSSN. Do Wiednia miałem jechać dopiero 1 sierpnia, na rozmowy z „rządem austriackim”: Piłsudski nie przywiązywał do nich wagi i na posłuchaniu moim u niego, 1. VIII, odradził mi wyjazd.

gionów w Krakowie: położenia, z którego wyjście znalazł w nocnej decyzji 19 sierpnia w Tulinie — „powrocie na bazę galicyjską”. Tak samo Jabłoński nie umie przedstawić właściwej roli ani znaczenia Komisariatów w Kieleckim, ani powodów i metody przemianowania ich na „Polską Organizację Narodową”.

To i inne epizody mają oczywiście swoją własną wagę i ich znaczenie w dziejach i w polityce PPS jest takie, iż zasługiwały one na bliższe zapoznanie się z nimi. Nie chodzi tu jednak o te rzeczy i sprawy same w sobie o znaczeniu ograniczonym. Chodzi o nakreślony z ich pominięciem fałszywy obraz rzeczywistości polskiej w chwili wybuchu wielkiej wojny. Jabłoński ma gotowy schemat, wedle którego przykrawa istotę położenia. Schemat ten — to przede wszystkim Marks i Lenin; to walka klas, podobna w Polsce jak wszędzie indziej; na tym tle — interesy proletariatu z jednej strony, a „burżuazji” i „drobnomieszczaństwa” z drugiej; w szerszym zaś znaczeniu — przeciwieństwo między rewolucją socjalną z jednej, a wojną „imperialistyczną” z drugiej strony. Stąd wniosek: PPS „zdradziła” socjalizm, postawiła się na „prawicy” ruchu robotniczego, a cała historia jej polityki składa się z samych kompromisów, odchyłeń, odstępstw — z samego jednym słowem „rewizjonizmu” w obozie socjalistycznym.

Taki schemat — cokolwiek by on był sam przez się wart — można zastosować do roku 1918-19, a więc do końcowej fazy wojny i do obozu bolszewickiego, wraz z jego triumfem w Rosji. Anachronizmem jest stosować go do sytuacji roku 1914, a już zupełnie nieporozumieniem — zostawiać go z położeniem i z polityką w Polsce. Dyscypliny socjalno-polityczne polegają na rozróżnianiu a nie na podciąganiu pod jeden strychulec. Gdzie „imperializm” w stosunku do rozdartej, podzielonej i bezsilnej Rzeczypospolitej? Gdzie „drobnomieszczaństwo” jako klasa osobna w ówczesnej Polsce? Jak i pod jakimi hasłami miałby wystąpić „proletariat” polski w zawierusze wojny, traktującej jego ziemię? — Zagłębie górnicze, do którego Austro-Prusacy nie dopuścili Piłsudskiego (o czym autor zdaje się nic nie wiedzieć), okazało się, wraz z jego dzielnym ludem roboczym, nieporuszone. Kieleckie, podobnie jak Zagłębie, jak Ostrowiec i Starachowice, pozostały bierną masą, nie ruszyły się na żadne wezwanie. Naród, nawykły do klęsk i rozczarowań, lud niewierzący w możliwość rewolucji, po nieudanej 1905-7 — przedstawiały obraz bierności, zastoju, pasywizmu.

W tych to okolicznościach, i na takim tle niewiary w jakibądź ruch — narodowy czy socjalny — wyrasta istotne znaczenie i wielkość czynu zbrojnego Piłsudskiego. W pośród powszechnego marazmu i bezwładu powołał on 6 sierpnia 1914 Polskę do broni. Poszła za nim tylko garstka i może jeszcze dzisiaj Jabłoński drwić z ograniczonego odzewu. „Wedle stawu grobla” — jednym ze znamion sily Piłsudskiego była zawsze świadomość ograniczeń i proporcji. Ta garść szlachetnych rzykantów, ufających swemu wodzowi — jedna kompania kadrowa



— poszła walczyć za Polskę i skończyła batalionami po pół roku, pułkami po dwóch latach, dywizjami w 1918-19. Uczestnictwo PPS w tym zaczątku i wzroście wojska walczącego za niepodległość jest i pozostanie przedmiotem jej chwały.

Dla Jabłońskiego natomiast i dla jego szkoły należało przede wszystkim zdać egzamin przed Leninem. W jego oczach PPS stała się winna „zawieszenia (na czas wojny) walki klasowej”, objawiła „tendencję do roztopienia (się) w akcji ogólnonarodowej”; wzięła udział w wystąpieniach i „deklaracjach solidarnościowych” (*sic*), w „narodowym oszustwie burżuazyjnym”. Ta szkoła ciasnoty myślowej i doktrynerskiej sztywności nie jest w stanie pojąć możliwości porozumień ponadklasowych czy międzyklasowych w wyższych interesach całości społecznej; imieniem proroka bolszewizmu odrzuca je jako *soglaszatelstwo*. Nade wszystkim jednak, wbrew historii i rzeczywistości nie różnią między Polską a Rosją, nie uwzględniają odrębnych losów Polski i konsekwencji, jakie ta odrębność pociąga za sobą dla każdego ruchu polskiego i każdego ideowego kierunku.

Wojna 1914 roku — wojna imperiów, a nie, jak Lenin chciał, „imperialistyczna” — nie pozostawiała miejsca na wojnę domową. Taka wojna wewnętrzna byłaby w danym kraju akcją na rzecz przeciwnika: tak też rozumiał swoją rewolucję Lenin, porozumiewając się z Niemcami: po prostu chciał przegranej Rosji. Co się tyczy Polski, to jej położenie znamionował fakt, że po obu stronach wojennej barykady znajdowali się jej zaborcy. Sam fakt wybuchu wojny i jej trwania był w interesie Polski, gdyż w istocie swej anulował dzieło rozbiorów: można powiedzieć, że Polska była jedynym krajem, który korzystał z przedłużania się wojny. Drugą okolicznością komplikującą a w pewnym stopniu pomyślną było, iż jeden z zaborców — Austria — na skutek gry swych, istniejących od pół niemal wieku, instytucji parlamentarnych i autonomicznych — reprezentował interesy jednej z polskich dzielnic. Takie były główne elementy tej złożonej a niełatwej gry, jaką musieli w przebiegu wojny prowadzić kierownicy polityki polskiej, a wśród nich Piłsudski. Dla jej oceny, dla zanalizowania jej sposobów należy pamiętać o zasadach walki, przejętych przez Lenina od Clausewitza: o różnicy między strategią a taktyką.

W ciągu wojny światowej Polska przeżyła dwie epoki: pierwsza oddała ją na łaskę mocarstw centralnych; druga — rok 1917 — rozpoczęła się orędziami Wilsona i rewolucją w Rosji. Dla wielkiego Prezydenta amerykańskiego historyk komunistyczny ma gotowe kategorie i utarte formułki: Wilson był dla niego „imperialistą”, reprezentował interesy „burżuazji”, a jego wystąpienia były jedynie „manewrem”, nic nie mającym wspólnego z niepodległością Polski. Marcowa rewolucja rosyjska nie znajduje również żadnego uznania: Rząd Tymczasowy był „organem burżuazji i obszarników”, a jego Manifest polski z 29-30 kwietnia — jedynie „pozornym” naśladownictwem wcześniejszej o dwa dni deklaracji petersburskiego Sowietu.

Jabłoński zdaje się nie rozumieć różnicy między propagandową odezwą partyjną a deklaracją legalnego i uznanego Rządu Rosji.

Od chwili jednak, gdy na widowni zjawiają się bolszewicy, autor prowadzi frontowy atak na niepodległościową postawę PPS. Wprawdzie już przedtem zarzucał jej, że nie liczyła się z rzekomo od przede dnia wojny rosnącym ruchem rewolucyjnego proletariatu, choć wiadomości o tym nie przekazuje nam historia obiektywna. Po listopadzie 1917, od chwili pochwylenia władzy przez Lenina, obowiązkiem „uświadomionego proletariatu” w Polsce było wedle Jabłońskiego zerwać z „imperializmem” Zachodu, porzucić wszelkie związki i porozumienia z innymi odłami „burżuazji” polskiej, a „oprzec” ruch robotniczy... o ten przodujący w świecie ruch rewolucyjny” w Rosji, czyli — o bolszewików.

To są twierdzenia niepoważne, które mogły by znaleźć swe miejsce w odezwach agitacyjnych, ale na które nie ma miejsca w historii. Dzieje nie istnieją jedynie w abstrakcji teoretycznej: należy je zawsze badać w czasie i w miejscu. Okres zimy i wiosny 1917-18 był najcięższym dla Europy i dla Polski. Dzięki przeny wrotowi bolszewickiemu Ludendorff mógł przenieść *gros* sił niemieckich na Zachód; jego zwycięstwo uczyniłoby z Niemiec potęgę decydującą na kontynencie, Polskę zaś rozdarłoby ponownie co najmniej na sześć części (3). W takim momencie, twierdzi Jabłoński, PPS winna była zwalczać „imperializm” Zachodu a w szczególności Ameryki, i „oprzec się” na rewolucji w Rosji, będącej w stadium krwawego kielkowania i zawierającej właśnie, z imperium niemieckim, traktat w Brześciu.

Istnieje inne jeszcze oblicze tej historycznej sprawy. Dzisiaj dzięki ogłoszonej dokumentacji i przeprowadzonym badaniom, wiadome już są plany Lenina na dalszą metę. Po wykorzystaniu pomocy niemieckiej posiew rewolucji proletariackiej miał objąć Niemcy: dopiero zapanowanie komunizmu w Niemczech miało być wypełnieniem recepty Marksa i wstępem do zawładnięcia Europą. W tych kalkulacjach Polska znaczyła jedynie jako droga czy pomost z Rosji do Niemiec: była by wziętą między dwa kamienie młyńskie, stałaby się znowu tylko obiektem dziejów. Wtenczas właśnie, pod przewodem Piłsudskiego, Polska obrała swą własną drogę. O tym okresie sąd swój tak formułuje Jabłoński: „nad całą ich (Piłsudskiego i PPS) polityką dominował strach przed rewolucją, co w połączeniu z teorią budowania państwowości... uzasadniało najdalej idący oportunizm”. Temu sądowi, podyktowanemu przez partyjną zawiść i przez komunistyczną doktrynę, należy przeciwstawić najbardziej miarodajne świadectwa i zacytowane przez samego autora słowa jednego wów-

(3) Części te, licząc od południo-wschodu: 1) Galicja Wschodnia oddana Ukrainie, wraz z Chełmszczyzną, 2) wyodrębniona Galicja zachodnia, 3) Gen. Gubernatorstwo austriackie, 4) Gen. Gubernatorstwo niemieckie, 5) „sprostowania graniczne” od strony Prus, 6) zabór pruski. Dodatkowo, jako 7) i 8) można liczyć Wileńszczyznę oraz Śląsk Cieszyński.

czas z młodszych przywódców PPS, Niedziałkowskiego: „PPS skierowała budowę państwa polskiego na drogę demokracji parlamentarnej, a nie dyktatury proletariatu; tym uratowała Polskę od losu Rosji”. Piłsudski, a za nim cała lewica ludowa wraz z PPS, dokonali świadomie wyboru. Może się on tresurze komunistycznej nie podobać. Cóż ma to jednak wspólnego z Historią?



Na tym wypadaloby zamknąć omówienie książki p. Jabłońskiego. Należy jednak, dla pełności obrazu, uczynić dwa zastrzeżenia.

Autor — lub jego mocodawcy — pozazdrościli p. Pannenkowej sławy paszkwilu („Legenda Piłsudskiego”), i ustępy o działaniach odnowiciela armii polskiej i budowniczego niepodległego państwa noszą cechy rozmyślnej zniewagi lub prowokacji. „Współpraca” i „ściśły kontakt” z „wywiadem”, „nadrzędna rola oficerów” autriackiego sztabu, „zgoda z Hranilović'em” i w jego „gabiniecie ułożone plany”; potem „przejsie na pozycje Berlina”, szukanie „poparcia Niemców”, „przechylenie się na stronę *Mittleuropa*”, ugoda z okupantem, „uznanie całkowite aktu 5 Listopada”; wreszcie zamysł „oddania losów Polski w ręce imperialistycznej koalicji antyniemieckiej” — niepodległość uzyskana drogą „wiązania się z zachodnimi potęgami imperialistycznymi”: — oto szereg przekręceń, wynaczeń, fałszowań, jakich dopuszcza się autor względem Piłsudskiego. Natomiast zupełnie nieuwzględnione, względnie niedocenione są wielkie linie jego polityki: samodzielna inicjatywa wojskowa, wytrwała obrona samodzielności Pierwszej Brygady, uparte i konsekwentne psucie Beselerowi jego koncepcji prusko-polskiej armii, szalone ryzyko 1917 roku, zakończone uwięzieniem, internowaniem w Gdańsku i Magdeburgu. Autor ani się zająknął o istotnym stosunku Piłsudskiego do Tymczasowej Rady Stanu, ani o rzeczywistych instrukcjach kierowanych do sił zbrojnych w Rosji, ani o planach przedostania się poza front celem pertraktacji z rewolucją. Piłsudski, wielki realista — gotów był układać się z każdym, kto by uznał samoistność polskiego rządu. Walczył o samookreślenie narodów — włącznie z Litwą i Ukrainą — zanim jeszcze Lenin i Trocki podnieśli to hasło taktyczne w interesie bolszewickiego imperializmu. Gdy tylko Piłsudski doszedł w 1918 do władzy, niepodległość narodu uznał za najwyższe prawo i zrealizował je przez powszechne wybory. Ale Jabłoński uważa hasło Sejmu Ustawodawczego za „nierewolucyjne” i upatruje w budowniczym państwie „męża opatrnościowego burżuazji”. Jak się okazuje, zbyt głęboko tkwi duch i dzieło Piłsudskiego w Polsce, i trzeba się chwycić wszelkich środków, aby jego siłę pozagrobową uczynić dla komunistycznych uzurpatorów władzy mniej niebezpieczną.

Drugie zastrzeżenie dotyczy Niemiec. Autor zdaje się uważać każde z nimi rozmowy czy układy za rzecz zdrożną. Ten niespodziewany nacjonalizm może zadziwić u zwolennika ustroju, utrzymującego bratnie związki z najgorszym typem Niemiec — ich republiką wschodnią — u bałwochwalcy Lenina, nie tylko układającego się w 1917-18 z imperialnymi Niemcami, ale przyjmującego chętnie ich pomoc. Jedno jest pewne: politycy każdego narodu winni być zdolni do rozmów i układów z każdym innym narodem, nade wszystko z sąsiadami, a nawet z czasowym wrogiem. Mówić z Niemcami w 1914-15 było dla polskich działaczy, dążących do niepodległości ważne, gdyż w ten jedyny sposób można było badać ich pobudki i zamiary, a także, rikoszetem, poznać i ocenić zamiary polityczne Austrii. Dla Polaków prowadzących takie pertraktacje, były one nierówne i ciężkie. Były one jednak dozwolone dopóki zachowali w nich godność narodową i czyste ręce.

Michał SOKOLNICKI

Ukaże się wkrótce nakładem londyńskiej firmy wydawniczej

**B. ŚWIDERSKI**

30, Buer Road, London S.W. 6, England

**Michał K. Pawlikowski**

**DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ TADEUSZA IRTEŃSKIEGO**  
 (“ Bajka “)

....Wszystkie postaci występujące w powieści są prawdziwe. Większość z nich nosi autentyczne nazwiska. Opisane tu zdarzenia albo naprawdę się odbyły, albo mogły się odbyć. Możliwy tu i ówdzie brak podobieństwa do prawdziwych osób lub zdarzeń jest czysto przypadkowy....

Cena egz. 35 sh. lub dol. 5,00.

Tom XXXVII BIBLIOTEKI " KULTURY "

JURIJ ŁAWRYNENKO

## ROZSTRZELANE ODRODZENIE

1917-1934

Antologia w języku ukraińskim

POEZJA-PROZA-DRAMAT-ESSEJ

*Wybór utworów czołowych pisarzy ukraińskich  
zakazanych na Ukrainie.*

Tom objętości 1.000 str. w oprawie

Cena egzemplarza frs 3.000 (\$ 6,00; £ 2.04.00)



ЮРІЙ ЛАВРІНЕНКО

## РОЗСТРІЛЯНЕ ВІДРОДЖЕННЯ

1917-1934

АНТОЛОГІЯ

створених і заборонених в Україні лишших зразків

ПОЕЗІЇ - ПРОЗИ - ДРАМИ - ЕСЕЮ

також

40 літературних силует

уміщених в антології авторів, написаних упорядником  
антології.



Вийшов великий том на 1000 сторінок в оправі :

Цена : 3000 Фрс., 6 дол., £2.04.00.

## Kronika kulturalna

### Rozmowa z kierownikami Funduszu Stypendialnego

Mała tabliczka z napisem „H. Radomski & Co.”, a obok strzałka kierunkowa pozwalają na szybkie znalezienie poszukiwanej firmy. W tym wielkim bowiem budynku biurowym, w centralnej dzielnicy handlowej, ta strzałka jest nieodzowna, gdyż kieruje nas do suteryny. Biura na tym poziomie nie należą tu do wyjątków. Wchodzimy do jasnego, nowoczesnie urządzonego biura. Na jednej ze ścian widnieje wielka tablica z różnymi przedmiotami, którymi handluje „H. Radomski & Co.” Nas interesuje jednak właściciel firmy, Heliodor Radomski, który ustanowił pierwszą fundację na emigracji.

— Świetnie, żeś pan tutaj przyszedł. Pokażę panu nasze „królestwo”. Chodźmy!

Wędrujemy po olbrzymiej składnicy obejmującej obszar wielkiego czworoboku, na którym wzniesiony jest budynek. W przegrodzonych częściach leżą skrzynie z artykułami z różnych państw: Japonia, Włochy, Hong-Kong, Zach. Niemcy itp. Rowery, latarki elektryczne, młotki, siekiery, dłuta, narzędzia ogrodowe leżą rzędami. Bardzo niewiele tego w składnicach, bo — jak wyjaśnia p. Radomski — zamówienia rozprowadza bezpośrednio z portów wyładowania. Stąd obsługuje się jedynie pomniejszych odbiorców.

Tutaj ponadto mieści się „wykańczalnia” młotków i siekier, wprawia się trzony, rączki.

— Jak pan widzi przeważają artykuły żelazne, ale asortyment specjalny. Tą „linią” zajmuję się od 8 lat.

— Wolno więc przypuszczać, że jest to branża, w której wyspecjalizował się Pan jeszcze przed wojną?

— Ależ nie! Jestem handlowcem z tradycji i wykształcenia. Urodziłem się w 1909 r. w Strzelnie, a w 1932 r. uzyskałem magisterium nauk ekonomicznych u prof. Edwarda Taylora w Poznaniu. Po odbyciu praktyki w Izbach Handlowych w Gdyni i Bydgoszczy, pracowałem w firmie i przedsię-

biorstwach mego ojca w Strzelnie. Był on właścicielem składu aptecznego, dystrybutorem różnych artykułów chemicznych, właścicielem małej fabryki, słowem średniozamożnym kupcem.

Fundacja, która Panów interesuje nie jest niczym innym aniżeli skromnym pomnikiem uczczenia pamięci Albina Radomskiego, mego Ojca. Jest wyrazem chęci kontynuowania jego tradycji. Mój ojciec urodził się w Mogilnie. Był wychowankiem, a później współpracownikiem ks. Piotra Wawrzyniaka, pioniera ruchu spółdzielczego, orędownika stanu średniego, kupiectwa polskiego w dawnym zaborze niemieckim.

W Mogilnie powstała przecież pierwsza spółdzielnia „Rolnik” stąd ruch ogarnął całe Pomorze i Poznańskie. Pomoc jaką ojciec mój otrzymał od ks. Wawrzyniaka starał się spłacać, gdy doszedł do samodzielności. Zresztą nie tylko on, gdyż podobnie postępowali i inni kupcy polscy. Walczyli o stworzenie zdrowych podstaw ekonomicznych dla ludności polskiej.

Było więc w naszej tradycji finansować kształcenie młodych, zdolnych Polaków, niezależnie od tego jaki rodzaj studiów obierali. Ci orędownicy stanu średniego, inteligencji zawodowej, potrafili nie tylko sami dawać stypendia, ale zdobywali je wśród ziemiaństwa, nie mówiąc już o zrzeczeniach do których należeli.

Wiem, że mój Ojciec chciał ustanowić stałą fundację. Niestety nie mógł zrealizować swojego planu. Został zamordowany przez Niemców i nawet nie wiem, gdzie złożono jego zwłoki. Na mnie więc spadł obowiązek z jednej strony podtrzymania tradycji ks. Wawrzyniaka i jego wychowanków, a z drugiej wypełnienia planu mego Ojca.

Droga do realizacji nie była jednak prosta, jak świadczy o tym fakt, że dopiero teraz, w bieżącym roku mogłem ustanowić tę fundację. Po opuszczeniu obozu jenieckiego zgłosiłem się do 1 dyw. pancernej w Niemczech w Maczkowie, po czym przeszedłem do UNRRA'y. Gdy przybyłem do Kanady miałem w kieszeni dokładnie 148 dolarów. Zapewne suma niewielka, ale przybywali i tacy, którzy i tego nie posiadali. Skierowałem się do Sault St. Marie w Ontario, gdzie miałem dostać posadę buchaltera. Ale ofiarowali mi pracę w fabryce. Co prawda jestem silnym i zdrowym mężczyzną, ale pracy nie przyjąłem. Uznałem, że firma po prostu oszukała mnie, bo w Niemczech obiecywali posadę buchaltera. Oczywiście jako robotnik zarobiłbym wcale dobrze, ale nie lubię, gdy mnie ktoś chce wyprowadzić w pole. Sprawa oparła się o Urząd Emigracyjny, ale racja była po mojej stronie. Z satysfakcji jednakże nie można, żyć a mój kapitał był stanowczo za mały, by siedzieć z założonymi rękoma. Zacząłem handlować... książkami. Trochę książek polskich przywiozłem, dalsze zamówiłem i tak powstało moje pierwsze przedsiębiorstwo: księgarnia polska. Ślady tego pozostały, gdyż zatrzymałem reprezentację „Kultury”.

Po kilku miesiącach przenieśliśmy się do Toronto. Dostałem pracę w fabryce Polaka, inżyniera Suchoraba, sprzedawałem dalej książki, miałem restaurację, aż wreszcie utworzyłem własną firmę importową. Mieściła się naprzód w naszym mieszkaniu. Skład miałem w innym miejscu, w wynajętym garażu. Pracowaliśmy wspólnie z żoną. Jednym z pierwszych artykułów, które sprowadziliśmy były grzyby z Polski. Ale handel z Polską był naówczas bardzo trudny. Próbowałem importować i inne artykuły z kraju, ale już ze znacznie mniejszym powodzeniem, ale za to z jeszcze większymi trudnościami. Dziś nie kupujemy już nic w Polsce, ale oczywiście nie wykluczam podjęcia obrotów jeśli będą odpowiednie artykuły i otrzymam należyte warunki.

W międzyczasie rozbudowałem firmę. Obecnie zatrudniamy 10 pracowników, a obroty roczne wynoszą około pół miliona dolarów. Naturalnie jest to ciągle jeszcze przedsiębiorstwo małe, powiedzmy średnie, jakich wiele w Toronto. Ma ono jednak, mówię bez jakiegokolwiek przechwałki, dobrą pozycję, posiadam doskonałych klientów. Jesteśmy dostawcami największych składów handlowych, a więc hurtownikami, a nie detalistami. I dopiero teraz, kiedy podstawy finansowe firmy są zdrowe, mogłem wykonać, zrealizować plan swego Ojca: ustanowić stypendium.

Jest ono szeroko otwarte i mam nadzieję, że spełni swoje zadanie, będzie wyrazem tradycji, o której wspominałem. Zdołałem nakłonić prof. Stefana Stykolta, świetnego, młodego ekonomistę wykładającego na Uniwersytecie Toronto, by wszedł w skład komitetu. Dzięki temu Fundacja jest z jednej strony powiązana z Kanadą, z największą wyższą uczelnią w tym kraju, a z drugiej strony osoba prof. Stykolta gwarantuje dokonanie najlepszego wyboru stypendysty: indywidualnego czy organizacyjnego.

W bieżącym roku przypada ponadto 55-lecie założenia firmy „H. Radomski”, co było dodatkowym, czysto formalnym bodźcem uruchomienia fundacji. Rozpaczam skromnie, bo sumą 1,000 dolarów, ale mam niezłomne przekonanie, że będzie ona rok rocznie wzrastać wraz z rozwojem naszego przedsiębiorstwa. Nie wątpię, że w przeciągu najbliższych lat dysponować będzie znacznie wyższą kwotą.

Byłbym szczęśliwy, gdyby moja skromna inicjatywa zachęciła innych do naśladowania. I tu w Kanadzie, i w sąsiednich Stanach Zjednoczonych, imigranci bodajże z wszystkich narodowości zdobyli się na ustanowienie indywidualnych fundacji. Brak niestety tylko polskich — mówię o indywidualnych, bo w Stanach Zjednoczonych działają Fundacja im. Kościuszki i Fundacja Paderewskiego.

Wdzięczny jestem „Kulturze” za pomoc techniczną.

Czynnik najbardziej fachowy w komisji Fundacji im. Albina Radomskiego reprezentuje dr Stefan Stykolt. Urodzony w 1923 r. w Łodzi opuścił to miasto i Polskę w 1938 roku.

Jeden rok szkolny spędził w Szwajcarii, następny we Francji a do Toronto przybywa, drogą okrężną przez Brazylię, w styczniu 1941 r. Tutaj kończy w 1942 r. szkołę średnią po czym zapisuje się na wydział ekonomiczny miejscowego uniwersytetu. Po uzyskaniu dyplomu w 1946 r. udaje się na studia uzupełniające do Harvard University, Cambridge, Mass., gdzie w 1949 r. uzyskuje doktorat za pracę pt. „Polityka ekonomiczna wobec monopolów”. Następne dwa lata akademickie dr Stykolt spędza na uniwersytecie Cambridge w Wielkiej Brytanii w charakterze *supervisor'a* studentów ekonomii.

W roku akademickim 1951-52 mianowany został wykładowcą na wydziale ekonomicznym Uniwersytetu Torontońskiego, a w 1957 r., w wieku lat 34, został profesorem nadzwyczajnym ekonomii. Obok wykładów prowadzi badania naukowe, wchodzi w skład redakcji miesięcznika społeczno-literackiego „Canadian Forum”. Prof. Stykolt należy do czołowych kanadyjskich ekonomistów.

— Pyta pan co sądzę o Fundacji im. A. Radomskiego? Oczywiście uważam ją za wysoce pożyteczną. Celem jej jest w pierwszym rzędzie umożliwienie młodym ekonomistom polskim bezpośredniego zapoznania się z systemem myślenia ekonomicznego, problemami ekonomicznymi państw Zachodnich. Dalej chodzi o umożliwienie osobistego zbadania organizacji systemów ekonomicznych w państwach Zachodnich. Oczywiście problemy teoretyczne można poznać z książek. Dobre biblioteki spełniają poważną rolę, ale teoria wymaga praktycznych uzupełnień. Trzeba koniecznie zobaczyć jak systemy te działają w życiu praktycznym. Trzeba je widzieć w akcji.

Stypendium nie ma bynajmniej za zadanie przerabiania ludzi. Nie chodzi nam o naginanie ekonomistów polskich do systemu kapitalistycznego. Ale powinni go znać, powinni widzieć jak funkcjonuje na poszczególnych odcinkach. A do tego potrzebne są wyjazdy. Zresztą i nasi, kanadyjscy profesorowie, i amerykańscy udają się ostatnio do Polski, do ZSSR również dla poznania praktyki tamtego systemu gospodarczego.

Wydaje mi się, że stypendia Fundacji wypełnią także poważną lukę polską a mianowicie brak dewiz. Fundacja zapewni studentowi czy młodemu uczonemu, pobyt w dowolnym kraju zachodnim dla przeprowadzenia odpowiednich studiów.

— Czy nie wybiera się Pan, Panie Profesorze, do Polski, jak to już uczyniło kilku młodych polskich uczonych pracujących na zagranicznych uniwersytetach?

— Niestety nie. W każdym razie nie w bieżącym roku. Mam zbyt wiele zobowiązań naukowych na miejscu. Powróci-

łem właśnie z kongresu ekonomistów kanadyjskich w Saskatoon. Mam na warsztacie obszerną pracę, którą muszę ukończyć w najbliższym czasie, gdyż mam już dalsze, nowe zobowiązania. Niełatwo mi więc wyrwać się z Toronto a cóż dopiero z Kanady.

— Czy poza Panem są jeszcze jacyś Polacy profesorami ekonomii na uczelniach kanadyjskich?

— Nie, przynajmniej ja nie znam ekonomistów, ale dwaj moi przyjaciele i myślę, że prawie rówieśnicy, są profesorami pokrewnych przedmiotów. Dr Władysław Stankiewicz wykład „political science” na University of British Columbia w Vancouver a dr Tadeusz Matuszewski na teje uczelni statystykę. Znacznie więcej młodych Polaków pracuje na wyższych uczelniach w Stanach Zjednoczonych, a zresztą zna ich pan zapewne.

Ale wróćmy do „naszego” stypendium. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że bardzo się cieszę, że zostało ufundowane w Kanadzie, że fundatorem jest miejscowy Polak. Pierwszy stypendysta, pracujący obecnie nad pracą doktorską w Berkeley University, Kalifornia, p. Andrzej Brzeski, jest bardzo dobrym młodym ekonomistą. Uniwersytet zatrudnił go jako asystenta, by ułatwić mu sytuację materialną. Przyznane stypendium umożliwi mu wykończenie pracy w należytych warunkach.

Rozmowy przeprowadził B. H.

## Maupassant, Hostowiec, abstrakcja

„Doznaję czasami krótkich, dziwnych, gwałtownych objawień piękna nieznanego, nieuchwytnego i zaledwie zdradzającego się w pewnych słowach, widokach, pewnych zabarwieniach świata, pewnych sekundach... Nie potrafię go ani dać poznać innym, ani wyrazić ani opisać, zachowuję je dla siebie, nie mam innej racji bytu, innej przyczyny dalszego trwania...”.

Cytując ten urywek z nieznanych dotychczas listów Maupassanta, Hostowiec w grudniowej „Kulturze” stwierdza, że przeżycie, które trwa zaledwie minuty czy nawet sekundy, „wrażenie, którego nie potrafimy jasno opisać, o którym mó-

wimy ostrożnie by go nie spłoszyć, lub o którym milczymy, to jest także jedyne kryterium czytelników i słuchaczy muzyki", a ja bym dodał i *ludzi przeżywających malarstwo*.

Hostowiec pisze dalej, że jeżeli jakiś pisarz czy muzyk (i malarz) da nam sekundę takiego przeżycia, jest nam już wszystko jedno czy napisał jeszcze dwadzieścia tomów wierszy i tyleż oper (czy namalował sto obrazów).

Maupassant pisał o sobie, że chwil tych *nie potrafi dać poznać innym, ani wyrazić ani opisać*, a przecie właśnie u Maupassanta pamiętam sprzed lat niektóre strony, tak jak bym je przeżył dziś, te wrażenia doznane „o których mówimy ostrożnie, by ich nie spłoszyć, o których milczymy”: jakieś sitowie o zmierzchu, wyschlą studnię, do której wrzucono psa, żeby tam zdechł, las z odartymi z kory, jakby krwawymi korkowymi dębami. Więc Maupassant nie wiedział, że to tajne, to jedyne potrafił wyrazić, przekazać?

Jeżeli jest w *Kulturze* „Notatnik nieśpiesznego przechodnia”, od niego zaczynam czytanie *Kultury*, jak — nie wątpię — bardzo wielu jej czytelników. A przecie Hostowiec zwykle dotyka spraw leżących jakby na boku udeptanych szerokich szlaków, nie ulega nigdy terrorowi powierzchownie rozumianej aktualności, ale właśnie pisząc jakby tylko dla siebie, nie licząc się z pośpieszonym czytelnikiem daje nam, równie tego nieświadomy jak Maupassant, sekundy przeżyć, po których ranga pisarska Hostowca jest dla nas ustalona na zawsze.

Hostowiec jest przy tym jednym z najczujniejszych znanych mi odbiorców nie tylko literatury i muzyki, ale i malarstwa. To połączenie rzadkiej i tak rozległej kultury z zawsze *otwartą* wrażliwością i uwagą „niezależną od ustalonych pojęć” jest tak wyjątkowej *qualité*, że nie chcę zachować dla siebie tylko, paru stron otrzymanego w grudniu ubiegłego roku listu, gdzie Hostowiec pisze mi o malarstwie współczesnym. Nie ze wszystkim w tym pięknym liście zgadzam się (podziwiam Braque'a) ale nie o moje tu oceny chodzi, ale o oceny Hostowca, dlatego nie pozwoliłem sobie na żaden skrót w tekście tak ważkim, tyczącym współczesnego malarstwa.



„...Od dawna już miałem Ci coś ważnego do napisania, dokładnie biorąc od ostatnich dni lipca. W miesiącu tym byłem w Padwie i prawie co dzień odwiedzałem tamtejsze Museo civico z obrazami Tintoretta i padewskich prymitywów. Za czwartym czy piątym razem spostrzegłem, że rodzaj nadzira-tiela czy inspektora, z którym przedtem parę razy rozmawia-

łem, naradzał się nad czymś z inwalidą sprzedającym karty wstępu (*cento lire*). Ten ostatni dał mi bilet z czasów Mussoliniego i powiedział, że to nic nie kosztuje. Czy dziś wstęp jest za darmo? — zapytałem. Na to inspektor: Zobaczyliśmy, że pan kocha obrazy i przyszliśmy do przekonania, że nie powinniśmy od Pana brać pieniędzy. Takie rzeczy zdarzają się tylko we Włoszech, gdzie cały niższy personel składa się z ludzi kochających obrazy. Podczas pobytu w Padwie skrytykowała się we mnie pewna myśl lub raczej pewna wrażliwość, która od kilku lat szukała jak gdyby swojej drogi.

Sztuka tzw. modernistyczna była dziełem mego pokolenia. Widziałem wszystkie prawie po kolei jej manifestacje, od 1-szej wystawy futurystów w 1911, i pierwszych wystąpień dadaistów w Zurychu w 1915, aż do triumfu abstrakcjonistów, którym była poświęcona tegoroczna Biennale w Wenecji, i wystawy retrospektywnej Bazaine'a, którą oglądałem przed miesiącem w Bernie. Odnosiłem się do niej z największą uwagą, z życzliwością, starając się ją rozumieć, w tych granicach oczywiście, w jakich poddaje się tej operacji, a za którymi jest już tylko pustostłowie krytyków i profesorów. Po blisko 50 latach obcowania byłem z nią tak oswojony, że nauczyłem się nawet odróżniać w niej rzeczy lepsze od gorszych. Od kilku lat jednak odczuwam coś w rodzaju znudzenia, czy zniechęcenia. Do takich obrazów jak Jean Bazaine'a zrywam się jeszcze, oglądam je długo i wiele razy, aż odnajdę ich smak, ale do innych czuję coś w rodzaju podejrzliwości i znudzenia. Od kilku lat mam świadomość, że sztuka ta zrobiła się bardzo niemłoda, że jest przynajmniej w moim wieku, że koryfeusz jej są już od dawna całkowicie łysi, niektórzy nawet z białymi brodami. Od kiedy ja sam zrobiłem się niemłody i zacząłem poznawać ten stan niejako od wewnątrz, spostrzegłem też, że różne są rodzaje starości. Są pogodne, życzliwe, mądre, doświadczone, nawet wspaniałe, zdobywające się na imponujące kompensaty właściwych temu stanowi mizerii. Są jednak także starości szkodliwe, zazdrosne, napastliwe. Nie ulega wątpliwości, że starość sztuki modernistycznej należy do tej drugiej kategorii. Młodym z tym jest czasem do twarzy, nazywa się to wówczas *noble effronterie*. Starym natomiast agresywność nie przystoi, jest czymś zaprzeczającym mądrości doświadczenia. W miarę tych obserwacji zbudziła się we mnie obawa, że tkwiąc w prądach mego czasu mogę postarzeć tak samo brzydtko jak abstrakcjonści.

W Padwie poznałem m.in. profesora, który poświęcił 25 lat studiowaniu perspektywy u weneckich malarzy i pokazywał mi w rękopisie swoją książkę na ten temat. Były tam imponujące szczegóły, na przykład że u Tiepola postacie unoszące się w powietrzu rzucają cień całkowicie zgodny z zasadami geometrii opisowej. Autor tego dzieła opowiadał mi, że przed paru laty wraz z innym, takim samym badaczem, profesorem

Akademii Brera, poszedł oglądać w Padwie wystawę abstrakcjonistów. Rozmowom ich przysłuchiwał się starszy jegomość o imponującym wyglądzie i wielkim kapeluszu, który w końcu rozgniewał się: *via contadini* idźcie stąd precz chłopie, tu nie miejsce dla was i tak nic tu nie zrozumiecie. Jak się później dowiedzieli, był to wpływowy krytyk, członek wielu jury i komitetów organizacyjnych.

Na ogół przyjęto jest mniemać, że ponieważ kiedyś Francuzi zaśmiewali się z Maneta, każda sztuka, która wydaje się śmieszna lub niezrozumiała, dziś, będzie klasyczna za pół wieku. Przypuszczenie takie nie ma żadnych podstaw i oparte jest na nieporozumieniu, jest jedną z flaubertowskich *idées reçues*, lecz, zarówno u znawców jak u profanów, uchodzi dziś za prawdę oczywistą. We Włoszech zobaczyłem w ostatnich latach po raz pierwszy młodych odwracających się powoli od modnych prądów. Sztuka urzędników i profesorów mówi o abstrakcjonizmie Leonardo Borgese. We Włoszech młodzi także zaczęli dostrzegać, co w tzw. nowej sztuce jest stare i sklerotyczne. Wydaje się, że tegoroczna Biennale była punktem szczytowym rozwoju abstrakcjonizmu, triumfującego nad Wenecją, i że teraz zacznie się odwrót. Takie wnioski nasunęły mi się w rozmowach z młodymi włoskimi przyjaciółmi, którzy nie widzieli początków modernizmu i nie mają żadnych uprzedzeń pokoleń starszych.

Innym aspektem wątpliwym sztuki obecnej jest jej charakter omphaloskopiczny tj. używając tzw. *le grec scientifique* — patrzący w własny pępek. Malarstwo i literatura oddaliły się od natury, od świata zewnętrznego i czerpią swą substancję z danych introspekcyjnych, ze snów i majaczenia. Niebezpieczeństwo jednostronności jest oczywiste, i mistrze nowego rodzaju artystycznego starali się nie zrywać z naturą całkowicie. U Joyce'a, twórcy monologu wewnętrznego, uderza staranna obserwacja niezliczonych przedmiotów przesuwających się w jego majaczeniu. Mój sąsiad i przyjaciel, Otto Nebel, rysuje latem z największą dokładnością żuki, ryby, rośliny, kamienie itd., z których zimą dystyluje *par derivation* formy abstrakcyjne. Jean Bazaine daje swym obrazom tytuły, wskazujące na miejsce, z którego wzięł barwy i właściwe sobie szelesty światła. U większości jednak związek z naturą jest zerwany, niewidoczny, nie do odcyfrowania. Czyżby natura została wyczerpana przez malarzy? Trudno temu uwierzyć. Dla różnych celów obejrzałem wiele muzeów włoskich szukając w nich historii pejzażu. Widziałem tam rzeczy imponujące wrażliwością i przenikliwością, ale kto mógłby twierdzić że krajobraz włoski został wyczerpany i nic nowego powiedzieć nie potrafi? Sama architektura włoskiego lasu, lub raczej gaju — *il bosco* — bo prawdziwych lasów tam już nie ma, jest niewyczerpanym źródłem wzruszeń i refleksji. Z swą zieloną masą liści, opartą na smukłych pniach, między którymi widać w głębi znów

światło, *il bosco* zbudowany jest tak samo jak pałac dożów z jego masą murów leżących na lekkich kolumnach. Nigdzie artyści nie studiowali równie długo natury, jak we Włoszech, ale i tam nawet resursy jej zdają się prawie nietknięte.

Wszystko co powiedziałem wyżej jest „nadumano”, powstało z potrzeby syntetycznego myślenia i przez to samo dotyka tylko peryferii sztuki. Są to rzeczy które wiem od lat, i nie o tym chciałem ci pisać, ale o czymś co całej tej sprawy dotyczy w sposób bardziej istotny. Jeden z antykwariuszy na mojej ulicy w Bernie wystawił w witrynie pejzaż nieznanego mi malarza neapolitańskiego, Beniamina de Francesca, ur. w 1804 i zmarłego w Dinard w 1879. Pejzaż przedstawia grupę drzew oliwnych na tle żółtych, spalonych słońcem pagórków, jakie mija się dziesiątkami jadąc z Neapolu do Castel di Sangro, gdzie i Ty pewnie podczas wojny bywałeś. Takich pejzaży w muzeach włoskich jest wiele, w nowym muzeum neapolitańskim na Capodimonte nawet bardzo wiele, ale — gdybym nie zajmował się historią pejzażu — pewnie bym ich w ogóle nie zauważył. Przechodząc koło antykwiariatu rzuciłem zaledwie okiem na te płótno i nieznany mi podpis. Następnego dnia oglądałem je dłużej, potem zatrzymywałem się za każdym razem coraz dłużej, a gdy znikło z wystawy, chodziłem oglądać je wewnątrz *boutique*. Poznałem jego budowę, technikę, koncepcję, reminiscencje mistrzów starych i nowych, ale z tej strony nie znalazłem nic interesującego. Nowością była dla mnie przyjemność, jaką znajdowałem w patrzeniu na obraz malowany ze zdumiewającym realizmem, bogactwem szczegółów przemyślanych z nieznaną naszym czasom wrażliwością i cierpliwością, a wreszcie z poczuciem miary i taktu. Było to odkrycie należące może formalnie do zakresu zalecanego przez Sokratesa poznania samego siebie, ale mało sokratycznej natury, było to bowiem odkrycie nowego źródła przyjemności, nieznanego przedtem wrażliwości. Po tym wiosennym doświadczeniu oglądałem Tintoretta trochę inaczej niż przedtem. W weneckiej Akademii przyglądałem się całą godzinę jego stworzeniu ryb i ptaków, gdzie właściwy mistrzowi pośpiech, niezbędny dla opisanego całej kreacji boskiej, łączy się w szalonym ruchu świata z dokładnością obserwacji, robionej niby na rynku rybnym. Do mego trybu oglądania obrazów dołączył się jakiś element nowy, widoczny, być może nawet dla postronnych, skoro Włosi orzekli, że „kocham” obrazy, a w ich pojęciu uczucie takie należy bezspornie do *plaisirs charnels*.

Sadząc pomyśleniem zdrowym jest to oczywiście tylko skutek długotrwałego postu abstrakcyjnego, radość oglądania rzeczy po latach wczuwania się w majaczenia i konstrukcje oderwane. Każdy kto dość długo pościł, może zrobić takie same odkrycie. Nie jest to wcale „dawaj po włoskiej uczcie kapusty z bigosem”, przyjdzie być może i do tego bigosu, kiedy rzesze stojące pobożnie przed abstrakcjonistami rzuca

się na przykład na socrealizm, ale na razie odczuwam to raczej jako przebudzenie się w słoneczny letni dzień z metafizycznego koszmaru. Nie odwracam się wcale od modernistów, być może oglądam ich dziś nawet z większą przyjemnością, ale bardziej swobodnie bez przymusu. W zeszłym roku widziałem np. sto płócien Braque'a i poczułem wielkie rozczarowanie. Wracałem do nich kilka razy, chcąc w nich znaleźć jakiś smak lub przynajmniej wytłumaczenie, dlaczego te wielkie, niezgrabne, malowane brudnymi farbami, kompozycje mają tak wielką markę u znawców i cenę u kolekcjonerów, ale dałem temu spokój. Nie jestem profesorem, nie potrzebuję tych obrazów nikomu tłumaczyć, oglądam je dla własnej przyjemności, a gdy jej brak nie chcę zgłębiać i systematyzować własnego poczucia dyssatisfakcji, zostawiam to Camusowi.

Dopiero na podstawie tego doświadczenia zyskałem przekonanie, że świat sztuki stoi przed jakimiś zmianami, że będzie znów młody i radosny. Na razie nie umiem sobie tego dobrze wyobrazić, ale to nie jest zresztą moja rzecz, bo nigdy nie widziałem w sobie artysty. Kiedy piszesz, że w moich notatkach znalazłeś coś o efekcie artystycznym, jest to dla mnie prawdziwa rewelacja. Moim zadaniem, było dotąd kultywowanie namysłu swobodnego, pozwalającego ocenić przyjemność patrzenia i czytania, niezależnie od wszystkich ustalonych pojęć? Do tego trzeba też od czasu do czasu znaleźć jakieś pasujące wyrazy, ale to jest zadanie inne od zadania artysty, nawet gdybyśmy stanęli na stanowisku ucznia Crocego Spingardena, dowodzącego w książce „On unity of Genius and Taste”, że uzdolnienia potrzebne do stworzenia dzieła sztuki i do rozpoznania jego wartości są tej samej natury...”.

— Czy reakcja Hostowca jest może wywołana narastającym zalewem wtórnej tandety, której ofiarą według samych malarzy-abstrakcjonistów, pada ich sztuka? Ale impresjonizm koło 1907 roku tak samo życie swe zakończył gdy stał się obowiązującą formułą wszystkich akademii, wszystkich pacykarzy na kuli ziemskiej.

A może to *dogmat wrogi naturze*, przekreślający naturę, mści się nad tym eksperymentem, trwającym już ponad 50 lat, najśmielszym ze śmiałych?

J. CZ.

## Na marginesie pewnej wystawy

Wystawa sztuki polskiej, która odbyła się niedawno w Brukseli wzbudziła we mnie różnorodne refleksje. Chcę powiedzieć od razu, że dla mnie, jako Belga, była ona szczęśliwym objawieniem: odkryła mi — wbrew wszystkiemu czego można było oczekiwać — malarstwo mające wiele cech wspólnych z naszym, a nawet swego rodzaju podobieństwo „rodzinne”, które mnie zdziwiło.

Wydaje mi się, że można w sposób syntetyczny określić całość produkcji artystycznej danego kraju, mimo różnic wewnętrznych, które mogą w niej istnieć. Widziane z dystansu, tak jak ja je widzę, te liczne płótna dawały obraz kwiatów różnobarwnych, ale wyrosły z tej samej gleby. Pokazywały jedność, głęboką jednolitość. I właśnie to podłoże, ten największy wspólny współczynnik, odpowiada w sposób uderzający temu, co daje nam analogiczne tło, będące pożywką dla sztuki belgijskiej, o ile zdołujemy się w stosunku do niej na taki sam dystans.

Widziana w ten sposób z zewnątrz (mam tu zwłaszcza na myśli starszych z pokazanych artystów: Weissa, Stanisławskiego, Pankiewicza Siewińskiego, Podkowińskiego, Boznańską, Malczewskiego, Wojtkiewiczę itd., z tym że najstarszy jest Gierymski 1850-1901) ta całość przywiodła mi na myśl typową atmosferę naszego Muzeum Sztuki Współczesnej (1), w którego salach ocierali się o siebie przewodnicy rodzącego się ekspresjonizmu z niedobitkami realizmu i gasnącego impresjonizmu. Jeżeli to co widziałem wystarczy, aby sobie wyrobić pojęcie, to wydawałoby się, że cechą typową dla malarstwa polskiego i belgijskiego jest nieopanowany pociąg do „ekspresjonistycznej” wizji świata; wizji raczej niedochodzącej do grzechu formalizmu niż go przekraczającej, gdyż skoncentrowanej głęboko na człowieku i przywiązanej do troski o pełnię, jako że lubi być mistyczna i ironiczna. A zwłaszcza nigdy nie obojętna na człowieka, którego opisuje.

Francja zaangażowana jest bardziej w problemy szkół. Rozwiązuje ona najczęściej w sposób genialny problem barwy, ale z drugiej strony tendencję do ograniczania się do tego problemu, tym bardziej że kultura latyńska jest z natury swej przeciwieństwem temperamentu dionizyjskiego. Ponadto cechą wspólną Flandrii i Polsce jest żywy katolicyzm i pęd do absolutu. Są to bowiem ludy namiętne, podniecane potrzebą wyrażenia się, choćby nawet w fantastyce i w niekonsekwencji, w swych tęsknotach i radościach. Ich strojem nie będzie nigdy pudrowana peruka, bo naokoło czyha gwałtowny niepokój. Czuje się tęsknotę do równowagi, lecz jednocześnie wieczne dążenie do transcendencji utrzymuje ciągle tę ławę w stanie wrzenia. Penitenci z Furnes ocierają się o orgie Tlustego Wtorku.

(1) Przed jego obecnym upadkiem.



Jest również miłość do krajobrazu, tego krajobrazu, w którym według powiedzenia Claudela, „nie ma się ochoty spacerować, tak dalece odkrywa się w nim zaraz nieskończoność” (cytuje z pamięci). I to samo poczucie intymności, wnętrza pokoi sypialnych. Wsie izolowane, odcięte przez zimę — życie sielskie, wiejskie i nieufność do „zepsutego mieszkańca miast”. Ale także czułość, miłość do istot żywych, do rzeczy, do najprostszej natury. Nie trzeba nic więcej, aby natchnąć sztukę życiem ekspresyjnym, które nie ustąpi nigdy poszukiwaniom wyłącznie formalnym. Wiem, że to rozróżnienie może zdenerwować niektórych czytelników. Ale ostatecznie jest ono oczywiste, niezależnie od tego co mówi Focillon, i niezależnie od dedukcji które chciano wyciągnąć z tego ograniczenia zawartości do formy. Wiem dobrze, że obraz rodzi się „ubrany”, ale to że impuls miłosny wyraża się znakiem formalnym nie oznacza, że bez tego impulsu znak byłby *taki sam*. I na szczęście nie wystarczy rysować znaki byle jak, aby sprowokować miłość.

Podkreśliłem, że Belgia ma wspólny z Polską katolicyzm, mówiąc to myślę o protestanckich Niemczech, o Niemczech, których ewolucja malarstwa skierowała się również ku ekspresjonizmowi i geograficznie jest nam bliższa, a przecież o tyle dalsza. Może dlatego, że ewolucja Niemiec jest mniej otwarta na świat, na to co nie jest ściśle germańskie?

Ten termin „ekspresjonizm”, o którym od razu pomyślałem, wydawał mi się zawsze podejrzany. Chęć w nas czasem wmówić, zwłaszcza we Francji, że jest on synonimem „malarstwa literackiego”, ale to nieprawda. Nie zapominajmy, że używając go po raz pierwszy, Otto zur Linde widział w nim antytezę impresjonizmu, to znaczy rehabilitację konstrukcji imaginyjnej w przeciwieństwie do przedstawienia absolutnie obiektywnego. Ale ten punkt widzenia zrobiliby zapewne z Gauguina ekspresjonistę. Zostawmy więc tym terminom właściwą im nieścisłość. Ograniczmy się do stwierdzenia, że tak w Belgii jak i w Polsce istnieje tendencja do rozszerzania wizji aż po granice nierzeczywistości, wizji pochodzącej z wczucia się w swe wnętrze, a której opozycja charakteryzuje się malarstwem skoncentrowanym na stosunkach formalnych, dających się obiektywizować. Spotykamy w tym miejscu jeden z podstawowych mitów ludzkości: rywalizację — i dualizm — Marsjasza z Apolinem. Marsjasz wywodzi się z magii, z potęg numeralnych; jego dziedzina zanurza się w to, co niezbadane i niezbadalne w naszej naturze ludzkiej; głęboko pesymistyczny, kocha śmiech, kpiny, orgie; śmieje się z naszej nicości, lecz śmiech jego ma dźwięk dzwonek błazna. Oddając się mu, człowiek naraża swój spokój, ale otwiera się przed nim uwodząca tajemnica jego fletu. Marsjasz, czy też — o ile pamiętamy Nietzschego — Dionysos, jest bogiem Saturnalii, bóstwem Tłustego Wtorku; kiermasze Rubensa oraz wizje Hieronima Boscha idą śladem jego szaleńczego tchu. Apollo (z którego wywodzi się niemal cała sztuka francuska) jest bogiem ład. Jego próba jest idealizacją człowieka; wyrzekając się tajemnicy, wierzy tylko w harmonię. Nie czaruje magią, ale prawem liczb, którego symbolem jest lira. Ale jeżeli usuwa on człowieka spod wpływu tego co nieokreślone, spod wpływu paniki i fantastyki, to może jednak go doprowadzić do kultu czystego ducha, do systematycznego wątpienia, do rytualnego formalizmu i do śmierci.

I to nie przypadek, jeżeli oglądając „Wielki Bankiet Renesansowy” Waliszewskiego przypominałem sobie Ensora, podobnie jak przed Wojtkiewiczem („Lalka”, „Marionetki”) i przed „Martwą naturą z wazą chińską” Witkowskiego. Ale przede wszystkim przed Waliszewskim. Jakaś pani obok mnie twierdziła, że „nie można by żyć mając to w domu”. I miała rację. Smakowity, pełen dysonansów, śmieszek tego kwaskowatego obrazu jest trucizną, która wiedzie nas na antypody rozumienia i daje nam tam zasmakować nieznanych rozkoszy, ale gdybyśmy poważyli się jej nadużyć, zatrzymałaby nas tam na zawsze. Można jednak powiedzieć, że z wyjątkiem „Ostatnich chwil Rabina” Adlera oraz niektórych zwariowanych abstrakcjonistów (Kantor, Kobzdej) ogólny klimat wystawionych obrazów znajdował się poza tego rodzaju schizofreniczną wizją. Zatrzymałem się dłużej przed Boznańską, (w tym „Dziewczynka z goździkami” naprawdę uroczą), przed Weissem, którego „Kawiarnia paryska” przypominała mi Evenspoel z bulwarów, przed Wojtkiewiczem wreszcie (atmosfera „Rozstania” bliska jest Van de Woestijne). A ponadto inni: Spychalski, o tonach matowych, tak częstych u nas (Tytgat, de Smet), Larisch, Cybis, Makowski, również wywodzący się z rodziny humorystów.

Nie ma wśród tych malarzy ani jednego, który by nie był w Paryżu. Wpływ Cézanne’a jest więcej niż widoczny, najbardziej u Pankiewicza, a także chyba u Czyżewskiego.

Ale ostatecznie to nie kontekst geograficzny zbliża ludy, lecz raczej orientacja kultury i wartości którymi ona się żywi. I ponieważ malarstwo jest językiem spontanicznym i uniwersalnym, więc jest ono w stanie bardziej niż inne formy sztuki, uwydatnić tego rodzaju zjawiska. Mimo to jest znamienne, że artyści polscy odczuwali nagłą potrzebę formalizmu latyńskiego, gdy tymczasem dla Belgów bliskość wielkich prądów Paryża działała zawsze jako stabilizująca przeciwwaga. Ale nie zapominajmy o istnieniu tej solidnej tradycji, która sprawia, że u nas każdy malarz zna Breughela, Boscha, Rubensa i Van Eycka *zanim* odkryje Picassa.

Jakże późno nazwiska Permekego i Ensora przekroczyły granice Belgii. Stało się do tego, że geniusz ich nie jest francuski, powiedziałbym nawet, że jest antyfrancuski.

Faktem jest, że wielki rozkwit malarstwa francuskiego od stu lat działał nieraz na wzór owych gwiazd oślepiających, które pozbawiają blasku wszystko to, co znajduje się w ich orbicie. Faktem jest też, równie charakterystycznym, że trudno sobie wyobrazić, żeby uwaga wypowiedziana na temat Waliszewskiego, mogła się odnosić do jakiegokolwiek dzieła francuskiego. A to dlatego, że każdy malarz francuski z natury swej formacji i swego pochodzenia pragnie się *podobać* (a jeżeli mówię tu o Francji, to wyłącznie dlatego, że jest ona symbolem tej „sztuki-rozrywki”), w najlepszym wypadku pełnej taktu umiaru, w innych pretensjonalną i mdłą. To odczucie ideału i dekoracji jest pochodzenia klasycznego.

Polska i Belgia znajdują swe główne pokrewieństwo we wspólnej miłości do masek, do sztuczności, do teatru kukielek. Maski i jej świat rodzą się z ludu i z folkloru, z podstawowych mitów ludzkości, i dlatego jest przerażająca, gdyż odsłania nasze namiętności najbardziej żywotne, najbardziej szalone i najbardziej niewypowiedziane.

Zawsze, kiedy sztuki klasyczne dotknięte są anemią, widzi się, że sztuka ludowa wraca w swoje prawa i zlewając się z ginącymi formami

daje życie faunie i florze szczególnego autoramentu. Jest to świat, w którym dysonanse są nareszcie usprawiedliwione przeciwstawiając się pojęciu harmonii, lub łącząc się z nim. Cel dzieła zmienił się, sztuka przestaje być przyjemnością, aby stać się wiedzą, wyznaniem, lamentem, pożądaniem. Rozkoszowanie się nie będzie odtąd kontemplacją lecz *współudziałem*. Sztuka polska, podobnie jak belgijska, nie straciła tego nigdy z oczu. Wydaje się, że ożywione głębokimi sokami i gwałtownym atawizmem, te dwie tradycje malarskie odczuwały zawsze niebezpieczeństwo sztuki zbyt spekulatywnej i odmawiały zamknięcia poszukiwań artystycznych w klimacie zbyt formalnym.

A ponieważ doszedłem do tego rodzaju mowy obrończej, więc chciałbym postawić następujące pytanie: czy nie ma pewnej niesprawiedliwości w niemal całkowitym milczeniu, którym otacza się we Francji takich mistrzów jak Wouters i Servaes, Laermans i Minne, Van den Berghe i Strebelle, nie mówiąc o Smet'cie, Thevenet'cie, Spillaert'cie i innych...

Nie wątpię również, że artyści i publiczność polska mają wobec malarstwa belgijskiego to samo wrażenie sympatii i pokrewieństwa i niewątpliwie warto by popierać to zbliżenie.

Wspomniałem przed chwilą nazwisko Permekego; niech mi będzie wolno zakończyć te myśli wspomnieniem tego krzepkiego geniusza, wspańiałego w swej równowadze i potędze, który — jako autentyczny mistyk ziemi i życia potrafił wcielić swe wizje w ciasto zawsze gęste i ziemskie, w formę i w rytm zawsze niezawodne. Permeke, malarz-poeta, który w takim utworze jak „L'étranger” dosięga świata nadprzyrodzonego i wyczulonego Meterlincków i Ghelderodów z tym, że ani na chwilę sama materia, „malarstwo malarskie”, nie traci najmniejszego ze swych praw.

Rémy CELIS

(Tłumaczył Jan Torosiewicz)

## Literatura antywalorów

Nowa poezja opierała się dotychczas głównie na metaforze i na obrazie, chociaż poszukiwania zmierzały do różnych celów: do deformacji i groteski, do rozluźnienia składni, do eksploatacji wielowartościowości semantycznej lub do wprowadzenia konkretów, do czystej zewnętrzności i do realizmu „behaviourystycznego”... Starano się także wykorzystać wartości dźwiękowe wiersza. Obecnie wszyscy zdają sobie jednak sprawę z konieczności wyrwania się z kręgu form zastanych, wiedzą że nie można opierać poezji wyłącznie na formie albo na

bazie religijnej, społecznej, czy narodowej, gdyż twórczość zacieśniona do jednej tylko wzajemnej relacji czy systemu — jest uboga i niepełna. Celem poety jest poznanie tej strony człowieka, która nigdy wyraźnie się nie ukazuje i o której bardzo mało wiemy, ale dlatego — jest ona tym bardziej pasjonująca. Zdajemy sobie sprawę, że rodzą się nowe systemy, które dopiero razem wzięte — pozwolą nam zbliżyć się, znowu z innego punktu obserwacyjnego, do istoty poezji. Jest ona czymś prostym, a zarazem — ogromnie złożonym. Jest formą, ale i czymś więcej, jest także antyformą. Składa się z walorów, ale i z antywalorów. Ze znaczeń i z tego, co wybiega poza znaczenie, ze słów *mówiących*, z wyrazów i z niedomówień. Jest splotem antynomii, które istnieją w niej organicznie, *in statu nascendi*.

Aby dotrzeć możliwie najbliżej do istoty poezji, do bardziej wszechstronnego jej widzenia — musimy jednak nie tylko przejść od formy do antyformy, od walorów — do antywalorów, ale także zawrzeć w niej równocześnie te obydwie jej projekcje. Nie jest to zwyczajne połączenie dialektyczne: teza + antyteza = synteza, gdyż trudno byłoby ograniczyć się tu do elementu pozytywnego i jego przeciwieństwa. W istocie, zagadnienie jest o wiele bardziej skomplikowane, zarówno teza jak i antyteza zachowują bowiem nadal swój niezależny byt poetycki, czego wynikiem nie jest ich wzajemne połączenie, synteza, ale tylko równoczesne istnienie w formie przeciwstawnej, które nie zacierza cech właściwych każdemu z członów, lecz wręcz przeciwnie — jeszcze silniej je podkreśla. Jest to nie tyle synteza, ile raczej współegzystencja — symbioza czynników przeciwstawnych. Poemat jest więc systemem wielowartościowych elementów, w którego skład wchodzi różne walory. Do jego pełniejszego uchwycenia potrzebne jest także włączenie antywalorów, które pozwalają na bardziej wielostronne wyczuwanie walorów. Antywalor — jest niezbędnym uzupełnieniem waloru, którego istnienie poetyckie, bez tego, byłoby niekompletne.

Walor nie jest jednak elementem o charakterze stałym i definitywnie określonym. Jest on także stawianiem się, jego wartość znaczeniowa i uczuciowa ulega zmianie przez przesunięcia, jakie zachodzą w otaczającym nas świecie zewnętrznym i w nas samych. Walor — ustawicznie się *w a l o r y z u j e* i jedną z jego form waloryzacyjnych jest antywalor. Z tego punktu widzenia także antywalor nie jest czymś stałym, gdyż istnieje on niezależnie od nas, ale równocześnie przechodzi przez stałe modyfikacje. Jego znaczeniowość ma charakter funkcji zmiennej, ulega on stałej *t e m p o r a l i z a c j i*, gdyż określa go nie tylko wartość semantyczna, ale i związana z nim sfera wyobrażeń i wytworzona przez nie atmosfera uczuciowa. Na tę zmienność poetyckiego istnienia waloru wpływają modyfikacje zależne od epoki, niektóre walory tracą z biegiem

lat swe pierwotne znaczenie, budzą inne wyobrażenia lub nabierają odmiennych cech uczuciowych. Wpływają na to różne czynniki: wychowanie, odziedziczone wartości kulturalne, religia, przynależność narodowa lub klasowo-społeczna, warunki polityczne, historia itp. Ta *temporalizacja* walorów jest szczególnie widoczna obecnie w kraju gdzie zmiany nie ograniczyły się do odcinka społeczno-politycznego, ale radykalnemu przesunięciu i odwróceniu uległ także cały system wartości i umysłowość młodego pokolenia. Z natury rzeczy — reaguje ono zupełnie inaczej na pewne walory, niż generacja wychowana w okresie dwudziestolecia.

Ale ta zmienność walorów wywołuje w nas pragnienie uchwycenia ich w aspekcie bardziej stałym. Chcielibyśmy rozłożyć je na czynniki proste, uwolnić od tak częstej w okresie międzywojennym wieloznaczności, którą nadaje *temporalizacja*. Ta tendencja do jak najbardziej precyzyjnej, ale nigdy nieosiągalnej jednoznaczności wyraża się zwłaszcza w antywalorach. Dlatego najnowsza poezja jest *t a k ż e*, i coraz bardziej, poezją antywalorów.

Okazuje się jednak, że znaczeniowość jednowartościowa, prymitywna, prawie nie istnieje w poezji. Występuje ona zazwyczaj w formie pozornej, daje wrażenie *j a k g d y b y* tak było istotnie, ale równocześnie zdajemy sobie sprawę, że tak nie jest, że mamy do czynienia tylko z przyjętą konwencją, która dotyczy także antywalorów. Ta konwencja jest wyrazem tęsknoty naszej epoki do rzeczy uproszczonych, prostych.

W walorze *W* istnieją więc 3 elementy: semantyczny *S*, obrazowy *I*, oraz uczuciowy *U*.  $W=S+I+U$ . W tym równaniu nawet element *S* nie jest wartością stałą, jego znaczeniowość ulega rozszerzeniu lub zwężeniu, czasem dołączają się nowe treści semantyczne, które w mniejszym lub w większym stopniu modyfikują jego pierwotne znaczenie. Analiza przemian językowych w ostatnich latach dostarczyłaby dużo przykładów takich przesunięć znaczeniowych w języku potocznym, można by nawet przytoczyć wiele słów, których dawne znaczenie wyszło z użycia, a na to miejsce wytworzyło się nowe. Tę znaczeniową zdolność słów można szczególnie wyraźnie obserwować w słownictwie *argot* lub *slangu*. Bardzo charakterystycznych przykładów tego procesu, może dostarczyć język francuski z XVII i XVIII w. w okresie, gdy wywarł on szczególnie silny wpływ na kształtowanie się języka polskiego. Większość wyrazów francuskich, które zachowały się jeszcze dzisiaj w polszczyźnie, np. *peron* itp. w dzisiejszym języku francuskim ma albo odmienne znaczenie, albo związane są one z tak specyficzną atmosferą uczuciową, że ich używanie jest prawie śmieszne, trąci myszką. Czy Francuz ośmieliłby się dzisiaj, bez zamierzonej emfazy, podziękować za „*vous délicat présent*”? Znam wprawdzie poetę (Louis-Gonzague Frick), który zrobił to w liście do mnie, ale była to celowa stylizacja,

która nie istnieje w mowie potocznej. Mimo to czynnik *S* stanowi część raczej stałą, stosunkowo mało zmieniającą się, bo opiera się na pewnej konwencji, której celem jest nadanie językowi komunikatywności, możliwości porozumiewania się z innymi; z natury rzeczy język zmierza więc do możliwie najbardziej wyraźnego i jednoznacznego określenia.

Czynnik *I* jest już o wiele mniej sprecyzowany, a jeszcze bardziej nietrwałą wartością jest *U*, które nie tylko zmienia się zależnie od czynników zewnętrznych i wewnętrznych, ale także z natury swojej istoty jest czymś krótkotrwałym i ulegającym ustawicznym fluktuacjom, gdyż zależy w dużej mierze od samego odbiorcy wiersza. Weźmy np. słowo *wolność*. W ciągu ostatnich lat wyraz ten zaczął być używany w nieco odmiennym znaczeniu niż poprzednio. Było to wynikiem oddziaływania z jednej strony czynników natury politycznej, z drugiej — wpływu terminologii naukowej i pewnych koncepcyj filozoficznych. Od czasu fenomenologizmu, a zwłaszcza egzystencjalizmu — jego zawartość treściowa jest zupełnie inna. Sartre rozszerzył jego znaczenie wprowadzając elementy modyfikujące i normatywne, w filozofii egzystencjalistycznej wyraz ten ma niewiele wspólnego z tym co zazwyczaj nim określamy w mowie potocznej. Zmieniło się jednak nie tylko *S*, ale także *I*, a zwłaszcza *U*. Słowo *wolność* wywołuje zupełnie inne reakcje u człowieka należącego do narodu pozbawionego niezależnego bytu państwowego i efektywnej wolności, okupowanego przez wojska obce lub ujarzmionego, podczas gdy ma ono zupełnie inną treść uczuciową u obywatela państwa niezależnego, gdzie korzysta on ze wszystkich swobód. W pierwszym wypadku — słowo to jest także symbolem, prawie sztandarem, skupiającym ludzi gotowych oddać życie za ideał, który ono określa, w drugim wypadku — czymś zupełnie naturalnym, nie budzącym żadnych specjalnych oddźwięków uczuciowych. Okazuje się więc, że *U* jest wartością zmienną, określaną przez czynniki natury politycznej, społecznej, religijnej, narodowej, historycznej lub kulturalnej. *U* zależy wreszcie od kontekstu *K*, który dopiero nadaje *W* pełne znaczenie. W ten sposób można by to równanie rozszerzyć:

$$W = S + I + U + K$$

Zmiany dotyczą najczęściej atmosfery uczuciowej, sfery *U*, ale czasem obejmują także zakres *S*, a wtedy sięgają one do samej istoty wartości komunikatywnej. Występowało to często w poezji awangardy w okresie dwudziestolecia, gdy wprowadzono termin *międzysłowie*, którym została objęta cała sfera wartości extra-semantycznych słów i ich wzajemnych zależności, oraz zdolność *imagogeniczna* i *uczuciowo-twórcza* wyrazów. Głoszone przez awangardę rozluźnienie składni — zmierzało do zerwania związków syntaktycznych, a co za tym idzie, do odizolowania słów, co teoretycznie powinno się było wyrazić w ich jednowartościowości znaczeniowej, ale w prak-

tyce — często dawało w wyniku raczej polywalencję semantyczną. W tym okresie posunięto niewątpliwie bardzo daleko wypracowanie nowego języka poetyckiego, co pociągnęło za sobą ogromne zmiany w systemie walorów, które cechował przerost wartości obrazotwórczych i uczuciowych w stosunku do semantycznych. Towarzyszyło więc temu zmniejszenie się wartości komunikatywnej słów. W tym okresie stały się one zbyt „mówiące”, obejmując nadmiar treści, a to natłoczenie znaczeń i obrazów spowodowało, że ich wymowa była mniej zrozumiała. Dlatego zaznacza się obecnie tendencja do powrotu do wartości semantycznych słowa, do uproszczenia języka poezji. Od słów „mówiących”, zawierających maksimum wyrażalności — poezja przechodzi do słów mówionych, jednoznacznych. Od walorów — do coraz częstszego używania antywalorów.

Alle problem antywalorów nie jest tylko sprawą oczyszczenia języka i higieny wyobraźni. W antywalorach tkwią bowiem elementy, które pozwalają na budowę nowej poezji nie opierającej się wyłącznie na antywalorach. Są one naturalnym uzupełnieniem walorów, które przez to powracają do stanu pierwotnego i ulegają nowej *r e w a l o r y z a c j i*. Główną cechą antywaloru jest nie jego przeciwieństwo, w stosunku do waloru, ale jego *u z u p e ł n i a j ą c y* charakter. Te dwie cechy konieczne są do poetyckiego istnienia antywaloru. Wiemy także, że cechuje go uproszczenie, że posiada on o wiele mniejszy ładunek uczuciowy. W antywalorze zawarty jest wreszcie element negacji w stosunku do przynajmniej jednej cechy waloru, którego jest on przedłużeniem, przez co ulega ona podkreśleniu. Idealnym antywalorem byłby ten, który można by wyrazić równaniem:  $W=S$ , tzn., że elementy modyfikujące natury wyobraźniowej i uczuciowej *I* oraz *U*, a także te które wpływają z *K*, byłyby sprowadzone do minimum.

Teraz łatwiej nam przyjdzie zrozumieć, co nazywam antywalorem. Jeśli walorem będzie piękno — to antywalorem stanie się to w czym najśilniej będzie się przebijać jego przeciwieństwo, nierozzerwalnie z nim związane; jeśli obraz jest antyreality — to walorem będzie uzupełnienie go przez zacementowanie rzeczywistości. Jeśli za walor uznamy uczucie zawarte w wierszu, to „antywalorem” może stać się „niwyrażalne”, to co podświadomie wyczuwamy, ale antywalor oprze się raczej na jak największym wyeliminowaniu wszystkiego, co wypływa z uczucia i na wprowadzeniu do wiersza wyłącznie doznań związanych ze sferą rzeczy i faktów. Jeśli walor widzimy w elementach wyobraźni — antywalory stanowią będą takie obrazy, które są niezgodne z tworzonym przez nią światem, które go przedstawiają w krzywym zwierciadle. Jeśli wiersz wyraża uczucia metafizyczne — to ich uzupełnienie antywalorowe znajdziemy w naiwnie ujmowanej codziennej rzeczywistości, która nas otacza. Ta para sił poetyckich walor-antywalor często istnieje

w wierszach i można by przytoczyć wiele innych przykładów: muzyczność — brutalne dysonanse, kakofonia; myśl — antylogiczność i nonsens, tworzenie rzeczy pięknych i wzniosłych — wprowadzenie elementów płaskich, a nawet trywialnych, piękno — brzydota, życie wewnętrzne — świat rzeczy i doznań zmysłowych, system oparty na wartościach poetyckich — elementy zaczerpnięte z prozy. Można by mnożyć jeszcze te przykłady...

Wzajemny stosunek waloru do antywaloru nie opiera się tylko na przeciwieństwie i na negacji, chociaż mogą one być wykorzystane do uwydatnienia poetyckiego kontrastu. Antywalor nie musi jednak być przeciwieństwem waloru, może on być zawarty w samym walorze i stanowić jak gdyby jego naturalne rozszerzenie. Staje się on wtedy jego koniecznym *u z u p e ł n i e n i e m*, bez niego nasze widzenie lub wyczuwanie waloru byłoby niepełne. Jest to związane z ustawiczną deprecjacją walorów, z ich zdewaloryzowaniem, Antywalor je *r e w a l o r y z u j e* będąc tym elementem dopełniającym, czasem sprzecznym, czasem tylko częściowo się różniącym lub zaczerpniętym z innej dziedziny (w wypadkach wyjątkowych może on być nawet prawie zgodny), który pozwala na bardziej całkowite wyczuwanie waloru. Pójdziemy nawet dalej: często stanowi on jego integralną część składową.

Typowym poetą antywalorów był Norwid. Zdawał on sobie doskonale sprawę z ich wagi i prawie w każdym wierszu występują elementy o charakterze antywalorów. Wprawdzie Norwid pragnie „*o d p o w i e d n i e d a ć r z e c z y s ł o w o*”, ale sądzi, że poezja nie powinna wymagać przedmiotów wdzięcznych i uwodzących swym pięknem; nie lubi on fałszywej poetyckości, jak pisze w jednym z wierszy słowo poeta mu „*przychodzi z oporem*”. Dlatego tak często spotykamy u niego prozaizmy i wyrażenia niezgodne z atmosferą wiersza. Odnosi się wrażenie, że poeta celowo stara się zniszczyć to co poetyckie, posuwając się do niezręczności lub wprowadzając słowa brutalne i płaskie:

„*aż się sgrucha i zgołębi*”

lub

„*Wielmożny Pan upadł — wót pocziwy  
Pracował — i do chaty zimnym węszył nosem  
I dziś go lubiły drażnić złotym kłosem  
Aż upadł — a stąd bieda, a co będzie ze mną?*”

Te 4 wiersze, z wyjątkiem 2 słów: „złotym kłosem”, złożone są wyłącznie z elementów a-poetyckich, z antywalorów. Są one jednym z licznych u Norwida przykładów zupełnego zniszczenia poezji przez antywalory, które występują w tak

dużej ilości, że przytłaczają całkowicie rzadkie walory i zamiast poezji — otrzymujemy płaską prozę. Jest to dowodem niemożności samodzielnego istnienia antywalorów, ich poetyckiej niewystarczalności. Antywalor służy do podkreślenia oddziaływania poetyckiego, do uwypuklenia waloru, ale jego byt poetycki jest możliwy tylko w połączeniu z walorem.

W ostatnich latach literatura antywalorów występuje coraz częściej. Ten charakter ma zwłaszcza poezja anglo-amerykańska, z poetów francuskich na antywalorach opierają się często Michaux, Queneau, Desnos, Prévert, Tzara, Ponge, Follain, Pierre-Albert Birot i in. W Polsce spotkać je było można przede wszystkim u futurystów, w okresie awangardy czasem u Peipera („ten hymn z jedwabiu ponad okrucieństwem z cukru”), u Przybosa (wiersze takie jak „Jadłospis”, „Floriant”, „O grosz” i in.), a także w niektórych moich wierszach (zwłaszcza w zbiorze „Na katodzie”). W twórczości poetów awangardy antywalory występowały jednak stosunkowo rzadko. O wiele częstsze są one w wierszach poetów młodego pokolenia w kraju (Różewicz, Białoszewski, Tymoteusz Karpowicz, Herbert, Drozdowski i in.), a na emigracji, u młodych z grupy londyńskiej (Czaykowski, Czerniawski, Sito).



Wprowadzenie antywalorów do poezji jest niewątpliwie zjawiskiem pozytywnym; może się ono okazać odkrywcze i zapładniające. Budowanie wierszy prawie wyłącznie z antywalorów wydaje się jednak nieporozumieniem, bo prowadzi nie tyle do antypoezji, ale — do a-poezji. W tym wypadku ztraca się bowiem sam walor, bez którego antywalor staje się płaski i nieprzekonywujący. Zadaniem poety jest jego wykorzystanie, ale przy równoczesnym utrzymaniu równowagi artystycznej w trudnej symbiozie waloru z antywalorem.

Stosunek walor-antywalor nie wyczerpuje jednak całości zagadnienia. Wiersz nie stanowi autonomicznej, niezależnej od wpływów otaczającego nas świata całości. Poeta wyraża przede wszystkim własne uczucia, ale w jego twórczości znajdują odbicie także problemy, które istnieją wokół niego. Jest on nie tylko jednostką, ale także częścią zbiorowości. Przedmiotem poezji jest nie tylko człowiek i to co jest wewnątrz niego, ale znajduje w niej także wyraz świat zewnętrzny. Wiersz jest nasycony tym pierwiastkiem ludzkim, który powinno się wyczuwać także pod powłoką zupełnie innych elementów treściowych lub formalnych. Człowiek-jednostka i człowiek-częśćka zbiorowości powinien więc znaleźć adekwatny wyraz w poezji. Antywalory są tym zastrzykiem elementów antypoetyckich, które pozwalają pisarzowi utrzymać kontakt ze środowiskiem. W ten sposób mogą łatwiej przenikać do poezji problemy nurtujące świadomość zbiorową.

Człowiek nie jest jednak istotą prostą, która się opiera na uczuciach jednokierunkowych, niezłożonych. Wręcz przeciwnie. Nurtują w nim siły zmiernące w różnych kierunkach, z których coraz to inna bierze górę. Czasem neutralizują się one wzajemnie, częściej — ścierają się dając w każdym momencie wypadkową. Człowiek nie jest ani aniołem, ani diabłem. *Ni Ange, ni Bête*. Istnieją w nim elementy pozytywne, które można by określić jako odpowiedniki walorów: poczucie piękna, miłość, dążenie do prawdy i do sprawiedliwości, do solidarności społecznej, solidarności ekipy, klasy, czy narodu, ale znajdują się w nim także, często równocześnie, „antywalory”: kult dla brzydoty, pociąg do złego, nienawiść, skłonność do mniej lub więcej przyziemnego, brudnego erotyzmu, tendencja do gwałtu i okrucieństwa... Nie ma człowieka, w którym byłoby zawarte tylko walory bez żadnej domieszki antywalorów, nawet św. Antoni musiał walczyć z pokusami (antywalorami) stojącymi na drodze do świętości. Gdyby ich nie było — brak by mu było jednego z niezbędnych atrybutów świętości: ich istnienia i możliwości ich przewyciężenia. Nie ma również człowieka, nawet o najgorszej mentalności, do którego serca nie docierałyby uczucia pozytywne (np. litość, miłość do matki itp.). Czyżby więc antywalory były po prostu tylko emanacją tego co zazwyczaj się określa jako zło, tego co jest negatywne? Nie, byłoby to zbyt dużym uproszczeniem problemu. Antywalory są tym, ale są także czymś innym. Antywalor może stać się nawet walorem (np. nienawiść bywa motorem działalności patriotycznej lub społecznej). Antywalory rehabilitują jednak „odwrotną stronę medalu”, pozwalają na zrozumienie tej drugiej, mniej dostępnej części istoty ludzkiej. W poezji — było zbyt wiele wzniosłości, widzeń i obrazów, słowem walorów, z kolei — przychodzi czas inwazji antywalorów i antywzniosłości. *Le temps des assassins* — jak dawno już napisał Rimbaud. Może trzeba zamordować poezję, by się odrodziła na nowo. Piękna i wniosta.

Jan BRZEKOWSKI

## Monografia Skarbów Wawelskich

Przygotowania do obchodów Tysiąclecia, czynione w ramach organizacji polonijnych zarówno na terenie Stanów Zjednoczonych jak i Kanady, nie wykazują jak dotąd zrozumienia tej roli jaką w planach i programie

godnego upamiętnienia tysiąca lat polskiej kultury na Zachodzie odegrać mogą Skarby Wawelskie.

Proponowana monografia Skarbów Wawelskich pomyślana jest jako swego rodzaju panorama Złoty Wiek polskiej historii, ilustrowanej opisem i kolorowymi reprodukcjami zabytków, jakie znajdowały się, bądź znajdują jeszcze w Kanadzie. Przedstawiciel Komitetu, p. Aleksander Janta obecny był przy otwarciu kufrów ze skarbami narodowymi w Bank of Montreal w Ottawie przed ich powrotem do Polski. Z sum dotąd zebranych na Fundusz Skarbów Wawelskich dokonane zostały zdjęcia kolorowe najcenniejszych obiektów, w tym Szczerbca, insygniów królewskich, a także zdjęcia mikrofilmowe dawnych kronik i ksiąg, m.in. Psalterza Floriańskiego, oraz sporządzone dwie odbitki fotograficzne rękopisów Chopina.

W zrozumieniu wagi proponowanego przedsięwzięcia dla rozszerzenia znajomości polskiej historii i kultury na zachodzie, a przede wszystkim także ze względu na wpływ, jaki proponowana publikacja mogłaby wywrzeć na młodzież pochodzenia polskiego w Ameryce, przedstawiciele Kongresu Polonii Amerykańskiej wyrazili zamiar podjęcia szeroko zakrojonej zbiórki na realizację tego zamierzenia.

NOWA LISTA OFIARODAWCÓW  
NA FUNDUSZ SKARBÓW WAWELSKICH  
PRZY FUNDACJI PADEREWSKIEGO

Aleksander Lempicki, New Hyde Park, L.I., N.Y., \$ 5.00; W hołdzie pamięci Wojciecha Korfańtego, Anonimowo (New York) \$ 25.00; Jan Walczak, New York, N.Y., \$ 10.00; R.M. Tychanowicz, Scarsdale, N.Y. (po raz wtóry), \$ 10.00. Dr Józef L. Lichten, New York, N.Y., \$ 10.00; Henry i Florence Travis, Syracuse, N.Y., \$ 10.00; Mrs. Leon Zolkowski, Michigan City, Indiana, \$ 5.00; Miss Florence Turowski, Youngstown, Ohio, \$ 15.00; Stanley i Agnes Zacharyasz, Buffalo, N.Y., \$ 10.00; Olga K. Iwanowska, Pittsburgh, Pa., \$ 5.00; Jadwiga Pułaska, New York, N.Y., \$ 3.00; Waclaw Jędrzejewicz, Elmhurst, L.I., N.Y., \$ 10.00; Henry Archacki, New York, N.Y., \$ 10.00; Zofia Dadlez, Syracuse, N.Y., \$ 10.00; Tazab of London, N.Y. Branch, New York, N.Y., \$ 20.00; Sarmacja, Cleveland, Ohio, \$ 15.00; M. Kruk, New York, N.Y., \$ 10.00; Ks. Franciszek Tyczkowski, New York, N.Y., \$ 5.00; L. i H. Sek-Sekalscy, Sydney, Australia, szylingów 10; Zamiast kwiatów na grób ś.p. Marii Rathaus, Anonimowo (New York), \$ 15.00; Malina Kosko, New York, N.Y., \$ 5.00; Maria Modzelewska, New York, N.Y., \$ 5.00; Franciszek Sajdzikowski, New York Mills, N.Y., \$ 10.00; Jan Poray-Wybranowski, Brooklyn, N.Y., \$ 100.00.

Donacje przysyłać można na Fundację Paderewskiego, 55 West 42nd Street, New York, 36, N.Y. z zaznaczeniem, że przeznaczone są na Fundusz Skarbów Wawelskich (Polish Royal Treasures Chest).

## Książki

### Filozofia Spinozy i filozofia życia

Henry More, współczesny z Hobbesem neoplatonista z Cambridge, określił Spinozę mianem *sordidus et lutulentus atheus* — obrzydliwego i niecznego ateusza, Bertrand Russell w „History of Western Philosophy” rozpoczyna rozdział poświęcony Spinozie słowami, iż jest on najszlachetniejszym i najbardziej ujmującym z wielkich filozofów. Niektórzy z nich, pisze Russell, przewyższali go intelektualnie, lecz pod względem moralnym Spinoza jest niezrównany. Naturalnym biegiem rzeczy nazwisko Spinozy było przeto przez długi okres czasu synonimem wszelkiej niegodziwości.

Świadectwa współczesnych przedstawiają Spinozę jako niedrca z kruszczu o nieposzlakowanej szlachetności, pogodnego w życiu i w obliczu śmierci, łagodnego i życzliwego w stosunkach z ludźmi. Lecz gmina żydowska wykluczyła go z grona współwyznawców, a filozofia chrześcijańska otaczała go nieprzejednaną wrogością. Leibniz zacierał ślady osobistej znajomości i kontaktów ze Spinozą.

Kult Spinozy rozpoczął się we Francji w okresie Oświecenia, w Niemczech — w czasach romantyzmu i filozofii idealistycznej. Podziwem otaczali go poeci i pisarze, Goethe i Byron, Flaubert i France. Filozofowie, zarówno materialści jak i spirytualiści, z różnych przyczyn byli światem myśli Spinozy zafascynowani.

Urzekające właściwości filozofii Spinozy przetrwały do czasów współczesnych. Spinozjańska metafizyka i etyka „spodobem geometrycznym wyłożona” nie ostały się pod naporem myśli krytycznej, spinozjańska metoda dedukcyjna nie jest dziś wzorem zalecanym do naśladowania. Zbyt wiele w niej dowolności, niejasności, wieloznaczności, pseudowodów, które zwieść mogą poetów, pisarzy i tradycyjnych filozofów, lecz nie ujdą oka współczesnego logika. Spinoza urzeka swym stylem filozofowania, skoncentrowanym, uporczywym i bezli-

tosnym wysiłkiem dążenia za myślą, gdziekolwiek może ona doprowadzić, całkowitą obojętnością na względy poza-intelektualnej natury, efekty słowne i skojarzenia uczuciowe. Będąc wrogiem ascezy w życiu, Spinoza praktykował ascezę myślenia, budzącą szacunek każdego, kto jej sens i cel rozumie. Bezamiętny, bezosobowy, integralny racjonalizm Spinozy, który w jego mniemaniu jest jedynym sposobem dotarcia do poznania istoty rzeczy ukrytej poza zasłoną złudzeń i pozorów, niezależność, odwaga i samotność myślowa, na jaką się skazał, zachowują walor moralny i intelektualny niezależnie od tego, jak się ustosunkowujemy do jego założeń teoriopoznawczych i metafizycznych.

Jakkolwiek dziwnie to brzmieć może, gwałtowna opozycja i wrogość w stosunku do systemu Spinozy wyrastały z przesłanek religijnych i moralnych. Twierdzono, iż monizm spinozjański uznający jeden tylko rodzaj substancji o atrybutach cielesnych i duchowych unctiona wiare w istnienie Boga, a ścisły determinizm podcina korzenie moralności. Metafizyczny dualizm ducha i materii, duszy i ciała, dostarczał filozoficznych podstaw dla krytyki spinozizmu. Renesans Spinozy łączył się z odmienną orientacją metafizyczną. Opierała się ona na przekonaniu o zasadniczej jedności człowieka i przyrody, jego przynależności do porządku naturalnego, autonomiczności życia ludzkiego, osiągalności szczęścia przez postępowanie zgodne z porządkiem naturalnym, któremu człowiek został przywrócony. Jest to postawa afirmacji życia i autonomicznych wartości moralnych, wywołonych od presji tradycyjnej religii podporządkowującej życie doczesne pozaświatowej sankcji i sprawiedliwości. Nie ma w takiej filozofii miejsca na żadne formy metafizycznego dualizmu — człowiek jest częścią natury i podlega jej prawom. Nie jest natomiast rzeczą przesądzoną, czy tym samym bezzasadna się staje wszelka religijna interpretacja życia ludzkiego. Zależać to będzie od tego, co przez religię rozumiemy. Przeświadczenie o jedności człowieka i natury nie jest jednoznaczne. Stanowić ono może punkt wyjścia zarówno filozoficznego naturalizmu lub materializmu jak i naturalistycznego panteizmu. W historii recepcji spinozizmu nie były to jedyne interpretacje jego doktryny. Różne koncepcje spirytualistyczne i mistyczne, wyrastające z postawy kontemplacyjnej, jaką wyzwalają skrajne postacie racjonalizmu, również wnoszą roszczenia do inspiracji spinozjańskiej.

Istnieje więc to, co Leszek Kołakowski nazywa „procesem spadkowym o Spinozę”, do którego włączył się on swą nową książką „Jednostka i nieskończoność. Wolność i antynomie wolności w filozofii Spinozy” (1). Proces ten jest jego zdaniem nierytorycznie nierozstrzygalny, na skutek wieloznaczności samego systemu, „bezkonkurencyjnego w trudnościach inter-

(1) Warszawa, PWN, 1958, stron 630.

pretacji”, wymagającego wysiłków podobnych „do rozwiązania niezmiernie zawiłego i bezprzykładnie długiego rebusa”. Lecz i to porównanie jest nieadekwatne, gdyż najdłuższy i najzawilszy rebus posiada jednoznaczne rozwiązanie. O wizerunku spinozizmu, jaki nasz wiek sobie wytworzył, nie decyduje komentator i prawomocność jego interpretacji, lecz „stan świadomości społecznej”, społeczna potrzeba uzyskania filozoficznych odpowiedzi na kilka zagadnień ostatecznych życia ludzkiego. Ta potrzeba społeczna może być również zaspokojona przez pewien obraz filozoficznych systemów przeszłości jako antycypacji rozwiązań na jakie istnieje zapotrzebowanie we współczesności. Można to również wysłowić w zdaniu, iż filozofia adekwatnie odzwierciedlająca „stan świadomości społecznej” wychodzi zwycięsko w starciu o prawo do spadku po systemach przeszłości.

Wydawać się może, że Kołakowski wraca do zasad historiografii marksistowsko-leninowskiej, które nakładały na nią obowiązki dokonywania wyboru „postępowego” nurtu w przeszłości i jej rekonstrukcji stosownie do wymagań teraźniejszości. W historiografii marksistowsko-leninowskiej Spinoza zajmuje określone miejsce. Uznany za materialistę i ateistę jest zaliczany do grona wielkich filozofów przeszłości. Jego system odzwierciedla interesy postępowej burżuazji i mimo błędów „metafizycznych” zawiera również elementy dialektyki. Postępowy charakter spinozizmu widać nade wszystko w przyjęciu zasady, by „wyjaśnić świat na podstawie jego samego”, w orędownictwie wolności nauki, w emancypacji filozoficznego myślenia od religijnej tradycji i dogmatów, w uprawomocnieniu świeckiego rozumu i racjonalistycznej postawy intelektualnej. Ten punkt widzenia reprezentował Kołakowski we wstępie do przekładu „Etyki” Spinozy, wydanej w 1954 roku w ramach „Biblioteki Klasyków Filozofii”. W tym wstępie Kołakowski charakteryzował spinozizm jako „konsekwentny monizm materialistyczny”. W innej i wcześniejszej rozprawie, „Nauka Spinozy o wyzwoleniu człowieka”, znanej tylko z omówień, Kołakowski bronił stanowiska, iż jedynie „marksizm” jest uprawnionym spadkobiercą filozoficznej spuścizny Spinozy, którą historiografia burżuazyjna zniekształca i fałszuje (2).

Pomimo pewnych pozorów, iż Kołakowski nadal widzi rozwój myśli filozoficznej w kształtach manichejskiej wizji świata, w którym toczy się walka między „złem” i „dobrem”, „siłami postępu” i „obozem reakcji”, Kołakowski nie solidaryzuje się z koncepcją historii filozofii jako dyscypliną usługową, spełniającą funkcje pomocnicze w walce politycznej i ideologicznej. Uznaje on różnicę dzielącą „rewindykację ideologiczną” systemów przeszłości od ustalenia ich rzeczywistej

(2) J. Kuczyński, *Nowe dysertacje kandydackie z historii filozofii*, „Myśl Filozoficzna”, 1954, 1/11, str. 320-324.

treści, co może się dokonać bez ideologicznych zniekształceń przy użyciu obiektywnych metod badawczych. Pozostaje jedynie teza, iż wynik „ideologicznej rewindykacji” może być rozstrzygnięty niezależnie od odpowiedzi na pytanie, jaka jest autentyczna zawartość rewindykowanego systemu. Innymi słowy, Kołakowski rozróżnia historię filozofii i historię ideologii. Idzie on pod tym względem dalej niż uczynił to T. Kroński i B. Baczek w wypowiedziach złożonych z okazji opublikowania „Zeszytów Filozoficznych” Lenina w polskim tłumaczeniu (3). „Filozofowie zmarli”, pisze Kołakowski, „są bezbronni wobec swoich komentatorów, którzy modelują ich *in effigie* na z góry przez siebie przysposobionych sztancach”. Lecz owe gotowe wzory, z którymi historyk przystępuje do analizy swego materiału, mogą się stać łożem Prokrusta. Takim łożem Prokrusta jest engelsowski podział doktryn filozoficznych na materialistyczne i idealistyczne, jeżeli się *a priori* zakłada, iż jest to podział wyczerpujący. Spinozizm dostarcza pod tym względem uderzającego przykładu. Albowiem chociaż niewątpliwie zawiera wiele elementów pokrewnych z tradycją materialistyczną, podstawowa w spinozynie koncepcja pozaczasowego bytu inteligibilnego, poznawalnego w intuicyjnym oglądzie, niepodzielonego, nieskończonego w sensie metafizycznym, jest bliższa pojęciu absolutu aniżeli materii w tradycji materialistycznej. Z drugiej strony, „racje wielokrotnie bardziej stanowcze” nie pozwalają zaklasyfikować spinozizmu jako doktryny idealistycznej. Metodologiczna dychotomia dzieląca systemy filozoficzne na materialistyczne i idealistyczne nie jest więc zasadą o uniwersalnym zasięgu.

Do tego wyniku dojść można drogą krótszą, choć być może technicznie trudniejszą, mianowicie czyniąc użytek z analizy znaczeniowej terminów, precyzyjnych definicji pojęć, logicznych relacji między nimi i twierdzeniami, w których występują. Kołakowski obrał metodę historyczną *sensu stricto* i do wyżej uwidocznionej konkluzji dochodzi w wyniku żmudnych dociekań interpretacyjnych nad autentyczną treścią spinozjańskiej metafizyki i teorii poznania. W próbach wyjaśniania zawiloci spinozjańskiego systemu, w różnych wariantach usunięcia jego rzeczywistych lub pozornych sprzeczności, w śledzeniu interferencji pojęć teologicznych i eschatologicznych, w toku dociekań nad rodowodem filozoficznym spinozizmu „metodą wolnych asocjacji”, Kołakowski zabłysnął erudycją historyczną, pomysłowością i niepoślednim talentem metafizycznym. „Jednostka i nieskończoność” jest dziełem oryginalnego umysłu, krocącego z iście spinozjańskim uporem drogą własnego wyboru za biegiem myśli w krainę metafizycznych abstrakcji. Trzeba jednak dodać, iż droga ta jest wypadkową

(3) Sesja naukowa poświęcona „Zeszytom Filozoficznym” W. I. Lenina. *Zeszyty Problemowe Nauki Polskiej* XII. Warszawa, Zakład im. Ossolińskich, 1956, str. 91-110, 237-243.

wielu i różnorodnych wątków, których spójność jest czasem wątpliwa, czasem trudna do rozwikłania lub wręcz niezrozumiała z powodu niezadawalającej jasności wysłowienia (w szczególności w rozdziale II). Kołakowski jest tego świadom i uprzedza zarzuty rozbrajającą deklaracją, w duchu i treści autentycznie spinozjańską: „Jaśniej tego na razie nie mogę wyłożyć”.

Analizę poglądów Spinozy, dokonaną przez Kołakowskiego, nazwano jasną i głęboką. To drugie określenie jest bodaj trafniejsze aniżeli pierwsze. Zdaniem piszącego, który żadną miarą nie chce się zaliczać w poczet znawców dzieł Spinozy, „Jednostka i nieskończoność” jest lekturą niezwykle trudną. Umysły przyziemne, które gubią orientację w rozrzedzonej atmosferze wyżym metafizycznych, nie są w stanie podążyć i pojąć takich na przykład stwierdzeń, iż „każda rzecz składa się z afirmacji i negacji, z bytu i nicości” lub dopatrzeć się sensu w hegeliańskiej mądrości, brzmiącej jak wyrocznia delicka, iż „czysty byt i czysty niebyt są tym samym”. Nie jest rzeczą wykluczoną, iż kto nie jest w stanie dostrzec sensu w zdaniu co dopiero cytowanym, dla innych prostym i w treść bogatym, zdradza symptomy pewnego rodzaju filozoficznego daltonizmu. Lecz ta ułomna percepcja jest zjawiskiem szeroko rozpowszechnionym wśród współczesnych filozofów. Jej punktu wyjścia nie stanowi orakularne stwierdzenie, a logiczna analiza języka. Nie każde wyrażenie o postaci zdania jest zdaniem poprawnie zbudowanym, ma określony sens, odnosi się do jakiegoś faktu lub określonego stanu rzeczy.

Trudności lektury „Jednostki i nieskończoności” mają bodaj jeszcze inne i dodatkowe źródło, które osoba postronna może wskazać jedynie w formie domysłu. Jak się zdaje, na „Jednostkę i nieskończoność” składa się kilka lub co najmniej dwa na siebie nałożone teksty — interpretacja ideologiczna i historyczno-filozoficzna w wyżej podanym znaczeniu — których autor nie zdołał ze względów oczywistych z sobą pogodzić i scharmonizować.

Inna jest jeszcze możliwość wyjaśnienia wspomnianego niedomagania. Odnosi się wrażenie, iż Kołakowski jest w równym stopniu zainteresowany systemem Spinozy co spinozyzmem jako pewnym „typem idealnym”, pewnym zespołem problemów wyrastającym z postawy naturalistycznej wobec świata. Kołakowski nie posługuje się terminem „naturalizm”. Mówi on o homogeniczności człowieka i natury, stanowiącej filozoficzną podstawę dla „koncepcji uwolnionego od bogów człowieka”. Ten punkt wyjścia nakłada na jego wyznawcę obowiązek rozwiązania dwóch problemów jakich nie może pominąć żadna filozofia godna swego miana, jak ją pojmuje Kołakowski — musi zapewnić „wolność od śmierci” jako źródła egzystencjalnej heideggerowskiej troski (Sorge) i „wolność od nieśmiertelności” jako źródła heteronomicznej moralności, gwa-



rantującej wynagrodzenie pośmiertne za cnotę i tym samym pozbawionej moralnego waloru. Ponieważ te problemy ludzkiej wolności mają tylko „nikłe perspektywy empirycznego rozstrzygnięcia”, jedyną nadzieją znalezienia przekonującej odpowiedzi łączy się z konstrukcją koherentnego systemu. Systemem takim nie stawiamy wymagań, by były prawdziwe w klasycznym tego słowa znaczeniu. Ich wartość jest mierzona zdolnością terapeutyczną i pragmatyczną, mianowicie czy w danych warunkach istnienia czynią życie szczęśliwszym. Spinoza uwalnia tych, których przekona, od lęku śmierci, lecz to osiągnięcie opłaca ceną pozbawienia ich wolności działania, prócz tej jaką można osiągnąć przez „zrozumienie konieczności”. Ten sens pojęcia wolności nie jest zaś zgodny ani z potocznym jego rozumieniem, które łączy przekonanie o zdeterminowaniu ludzkiego postępowania z przekonaniem o możliwości wyboru różnych alternatyw, ani z postulatem *explicitie* przez Kołakowskiego sformułowanym, by zdeterminowanie postępowania człowieka nie pozbawiało go skutecznego oddziaływania na zjawiska zewnętrzne. Przywrócenie człowieka naturze byłoby darem Danaów, jeżeli w ten sposób stałby się on ofiarą „radykalnego determinizmu” i z istoty społecznej dążącej skutecznie do polepszenia swego losu stał się bezsilną cząstką kosmiczną w nieprzerwanym łańcuchu ogniw przyczynowych.

„Antynomie wolności” nie są jedyną trudnością, przed jaką spinozjański monizm właściwy stawia współczesnego wyznawcę filozoficznego naturalizmu. Stuart Hampshire wykazał w swej książce „Spinoza”, iż przy dodaniu uzupełniających założeń „radykalny determinizm” i wolność jednostki pojęta jako swoboda wyboru różnych alternatyw mogą współistnieć w ramach jednego myślowego systemu. Trudniejszy jest problem pochodny w stosunku do poprzedniego, rozpatrywany w rozdziale V „Jednostki i nieskończoności”, problem humanistycznej moralności opartej na fundamentalnym założeniu, iż człowiek jest autonomicznym podmiotem moralnym i twórcą wartości. W systemie spinozjańskim tworzenie wartości mieć może tylko sens przenośny i odnosić się do pewnego aspektu aktów intelektualnych, kontemplacji przyrody jako całości, która ukazuje drogę osiągnięcia szczęścia i osobistej doskonałości. W ramach spinozjańskiego monizmu właściwego na etykę składa się to tylko, co Maria Ossowska proponowała określać nazwą „felicytologia” i „perfekcjonistyka”. Etyka w sensie węższym, stawiająca sobie za zadanie normowanie społecznego współżycia, staje się w zasadzie zajęciem bezprzedmiotowym. Odmienne się rzeczy mają dla wyznawcy filozoficznego naturalizmu. Dla niego tworzenie wartości jest aktem woli i działalności praktycznej, etyka w sensie węższym jest główną dziedziną jego etycznych zainteresowań, podczas gdy felicytologia i perfekcjonistyka schodzą na pozycję dalszą i podporządkowaną. Albowiem tylko etyka w sensie węższym

jest jednym ze sposobów uzyskania przez człowieka pewnej miary kontroli nad warunkami naturalnego otoczenia.

Kołakowski należy do tego typu historyków myśli filozoficznej, dla których historia pojęć, poglądów i systemów stanowi okazję formułowania własnych problemów i proponowania własnych rozwiązań. O zainteresowaniu się określonym filozofem decyduje wówczas jakiś stopień intelektualnego pokrewieństwa między poglądami historyka i badanym systemem. Nie ulega wątpliwości, iż między systemem Spinozy a współczesnym filozoficznym naturalizmem istnieje myślowe powinowactwo. Obok powinowactwa istnieją także zasadnicze różnice. Spinozizm jako integralna naturalistyczna interpretacja człowieka i przyrody przestałaby być sama sobą, gdyby odrzuciła co najmniej trzy fundamentalne przekonania: monizm właściwy, nieograniczoną kompetencję rozumu, zasadę ciągłości przyrody, w szczególności w zastosowaniu do filozoficznej antropologii (tzn. przypisanie człowiekowi tylko tych cech, jakie odnaleźć można w otaczającej przyrodzie). W przeciwieństwie do tych założeń spinozyzmu, filozoficzny naturalizm głosi tezę pluralizmu — nie dającej się zredukować wielości i różnorodności rzeczy, ograniczenia kompetencji rozumu, a w szczególności nieprawomocności przekonania, iż myślenie filozoficzne jest źródłem wiedzy o jakiejś dziedzinie rzeczywistości, wreszcie nieciągłości przyrody — swoistych cech przysługujących człowiekowi, co nie wyklucza rozwojowej ciągłości innych cech ludzkich z światem fizycznym i biologicznym. Spinozizm jest jedną z odmian *philosophia perennis*, współczesny filozoficzny naturalizm należy do gatunku filozoficznego zrodzonego przez sceptyczne wątpliwanie. Zbudowanie mostu między nimi, czego Kołakowski bodaj stara się świadomie lub nieświadomie dokonać, jest przedsięwzięciem skazanym na niepowodzenie.

W książce Kołakowskiego rozbrzmiewa jeszcze jedna nuta, która wyjaśnia dlaczego spinozjański system przyciąga go i fascynuje. „Człowiek wolny”, pisał Spinoza, „o niczym nie myśli tak mało jak o śmierci, a mądrość jego jest rozmyślaniem nie o śmierci, lecz o życiu”. Ta myśl aforystyczna nie tłumaczy się sama przez się; jest ona ukoronowaniem całej spinozjańskiej metafizyki, która do tej mądrości prowadzi. Jest ona również znakiem, iż spinozjańska metafizyka pozwala przezwyciężyć i uwolnić się od poczucia tragiczności ludzkiego istnienia. Tę terapeutyczną funkcję filozofii stawia zaś Kołakowski wysoko, wyżej od jej wszystkich innych zadań. Z tej także przyczyny ortodoksyjni wyznawcy marksizmu-leninizmu zarzucają mu przejście do obozu egzystencjalizmu, jak gdyby wrażliwość i uznanie tragicznych aspektów ludzkiego istnienia były tożsame i wyczerpywały egzystencjalistyczną doktrynę.

Szukając przyczyn tego stanu świadomości, w którym tragiczne aspekty ludzkiego życia stają się sytuacją uniwersal-

nie ludzką, Kołakowski odnalazł je w alienacji człowieka i przyrody, za co wini religię, oraz alienacji jednostki i społeczeństwa, za co jako marksista wini system kapitalistyczny. Studia nad Spinozą dorzuciły do tej diagnozy jeszcze jedną przyczynę — fakt indywidualnego istnienia w kosmicznej nieskończoności.

W ostatecznej instancji, spinozizm jest „próbą przecięcia śmierci bez złudzenia nieśmiertelności”, a chociaż to rozwiązanie jest tylko fikcyjne, to jest to jednak „najpiękniejsza z wielu fikcji”. Fikcyjność spinozańskiego rozwiązania jest związana z faktem, iż jego metafizyczne podstawy pozbawione są „empirycznego sensu”. Zatarcie granicy między życiem a śmiercią było osiągnięciem własnego życia Spinozy, niepowtarzalnym doświadczeniem jednostki, a nie powszechnym doświadczeniem codziennego życia zasadniczo dostępnym każdemu. Domniemana identyczność „części” i „całości”, identyczność każdej rzeczy, a więc i człowieka, z całą przyrodą, rozpatrywaną pod pewnym względem, a przeto w akcie poznawczym zniekształconą, jest w jawnym konflikcie z przekonaniem o odrębności poszczególnych rzeczy, mocno ugruntowanym w obrazie świata zdrowego rozsądku. W tym obrazie przypuszczenie, iż jednostka jest częścią nieprzemijającej całości, w spinozańskiej terminologii — zmodyfikowaną substancją, jest jawnym absurdem. Jednostka nie jest ani „częścią”, ani „modyfikacją”, a osobą z tej właśnie przyczyny, że niebo gwiazdziste, góry, rzeki, oceany trwają, podczas gdy jednostka rodzi się i umiera, jest więc tym samym czymś niepowtarzalnym, czego nie było nigdy przedtem ani nie będzie potem. Przemijalność jednostkowego istnienia jest tym co odróżnia człowieka jako osobę od człowieka jako jednostki biologicznego gatunku. Gatunek może wyginać, lecz nie jest on objęty cyklem narodzin i śmierci. W sensie, o który tutaj chodzi, człowiek nie byłby osobą, gdyby nie znał kresu życia i egzystencjalnej troski.

Twórczość Kołakowskiego zdaje się zapoczątkowywać nową linię rozwoju w polskiej filozofii. Od czasów Twardowskiego datuje się rygorystyczny rozdział zagadnień należących do poglądu na świat i życie i do filozofii w ściślejszym tego słowa znaczeniu. Pierwsze nie mogą być formułowane w sposób jasny, precyzyjny i jednoznaczny, ich rozwiązania nie dopuszczają konkluzywnych argumentów, a podstawą ich rozszczeń do prawomocności są jak się zdaje akty woli i potrzeby życia praktycznego. Nie ma przeto naukowych światopoglądów, gdyż nie można w sposób naukowy uzasadnić poszczególnych tez światopoglądowych lub konkluzywnie rozstrzygnąć sporu między różnymi światopoglądami. Klasyczne rozumienie prawdy nie ma do światopoglądu zastosowania. Może on być koherentny lub niekoherentny, liczyć się w mniejszym lub większym stopniu z wynikami nauk szczegółowych, pozostawać w zgodzie lub w konflikcie z naszymi postawami warto-

ściującymi i jakimiś fundamentalnymi doświadczeniami świata, życia i ludzi, które ostatecznie rozstrzygają o tym, za jakim światopoglądem się opowiadamy. Zagadnienia filozoficzne w ściślejszym tego słowa znaczeniu w tym właśnie różnią się od światopoglądowych, iż są one wolne od wpływu i uwarunkowań zakorzenionych w czynnikach pozarozumowych. Analiza filozoficzna odwołuje się bądź do faktów, bądź do zasad poprawnego rozumowania, jej celem jest wykrywanie tez prawdziwych, a nie takich tylko, które zaspakajają wymagania życia emocjonalnego i moralnego człowieka. Mówiąc językiem nieco bardziej technicznym, logika światopoglądu jest logiką intenzjonalną. W filozofii obowiązuje zasada ekstenzjonalności.

Marksizm-leninizm był pod tym względem nie tyle rewolucją, co kontr-rewolucją w polskiej filozofii. Albowiem jedną z tez podstawowych marksizmu-leninizmu było zniesienie różnicy między światopoglądem i filozofią. Filozofia, a także nauka, są w marksizmie-leninizmie podporządkowane światopoglądowi. Najogólniejsze i sporne przekonania o świecie, człowieku, społeczeństwie, historii, życiu, jakie stanowią dziedzinę wiedzy o najbardziej wątpliwej wartości poznawczej, marksizm-leninizm traktuje jako wiedzę najpewniejszą i ostateczną, punkt wyjścia i kanon oceny wszelkiej filozofii i każdej nauki. W filozofii oznaczało to powrót do przednaukowego okresu, w którym Twardowski zastał filozofię w Polsce, gdy rozpoczynał swą działalność pedagogiczną we Lwowie pod koniec ubiegłego wieku.

Kołakowski wraca do podstawowego rozróżnienia problemów filozoficznych i światopoglądowych, przyjętego i ugruntowanego w Polsce, lecz w przeciwieństwie do olbrzymiej większości filozofów w kraju, którzy zajmują się pierwszym zespołem problemów, jest on nade wszystko zainteresowany zagadnieniami światopoglądowymi. Filozofowie, którzy odwracali się od tych spraw, nie mieli zamiaru wypowiedziania o nich sądu wartościującego i odmawiać im doniosłości. Sądził natomiast, iż prócz czynności opisowo-rejestrujących problemy światopoglądowe nie stanowią dziedziny płodnych dociekań, redukują się do wypowiedziania subiektywnych wieloznacznych mniemań i deklaracji oznajmujących personalne preferencje. Trudno jest powiedzieć, czy Kołakowski kwestionuje tę opinię. Jeśli jej jednak nie podaje w wątpliwość, wykrywanie sensu ludzkiego i praktycznego w każdej dziedzinie wiedzy o świecie uważa on za najcenniejszy wątek w dotychczasowym rozwoju myśli filozoficznej. Albowiem chociaż antropologicznie zorientowana filozofia osiąga niepewne, często iluzoryczne lub nawet fikcyjne wyniki, w innym sensie jej osiągnięcia są najdonioślejsze, gdyż wpływają, jak Kołakowski sądzi, na moralne zachowanie człowieka i kształtują stosunki między ludźmi jako istotami społecznymi. Jego programem staje się przeto filozofia

pojęta jako nauka o człowieku, filozoficzna antropologia według terminologii przyjętej w tak zwanej filozofii życia. Tak pojętej filozofii, rozwijanej na naturalistycznych podstawach (jeśli chodzi o Kołakowskiego, wywodzącej się z poglądów młodego Marksa) dotąd w Polsce nie było. Jest to również pierwsza próba podjęta w Polsce rozwinięcia filozofii marksowskiej, umieszczenia jej na mapie współczesnej problematyki światopoglądowo-filozoficznej, którą kieruje intencja poznawcza, autentyczna intelektualna ciekawość świata i ludzi, nie sprwadzona na mielizny banału przez podskórny lub jawny zamiar polityczny.

Zbigniew JORDAN

## Zapiski więźnia praskiego

Przed rokiem ukazała się w Izraelu książka, która gdyby była dostępna szerokim rzeszom czytelników na świecie, wzbudziłaby niezawodnie powszechne zainteresowanie. Książkę tę napisał długoletni więzień w Pradze, koronny świadek w procesie Slanskiego, Mordechaj Oren. Nazywa się ona „Zapiski więźnia praskiego” i napisana została w języku hebrajskim. Wydana nakładem wydawnictwa „Merchawia”, należącego do partii „Mapam”, której autor jest wybitnym działaczem nie ujrzy chyba nigdy światła dziennego w żadnym innym języku. Taka bowiem jest wola partii, a Oren jest jej zdyscyplinowanym członkiem.

Cóż to za partia, która wywiera taki nacisk na swych członków, czyżby komunistyczna? Nieświadomemu czytelnikowi nasuwa się z miejsca takie przypuszczenie. Ale nie, nie jest to partia komunistyczna, aczkolwiek bardzo jej bliska. Jest to skrajnie lewicowy odłam socjalistów. Przez długi czas program tej partii w jednym tylko punkcie różnił ją od komunistycznej: komunizm — tak, ale dla Żydów w Izraelu. Partia „Mapam” jest bowiem partią syjonistyczną, narodową, ale jednocześnie wyznaje rewolucyjny socjalizm i wierzy w czołową i przewodniczącą rolę Związku Sowieckiego w rewolucji światowej. Przez długi okres Mapam świadomie wstrzymywała się od krytyki „wypaczeń” socjalizmu w Związku Sowieckim i krajach demokracji ludowej, nie chcąc podrywać jedności w „obozie rewolucji światowej” i dopiero sprawa lekarzy, proces Slanskiego i inne wyraźnie antysemityczne i antysyjonistyczne poczynania „lidera rewolucji światowej” zmusiły tę

partię do zajęcia krytycznego stanowiska. W dalszym jednak ciągu Mapam ograniczała się jedynie do krytyki „wypaczeń”, które zdaniem jej były konsekwencją trudności budownictwa socjalistycznego i nie przestawała i nie przestaje darzyć miłością, bez wzajemności, Związku Sowieckiego. Ta jednostronna miłość jest tym bardziej dziwna, że w procesie Slanskiego, a później Orena i innych postawione w stan oskarżenia były nie tylko osoby, lecz cały ruch syjonistyczny z rewolucyjną partią Mapam na czele o zaprzęgnięciu się amerykańskiemu imperializmowi, o szpiegostwo i zdradę pod maską hasel socjalistycznych.

Oren zastrzega się na wstępie, że podziela całkowicie stanowisko swej partii i że wszystko co przeżył w więzieniach i obozach czeskich nie zachwiało w nim wiary w socjalizm w wydaniu sowieckim (tylko że bez wypaczeń) i w postępowanie dziejowe Związku Sowieckiego. Zastrzeżenie to jest tym bardziej potrzebne, że z kart jego książki, mimo może jego „partyjnej woli” bije coś zupełnie innego. I wszystkie tego typu deklaracje, tu i ówdzie powstawiane do treści pozostają w rażącej sprzeczności z ogólnym wrażeniem, jakie odnosi czytelnik, czytając „Zapiski więźnia praskiego”. Dlatego też są one zupełnie nieprzekonywające.

Cztery i pół roku przesiedział Oren w więzieniach Czechosłowacji, w tym prawie dwa lata w słynnym więzieniu Rozin, w którym osadzano jedynie najważniejszych więźniów politycznych.

Mordechaj Oren został aresztowany w noc sylwestrową 1951 roku, w pociągu, przed samą granicą austriacką. Wracał właśnie do kraju ze zjazdu Światowej Federacji Związków Zawodowych w Berlinie, w którym brał udział z ramienia swojej partii. Aczkolwiek izraelski „Histadrut” (Związki Zawodowe) wystąpił z Federacji, Mapam, której Związek Zawodowy wschodzi w skład Histadrutu utrzymywała w dalszym ciągu przyjazne stosunki ze Światową Federacją, w związku z czym otrzymała od jej przewodniczącego, Louis Saillant, zaproszenie na zjazd. Oren jako stary działacz związkowy miał w Czechosłowacji wiele kontaktów osobistych i wracał przez Pragę w zamiarze interweniowania w sprawie kilku działaczy syjonistycznych, niedawno aresztowanych przez władze czeskie. Był on w Pradze gościem głównego komitetu związków zawodowych i w sprawie uwolnienia wspomnianych działaczy rozmawiał z Franciszkiem Zupką, przewodniczącym komitetu (w dwa lata później on usunięty w tego stanowiska na żądanie Louis Saillant). W rozmowie z nim Oren wyraził również protest przeciwko antysemitycznym akcentom w ostatnim przemówieniu Premiera Zapotockiego oraz przeciwko oszczerstwom rzucanym ostatnio w prasie na ruch syjonistyczny. Nie ukrywał przy tym swego zdziwienia, że Slanskiego, który był wybitnym

wrogiem syjonizmu okrzyczano ostatnio w prasie jako agenta syjonistycznego.

W Pradze przygotowywano w tym czasie proces Slanskiego, Klementisa i innych „zdrajców”. Rudolf Slanski siedział już w więzieniu od pół roku, Klementis od roku. Fala aresztowań i procesów, która przeszła przez kraje demokracji ludowej nie mogła ominąć Czechosłowacji. Na Węgrzech było już po procesie Rajka, w Bułgarii stracono już Kostowa, w Polsce przygotowywano proces Gomułki (który zresztą nie doszedł do skutku). Pod zarzutem „titoizmu” wykańczano wszystkich satelickich przywódców, którzy ośmielili się przejawić choćby cień samodzielności, cień własnej koncepcji gospodarczej lub politycznej. Rudolf Slanski miał stanąć przed sądem pod zarzutem „titoizmu”, zdrady państwa, szpiegowskich kontaktów z zachodnimi imperialistami oraz jako agent syjonistyczny. Trzeba było zatem przygotować proces, trzeba było stworzyć przynajmniej pozory dowodów prawdziwości tych oskarżeń. „Dowodów” tych miał dostarczyć Oren. Oren miał być tym, który pośredniczył między Slanskim a Tito w celu przygotowania w Czechosłowacji przewrotu titowskiego. Reżyseria procesu wymagała, by Oren był również szpiegiem angielskim, bo rewolucja titowska dokonała się w Jugosławii, zdaniem reżyserów tej smutnej operetki, z inspiracji imperialistów zachodnich. Ta sama logika nakazywała, by wszystkiemu temu winien był syjonizm. Syjoniści rzekomo zainteresowani byli w tym, by Jugosławia miała wpływ na Czechosłowację. Ówczesny izraelski minister spraw zagranicznych, Szarett wraz z Orenem mieli jakoby pośredniczyć w 1948 roku między Moshe Pijade (jednym ze „zdradzieckiej czwórki jugosłowiańskiej”: Tito-Kardejl-Pijade-Rankowicz), którego Czesi nazywali „mózgiem zdrady jugosłowiańskiej” a Rudolfem Slanskim, stojącym na czele „zdradzieckiej grupy” w Czechosłowacji.

Mordechaj Oren przeszedł w związku ze sprawą Slanskiego piekło — jak to sam naliczył około 800 przesłuchiwań, w ciągu których prowadził ze swymi oprawcami nadludzką walkę o każdy protokół, o każde słowo w protokole. Walka ta kosztowała go tysiące kulaków, niezliczoną ilość godzin stania na baczność i wtrącanie do karceru, nie mówiąc już o cierpieniach natury psychicznej.

Większa część przesłuchiwań odbywała się w nocy. W ten sposób pozbawiano więźnia możliwości snu, spać bowiem wolno było tylko od godziny 9 wieczór do 6 rano. W dzień można było jedynie siedzieć na krześle lub przechadzać się po celi. Gdy wyczerpanemu bezsennością więźniowi przymykały się w czasie przesłuchania oczy, wylewano nań kubek zimnej wody. Była to okrutna tortura, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę nieustanne zimno, które dotkliwie dokuczało więźniom. Inną niemniej wymyślną torturą było zadawanie więźniowi setki i tysiące razy tego samego pytania. Gdy wymykało mu się jakieś

słowo, które nie przypadało do gustu inkwizytorom, spadał nań natychmiast grad kulaków, walono jego głową o ścianę lub kazano przez wiele godzin stać na baczność.

Nielatwo wyczerpać listę kar stosowanych wobec nieposłusznych więźniów. Nieposłusznych — to znaczy takich, którzy nie chcieli zeznawać pod dyktando oficera śledczego. Ustawiczny głód, zimno, okradanie ze snu, ponížanie godności, nieustanne grożenie szubienicą, odmawianie książki, gazety, korespondencji z rodziną, niewyprowadzanie na spacer — należały do normalnych udręek znoszonych przez więźnia na co dzień. Karano natomiast wtrącaniem do karceru, tzw. „łodówki”, w której panowała bardzo niska temperatura. W celi tej wolno było wyłącznie spacerować. Oparcie się o ścianę było zabronione. Wszystkowidzące oko dozorczy obserwowało więźnia przez okienko, a gdy zmęczone nogi i udręczone ciało odmawiały posłuszeństwa i ofiara osuwała się nieprzytomna na kamienną posadzkę, skwapliwy dozorca natychmiast „śpieszył z pomocą”, by postawił ofiarę na nogi. Dla wyjątkowo upartych była jeszcze „izba tortur” ale przeważnie wystarczało stosowanie wymienionych sankcji, by złamać najsilniejszego nawet człowieka i zmusić go do posłusznego podpisywania zeznań, fabrykowanych przez władze bezpieczeństwa.

Słynne więzienie Rozin podlegało bezpośrednio władzom bezpieczeństwa, w rękach których pozostawało całe śledztwo, łącznie z przygotowaniem procesu i rozdaniem ról. Osobą najwyższą postawioną w tym aparacie był Rosjanin. Oren był przez niego kilkakrotnie badany. W odróżnieniu od przesłuchiwań u swego stałego oficera śledczego, które odbywały się w języku czeskim, języku którego Oren w ogóle nie znał i którego musiał się w więzieniu nauczyć, Rosjanin rozmawiał z nim wyłącznie po rosyjsku. Jego pokój tym się różnił między innymi od pokoju innych oficerów śledczych, że na ścianie wisiał olbrzymi portret Stalina, zamiast portretu Klemensa Gottwalda. Portret Stalina budził w Orenie refleksje stanowczo nie pozostające w zgodzie z jego oficjalnie głoszonym światopoglądem.

Po sześciu miesiącach nieustannych „przesłuchiwań” przy stosowaniu tych inkwizytorskich metod Oren zaczyna się załamywać. Jeszcze walczy o ten ów protokół, ale stopniowo zaczyna je podpisywać. Czyni to z pełną świadomością, że wbrew kłamliwym obietnicom wolności, dawanym mu przez obłudnych oficerów śledczych podpisuje tym samym na siebie wyrok śmierci. Ale wola oporu jest już w nim złamana. Kontynuowanie walki wydaje mu się beznadziejne. Nogi go już nie noszą, oczy przymykają się z senności, głód nieustannie dokucza. Dniem i nocą w stanie permanentnego upodlenia. Najbardziej obawia się tego, że zwariuje. Nie ma celu dłużej cierpieć. Po cóż walczyć dalej skoro Slanski i Klementis dawno już przynali się do wszystkich niepopelnionych grzechów.

A więc podpisuje — że był w stałym kontakcie ze Slanskim że pośredniczył między nim a Moshe Pijade, mimo że Slanskiego nigdy w życiu nawet nie widział a z Pijade rozmawiał raz jeden i to w roku 1947, a więc przed „zdradą” Jugosławii. Oprawcom potrzebne jest jego spotkanie z Pijade w roku 1948 — po rozłamie. Ale jeśli fakty nie odpowiadają ich potrzebom, to cóż łatwiejszego dla wszechmogącego aparatu bezpieczeństwa jak nagiąć fakty do potrzeb.

Potrzebne są im spotkania Orena z Herbertem Morissonem, któremu przekazywał on rzekomo materiały szpiegowskie z krajów demokracji ludowej dla użytku Intelligence Service. Oren nigdy nie znał Morissona, ale jakież to ma dla nich znaczenie.

Klementis miał rzekomo powiedzieć Orenowi jeszcze w 1947 roku, że nienawidzi komunistów i że w tajemnicy pracuje dla obcego wywiadu. Nie wiedział o tym nikt, ani partia ani wszechwładzący aparat bezpieczeństwa, żadna osoba na świecie, tylko on jeden, gość w Czechosłowacji, obywatel obcego państwa, który z Klementisem dwa razy w życiu rozmawiał.

Takich bzdur pozbawionych nie tylko cienia prawdy, ale jakiegokolwiek logiki było więcej. Oren to wszystko podpisał. Podpisał również, że był zdrajcą własnej ojczyzny, ruchu syjonistycznego, któremu poświęcił życie.

Rozpoczęło się przedstawienie, w którym role były uprzednio rozdane i dokładnie wyczone. Wiadomo było z góry, że nikt nie zada żadnego dodatkowego pytania poza przewidzianymi i odbitymi na powielaczu dla wszystkich aktorów. Któż zresztą miałby to zrobić? Prokurator i sędzia, którzy byli urzędnikami bezpieczeństwa? Adwokat wyznaczony z urzędu, który nie próbował nawet naruszyć tego gmachu niedorzecznych kłamstw, tak oczywistych, że dziecko zburzyłoby je jednym pytaniem?

Komedia tego procesu, w którym sędzia nie jest sędzią, a adwokat nie jest adwokatem była dla Orena niemniej wstrząsającym przeżyciem niż cały przebieg aresztowania i śledztwa. Mimo woli nasuwa mu się porównanie z procesem wytoczonym mu przez mandatowe władze angielskie w Palestynie. Tam jednak wszystko odbywało się zgodnie z prawem. Był adwokat dowolnie przezeń wybrany, świadkowie, których sam wskazał. Obrona była rzeczywistą obroną, a sąd prawdziwym sądem. Krzyczy w nim ta prawda i krzyczy ten wydziera się z kart jego książki: tak postępowało państwo kapitalistyczne, a tak postępuje państwo socjalistyczne.

Oren ma pełną świadomość, że głównym reżyserem tego widowiska nie jest jakaś grupa występnych urzędników aparatu bezpieczeństwa. Mózg jest gdzie indziej. Mózg jest ten sam, który wymyślił trockizm, procesy moskiewskie, jeżowskiżyznę, sprawę lekarzy żydowskich, zdradę Jugosławii i wszystkie procesy i czystki w krajach demokracji ludowej. Oren wie o tym

dobrze, widzi całą zgniliznę systemu, ale nie wyciąga wniosków do końca.

Ma przy tym pewność, że nikt z myślących ludzi na świecie i nikt w Izraelu, oprócz — jak powiada — „garstki degeneratów, którą stanowi partia komunistyczna Izraela”, nie uwierzy w winę Slanskiego, Klementisa i jego.

Minął listopad 1952 roku, skończył się proces Slanskiego i jego towarzyszy, ale nie skończyły się męki Orena. Czeka go teraz własny proces, zdaje sobie z tego sprawę. Ani przez chwilę nie wierzył zapewnieniom oficerów śledczych, że po procesie Slanskiego zostanie wypuszczony na wolność. Ale wstrząs jakim było widowisko procesu wyzwołał w nim nowe siły. Postanawia nieugięcie wznowić walkę.

Przychodzi mu to tym łatwiej, że reżym więzienny nieco zelżał. Zaczyna otrzymywać listy od rodziny, wysłane przed pół rokiem, cieplejszą odzież, od czasu do czasu książkę. Zaczyna się na nowo śledztwo, tym razem w jego własnej sprawie i Oren odwołuje wszystkie zeznania złożone uprzednio, twierdząc, że zostały wymuszone. Inkwizytorzy jednak do listy oskarżeń, które Oren na siebie podpisał w związku z procesem Slanskiego, chcą jeszcze dołączyć nowe. Oskarżają go zatem, że organizował w Związku Sowieckim spisek syjonistyczny antyrewolucyjny. Nie zapominajmy, że jest to koniec roku 1952, Stalin jeszcze żyje i szykuje krucjatę antyżydowską. Oren co prawda nigdy nie był w Związku Sowieckim, ale czyż nie wystarczy fakt, że urodził się na terenie wschodniej Małopolski, anektowanej przez ZSSR od września 1939 roku. Musi zatem mieć jakieś kontakty z rodziną, ze znajomymi, a poza tym można przecież organizować spisek przebywając poza granicami danego kraju.

Nie dość na tym. Chcą mu jeszcze wmówić kontakty z Anną Pauker, rumuńskim ministrem spraw zagranicznych, która w międzyczasie również zaawansowała do roli zdrajczyni swej ojczyzny, agenta syjonistycznego itp. Oficer śledczy w rozmowach z Orenem nie usiłuje nawet maskować swej nienawiści do Żydów. Manifestuje ją zupełnie jawnie, czyniąc tego rodzaju uwagi: „Żydzi zawsze przyczyniali każdemu państwu mnóstwo kłopotów. Żydzi są z natury zdrajcami, szpiegami”.

„Czy to jest socjalizm? Jeżeli kłamstwo osiągnęło tak gigantyczne rozmiary w dziedzinie prawa, to jaka jest gwarancja, że prawda panuje w innych dziedzinach, w gospodarce, kulturalnej etc.” — takie oto refleksje wymykają się spod pióra autora.

Potworne to śledztwo nie jest przy tym pozbawione humorystycznych momentów. Przez dwa tygodnie ciągną się przesłuchiwania na temat roli Orena jako szpiega na usługach generała Franco. Oren zachodzi w głowę skąd oni to wzięli i do czego jest im to potrzebne. W końcu sprawa się wyjaśnia.

W notesie Orena zapisane było kilka razy pod datą jednej z jego podróży do Europy, w tym również do Hiszpanii, słowo „mecita” po hebrajsku. (Oznacza ono „zapalniczka”). Tłumacz odczytał je nieumiejętnie nie znając widocznie nowoczesnego języka hebrajskiego, jako „medita”, a oficer śledczy, nie grzeszący nadmiarem inteligencji i węszący wszędzie zdradę i szpiegostwo, uznał, że jest to imię kobiety, Hiszpanki, z którą Oren miał kilka rendez-vous w celu przekazania jej materiałów szpiegowskich. Wyjaśnienie Orena, że chodziło po prostu o kupno zapalniczki dla jego żony i że notował to sobie pro memoria do załatwienia na następny dzień nie zadowoliło podejrzliwego oficera śledczego.

Jeszcze nie zakończyło się śledztwo w sprawie szpiegostwa na rzecz Hiszpanii, a już rozpoczęło się nowe — o szpiegostwo na rzecz Austrii. Tym razem przesłuchiowano Orena w sprawie rzekomych kontaktów z austriackim oficerem wywiadu, niejakim Kopernikiem, któremu wspólnie z izraelskim ministrem zdrowia, dr. Burgiem, miał przekazywać wiadomości o Czechosłowacji. Jakkolwiek nazwisko Kopernika było mu skądinąd znane, nie mógł sobie Oren w żaden sposób uzmysłowić, co to był za Kopernik, z którym miał, zgodnie z notatką w swoim notesie, spotkanie we Wiedniu. W końcu i ta tajemnica wyjaśniła się. Oficer nazwiskiem Kopernik, okazał się kapitanem Koepenick. Notatka w notesie pochodziła stąd, że Oren zapisał sobie po prostu, iż tego a tego dnia ma bilet na popularną komedię „Kapitan z Koepenick” w wiedeńskim Burgteatrze. Brzmiała ona: „Godz. 20 Burg.-Haupt. Koepenick”.

W tym czasie metody śledztwa nieco zelżały. Ustało bicie i wtrącanie do „łodówki”. Było to już po śmierci Stalina, rozpoczęła się likwidacja „berio-wszczyzny”. Odcięty od wszelkich wiadomości ze świata, Oren o tym wszystkim nic nie wiedział, ale czuł, że wróciła mu siła oporu, że ma w sobie dosyć woli, by walczyć do ostatka. Żąda adwokata, którego chce wskazać po porozumieniu się z poselstwem izraelskim, żąda sprowadzenia świadków obrony oraz materiałów mogących dowieść jego niewinności. Ale są to żądania nierealne. Adwokat mierzący się z prokuratorem, oskarżony broniący swej sprawy to są metody niezgodne z „socjalistyczną” praktyką sądową. „Socjalistyczne” państwo samo przeprowadza wymiar sprawiedliwości i nigdy się nie myli — o tym uświadamia go oficer śledczy.

„Socjalistycznej” sprawiedliwości stało się zatem zadość i Mordechaj Oren został skazany przez sąd kapturowy na zamkniętej rozprawie na 15 lat więzienia. Kara stosunkowo „lekka” w zestawieniu z aktem oskarżenia, ale wzięto pod uwagę, że jest on obywatelem obcego państwa. Odwołanie poprzednich zeznań, stwierdzenie na rozprawie, że zostały one złożone pod przymusem, wskutek nieludzkich tortur i udręk nie

zostało w ogóle wzięte pod uwagę. Oren został skazany wyłącznie na podstawie tych zeznań.

Nie odsiedział on całej swej kary. 13 maja 1956 roku otworzyły się przed nim bramy więzienia. Było to w trzy miesiące po XX zjeździe komunistycznej partii ZSSR, który odsłonił światu tajemnice „socjalistycznej praworządności”. Uwolnieniu Orena nie towarzyszyło oczyszczenie z winy i rehabilitacja, darowano mu po prostu resztę kary. Czesci nigdy nie zdobyli się na rehabilitację swoich ofiar „berio-wszczyzny”. Spośród wszystkich krajów demokracji ludowej oni jedni nabraли wody w usta. Slanski i Klementis pozostali zdrajcami.

Oren nie mógł i nie może pogodzić się z tym sposobem uwolnienia. Żąda całkowitej rehabilitacji i podobnie jak w czasie odsiadki swej kary zasypywał memoriałami prezydenta Czechosłowacji, dowodząc swej niewinności, czyni to również po dziś dzień w nadziei, że socjalistyczna sprawiedliwość jednak zatriumfuje.

Franciszka TORUNCYK

## Powieść meteorologiczna

Popołudnie było upalne i słodowe, jak zwykle pod koniec pory suchej. Guatemalski autobus jechał wolno, szofer co chwila puszczał kierownicę i wpisywał pracowicie i oburącz ośzukańcze cyfry w arkuszu kontrolnym, kilkunastu pasażerów kleiło się do siedzeń, a jakaś kobieta przy drzwiach robiła na drutach bawelnianą skarpetkę. Cisza i senność. Nagle kobieta powiedziała do szofera wychylając się przez drzwi: „Zdaje mi się, że mój kłębek mi wypadł”. Szofer zahamował autobus i kobieta wysiadła. Po nitce szła wolno do kłębka, który został o trzy bloki w tyle. Odnalazła kłębek i zaczęła nawijać. Czekałszy. *Paciencia de nuestra provincia* — pomyślałem słowami ostatniej powieści Michała Choromańskiego (1).

Odnalazła kłębek i zaczęła nawijać. Szofer skończył swoje artystyczne kalkulacje i wychylił się krzyżując przyjaźnie: „Niech się pani nie śpieszy”. Jeden z pasażerów nadawał co pewien czas komunikaty: „Już nawinęła do szóstej calle, zaraz dojdzie do piątej”. Ktoś dowodził, że Fidel Castro powinien się ożenić z Brigitte Bardot i wtedy samą reklamą zawojuje całą Amerykę z Północną włącznie, jakaś „Senora” opowia-

(1) Michał Choromański. *Prolegomena do wszelkich nauk hermetycznych*. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1958. Str. 181.

dała jak chciano jej sprzedać bony na sfinansowanie rewolucji w Nikaragui, a jadący ze mną polski marynarz, który przesiedział tu dwa miesiące w więzieniu za przekroczenie granicy na zielono i jechał teraz z o d r ę c z n y m listem prezydenta do ministra spraw wewnętrznych, aby mu dał zezwolenie na pobyt i z listem do ministra zdrowia, aby go mianował administratorem szpitala w okolicznym miasteczku, sepleniał mi do ucha: „Ja dopiero w Gibraltarze przypomniałem sobie, że zostawiłem zęby na nocnym stoliku w Neapolu, w hotelu, proszę pana, tak!” Kobieta nawinęła bawełnę i wsiadła razem z kłębkami. Pojechaliśmy dalej.

Ale nie ujechaliśmy daleko, bo znowu musieliśmy stanąć i czekać aż przejdzie pochód młodzieży idący do jednego z podmiejskich parków, gdzie znajduje się wielka mapa plastyczna Guatemali. Tam cała młodzież składała uroczystą przysięgę, iż „pewnego dnia w przyszłości” odbierze Brytyjczykom Belice (British Honduras), po czym szturmowy oddział w liczbie trzech strażników wszedł boso (żeby nie zniszczyć mapy) na teren tegoż Belice i zatknął tam spuszczoną do połowy drążka narodową flagę. Oczywiście natarcie i zatknięcie flagi odbyło się na mapie plastycznej. Po przejściu pochodu pojechaliśmy dalej.

Wszystko to niby nic i jednocześnie bardzo wiele. Do tego smak narzucającej się na każdym kroku groteski, jakiegoś świetnie wyreżyserowanego teatru marionetek, na który w tych krajach wszystko zamienia się od rana do wieczora. Czasem makabrycznego (jak na Kubie), częściej zwyczajnego i wspaniałego w swoich nieoczekiwanych wariacjach i inwencji. Już dawno doszedłem do wniosku, że naprawdę opisać te kraje, naprawdę oddać ich prawdziwy klimat i duszę, można by chyba tylko groteską, marionetkami. Długo nie mogłem wpaść na to, co stanowi tutaj tajemnicę zawsze jakoś śmiesznie (nieraz rozczulajaco) wykrzywionego obrazu. Dziś już wiem, że zwierciadłem które wygina tutaj wszystko jest przeraźliwa powaga; absolutna, kosmiczna i kosmetyczna powaga, z jaką przystępuje się do wszystkiego w pełnym rynsztunku zupełnie niesamowitej frazeologii i patosu. A ponieważ nikt tego nie dostrzega, więc groteska i marionetkowość wzrastają do n-ej potęgi, rosną, rozsadzają i stają się nie do zniesienia, stają się wprost torturą, w której człowiek odruchowo zaczyna się modlić dla nich o jakiegoś łańcisko-amerykańskiego Gombrowicza, który by choć częściowo potrafił ich wyzwolić z tej plemienniej, wszystko ogarniającej i wszystko pochłaniającej, bezdennej „pupy”. Niestety nie zanosi się na to.

Ich pisarze potrafią kpić tylko z innych, nigdy z siebie samych. Nieraz musną powierzchnię, ale dobrnąć do sedna nikt nie potrafi. Są ślepi. Gdy zrobi to obcy, powstaje patriotyczny wrzask i rozruchy (jak ostatnio w Boliwii, gdy „Time” przytoczył lokalną anegdotę, że Boliwię należałoby rozparcelo-

wać pomiędzy sąsiadów) i obrażone, narodowe tabu zaślania wzrok nawet tym, którzy mogliby dojrzeć. „Bo wy nas nie możecie zrozumieć” — brzmi jeden i ten sam argument od Rio Grande po Przylądek Horn. Znajomy, swojski argument i nieraz już nasuwały mi się tu smakowite analogie. Próbą — i to bardzo udaną — takiej paraleli jest powieść Choromańskiego.

Wprawdzie na okładce poucza się czytelnika m.in. że „chodzi tu o ukazanie powolnej a nieuchronnej degeneracji ludzi oderwanych od ojczyzny, o ukazanie procesu wyobcowania”, ale na szczęście nie chodzi tu o nic takiego i na 180-u stronach można odpocząć od plemiennego baju-baju i smakować łyk po łyku, *con sorbos exquisitos*, subtelną, zabawną i raczej bolesną paralelę między nimi i nami na tle jakiegoś miasteczka Ameryki Południowej podczas ostatniej wojny. Podany powolnej a nieuchronnej degeneracji człowieka oderwanego od ojczyzny i obnosząc wstydliwie proces wyobcowania na tropikalnie spoczonej twarzy, odczułem w tej powieści świeży powiew. Tym bardziej odświeżający, że — *dispensenme* — ostatnio już trudno wytrzymać w tej ojczyźnianej parówce.

Najpierw marzą, żeby wyjechać z Kraju. Gdy wyjadą, to znowu marzą żeby wyjechać z kraju, do którego przyjechali, z powrotem do Kraju. Posiedzą w Kraju i znowu marzą żeby wyjechać z Kraju. Od wielkiego „K” do małego „k”. No i nikt ich nie rozumie i nie może zrozumieć. Same kobiety ibsenowskie. Adolf Rudnicki szepcikiem niedotartej starej panny „en rodage” wzdycha „Ach, ach — nikt nas nie pojmie” i z jękiem oddaje się ojczyźnie w zagranicznych hotelach. Brandysowi, gdzie by nie był, wszędzie i ciągle dzwoni w uszach tramwaj warszawski z natarczywymi pytaniami (na które nie ma odpowiedzi i w tym cały czar dialektyczny), a Putrament szuka w Neapolu odurzającego zapachu polskiego g... w polu. Co raz splakuję się pod siebie do nitki i już prawie uwierzyłem, że Polak nie ma prawa żyć poza Polską i że nigdzie nie może mu się bardziej podobać, niż w Kraju.

Gdy Amerykanin osiadzie w Paryżu lub na greckiej wyspie i naśmiewa się z USA twierdząc, że mu w ojczyźnie źle i nie może wytrzymać, to jest dobrym Amerykaninem i na pewno inteligentnym. I tak z wszystkimi. Tylko dla nas nie ma usprawiedliwienia. My koniecznie musimy podlegać nieuchronnej degeneracji i procesowi wyobcowania. Nie rozumiem. No a gdybym np. otwarcie napisał, że wołę Guatemalę od Krakowa? To niemożliwe. Staję na granicy tabu i nawet w tajemnicy własnej duszy nie mam odwagi przekroczenia go. Zresztą nikt nie uwierzyłby. I drzę przed tym ogromem tego czegoś, czego z żadnej strony nie można normalnie uszczypnąć.

W powieści Choromańskiego nic się nie dzieje i równocześnie dzieje się bardzo wiele, — tyle ile może się stać w ciągu jednego dnia w kraju, w którym tak n a p r a w d ę nie

dzieje się nigdy wiele. Pani McIntyre wyjeżdża rano tramwajem. Boi się, że zarekwirują jej dom wynajmowany dotąd kochochanek lokalnego *caballero*. Bo dom leży niedaleko koszar wojskowych. Na lokatorów, po wyrzuceniu czarnej kochanki, upatrzyła sobie parę młodych uchodźców polskich. Ale jakoś tajemniczo o nich mówią. Więc jedzie do konsula polskiego rozpytać się. I zaczynają tańczyć marionetki. Konsul, szwagierka konsula, sekretarz konsula, jego żona, lekarz konsularny itd. Polskie marionetki tańczą na tle lokalnych laleczek. I choć narodowo i rasowo są one tak odległe, ich ruchy są identyczne, ich podskoki są tak samo groteskowe. Nazwiska dziwaczne, narodowość nie jest nigdzie dokładnie określona, wszystko jest płynne, a jednak wyraziste.

Omotane to jest tajemniczością, wtopione w doskonale i soczyste opisy zmian atmosferycznych, temperatury, wilgotności powietrza, chmur, wiatru. Majster narracyjnej meteorologii wylania się co chwila. „Wilgotna, duszna przesadność zsunęła się z liściastej kopuły i opadła wprost na jej głowę”. Doskonale opisy lokalne, które naprawdę można dopiero ocenić, gdy dobrze pozna się te kraje. Np. opis tramwaju, w którym zawsze panuje pustka wewnątrz. Na ławkach siedzi tylko kilku Europejczyków i pań, *los caballeros* stoją na stopniu wzdłuż wagonu i pchając się oblepiają pusty wóz z zewnątrz. Choromański notuje tę osobliwość, ale jej nie wyjaśnia. Tej tajemnicy prawdopodobnie nie zgłębił. Tymczasem *los caballeros* nigdy nie siadają na ławkach, bo pozycja siedząca jest mordercza dla kantów zawsze nienagannie odprasowanych spodni, a szczególnie dla cienkich spodni tropikalnych. Jedno dotknięcie spocynym kolanem od wewnątrz niszczy nieodwołalnie ostrze kantu. Drobną szczegół, ale jakże wymowny dla charakterystyki plemiennej.

Choromański nie boi się „wyższościowych” spostrzeżeń. — „W oczach nieznanego zobaczyła po prostu brązową dżunglę”. Prawda. Ja też, jak dotąd, nie mogłem w nich dostrzec nic innego. Albo: — „Bo ja znam tych małpów! Krzyczą, hałasują, a w duszy nici. Im więcej krzyczą, tym inszy sens w środku... Ta, proszę pani sekretarzowej, jeszcze takiego wypadku nie spotkałem, żeby oni kogoś lubieli...” — powiada woźny polskiego konsulatu. Świetnie. Całe studium można by napisać na ten temat. A my? „Tęsknota za Krajem czółgała się za nią po trawie aż do stopni tarasu. Nagle skoczyła i zawisła na glicyniach, oplatających taras, nieczym kwitnącą firanki... Zrzuciła w sypialni kapelusz, zdjęła trepki i boso przeszła do łazienki. I tam dopiero nostalgia dopadła ją i posiadła”.

Wszystko to kończy się opisem typowej ruchawki tropikalnej, gdy tubylczy tłumek idzie demolować niemiecki klub „Condor” i razem z tubylcami biegnie młody Polak, ochotnik wojskowy, krzycząc: „Za matkę! Za matkę!”. Wdarłszy się

z innymi do środka budynku porywa kawalek hitlerowskiej flagi i wraca z tym strzępem do konsulatu polskiego, oddając trofeum konsulowi wśród podniosłego nastroju. A tam, na placu, gdzie wjazd oddziału wojska uspokoił zabawę i nie dopuścił do demolowania reszty wrogich obiektów, Gubernator stał na balkonie i przemawiał: — „Wasz wspaniały entuzjazm — wołał oparłszy się o balustradę balkonu — napelnia dumą me serce. Stolicy zaprzyjaźnionych państw ściskają wam w tej chwili strudzoną a bohaterską dłoń, z wdzięczności za pomoc. Dziękuję w ich imieniu! „Nasz Kraj i najukochańsza prowincja — *grandissima y bellissima* — zaważą na szali zwycięstwa”. I tak dalej. Znajoma nuta. Chwilami zgrzytająca po kościach groteska, bolesna ale prawdziwa paralela, w której polska szczerłość i łacińska hucpa są tak samo teatralne i nadęte — na naszą niekorzyść. Bo gdy tancerzy robią teatr na zimno, my robimy go zawsze na gorąco, zawsze szczerze, przeskakując z beztroską i łatwo granicę prawdziwej krwi. I gdy tam jest komedia, u nas zamienia się to zwykle w ponurą tragedię.

Dobra powieść. Ale nie dla wszystkich. Jak ten dowcip: „Mamusiu, pozwól mi się pobawić z babcią. — Uspokój się, smarkaczu, już ją dwa razy wygrzebałeś z ziemi i tatuś musi potem zasypywać”. To trochę ton tej ostatniej powieści Choromańskiego.

Andrzej BOBKOWSKI

## Na Tematy pornograficzno-loliterackie

John Cleland urodził się na początku XVIII stulecia. Jego ojciec, pułkownik armii brytyjskiej, nie zostawił mu w spadku ani pensa. Młody człowiek musiał sam od najwcześniejszych lat zarabiać na utrzymanie. Nie był jeszcze nawet pełnoletni, gdy przyjął stanowisko konsula w Smyrnie. Rzucił je bardzo szybko i przeniósł się do Bombaju, gdzie został agentem India Company. Nawarzył tam widocznie piwa, bo tym razem jego wyrzucono. Wrócił do Anglii jako trzydziestoletni nędzarz. Wkrótce wyładował w Newgate za długi. Po wyjściu z więzienia wpadł na pomysł dorobienia się piórem. Tak powstały „Memoirs of Fanny Hill, a Woman of Pleasure”. Przyniosły mu wszyściekiego dwadzieścia gwinei zaliczki od wydawcy i nowy proces za obrazę moralności. Na szczęście dla siebie trafił na



inteligentnego i ludzkiego sędziego, który zrozumiał natychmiast jaki jest jedyny motor utworu *par excellence* pornograficznego. Ten mędrzec w peruce, którego nazwisko (Viscount of Granville) zasługuje na wieczystą pamięć, nie tylko wypuścił twórcę i pisarskiego stręczyciela do nierządu Fanny Hill na wolność, ale wyznaczył mu z własnej kieszeni dożywotnią rentę w wysokości stu funtów rocznie, by go w ten sposób uchronić od dalszych (mało, w gruncie rzeczy, podówczas lukratywnych) pokus sutenerstwa literackiego. Cleland spędził resztę życia na pisaniu powieści umoralniających oraz uczonych traktatów filozoficznych, filologicznych i lingwistycznych. I nie jest na pewno ani jego, ani szczodrego donatora winą, że wiele setek funtów wicehrabiego Granville okazało się gorszą lokatą kapitału niż dwadzieścia gwinei wydawcy „A Woman of Pleasure”: jeśli Cleland obronił się przed zapomnieniem u potomnych, to nie jako kaznodzieja powieściowy i erudyta, lecz jako mały klasyk czystej pornografii.

„Pamiętniki Fanny Hill” są ubranym w formę listowej spowiedzi katalogiem różnych sposobów kopulacji — od najprostszymi do bardziej wyrafinowanych i perwersyjnych — a ich bohaterka odgrywa (nie bez przyjemności zresztą) rolę najpierw uczenicy a potem nauczycielki *ars amandi* swoich licznych kochanków i klientów, wprowadzanych kolejno na scenę przez autora. To wszystko. I budzi nawet pewną sympatię za bezpretensjonalność Clelanda, ta pornograficzna *fair-play*, to absolutne wyrzeczenie się jakichkolwiek fałszywych piórek literackich, jakichkolwiek aspiracji nie zmierzających wyłącznie do opisu instrumentów miłości i wariantów ich zastosowania.

Wicehrabia Granville miał więc ułatwione zadanie w wyrobieniu sobie opinii o przedstawionym mu *corpus delicti*, czego najlepszym dowodem jest fakt, że — jak widzieliśmy — potrafił nawet duszę oskarżonego uratować z otchłani zepsucia a jego wyobraźnię skierować na inne, bardziej górne i budujące szlaki. Ale sprawa nie zawsze jest tak prosta. Często co w oczach stróżów obyczajności uchodzi tylko za pornografię, jest czymś więcej w utworach pisarzy, posługujących się „realizmem” w opisach miłości jako jednym ze środków wyrazu. To prawda, że od pewnego czasu posługują się nim ze zbytnią dezygnaturą i niekiedy bez wyraźnej potrzeby, jakby uważali, że ta najstarsza i najdokładniej od stworzenia świata znana czynność ludzka, stanowi w całym swoim bogactwie szczegółów główną rękojmnię „współczesności” i „nowatorstwa” w prozie; nie można jednak samej zasady osądzać podług jej ekscesów. A zasada jest taka, że jeśli autor zgodzi się za dożywotnią rentę złać swoje nieobyczajne pióro, to z czystym sumieniem wolno go uznać za pisarza pornograficznego i szerzyciela zgorzienia moralnego, i skazać na dożywotnie pisanie powiastek moralizatorskich i rozprawek filologicznych; jeśli się natomiast

nie zgodzi, to trzeba w nim widzieć pisarza autentycznego i bezinteresownego, który nie zamierza zdradzać lub prostytutować (!!) swej sztuki za trzydzieści srebrników. Nierzadko także — za ukrytego moralistę. Gdyż nikt nie pisze z większą i bardziej nieprzekupną pasją o rzeczach „niemoralnych”, niż ukryci moralisci.



Co szczególnie uderza u Clelanda to umiar, a nawet pewna wstydlivość, w doborze słów przy jednoczesnej drobiazgowości w odsłanianiu realiów. „Młodzian, opanowany żądzą i kierowany instynktem, jął mnie obrzucać pieśczołami i wyczytawszy w moich oczach przebaczenie dla swej śmiałości, dobrał się do nieznanego (chodzi o nowicjusza w tej dziedzinie — przyp. mój) centrum swych pragnień. Ledwie go poczuła na sobie, wszelki lęk mnie opuścił, zostawiłam mu wolne pole do opisu i utworzyłam przed nim szkatułkę”.

Współczesny pisarz-realista zatrząsłby się od śmiechu i splunął pogardliwie w dłonie na widok tego skromniutkiego i jakby lekko zarumienionego stylu, w którym w takich razach trzeba było uciekać się aż do „szkatułki”.

Cleland, choć miał na oku tylko komercyjną pornografię, był przecież niewolnikiem swoich czasów: nawet on przyjął konwencję nakazującą mówić o sprośnościach ustami złożonymi w ciup i wyszukany językiem. Sto lat przed nim pan Samuel Pepys prowadził zaszyfrowany dziennik (miał zatem nadzieję, że nikt nie będzie w stanie go odczytać), a mimo to w sposób grubiański pisał jedynie o prostszych czynnościach fizjologicznych: „Nocowałem znów u pana Glanville’a, a że mnie bóle chwyciły, sięgnąłem po nocne naczynie, którego nie znalazłem; tedy musiałem się w tym dziwnym domu dwa razy wysrać w kominek”. Oględniej zwykł się być wyrażać o swoich „złych płomieniach”: „Zeszedłem się znów z moją dawną znajomą, Betty Lane, którą gdy wezmę do gospody, to już sobie tam wiele z nią pozwalam, a jej rączki bardzo wszetecznie zwijają się koło mojej osoby. Ale chociaż dziarska z niej lubieżnica, przecież nie śmie rzeczy przywieść do końca, przez co tym bardziej mi jest miła i za co ją chwale” (1). Kiedy rzecz dochodziła do końca, notował tylko: „czyniłem z nią com jeno chciał”, „zaznałam z nią dwakroć rozkoszy”. Za sprośną i rozwiązłą uważał Aretina „La puttana errante”.

Sprośność była cechą późnego Renesansu i swoich mistrzów znalazła w Aretinie i Rabelais. Dwa wieki wcześniej, w późnym Średniowieczu, Boccaccio zaprosił do nieprzystojnej biesiady literackiej prócz trzech młodzieńców także siedem bogobojnych białogłów, prawdopodobnie po to by sobie samemu nałożyć wędzidło na język. Czyż bowiem miły Dioneo mógł

(1) Oba fragmenty w przekładzie Marii Dąbrowskiej.

był inaczej, nie raniąc siedmiu par niewieścich uszu, opowiedzieć np. czwartą nowelę Dekameronu? „Przeor w ostrożnych słowach pragnienie swoje jej odkrył. Dzieweczka, która nie była z żelaza ani z kamienia, zbytniego nie stawiała oporu. Przeor, obłapiwszy ją ciasno i ucałowawszy czule, do wąskiego łoża mnisiego ją pociągnął. Mając jednak może należyty wzgląd na czciogodność swojej osoby, a także obawiając się, aby jej ciężarem swoim zbyt nie urazić, miast się na wstępnym łożu położyć, na brzuchu swym ją posadził i tą modłą długo z nią igrał” (2).

W swoim szkicu „Nieprzystojność w literaturze” Henry Miller myli się sądząc, że „obawa i strach, które wzbudza nieprzystojność, szczególnie w czasach nowoczesnych, mają swe źródło raczej w języku jakiego się używa niż w myśli”.

Można, jak widzieliśmy, pisać o rzeczach bardzo nieprzystojnych używając języka przesadnie aż konwencjonalnego i aluzyjnego. Można też pofolgować sobie jak Rabelais. Co jednak łączyło dawnych pisarzy w tej materii — i salonowo niemal powściągliwych i sprośnych — to dystans i wesołe przymrużenie oka. Nawet czysto pornograficzny Cleland był chwilami zabawny. O sprawach „sexu” pisał się często swobodnie niż dzisiaj, lecz nie z taką śmiertelną powagą i ponurym zgrozonym szcęk. Choć może to brzmieć jak paradoks, zamaskowany sentymentalizm i ukryty moralizm przysporzyły literaturze najwięcej oskarżeń o nieobyczajność. Brutalizacja językowa była jedynie zjawiskiem wtórnym, narzędziem w rękach tych, którzy z aktu płciowego uczynili miarę wszystkiego.

Kiedy Daniel De Foe pisał pamiętniki Moll Flanders, kobiety która była „dwanaście lat kurwą, pięć razy żoną (w tym raz własnego brata) etc. etc.”, w momentach drażliwych zwykł był hamować pióro znakomitej memorialistki takimi zdaniem: „skromność wzbrania mi zdradzić sekrety małżeńskiego łoża”; „krok po kroku zezwoliłam mu na wszystko i mówiąc krótko, uczynił ze mną co chciał; nie mam potrzeby dodawać ani słowa więcej”; „nie godzi się by niewiasta opisywała to co między nami zaszło”; „posunął się tedy dalej i krótko mówiąc, stało się to czego oczekiwała a co nie może być opowiedziane”.

Twórcą Fanny Hill był współczesnym autora „The Fortunes and Misfortunes of the Famous Moll Flanders” i z całą pewnością ich czytelnikiem. Jego karalna sądowo nieobyczajność polegała, prócz braku talentu, na tym że jakkolwiek wstrzemięźliwy w wysławianiu się, nie uznawał ani „krótko mówiąc”, ani rzeczy które „nie mogą być opowiedziane”. Nie

(2) Przekład Edwarda Boyé, nawiasem mówiąc niedokładny: w oryginalnym „nie na jej pierś się wgramolił, lecz ją na swej piersi położył (*non sopra il petto di lei salti, ma lei sopra il suo petto pose*”). Brzuch jest dowolnością tłumacza.

on jednak otworzył kurek, lecz zwolennik lakonicznego „krótko mówiąc”. Nie ważne że pewne rzeczy nie mogły być opowiedziane; ważne, że De Foe uczynił je szkieletem przez które patrzy się na człowieka, społeczeństwo i świat.

Powściągliwość opisowa przetrwała tylko do czasów naturalizmu. „Naturaliści — przypomina Paweł Hostowiec — uchodzili w oczach współczesnych za plemię grubiańskie. Po blisko stu latach opinia ta wydaje się niesłuszna lub przesadna”. W ciągu tych stu lat skończyło się stopniowo „krótko mówiąc” i skończyły się rzeczy „które nie mogą być opowiedziane”. Współczesny krytyk amerykański nazywa „Ulyssesa” Joyce’a „gargantuńskim urynałem bez śmiechu Rabelais”. Jest rzeczą zabawną czytać w liście D.H. Lawrence’a do Aldousa Huxley’a słowa *olla putrida* na określenie „Ulyssesa”. Autor oskarżanego o pornografię „Lady Chatterley’s Lover” stawiał wysokie wymagania sztuce: domagał się od niej spełniania funkcji moralnej. „Nie estetycznej — pisał, — nie dekoracyjnej i nie rozrywkowej. Moralnej. Ale chodzi o moralność, zmysłową, pełną namiętności, nie o dydaktykę. O moralność, która zmienia raczej krew niż umysł. Zmienia krew przede wszystkim. Umysł zjawia się później, podczas przebudzenia”. Alberto Moravia, autor świetnej historii prostytutki rzymskiej „La Romana” i znacznie słabszej historii młodej nimfomanki wojennej z „La Ciociara”, powiada w szkicu „O moich powieściach”: „Człowiek poczuł się naraz niezdolny do nawiązania kontaktu z otaczającym go światem, gdyż świat stał się mroczny i niezgłębiony lub — gorzej jeszcze — znikł zupełnie. Moje powieści starały się wyrazić nagłość tych problemów. I ta nagłość właśnie popchnęła mnie ku zajęciu się szczególnie sprawami płci, które stanowią jeden z najbardziej pierwotnych i niezmiennych przejawów kontaktu z rzeczywistością”.

Tu zamyka się, być może, wielki cykl. Reszta — nawet nie przestając być mimo wszystko literaturą, której należy oczywiście do upadłego bronić przed sądami i cenzurą — ociera się często o cień Fanny Hill: przybiera zwolna charakter licytacji pomysłowości w wynajdywaniu ciągłe nowych wariantów kopolacyjnych. Konkurencja staje się tu coraz bardziej utrudniona i pisarz współczesny musi się niekiedy dobrze wyteńczyć, żeby swoje akcje na giełdzie literackiej podbić o parę kresek. Bohater jednej z powieści Henry Millera za punkt honoru poczytuje sobie posiadać niepostrzeżenie kobietę na parkiecie dancingu, w obecności innych tańczących. W powieści przedstawiciela amerykańskiej „beat generation” Kerouac’a „Dharma Bums” pijani uczestnicy libacji rozbierają się do naga i jedna z dziewcząt oddaje się kolejno każdemu kto się nawija pod rękę w dowód wierności tak przez siebie pojmanym zasadom buddyzmu Zen. (Bliższy, zdawałoby się, z doświadczenia buddyzmu Zen pisarz japoński Osamu Dazai zadowolona się w podobnych sytuacjach tradycją „krótko mówiąc”: jak

pamiętają czytelnicy „Kultury”, scena gwałtu w „Zonie Villona” ogranicza się do jednego zdania „nazajutrz o świcie wziął mnie bez żadnych ceregieli”). Nasz rodzimy „beat”, Hłasko, każe jednemu ze swoich bohaterów wsadzić zapalonego papierosa do ust prostytutce nakłonionej do „francuskiej miłości”. Jego współzawodnikom nie łatwo będzie podwyższyć jeszcze o kreskę polski rekord notowań.

Chyba, że nastąpi przedtem ogólna zniżka papierów wartościowych tego typu, na co się już trochę zanosi. Słyszę, że nowa sztuka Tennessee Williamsa „Sweet Bird of Youth” posuwa się o wiele dalej niż inne, ale autor pośpieszył zapewnić publiczność za pośrednictwem prasy, że na tym koniec. Jego pożeganie nie mogło się odbyć w sposób bardziej dostosowany do okoliczności, wymowny, nieodwracalny i niepozabawiony równocześnie szerokiego gestu oraz tragicznego patosu: w trzecim akcie protagonista zostaje wykastrowany.



W posłowie do „Lolity” Władimir Nabokow wymienia parę niewinnych fragmentów powieści, które sam uważa za najlepsze, i dodaje: „Zdaję sobie świetnie sprawę, że te i inne sceny pozostaną niedostrzeżone lub przekartkowane szybko przez czytelników, którzy lekturę książki zaczną z uczuciem że jest ona czymś w rodzaju „Memoirs of a Woman of Pleasure” Clelanda czy „Les Amours de Milord Grosvit”. Ze moja powieść zawiera szereg aluzji do popędów fizjologicznych zbrojeńca, jest oczywistą prawdą. Ale ostatecznie nie jesteśmy ani dziećmi, ani niepiśmiennymi młodocianymi przestępcami, ani uczniami angielskiej *public school*, którzy po nocach homoseksualnego baraszkowania muszą znosić paradoks czytania starzych pisarzy w okrojonych wersjach”.

Istotnie, kto spodziewa się w powieści Nabokowa dreszczyków „niezdrowego podniecenia” w stylu Clelanda, dozna rozczarowania. „Najskandaliczniejsza” scena, scena w której niespełna trzynastoletnia Lolita uwodzi czterdziestoletniego Humberta Humberta, jest opisowo prawie wstydliwa. Nie śmiałość opisów zatem sprowadziła ze strony obrońców moralności gromy na głowę Nabokowa. Śmiałość sytuacji. Gdyby Lolita była o trzy lata starsza, ten romans miałby wszelkie cechy związku konwencjonalnego, jeśli nie wręcz staroświeckiego. Rzecz jednak w tym, że prawdziwym bohaterem powieści Nabokowa jest sytuacja moralnie, obyczajowo, uczuciowo i fizjologicznie niekonwencjonalna. Humbert Humbert, nieuleczalny wielbiciel „nimfiat”, powiada o sobie, że jego przeznaczeniem było „wychować się w obrębie cywilizacji, która pozwala dwudziestopięcioletniemu mężczyźnie ubiegać się o względy szesnastoletniej panielki, ale w żadnym razie dwunastoletniej”. „Lolita” jest przede wszystkim książką o *tabu* seksualnym.

Co prawda o *tabu* ograniczonym do krajów raczej północnych: w Neapolu (gdzie mieszkam) romanse czternastoletnich dziewcząt nie należą do rzadkości i niedawno nawet pewien miejscowy Otello zasztyletował tu swoją czternastoletnią Desdemone, która za bardzo sobie upodobała w przedwczesnie poznanej sztuce miłosnej; w Kairze, Jaffie, Bagdadzie i Mossulu (gdzie bywałem podczas wojny) uliczni stręczyciele do nierządu oferowali nieraz jedenastoletnie huryski. Wolno się zatem obawiać, że „Lolita” w tłumaczeniu arabskim nie będzie tam w ogóle zrozumiana, lub — co gorsza — będzie rozumiana niewłaściwie jako dramat starej panny. W każdym jednak razie można *for the sake of argument* przyjąć, że w obrębie cywilizacji do której głównie zwraca się Nabokow jest to rzeczywiście (po mniej lub więcej otwartym zalegalizowaniu miłości spod znaku „Corydona” i „Falszerzy”) jedno z ostatnich zachowanych jeszcze przez nas *tabu* seksualnych.

Kto uważnie, bez uprzedzeń i co najważniejsze z przyjemnością (jak piszący te słowa) przeczyta „Lolite”, odetchnie najpierw z ulgą że nareszcie o tych sprawach pisze się znowu dowcipnie, zabawnie i ze szczerym przejęciem. Wbrew zbyt pośpiesznie entuzjastycznym opiniom niektórych krytyków, ani Nabokow nie jest wielkim pisarzem, ani „Lolita” nie jest arcydziełem. Ale można go śmiało chwalić jako doskonałego i wytrawnego literata, któremu w pierwszej części powieści — napisanej w stylu najlepszego „New Yorker’a” — udało się przerwać ponurą passę nagiej ruji i szału kastracyjnego, a w drugiej — zbliżającej się do literatury szlachetniejszej klasy w scenie spotkania Humberta Humberta z zamezną już Lolitą na krótko przed jej śmiercią przy porodzie, i w scenie zamordowania przez niego rywala, który mu ją odbił i wykradł podstępnie gdy była jeszcze „nimfiatkiem” — powiedzieć coś poetyckiego i oryginalnego o magii miłosnej.

Gdyż na tym właśnie polega niezwykle paradoks tej książki: na przekór tyłu nieobyčajnym poszlakom, mowa w niej o czystej magii miłosnej. Nie znam recenzji Lionela Trillinga z „Lolity”, ale znam jej trafny i w pełni przez Humberta Humberta zasłużony tytuł: „The Last Lover”. Miłość do trzynastoletniej dziewczynki, porwanie się na jedno z ostatnich *tabu* seksualnych naszej cywilizacji, czymże jest jak nie pretekstem tylko, ostatnim może sposobem uczczenia nieśmiertelnego kultu Erosa w całym blasku jego piękna i w całej grozie jego sił niszczyielskich? Przypominają nam że dotychczasowe wielkie precedensy były wyłącznie platoniczne: Dante kochał się w dziewięcioletniej Beatrice, Petrarca w dwunastoletniej Laurze, Novalis w jedenastoletniej Sophie von Kuhn. Ale czy to wina współczesnej spadkobierczynie Beatrice, Laury i Sophie że, aby zaświadczyć swoją osobą *dzisiaj* o nieuznającej żadnych granic potędze miłości, musi iść od razu do łóżka ze zbrojeńcem, z człowiekiem który bardziej niż

Dantemu, Petrarce i Novalisowi bliski jest Markizowi De Sade? Czy to nie wina raczej tej współczesnej realistycznej literatury nieobyczajnej, której Nabokow, śpiewając swoją romantyczną pieśń o miłości, nie może przeciwstawić się inaczej jak przyjmując jej brutalnie zmaterializowane maniery i rozwydrzone apetyty fizjologiczne?

*Spij mala, słiczna, biedna Lolito w ciemnym grobie,  
Niech się ostatni w obrębie naszej cywilizacji kochanek  
przyśni tobie.*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Emigracyjne nowości poetyckie

Sprawa jest dość kłopotliwa. Krytyka, tak jak ją rozumiemy, przyjmowana jest nadal ze wstrętem. I to wszędzie — a cóż dopiero na Emigracji, gdzie pisanie wierszy jest gestem mickiewiczowskim, gdzie — poza „Nowym Merkurium” — poezją nie interesuje się absolutnie nikt.

Po co zresztą być zawsze i ciągle tym szerszeniem, co kłuje kolegów po piórze. Inny weźmie wody w usta, temu mrugnie, przed tamtym westchnie — i nie narobi sobie wrogów, bo wie, że Parnas polski i tak tworzy się na zasadzie przypływów Nilu. Że co roku literaturze polskiej przybywa kilkunastu pisarzy. A po dziesięciu latach? Łatwo pomnożyć. Wystarczy młodemu człowiekowi większa doza uporu i, po kilku tomikach, siedzi w literaturze.

Jeżeli ktoś myśli, że to przesada, niech przeczyta choćby jedną obwołaną wydanego ostatnio na Emigracji tomiku. Wtenczas zgodzi się ze mną. I zda sobie sprawę z żenującej lekkomyślności, z jaką leciwi pisarze polscy pasują na twórców sympatycznych skądinąd i obywatelsko zasłużonych rodaków.

I jak tu się zabierać do krytycznego czytania tekstu, kiedy z obwołuty wygląda ku nam zasłużony poeta-monument, poeta „świadomie chropowaty” i który... „zna karkołomne trudności prostoty”...

Nie jest naszym zamiarem tamowanie wód Nilu; już samo porównanie poucza o ich potęgę i niewzruszalnym napływie. Pragniemy jednak, aby Czytelnik dowiedział się, że do książki polskiej, do wierszy polskich można — i trzeba, na miły Bóg! — podchodzić krytycznie, bez względu na sympatyczne twarze autorów, bez względu na ich drogę

z Sybiru do Ziemi Włoskiej. Tym bardziej, że czasem, przy najlepszych chęciach, trudno wziąć raka za rybę. Nawet na Emigracji.



Zacniemy od teatru. Trzyaktowa sztuka (1) Kazimierza Sowińskiego tematem swym należy do czasu okupacji. Realizacją swą przypomina jednak zwiewne i tjułowe sztuki Zawieyskiego (choćby „Rozdroże miłości”), gdzie niby-konflikty niby-ludzi opisywane są spokojnie i bez poczucia humoru, jak gdyby wiek dziewiętnasty trwał jeszcze ciągle i jak gdyby najlepszym miejscem na scenę była plebania.

Jest to więc sztuka okupacyjna, ale bez krzty napięcia. O Gestapo, o akcji partyzantów dowiadujemy się od osób trzecich, mówiących tym samym, nieodróżnionym językiem polskiej inteligencji. Jest to sztuka „pozytywna”. Nie brak w niej tajnego nauczania, szkoły gminnej budowanej ze składek obywateli, nie brak zakładania symbolicznych, nowych sądów. Trzy akty nie dzieją się. Są raczej opowiadane na plebanii, w zapachu róż, na tle dobiegającej zza drzwi melodii „Rozkwitały pęki białych róż... wróc, ucałuj...”.

Jest to więc sztuka taktowna. Wprawdzie na początku wiązaliśmy pewne nadzieje z Babcją-stręczycielką, która namawia córkę swą, Agnieszkę, do większej... uprzejmości wobec proboszcza Joachima, ale zaraz zdajemy sobie sprawę, że Autor nie dopuści do skandalu, że do końca książki namiętności nie dojdą do głosu.

Pewnie, proboszcz ma różne męskie myśli, ale dyskutuje na ten temat z Agnieszką i przy dobrej woli obojga udaje im się wyklarować wszystko z dużym pożytkiem dla miejscowego społeczeństwa. Jedyną śmiałością jest zdanie proboszcza, z wyrzutem skierowane do Agnieszki: „Ty myślisz, że te czarne fałdy zdołają zniweczyć w człowieku serce?”

Sztuka kończy się zdrowo. Zamiast konfliktu — praca od postaw. Dla młodzieży polonijnej, poniżej lat 16-tu.



„Wilcze ziola” (2) to pięćdziesiąt stron słów blahych i nieautentycznych, które Autor niepotrzebnie przedstawił nam w formie wierszy. Pięćdziesiąt stron zbitków w rodzaju: „i nienasyconie/wsusające nas w mroczność” (str. 11), pięćdziesiąt stron zależnych od Wierzyńskiego, żeby zacytować choćby wiersz tytułowy:

*Nikt na nas nie czeka  
nikt nas nie wola  
rośniemy na brzegach skalistych  
wilcze ziola.*

(str. 31)

(1) Kazimierz Sowiński: *Dzień Dominika*. Wyd. B. Świdorski, Londyn 1958. Obwołuta Janiny Chrzanowskiej, winieta tytułowa Tad. Terleckiego; str. 104.

(2) Józef Żywina: *Wilcze ziola*. Wyd. B. Świdorski, Londyn 1958. Obwołuta i winieta tytułowa Tad. Terleckiego; str. 51.

Podobnie jak autor „Korca maku”, Żywina często operuje gromadzką formą „my” i zapożyczona dykcja sprowadza za sobą atmosferę tak typową dla Wierzyńskiego, sprowadza patos, który w zestawieniu z blahością treści daje efekty zgoła nieoczekiwane. Kiedy na przykład, wspominając swoją prywatną i bliżej nam nieznaną jesień, pisze:

*Mokra mgłami  
Wymowna ścierniskami  
Ta nasza jesień na Mielnikowej  
Jak przyszłość niewidna.*

(str. 18)

Tonacja ta, owe chroniczne „zapadamy”, „pograżamy się”, ten szloch na serio i bez wstydu najbardziej dyskwalifikują materiał emocjonalny zbioru. Któryż bowiem z poetów polskich ogłosi dziś taką strofę?

*Nie nasz ten obraz. Co nasze? Nic.  
Skostniałe niebo, zgęszczony smutek.  
Za późno o niebyłym śnić,  
— Zamilczcie usta! Nie krzyczcie usta!*

(str. 45)

A przy tym, przy takim malowaniu na jaskrawo swych myśli, Autor pisze dziwną polszczyzną: „ściany się rozpękują” (str. 9), „W glinach wstygniemy na Mielnikowej” (str. 19), czy też kiedy antropomorfizuje słońce, pisząc: „Na zgiętych plecach słońce wciną polysk” (str. 23, wszystkie podkreślenia moje. M.P.).

Na osobnej liście trzeba by spisać uchybienia semantyczne, ale po i na co mnożyć dowody na nijakość tomiku? I tak obwoluta daje Autorowi wieczny immunitet. I nic mu krytyka, gramatyka, poetyka...

Rzadko kiedy można wpaść tak oczywiście z deszczu pod rynnę, jak wtenczas kiedy po wierszach Żywiny bierzemy do ręki „Wiersze” (3) Stefana Flukowskiego. Bije z nich taka nuda, że gdyby nie kilka dziarskich i mimowolnie humorystycznych ustępów, tomik byłby nie do czytania. Wyobraźmy sobie bowiem kogoś, kto absolutnie nie ma nic do powiedzenia, a kto nieznużenie miesza „Goplo”, „kołodzieja”, „zodiak”, „Ziemowita” i wiele innych słowiańskich mityczności, kogoś, kto Bogu ducha winnego Dunikowskiego opisał na pięciu stronach, sypiąc „seledynami”, „Ozyrysami”, „fryzami”, „kolumnadą” i kto wszystko zatapia w parnasistowskim sosie słów wymuszonych a poźółkłych.

(3) Stefan Flukowski: *Wiersze*. Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1958; str. 38.

Dlatego też bawią, szczerze bawią takie np. strofki:

*Od Mińska po Tomaszów  
poprzez piaski i lasy  
ciągnie się Mazowsze nasze.  
radość, żalność i wczasy,*

*i tęsknota, zaduma,  
świergot ptaków, psów wrzawa,  
tu Bug z Wisłą się kuma,  
tutaj leży Warszawa.*

(z „Mojego Mazowsza”, str. 12)

Jest w tym być może ślad „minionego okresu”, chęć pisania dla ma-luczki, ale jest też w tych zwrotkach wiele z „Elementarza” Falskiego...

Tomik zawiera jeszcze wiersz o młodziutkim Koperniku, który swe heretyckie odkrycie wyjawia Wojciechowi z Brudzewa.

*Był błądy, lecz bledsza była twarz Wojciecha.  
Ten usta zacinał, to znów się uśmiechał,  
przystawał, z podziwem na chłopca spoglądał,  
i zaraz się chmurzył, i dowodów żądał.  
Na koniec powiedział młodemu po prostu:  
„To bardzo ciekawe, lecz czy nie za ostro”.*

(z wiersza „W Collegium Maius” str. 20)

Gładkości, peruki przyklejane do gipsowych głów, piąta woda po antycznej kulturze, na którą, tu i ówdzie, rzucono literacki listek mazo-wieckiej brzozy.

Po określonych dotychczas tomikach wiersze (4) Bieńkowskiej brzmią niemal że surowo. Może aż za surowo. Są to liryki w pełnym znaczeniu tego słowa — tzn. wiersze o sobie, wiersze z siebie. I dlatego tak mało jest u Bieńkowskiej świata zewnętrznego, mało stosunkowo zabawy gotowymi obrazkami, odbijanymi wprost z zachwyconych oczu. „Między liniami” to przede wszystkim jawne myślenie. Myślenie nieustępliwe. Dopytywanie się o Sens, często za cenę otarcia się o granicę, za którą emocja i rytm ustępują miejsca pojęciom i wnioskom, jak np. w „Modlitwie” (str. 6):

*Do Ciebie się modlimy, chociażby prawdą było,  
Że jesteś, Boże, tylko wytworem naszych myśli.  
Pytamy się raz po raz: „Panie, czy jesteś, słyszysz?”  
Chociaż każdy z nas wie, że odpowie nam cisza.*

(4) Danuta Bieńkowska: *Między liniami*. Wyd. B. Świdorski, Londyn 1959; str. 32.

Myśl o Bogu, „który jest”, lub „którego nie ma” jest wielką obsesją, z której rodzą się wiersze religijne, na przemian radosne i gorzkie.

Wieczność młoda i zielona  
Słońcem pada w nasze okna  
I wola głosem ptaków,  
Że to wszystko nieprawda,  
Że w przyrodzie nie ma duszy X,  
Że jest tylko wielki chaos  
Młodych pędów i gnijących liści.

Póki jeszcze pędem jesteś,  
Pędem młodym i zielonym  
Strzel pod niebo nowym obliczeniem.  
Ty sam słońce masz w żyłach,  
Ty sam wiosną oddychasz,  
Ty sam niebu się równasz.

Błękitem się upijesz  
I zapomnisz o rachunkach i cyfrach,  
A Pan Bóg — starzec w profesorskich okularach  
Zeschłym liściem spadnie  
Na ziemię.

(z wiersza „Równanie”, str. 22)

Z liryką religijną łączy się ściśle inna, równie opanowana i wstydliva, jak przystało na pokolenie, z którego wywodzi się Autorka. Mamy na myśli poezję osobistą, słowa płynące od kobiety ku mężczyźnie, czy też w stronę, gdzie powinien był się zatrzymać.

Dziękuję ci za to, że jesteś.  
Trochę duszy,  
Trochę ciała,  
I przedział z prawej strony.

-----  
Popatrz — wszystko w tobie  
I wszystko wokół ciebie  
Ogarnęłam miłością.  
Trochę duszy,  
Trochę ciała,  
I przedział z prawej strony.

(z wiersza „Dziękuję ci”, str. 14)

To samo przechylenie pióra w stronę humoru cechuje inne wiersze, jak np. „Chciałam”. Autorka korzysta świadomie z motywów banalnej kobiecości, aby pod ich osłoną wstydliwą móc pisać o sprawach swego życia.

Chciałam zrobić poemat na drutach,  
Żeby był różnokolorowy jak życie,  
Żeby mi pod ręką narastał zrobionymi rzędami,  
Ale włóczka się plątała...

(str. 18)

Czasem udaje się jej napisać wiersz obnażony ze słów zbędnych, surowy, ale pomimo to rzewny jak pieśń średniowieczna. Przytoczmy choć kilka słów:

Ja ci duszy nie pokażę.  
Boję się samej siebie,  
Tej ręki, co mię pcha  
W wielką niewiadomą,  
W noc.  
Osłonię wszystkie okna,  
Otworzę wszystkie drzwi,  
Może mi się uda uciec.

Już się ogień zapalił.  
Los zagląda przez szyby,  
I zimnymi palcami puka,  
Boję się.

(z wiersza „Ja ci duszy nie pokażę”, str. 17)

Jedni tomik za tomikiem na półce ustawiają — byle więcej! — i ludzą się, że rośnie ich poezja. Ktoś inny ważkie słowa wzdłuż wiecznych pytań kładzie. Nie jak paciorki, ale jak płótno zgrzebne.

Na koniec zajmiemy się nowym tomem wierszy (5) Jana Brzękowskiego. Pomimo swej szczupłości tomik ten przywołuje na pamięć problemy poetyki Autora i przez to samo poetyki polskiej Awangardy.

Brzękowski świadomie podzielił swą książkę na dwie części, nazywając pierwszą „wierszami wyobrażonymi”, drugą zaś „wierszami elementarnymi”. Podziału tego nie przestrzega stuprocentowo, rzecz jednak nie w tym. Uderza nas bowiem przede wszystkim użycie, rozmyślnie i nie przypadkowe, dwu krańcowo odmiennych, dwu przeciwstawnych metod poetyckiego wyrażania. Pierwsza z nich to metoda „pięknych zdań”, którą Brzękowski stosuje od dwudziestu kilku lat. Toteż nie zaskakuje nas taka np. strofa, wyjęta z „Niewymiaru”:

Nie zgłębić drzewostanów jesiennych, żółtych od rdzy słonej,  
która w blasku słońca czerwonym wybucha płomieniem,  
wśród traw i gąszczy ukryty, tropiciel snów niewyśnionych,  
niedościgłych jak główki dziecięce jaskółek nanizane w pierścieniu  
(str. 23)

(5) Jan Brzękowski: *Przyszłość nieotwarta*. Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1959; str. 37.

Jak również nie zaskakują nas nowością podobnie ułożone „Między morze” czy „Ziemia i niebo”. Wiersz wznosi się i opada zdaniem dłu-gimi, oddziaływującymi przede wszystkim na ucho.

*Kiedy opuszczasz wysokopienne opary snu, wąwozy cieniste i chwiejne  
wypnurasz na świat szeroki w horyzont wchodząc obrosły listowiem  
nie wiesz, nie dowiesz się nigdy dokąd prowadzą drogi niewyznaczone  
nie wiesz jakim ptakom ponurym powierzyć swe myśli niedosiężne chmury.*

(z wiersza „Ziemia i niebo” ; str. 20)

„Piękne zdania”, o wyszukanej eufonii, pozbawione są jednak drugiego dna. Gdy przypatrzymy się im bliżej, okazują się beznamiętnym opisem krajobrazu i to — Anno 1959 — jest dla nas pierwszym zawodem. Zawód ten rośnie, gdy wnikając pod tym kątem w wiersze „wyobrażone”, zauważamy ich stałe beztemacie, ich liryczną bezpodmiotowość. Owszem, rymy-podmiotem jest Autorskie Ego, ale jego byt ogranicza się jedynie do formy czasownikowej („śniłem”, „pobiegłem”, „szukałem”). Czasem zresztą jeden i ten sam wiersz zawiera istny rozgardiasz podmiotowy. I tak „Niewymiar” (str. 23) zaczyna się od pierwszej osoby („przemierzam”), żeby zaraz przejść w bezosobowe i awangardowe „Nie zgłębić drzewostanów”... a potem w pokoleniowy pluralis („...lata które jak charty biegly za nami...”). Na koniec Poeta znowu przejmuje czasownikową władzę nad wierszem.

Nie jest to przypadek. Fakt ten wynika z niestrukturalności temato-wej — temat pojęty jak najszerzej — wiersza awangardowego. Wystarczy więc, żeby zdania, „piękne” brane zewsząd, nie zostały nanizane na dość silną, czy autentyczną emocję, aby utwór pozostał jedynie tym czym był przed narodzinami: sumą zdań.

Przyjrzyjmy się z kolei części drugiej tomu, która zawiera wiersze wyraźnie tematyczne i bynajmniej nie „elementarne” — jak je nazwał Autor — ale jak najbardziej wtórne, skoro są opisem cudzej fabuły, bądź reakcją autentycznego zdarzenia.

Jest to istna niespodzianka, znaleźć u klasyka Awangardy wiersze... skamandryckie. Wiersze, jakie pisywali Skamandrycy trzydzieści lat temu, owe rymowane zabawy w egzotykę, opisy niby na serio fryzjerów, pod-różników, festynów ludowych, jednym słowem opisy odpustowej barwności świata — po kronikarsku i nie całkiem serio.

W ten sam ton uderza dziś Brzękowski, streszczając naiwne i egzo-tyczne filmy czy powieści „dla ubogich”. Oto ustęp z „Maroka” :

*Cóż dziwnego że Jan i Klara jakąś siłą wiedzeni tajemną  
złączyli swą samotność w jedno ?  
Dobrze im było razem — rok mija po roku  
szczęście rozkwiliła nawet w kopalni Maroku.  
Ale oto w ich życie zwyczajne i proste, czarne*

*wkracza charakter : odtąd staje się ono kłoszarne  
więc wspomnienie przeszłości powraca i rzuca Klarę w ramiona  
namiętnego Hiszpana. Na próżno walczy, chce się oprzeć, wreszcie pokonana  
ulega Ramonowi. W życiu ich się otwiera  
nowa era.*

(str. 31)

Wystarczy już ten cytat, ale powie ktoś, że Autor żartuje, że daje polskie, czy też po polsku, *images d'Epinal*. Niestety, nie są to jedynie zabawy w styl pieśni dziadowskiej. Za każdym razem, kiedy Brzękowski pragnie, aby wiersz był nie tylko jego a muzom wierszem, ale żeby dotarł do Czytelnika, żeby przeniósł mu jakąś treść — zwraca się wówczas o pomoc do wrogów po piórze i pożyczca od nich rymy i składnię skaman-drycką, która gwarantuje czytelność.

Najlepszym przykładem tej troski o czytelność jest „Emigrant z Ka-nady” (str. 34), z którego to wiersza przytoczymy drugą połowę.

*Najpierw myleś talerze, stewardem na statku  
byleś lat kilka, twardo szedłeś do dostatku —  
teraz dobiełeś brzegu, na policzkach bladych  
czerwienią się zaznaczył przyjazd do Kanady.  
Zmężniałeś i lat znamię nosisz na swych barkach,  
grubym podbródkiem chwaliśz koniak dobrej marki,  
pieniądz cię opancerzył, nic cię już nie zranit  
i w życiu dosytnym na uczuć cierpisz zanik.  
Gdy cię ujrzalem w pełni twojej prosperity  
myślałem w pierwszej chwili, że to jesteś nie ty.*

*Ale wszystko runęło tyle lat obczyzny —  
gdy nieopatrnie padło w nas słowo : ojczyzna.*

Brzękowski kończy tom wierszem, w którym zawarł swoje nowe credo poetyckie. „Chomąto historii”, coś jakby monolog zwrócony w stronę Rodaków w popaździernikowej Polsce, zawiera jasne i niedwuznaczne słowa :

*Po tylu latach  
gdy oddzieliła nas wieża Babel świata  
znalazłem słowa proste...*

(str. 37)

Przejdźcie od wiersza awangardowego, od „pięknych zdań” — do „słów prostych”, i to po tylu latach ortodoksyjnego bojuwania, jest eksperymentem co najmniej zastanawiającym. Jest w pewnym sensie rezygnacją. Na nowej drodze Poeta znalazł być może zadowolenie moralne... ale nie poezję. Dlatego też, kończąc niniejsze uwagi o „Przy-szłości nieotwartej” Brzękowskiego, odczytujemy ten tytuł jako smutne proroctwo.

## Listy do Redakcji

Montreal, dnia 18 maja 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Tuż przed otrzymaniem majowego numeru „Kultury”, w którym Pan Redaktor zechciał zamieścić mój artykuł o zbiorach dzikowskich zapoznałem się z książką ilustrującą „Malarstwo Europejskie w Zbiorach Polskich”, wydane przez P.I.W. w 1955 r.

Piszę o tym gdyż przeglądając tę piękną książkę z reprodukcjami setek obrazów ze zbiorów polskich, znalazłem w niej z radością, ale i ze zdumieniem, brakującego, według p. K. Grottowej, Rembrandt'a dzikowskiego. Wynika z tego, że p. K. Grottowa, wydając swoją książkę o zbiorach dzikowskich w 1957 roku, nie wiedziała, że Rembrandt z tych zbiorów wrócił do Polski i był już w Muzeum Narodowym w Warszawie co najmniej od 1955 roku. Dziwne to, ale nie o to chodzi. Chodzi mi po prostu o podanie tego faktu czytelnikom „Kultury”, których, bazując się na książce p. Grottowej nie ściśle poinformowałem.

Stwierdziwszy to, przypominam, że brak ciągle jeszcze z kolekcji dzikowskiej obrazu na pewno piękniejszego od autoportretu Rembrandt'a, przedstawiającego Izabelę Austriacką, malowanego przez Jana Gossart (Mabuse), oraz bardzo drogich pamiątek narodowych: kroniki Kadłubka, Statutu Wiślickiego (zwanego Kodeksem Dzikowskim), karabeli i buławy hetmana Tarnowskiego, pergaminu na którym Karol V stwierdził własnoręcznym podpisem nadanie Hetmanowi tytułu comesa, wreszcie tabakieri Marszałka St. Małachowskiego i zegarka księcia Józefa Poniatowskiego.

Miejmy nadzieję, że te cenne przedmioty i inne polskie zabytki wrócą do Polski, tak jak wróciły pochodzące ze zbiorów dzikowskich, rękopis „Pana Tadeusza” i Rembrandt.

Łączę dla Pana Redaktora wyrazy głębokiego szacunku, oddany

Artur TARNOWSKI

Los Angeles, 4. VI. 1959

Szanowny Panie Redaktorze !

W art. p. A. Tarnowskiego pt. „Prawda o zbiorach dzikowskich” zamieszczonym w „Kulturze” z rb. nr. 5/139, str. 119-120 czytamy: (W końcu listopada 1939 r.) „W Bibliotece Jagiellońskiej znajdował się oddany tam przed wojną, unikat śpiewnika litewskiego z XVII w., drukowany w Wilnie przez OO. Jezuitów. Posłałem go tam, celem sfo-  
grafowania, gdyż zamiarem moim było ofiarowanie Litwie facsimile tej

książki. Litwini ogromnie się tą książką interesowali. Minister pełnomocny litewski, p. Szulis (Szaulis. M.B.), przyjeżdżał do Dzikowa książkę tę oglądać, a przez kilka miesięcy studiowała ten śpiewnik w Dzikowie młoda lingwistka litewska, której nazwiska dziś już nie pamiętam. Książka ta jednak w ciągu lat późniejszych została do Dzikowa zwrócona i wraz z innymi zamurowana”.

Uzupełnię tę notatkę. Śpiewnik ten, „Giesmes Tikieimuy Katholickam pridiarancias”, wydany w Wilnie w r. 1646, rzeczywiście jest unikatem. Wymieniony w tytule jako autor, Salomon Mozerka Slawoczynski (Summi Pontificis alumnus), prawdopodobnie nie był autorem śpiewnika ze względu na swą młodość, a był nim któryś z ojców jezuitów: Jan Jachnowicz, Franciszek Szrubowski, może nawet Kazimierz Kojalowicz.

Studiowała ten śpiewnik w Dzikowie w r. 1939 Izabele Matuseviciute (Matusewiczówna), która też zapoznała ogół litewski ze swą pracą w art. „Kelione po lenkija beieskant Slavocinskio giesmyro” („Naujoji Vaidilute” 1939, nr. 11, 12). Krótki życiorys M-ny, obecnie znajdującej się w Kanadzie, podaje encyklopedia litewska (Lietuviu Enciklopedija) w Bostonie, w tomie XVII (r. 1959) str. 534. Śpiewnika wszakże, przez nią w Dzikowie przepisanego, M-na przedrukować nie zdążyła, zaskoczona wypadkami wojennymi i politycznymi.

Śpiewnik nie zaginął. Mam obecnie w rękę jego przedruk fotograficzny, dokonany w Wilnie w r. 1958 przez Jurgisa Lebedysa, 288 str. tekstu fotograficznego i 274 str. komentarzy biograficznych, bibliograficznych i lingwistycznych. Przedrukowano nie z odpisu M-ny lecz właśnie z oryginału dzikowskiego, który znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie i był udzielony przez nią Uniwersytetowi Wileńskiemu na przeciąg 6 miesięcy. Wydanie bardzo staranne, bez żadnych „fintifluzek” bolszewickich.

My, Litwini, zarówno krajowcy, jak i emigranci, wdzięczni jesteśmy rodzinie państwa Tarnowskich za przechowanie i udostępnienie dla nauki Lituanistycznej tak cennego zabytku literackiego — pierwszego śpiewnika katolickiego w języku litewskim.

Dodam tu wreszcie, że w Wilnie poza śpiewnikiem przedrukowują się obecnie rozmaite dawne wydawnictwa litewskie. W Poznaniu ukazują się „Biblia Litewska Chylińskiego” (z XVII w.). W Chicago znajduje się pod prasą tom I pracy bibliograficznej zmarłego na początku r. 1956 brata mego, Waclawa, pt. „Aleksandrynas” (ku uczczeniu pamięci żony jego Aleksandry z życiorysami 100 autorów litewskich w XVI i XVII w. (t. II i III z życiorysami około 250 autorów w XVIII w. i pierwszej połowy XIX znajdujących się w moim rękę i są przeze mnie przygotowane do druku). W Bostonie od r. 1953 wydawana jest wymieniona już przeze mnie Lietuviu Enciklopedija z masą artykułów historycznych, geograficznych, biograficznych, bibliograficznych, literackich i w ogóle lituanistycznych co wywołuje już emulację wydawniczą wcale nienaganną, gdyż oto w Wilnie również, od dwóch przeszło lat sowiecka akademia nauk zapewniła, że w ciągu 7 lat ma się ukazać przez nią opracowana encyklopedia litewska w 20 tomach. A więc pracujemy !

Mykolas BIRZISKA

Paryż, 10 czerwca 1959

Szanowny Panie Redaktorze !

Bardzo uprzejmie proszę o wydrukowanie mego listu w najbliższym numerze „Kultury”.



W jednej z bibliotek paryskich, przypadkowo dostrzegłem ostatni numer dwutygodnika „Est & Ouest” z 1-15 czerwca 1959 r. W spisie treści, zwrócił moją uwagę tytuł: „La législation pénale militaire en Pologne”, pp. 9-10.

Przejrzałem ten artykuł.

Bardzo zdziwiła mnie konkluzja, którą autor, p. Szwajcer wyraził w swojej pracy: „zapal”, jaki komuniści ujawniają w dziedzinie ustawodawstwa wojskowego, świadczy o tendencjach wzmoczenia potencjału wojennego w Polsce.

Jestem uchodźcą i przeciwnikiem obecnego ustroju w naszym kraju, nie mogę jednak pogodzić się z myślą, jakoby Polska zamierzała wszczynać działania wojenne. Bardzo obawiam się, że rozgłaszanie takich wiadomości w prasie zagranicznej może rzucić złe światło na Naród Polski.

Dziś działalność Robespierre'a stanowi część historii wszystkich Francuzów, bez względu na przekonania polityczne tej lub innej grupy. W przyszłości, gdy ustrój Polski ulegnie zmianie, działalność Bieruta i Gomułki też stanowić będzie część historii wszystkich Polaków.

Na emigracji, nikt z nas chyba nie powinien dążyć do przeistaczania historii naszego kraju lub ukrywania zupełnie prawdziwych wiadomości.

Łączę wyrazy szacunku

A. KONARSKI

Chicago, dnia 24 maja 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Za ogłoszenie w nr. 5/139 „Kultury” artykułu Thomasa Mertona „List do niewinnego świadka” — serdecznie dziękuję. Artykuł świetny i na czasie. To tak, jak gdyby Pan otworzył okno w pokoju, w którym nagromadziło się zbyt wiele „zaduchów” z wyziewów naszych intelektualistów. Czy pokój przez to naprawdę przewietrzy się zobaczymy, gdyż zagadnienie, poruszone w „Liście...” nie zupełnie ściśle wyjaśnia czytelnikowi, kto to są ci „My intelektualiści”. Nasz znakomity publicysta p. J. Mieroszewski w jednym z Nr. „Kultury” powiedział: „Nie ma na tym globie bardziej oportunistycznego plemienia, jak intelektualiści” i według mnie nie pomylił się w swym określeniu. „Kulturę” czytają nie tylko naukowcy z dyplomami, ale i zwykli ludzie, tęskniący za światłem *prawdy*, którą może im dać „Kultura”.

Sięgając do treści — kto są ci *intektualiści*? Skąd ich tytuł? Bo przecież nie żaden tytuł naukowy. Czy nie używają oni tego tytułu jako *zastony dymnej*, za którą mogą robić, co im się żywnie podobna, ale jednak... z nimbem „wielkości” czy „naukowości”? Można by wywnioskować, że źródłem skąd ten tytuł się wywodzi to słowo: *intelekt*. Wyjaśnienie — kto tego tytułu pierwszy użył i *dłaczego* — to sprawa wielce pożądana, czego jednak autor „Listu” mimo pewnych prób nie czyni, mówiąc: „Wciąż odważam się używać słowa *intektualista* jakby miało ono znaczenie”.

Jeżeli *intelekt* jest ojcem chrzestnym tych modnych dziś intelektualistów, to ci panowie nie mają czym tak bardzo imponować, raczej może „wyróżniać się” od *normy*, o to to *tak*, jako że nie reprezentują swoim ja całości człowieka, a więc pełni człowieczeństwa. Dlaczego? Bo *intelekt* to słowo, oznaczające „wszelkie funkcje umysłowe w odróżnieniu od funkcji *uczuciowych* i od funkcji *woli, charakteru*”. Mówi się

jeszcze, że intelekt oznacza wyższe funkcje umysłowe, przede wszystkim zdolność myślenia pojęciowego, inteligencja z wyłączeniem pozostałych funkcji, co jednak nie oznacza jeszcze *pełni* człowieka, którego natura wyposażyla jeszcze w *uczucie* i *wolę*. A jeżeli tak, to nic dziwnego, że p. Mieroszewski przypisuje intelektualistom *oportunizm*, tę zmorę dzisiejszych czasów w życiu społecznym i państwowym.

Taka ściślejsza analiza intelektualistyczna może wnieść wiele wartości przy rozwiązywaniu różnych zagadnień życiowych *narodu* i Państwa, a o to zdaje mi się chodzi autorowi „Listu...” w jego pytaniach skierowanych do *intektualistów* tu i tam za żelazną kurtyną. Warto byłoby dowiedzieć się, że dzisiejsze *milczenie* wielu zobowiązanych do *nie-milczenia* skończyło się z pożytkiem dla *sprawy* dobra ludzkości, dla *nowych* wartości życiowych.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Wiktor KIEŁKOWSKI

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

## JAN BRZĘKOWSKI 18 COPLAS POEZJE

WYDANIE BIBLIOFILSKIE Z DRZEWORYTAMI  
F. PROCHASKI. DRUK NA PRASIE RĘCZNEJ

10 egzemplarzy na papierze d'Auvergne z 6-ma oddzielnymi  
drzeworytami na papierze japońskim w cenie po 8.000 frs,  
lub 17 dol., lub £ 6

105 egzemplarzy na papierze Arches w cenie po 2.000 frs.  
lub 4,50 dol., lub 30 sh.

Zamówienia :

Mme M. PROCHASKA, « Clos du Noyer »  
Chemin du Jas de Bouffan  
Aix-en-Provence (B.-du-R.) - FRANCE

Wpłaty : na nazwisko jak powyżej C.C.P. PARIS 10820-17  
Z zagranicy : czekiem bankowym lub International Money Order

KULTURA N<sup>o</sup>, 3/137, March, 1959

The March issue of KULTURA opens with an essay by Jurij Lawrynenko on „Literature of Borderline Situations”.

Jurij A. Ławrynenko (born in 1905) was expelled from Charkov University in 1929 for publishing an article which reflected his „Western orientation”. In 1935 he was arrested and after a trial lasting for 16 months deported to the Tajmyr Island. He spent three and a half years in the concentration camp. In April 1937, Moscow ordered a 1000 out of the 10.000 prisoners to be executed, 800 men were shot, 200 — Ławrynenko amongst them — were transferred to the Northern Caucasus.

In 1942 Ławrynenko escaped and reached Kiev and then the Eastern provinces of Poland. The Germans deported him as an „Ostarbeiter” to a labour camp in Austria, where the French Army finally liberated him in 1945.

Ławrynenko returned to his literary activities as an Editor of „Ukrainski Wisty” and published several books. In 1950 he left for America and soon afterwards appeared his book „Ukrainian Communism and Russian policy toward the Ukraine”. With others, Ławrynenko produced the literary magazine „Ukrainska Literaturna Hazeta”. He also helped to organize and became one of the leaders of the „Union of Ukrainian Writers” in New York.

In his essay, fragments of which are quoted below, Ławrynenko analyses the different psychological attitudes of writers confronted with Soviet totalitarian policy.

„...When Czeslaw Milosz's „Captive Mind” was published in 1953, I was struck particularly by the following observation: „One should not be surprised when a writer, or an artist believes that all resistance is futile. If he could be certain that his work, produced in opposition to the officially recommended and approved general line, would attain lasting value — he would probably make this decision, and would deny himself the chance of publishing or exhibiting his work. He thinks, however, that any work thus produced must be artistically weak — and perhaps he is not much wrong in that”.

Let us mark those words carefully. The main factor here is not the superficial resistance, which would indeed be futile, but the inner inability of the individual to agree with himself.

A writer, according to Milosz, does not believe in writing „for the desk drawer” and therefore, he hopes that his art might emerge from the official sterilization more vigorous than before.

In the light which the experience of writers in all Soviet Republics throws on this problem, Milosz's theory sounds almost paradoxical. Because in all national literatures of the USSR, true art and opposition became one and the same thing. Exceptions to this rule are of no consequence if we realize that this unwritten law has lasted now in the USSR for nearly 40 years.

„The Captive Mind” had just had time to circulate around the world in various translations, when things happened in Poland and in Hungary which proved that Milosz's pessimistic outlook was perhaps not so well founded. Both, Poland and Hungary managed to salvage the seed of „The New”. I do not treat this fact as a „victory”. On the contrary — I see in it the deepest defeat and a source of a typical „borderline situation” with all its Eastern implications. Anyone who tries to imagine the emotional state and the spiritual impasse of Hungarian writers who were forsaken by the West, and now spend their life in prisons or, return from prison cells to an existence in spiritual slavery — anyone who can feel what they feel — would understand what I mean.

But even the uprising which ended in defeat has shown the Hungarians that not everything was lost. It is hopeless to count on help from outside, but the possibility of internal renaissance remains. The renaissance which can take place only in the human soul. This is the precise spot from which develops the „borderline situation” of closest coexistence of birth and death. „Silent is the mist where death and beginning in one shroud repose”. These words were written by an Ukrainian poet, T. Osmaczka, and they reflect truly the present situation in Ukraine.

The majority of writers choose the way of self-destruction, as the maiden from Lesia Ukrainka's poem, who says proudly :

„You can kill me if you wish —  
But you cannot make me live !”

Only about 15 % of writers agree to become „Stalin's minstrels”. The first among them, the greatest Ukrainian poet, Pawlo Tyczyna.

Tyczyna's attitude has all the outward characteristics of self-denial. But these characteristics can only be superficial. Ukrainian literature already knows a case when poetical genius, Taras Szewczenko, wrote for the desk drawer, hiding deep at the bottom of his heart the light of his tragic nation. The sentence which sent him to ten years of exile, bore a clause added personally by Czar Nicholas Ist. It said : „He must be forbidden to write and to draw”.

The case of Tyczyna was different and more complicated. He was *not forbidden* but *made* to write. To prevent his soul from becoming a shrine for the hidden light — the occupants filled it with slug. And only then Tyczyna entered the really „borderline situation” which has now lasted for 25 years. Will his life last longer than this crisis ? And if not — what sign or proof will he hand down to posterity to vouch that his spiritual self-destruction was not in vain. If he cannot hope to write in secret for future generations, as Szewczenko did, he must be in an agony of mind impossible to describe.

The losses of Ukrainian literature are as follows : Executed — 17 writers ; committed suicide — 8 ; deported — 175 ; missing, presumed dead — 16”.

Gustaw Herling-Grudzinski, who translated Ławrynenko's essay adds a commentary in which he compares the „borderline situations” in Ukraine and in Poland :

.....What happened amongst the Polish writers in 1956? First of all, one should ask what did not happen. The „New Faith” has not fallen for the simple reason that — such as described in the „Captive Mind” — it hardly existed. There ended, however, or at least were reduced to minimum various forms of play-acting. For some, who for reasons of their own, performed this play-acting *con amore* and even with the hope that it might turn into a cosy life-annuity it ended because the public, encouraged by revelations of the chief producer, charged back-stage with angry shouts. For others, whose play-acting resulted from necessity — it ended mainly because it became less necessary. What happened in Poland was not the collective sea-sickness of captive minds but rather, a collective pulling off of masks which covered free enough (in private) minds.

### *The Argument*

J. Mieroszewski in his article „The Argument” quotes an interesting statement, made by Mr. Zet. Mr. Zet is no „angry young man” — 60, or so, a technical engineer, living in Warsaw, Mr. Zet visited London on his way to the United States. That is what he has to say:

.....98 % of the educated working people in Poland believe that there will be no war and consequently no counter-revolution. The argument does not concern the problem: Capitalism or Socialism, revolution or counter-revolution. It concerns exclusively the question of how we are going to be allowed to comprehend the Socialist system. The way it is understood by the Russians or, the way it is understood by the Europeans. Any fight against dogmatism and ideological monopoly cannot be undertaken from counter-revolutionary positions. We want to introduce reforms — not to overthrow the system. Personally I am not a Socialist, but I accept the Socialist system. All we want are democratic reforms within the frame of a Socialist system, which we consider to be the only modern, progressive system and from which there can be no retreat. What do we base our hopes on? Watching the evolution of the situation in Poland, we expect that, in the event of change in the external situation, the Communists will have to widen the political structure of the government and the representative bodies. Pax is too much compromised as a Soviet agency. Our radical and christian movement could co-operate with the Communists within a democratically reformed Socialist system, because, alike the Communists, we are anti-Capitalists. I stress the word „alike” because there the similarity ends. There is also another reason, perhaps the most important of all: the Communists will never tolerate any Socialist Party. This fact weakens considerably the strategy of Pax. They would like to be Catholic-Communists and Marxist-Catholics at the same time. Should the internal and external situation compel them — the Communists would rather form some sort of coalition with us, just because we are not Socialists, although, at the same time, we cannot be described as bourgeois-minded.

Future structure of Poland — should the political situation permit an evolution towards it would shape as an anti-Capitalist democracy, governed by a coalition of parties within the frame of Socialism.

Socialism in this new form would mean both a social system and a cultural democratic way of life. Every citizen irrespective of his party affiliations would then be a Socialist, much in the same way, as in England to-day everybody stands for democracy”.

The above quoted views of Mr. Zet differ quite a lot from our opinion in these matters. They are, however, worth publishing because it is a fact that in many circles in the West, anti-Communism is often identified with pro-Capitalist tendencies. Whereas in Eastern Europe, including Eastern Germany, thousands of people oppose Communism and Capitalism alike. The idea of struggle between two worlds, simplified in the slogan „Communism versus Capitalism” forms the classical catch phrase of Soviet propaganda, and as such, should not be copied in the West. We fight for freedom and democracy and not for the restoration of Capitalism.

### *The Lithuanians*

The Vatican withdrew its recognition of the Polish and Lithuanian Ambassadors. „The Londoner” comments on this fact as follows:

„Lithuania is a small Catholic country, swallowed by Soviet imperialism. Lithuanians have no Primate or Cardinal, they are cut off from the Vatican and from the free world. The decision to withdraw the recognition of the Lithuanian Ambassador to the Holy See must be described as an error which would, no doubt, cause widely spread repercussions not only in Lithuania but among all Catholics and Christians of the Soviet Union. And most of all, it will be bitterly felt in the Baltic States whose independence was lost as a result of Stalin's victory over the West.

In the case of Poland, one might assume that the existence of a Free Polish Embassy in the Vatican meant difficulties in the relations between the Warsaw Government and the Church hierarchy in Poland. 90 % of Polish Catholics live in Poland and their welfare had to come before any other consideration. But the same explanation does not apply to Lithuania. The Catholic Church gains nothing by refusing recognition to the Lithuanian Ambassador, on the contrary, it stands to lose quite a lot in the future.

KULTURA No. 4/138, April 1959

### *Polish Sociologists on America*

Aleksander Hertz, Polish sociologist and essayist living in America, replies to some criticism of that country expressed by another eminent Polish sociologist Prof. J. Chalasiński. Prof. Chalasiński, who visited the United States some months ago, published his impressions and

observations in Polish papers. Below are some characteristic fragments of his articles :

„...The American people seem to do without any form of ideological leadership which would bring home to them the meaning and position of their country in this modern world.

Their hatred of Communism results from the fact that in America Communism is thought of as a conspiracy. The idea of Communism as a way of social development does not interest them at all.

In America there are vast political organizations, parties, trade unions, army, and behind all that — masses of people in a state of social „atomization”. American people resemble some nomadic tribes. Small, happy families, comfortably filling their cars, seem to form the basic cells of American community. The facilities for individual studies, for satisfaction of every cultural need are plentiful but, at the same time, there is little encouragement for the individual to care about his intellectual and spiritual needs because the human ties binding him to his fellow-men are loose and degenerated. The dying sense of human friendship will not be brought back to life by „teach yourself” books on „how to make friends”.

After painting such a gloomy picture, prof. Chalasinski, suddenly more optimistic, continues :

„There are, however, great vital forces in the American people, although they still lack intellectual leadership. Some isolated but powerful intellectual centers flourish in America and the problem of creating a selective system which would promote people of high intellectual standing to executive positions seems to be really urgent. Some more realistic hopes in that field can be entertained now that the influence of the Democratic Party grows steadily”.

Finally, prof. Chalasinski expresses hope that : „America with her present social structure and welfare organizations will soon be ready for a peaceful transition to the Socialist system”.

Mr. Hertz replied in the form of a long essay, fragments of which read as follows :

„...There are times when the processes of „disintegration” (a better word, I think than „atomization”) become especially deep and widely spread. Those are the times of great crises of civilization when whole social systems, whole cultures fall into decay. The industrial revolution brought with it the beginning of such a period which lasts till now, gaining force and deepening into the drama of our times.

The present crisis takes place within the frame of contemporary civilization, which, like none other so far, complicates mutual relationship among people. An individual person to-day belongs to a vast number of groups and sub-groups, often disintegrating, in the majority of cases representing conflicting interests and aims. This fact results in what is sometimes called, „social atomization”. The individual, whose natural social ties weaken or disappear, feels more and more lonely and torn by spiritual conflicts. This crisis can be seen in all countries of industrial civilization, irrespective of their political and economic structure. The notion that only „capitalist” countries face this crisis to-day would take

a lot to prove. To prove it, one would have to be able to study the facts available in „socialist” countries. These facts, however, are impossible to obtain, because in those countries doctrinal reasons make it imperative to deny the very existence of any social crisis”.

„...It is a fact that American political parties do not help in the process of social integration. They are not supposed to. American system of political parties differs from those which exist in Communist countries and from any party system known in the past in Europe. A political party in America is a purely technical body, an instrument for organizing elections and not an ideological brain-trust. No American would expect his party to be anything else, in the same way as he would not expect his trade-union to produce an ideology, although he values it highly as an instrument for fighting his battles for higher standards of living.

The American finds other ideological outlets and other forms of mixing with people. It is often said that every American is „a big joiner”, that he loves to join all forms of social activities. He belongs to masses of organizations of all kinds, where he meets people like himself, enjoys hobbies he can afford, and where he does not feel an outsider”.

„...The Communist Party in America is small and unpopular not because malicious propaganda made it a conspiracy. Malicious propaganda in the past, described the Democratic Party as a dangerous conspiracy. The American Communist Party is unpopular because the average American can accept neither the ideology itself, nor the methods of its work, nor the technical organization. An American worker is not Communist because in Communism he sees a danger to the interests of his class. And that is because he is a different worker from the majority of his brothers in other countries, and his historical evolution followed a different pattern.

It is very difficult for a foreigner to get to know America. The difficulty does not arise from the fact that American people are exclusive, wary of strangers, as are the English or French people. On the contrary, the Americans are wholly extrovert people who accept everybody, open their hearts and their homes to strangers and have no secrets they would not discuss in public. That is perhaps what leads many people to the false assumption that America is so easy to understand. In fact, America is exceptionally difficult to know and to understand, because the United States does not resemble any other country in the world”.

#### *Militarization or Neutralization ?*

Juliusz Mieroszewski in his monthly political article writes :

„...The process of unification of Western Europe has its enthusiasts and oppositionists. Some, like Jean Monnet, say that „Little Europe” already produces more cars and more steel than Russia and that in a few years time „Little Europe” with her 165 million inhabitants will change into „Second America”. Others, like Leo Hamon, are full of misgivings.

Personally, as an East-European, I find it difficult to appreciate the perspectives of such evolution without keeping a watchful eye on the interests of Eastern Europe.

Hamon was right when he pointed out, some time ago, that, to organize „Little Europe” would be to perpetuate and to underline the existing division of the European Continent. But there is more to it than just that. In „Little Europe” the Germans will play an increasingly important part. Within the next two years the West-German army will become the main continental partner in NATO. Economic and financial connections and mutual dependence always bring with it certain political consequences. Should the hopes of the enthusiasts of „Little Europe” be justified — it might be difficult to imagine how — in five or ten years' time, France or Belgium would and could oppose Germany in her eastern revisionist tendencies.

I am not formulating an accusation. I just want to emphasize the fact that there is a certain logic of consequences from which there is no retreat. The logical consequence is tantamount to a statement that to lay permanent foundations for „Little Europe” means in reality — to acknowledge the present division of Europe as a permanent factor. Everything else that will follow — would be only a logical consequence of this basic assumption.

When the decision to write off half of Europe is taken — it will be followed by a complete change of traditional allies and traditional enemies. New geopolitical situations and a new system of relations will follow in future consequence.

„...The Soviet Union will reply to the unification of „Little Europe” with analogical initiative on their side. The integration of satellite imperium will acquire a new form, binding the countries of Eastern Europe even closer to Moscow. But this fundamental acquiescence of „Little Europeans” to the loss of Eastern Europe, although most acceptable to Mr. Khrushchev will, however, prove insufficient. The process of stabilization and unification of satellite imperium would require the liquidation of „the Island of Berlin”.

The paradoxical fact is, that in Berlin, both partners in the argument want one and the same thing — to retain the status quo. Although in the West much is said about the necessity to consider „the German problem as a whole”, but the big men in politics would heave a great sigh of relief if the Berlin crisis should subside and the situation settle down to „mixture as before”. It also does not seem that Mr. Khrushchev intends to solve the German question in the near future. Soviet leaders at the present time aim at preservation and consolidation of their Western acquisitions. In their, quite logical, opinion — the preservation of status quo requires the wiping out of the Berlin enclave. The Russians do not want a united Germany. Khrushchev himself speaks on one occasion of the confederation of the two German Republics, and on another — that Soviet Russia will not lend a hand to the process of liquidation of „socialist gains” in Eastern Germany. Consequently, it seems obvious that the Russians would like to even up the frontline before finally consolidating their position in Eastern Europe.

Western Powers also do not want a united Germany. The United States and Great Britain want the Federal Republic to stay in NATO.

Unification and NATO exclude each other, because Russia would never allow united Germany to participate in NATO.

„...The fall of Berlin would mean permanent sealing off of the Iron Curtain. It is easy to imagine what impression a defeat of this size would make on East European and Afro-Asiatic neutral countries. The fall of Berlin would mark the beginning of Soviet supremacy in Europe.

„...Germany is the crucial problem. In our opinion there is only one satisfactory and compromising solution. Germany should be de-atomized and neutralized, and stay within a neutral zone comprising also Poland, Czechoslovakia and Hungary”.

Mr. Mieroszewski returns to the problem of neutralization of Germany and the organization of a neutral zone in Europe in a longer article which appeared in the June issue of KULTURA. Considering the exceptional actuality of this problem, we decided to include extracts from that article below, although the present Digest does not cover the June issue.

Here are the essential fragments of the above mentioned article :

„...The Americans oppose all forms of disengagement, neutralization, etc... because they want to maintain Western Germany within NATO. They also believe that the present NATO organization supplies the American forces with valuable bases and strong-points on the continent of Europe.

The promoters of all plans aimed at creating a neutral belt in Central Europe, have so far failed to convince the Americans that the maintenance of the status quo is more risky and militarily less advantageous than neutralization. Obviously all these plans stand no chance of being realized until such time as the Americans will feel that a solution of this kind can be of advantage to them.

In this article I would like to stress some arguments which will be appreciated by all those who are really familiar with present conditions in Eastern Europe. It seems to me that these arguments have so far been overlooked by American and West European experts.

All the authors of disengagement plans, including M. Mendes-France, are mistaken in their analysis of the situation in Central Europe. They proceed from the premise that both blocs — NATO and the Warsaw Pact — are monolithic. If this were so, the Americans would be right in believing that it would be a mistake to deprive NATO of its German contingent.

There was a time when Mr. Dulles proposed the policy of „liberation” versus that of „containment”. This policy of „liberation” has proved to be a fallacy. However, although it has been practically abandoned by the Americans, they still rely on the loyalty and friendship of the subjected peoples. If this were not so, they would not be spending so much effort and money on propaganda, scholarship and assistance for refugees.

What is meant by friendship of the subjected peoples for the United States ?

I suppose that by this Pentagon generals mean that, in the event of war, the Poles, the Czechs, the Hungarians would refuse to fight against the Americans. The Star Spangled Banner will continue to be

the symbol of freedom and independence for the nations oppressed by the Soviets.

This thesis is subject to a reservation: the Poles will not fight the Americans, but they *will* fight the Americans' German allies to the bitter end. The Americans think that they can have the Germans as the main element of their Atlantic army and still keep the friendship and the loyalty of one hundred million East Europeans. This is impossible and, if the Americans are left with illusions on this point, they should lose them as quickly as possible. The NATO coalition, in which the main part will be played by the German atomic forces, will be considered as a hostile alliance by the East Europeans. This is quite obvious since, apart from making territorial claims upon Poland and upon other nations, the Germans have left the marks of their death camps not only in Auschwitz and Majdanek but also in other countries.

In other words, when we examine the problem of the neutralization of Germany, we must first answer the question as to whether it will be more profitable to give up the German divisions and keep, in the event of war, the friendly support of one hundred million East Europeans, or to rebuild the Wehrmacht and have the East European armies set against the West.

This is the military problem. But there is also a political problem which seems to be underestimated by the Americans. The Poles in Poland — and I am stating this on the basis of hundreds of conversations with Polish visitors in Britain — dislike the Russians as much as ever, but they are becoming more aware of the political need for an alliance with the Soviets. It would be fallacious to regard all those who express pro-Russian views as mere opportunists or fellow-travellers. Among those who believe in the necessity of some Russian backing for Poland there are thousands of good Poles who are far removed from Communism. And still, one must bear in mind that present conditions in Poland are not propitious for the growth of any pro-Russian mood. The pro-Russian orientation in Poland is a direct reaction to the pro-German orientation of the United States.

The nations of Eastern Europe know that Germany has territorial claims in that area and they fear that at some future date the Americans will back the claims of their German ally.

From an American point of view, it is obvious that both those few East Europeans who believe in Communism and those (ever becoming more numerous), who, without being Communists, believe in the necessity of an arrangement with Russia, are lost to the cause of which the United States is the champion.

Ideology is a function of policy. Dozens of times I have heard my countrymen from Poland saying: „What does it matter to us that America is anti-Communist and anti-Russian if it arms and backs the Germans who make claims upon one third of our territory”. In Poland every Communist government will have the opportunity to pose as the sole defender of the integrity of the national territory. So long as Gomulka will be able to claim that he alone, with Russian support, can protect Poland against aggressive German imperialism — his position will remain unshaken.

The position of Communism in Eastern Europe would undergo a radical change if the Communist parties were to lose their role of defender and shield against German imperialism. In that case the pro-Russian orientation would also lose its main *raison d'être*.

The American leaders should remember that the United States fights not Russia but World Communism. Not every battle won against the Russians is a defeat of Russia; on the other hand every goal attained by the Communists as a whole increases the strength of the Soviets. The rearmament of Western Germany constitutes a certain menace to Russia but, on the other hand, it strengthens the position of the Communist regimes in Eastern Europe and causes millions of people to veer away from the United States. Anti-Communism allied to German militarism cannot have any hope of success in Eastern Europe, even if the staff of American propagandists were recruited only from among men of genius.

The United States is so powerful that it can afford, without loss, to give up the German divisions. If it were to do so the position of the United States, as leader of the world's anti-Communist movement would acquire a different aspect — more weight and more authority in the eyes of those who suffer under Communist domination.

The National Review has recently stated that one of the reasons for President Eisenhower's inflexible policy in respect to Berlin is the unanimity of all reports of the American intelligence services in claiming that Russia does not want a war and is determined to avoid one. If this is so, the West German divisions will not (thank Heaven) be called upon to play any active military part in any case, but they will play a very negative political part. As America is also determined to avoid a major war, there is every reason to fear that German rearmament will result in a pure loss of prestige and political opportunities.

Germany alone, whether demilitarized or armed to the teeth, is and will be unable to defend itself. In both cases a Soviet attack on Germany will mean a world war. One of the main arguments against neutralization is the myth of a local war in Central Europe. This myth is at the centre of the reasoning of Michael Howard and his experts. But in practice, if Soviet tanks started moving forward, the West would only have two possibilities — to withdraw its troops in the hope that the Soviet advance would come to a standstill on one line or another or to launch a counter-offensive with all the means at their disposal and this would, almost certainly, mean world war. Except in cases of provocation or accidents which might occur, in the event of open Soviet aggression in Europe, the West will not be faced with a choice between local war and world war but between surrender or world war.

Secondly, again as a result of the belief in the myth of localized wars, American statesmen are inclined to view the problems of Eastern Europe exclusively in the light of eventual military operations. But as a matter of fact, Europe is primarily a political problem. NATO bases and West German rearmament are no solution. They do not reduce tension and thus they do not reduce the chances of conflict. Peace in Europe can be restored only through political initiative.

Of all the plans which have been advanced so far to remove the danger of war in Europe, the one which advocates the setting up of a neutral belt embracing the two Germanies, Poland, Czechoslovakia and Hungary, seems to present the most concrete advantages. This plan can succeed only provided the United States and Russia agree to the final withdrawal from all the countries concerned, while East Germany, Poland, Czechoslovakia and Hungary would withdraw from the Warsaw Pact. This is a point of cardinal importance and there could be no compromise on that point. Indeed it is only under this proviso that Russia would be deprived of the right to intervene in these four countries on the Hungarian pattern (that is, under the pretext of fulfilling her duties under the Warsaw Pact).

Should agreement on this capital point be reached, all the other problems connected with neutralization and demilitarization would be settled in a way which would save „Russia's face” as much as possible. It would be unreal to demand free elections or radical social and economic changes. One could go even so far as to admit that all the countries joining the neutral belt (except West Germany) should continue to be members of the so-called Socialist Bloc — ideologically and constitutionally speaking. But they would have no military or political ties either with the East or the West.

The denuclearized, demilitarized neutral belt would remain under the control of a special U.N. commission and de facto under a joint American-Russian guarantee. If we are to renounce war as an instrument of policy, neutralization as a system of counterbalancing by compromise the conflicting interests of the Big Two in certain areas must replace, little by little, the old fashioned system of spheres of influence and local wars.

To work out a detailed project of an international status for the countries in the neutral belt, it will require many months of negotiations between the experts of both sides. But before we embark on these negotiations it is necessary to find out the position of Russia. The second version of the Rapacki plan could provide a desirable basis for these exploratory conversations. It seems to me that Russia would be prepared to pay a high price for the demilitarization of Western Germany and her withdrawal from NATO.

Obviously, many and serious dangers are connected with the concept of a neutral belt but I am convinced the risks of setting up such a belt are less than those that are implicit in maintaining present conditions. Risk is determined by the probability calculus. It is almost impossible to imagine how the present system in Central Europe (including the Berlin island its very center) could ever function in a fairly normal way. Every Berlin gate may lead on to a crisis and every crisis may be the beginning of a catastrophe.

We must in the West defend our rights and our position but we must also show initiative and flexibility in negotiation. Purely defensive rigidity has never brought victory to anyone”.

### *Poles in China*

In the „Australian Chronicle” by Mr. E. Zagiell we find an interesting fragment:

„Polish priest in Sydney could easily make a mistake and by force of habit preach his sermon in Chinese. And what's more — quite a few of his parishioners would understand every word!

We have here about a hundred new arrivals from China, people who were born there, know the language and the customs of that country. In the near future further groups of Poles are expected, mainly from Manchuria. The interest in China is growing among young people. Some of them take up history of Eastern Asiatic countries as one of the „honour” subjects in the matriculation exam.

At Polish gatherings in Sydney one might learn the price of a dinner in Shanghai after eight years of Communist rule, as well as what are the real reasons for Mr. Nehru's dislike of Chiang-Kai-shek. Serious work could be done in Sydney in the field of research if a centre of Chinese studies could be founded there. The scheme, however, remains in the sphere of unrealistic hopes due to lack of financial possibilities.

### *Philosophy in America*

Zbigniew Jordan contributes an excellent review of „American Philosophy” published by East European Institute (Boston University Press, Boston, 1959) edited and translated by Jerzy Krzywicki.

„American Philosophy” contains works of thinkers representing three generations. The „Big Four”: Peirce, James, Dewey and Santayana figure in the first, historical part of the book. The decision to put them at the beginning of the work seems justified both in economy of space and in the fact that those oldest American thinkers are considerably well known to Polish readers. Many works of James' appeared in Polish and one of them, the „Pragmatism”, has been reprinted again in 1957. The middle generation is represented by B. Blanshard, C.I. Lewis and Ducasse. The most numerous are the youngest philosophers. Some of them — S. Hook, E. Nagel, A. Pap or W.V. Quine have a wide and well deserved international recognition.

In his foreword Krzywicki writes that Peirce's and Dewey's works should be produced in Polish as separate anthologies. The same seems to apply to other American philosophers, whose work is not so widely known. It would be a good thing if this first effort to produce a general anthology would lead to many new publications on the subject.

### *Russia or The Soviet Union?*

Czeslaw Milosz begs to differ from those who maintain that it is irregular to use the name „Russia” on equal basis with the name „Soviet Union”.

„...Can we call the Soviet Union Russia? I think we can. We use more often the word „America” than two words „United States”. And then, the official language is called „Russian” so that it should be sufficient to justify the use of words „Russia” and „Russian”.

The assertion that good Russia has been conquered by bad Bolsheviks does not hold water. Russia has been conquered indeed but mainly by herself in the same way as France has been conquered by herself at the time of the French Revolution. The fact that the die-hards of ancien regime residing in neighbourly courts could not afterwards recognize their own France — goes without saying.

We may disagree with Soviet historians when they say that Ivan the Terrible, Peter the Great and Catherine II-nd, were „progressive” because they worked for future revolution. (Did Columbus by any chance set out for the West Indies in order to build New York?). Time, however, shows that these imperial sovereigns did work for revolution. Revolution grew slowly within the womb of Russia, it grew for a century fed more by Russian writers and philosophers than by Karl Marx. And then occurred that peculiar child-birth when the mother disappeared, changed into the child, endowing him with all her features. One could say a lot of all the ideas and institutions that were to flourish as a result of that event.

When politicians eagerly embrace the „nation” of a foreign country while criticizing its system, it is usually a manouver in the international policy, especially so, when the system is a home product. It reminds me forcibly of an attempt to explain historical process by use of mechanical tools, whereas historical processes belong surely to the field of chemistry.

#### *KULTURA No. 5/139, May 1959*

The long essay by Aleksander Hertz on Jews in Poland has been appearing in installments in several issues of our magazine. We shall give a summary of it in the next Digest of KULTURA.

#### *The False Idea versus None at all*

Out of a longer article by J. Mierozewski we reproduce the last few paragraphs:

„...American way of life cannot be propagated or sold. Conditions which existed a hundred years ago on the American continent do not exist any more anywhere. The Soviet Union offers to millions of beggars in Asia and Africa the Communist pattern of quick industrialization plus the faith in progress. The 19-th century Western faith in progress died. Obituaries were penned by writers such as Aldous Huxley and George Orwell, post mortem has been performed in the studies of sociologists.

In our opinion the disproportion between fast growing consciousness of human masses and a much slower growth of industrial production will revolutionize poor, economically backward nations everywhere. It is a slow revolution, planned for many decades but its pressure will make itself felt more and more with every passing year. If America wants

to keep its world position and take up the Soviet challenge it will have to double and perhaps treble the amount of help allowed to the poor and backward countries. To undertake this task would require great sacrifices and selfdenials, difficult to reconcile with the ideal of „affluent society”. Nevertheless there are situations when only utmost is sufficient. Affluence in isolation is, in our times, as absurd as colonialism. The Americans will be able to preserve their high standards of living only when the United States becomes founder and leader of the new world system, whose aim it will be to level discrepancies in living conditions among nations and to end exploitation.

There is no doubt that a chance of survival will remain only for „welfare capitalism”. By „welfare” I do not mean philanthropy indulged in by guilt-complex ridden millionaires. The „welfare” I have in mind means a system of social re-organization on a world scale.

The problem boils down to this: Russia has a false idea of world system. America has none.

#### *Letters to the Editor*

Mr. Lewis Galantière of „Free Europe” responded to our first English Digest with a letter which we reproduce here in a slightly shortened version:

„You were very kind to send me the current number of KULTURA with its first digest in English. Unable, alas, to read the review itself I read the digest with very great interest. Following are one or two things that struck me.

I am surprised to find in Ambassador Sokolnicki’s answer to Mr. Kisielewski no reference to the fact that it was not „the rest of the world” which looked on „absentmindedly” while the Warsaw uprising took place. The „rest of the world” had no access to Warsaw at the time of that uprising which taught „wisdom” to Mr. K. Only the Soviet forces were present — and „absentminded”. Did the Ribbentrop-Molotov agreement on Polish partition also teach „wisdom” to Mr. K.?

I want to say that I am in agreement with much of what Mr. J. Mierozewski writes. However I don’t know what he means when he says „American policy is of course anti-communist but it does not follow that its objects are the same as the objects of Polish policy of independence”.

U.S. policy favors Polish independence.

As to the „objects of” independence, in American eyes they are quite simply, to permit the Polish people to erect a form of government and found institutions of their own choice. The U.S. Government is not concerned to impose „the American way of life” or capitalism upon the Poles. It is a principal difference between Washington and Moscow. Washington is *only* a government; Moscow is both a government and a party, that is, the headquarters of a universal ideological and political conspiracy.

When Mr. M. complains that U.S. policy wishes to retain the status quo unchanged in East Europe, he is in error. Not only U.S. policy but U.S. *action* proves him wrong. U.S. economic aid to the



Polish people in 1957 and 1958 can only be seen as a peaceful means of bringing about a change in the status quo. How much further would Mr. M. ask the United States to go? The U.S. Government (I believe) agrees with Mr. M. when he himself says: „no anti-communist crusade could form the basis for Polish hopes of independence”. „Anti-communist crusade” means general war. The paradox here is that many Poles see this, yet they want a crusade for Polish independence nevertheless”.

In connection with Mr. Galantière's letter we would like to make the following observations:

1. In the perspective of time which passed since the Warsaw uprising we may quietly observe that the Western Allies have not done anything to overcome Stalin's obstinacy. Under sufficient pressure Stalin might have relented. It is also difficult to imagine that the Russians would have dared to shoot down allied planes landing on Soviet territory.

2. With reference to economic aid we must state that the aid given to Poland by the United States is very small and it cannot even be compared to the aid which has been received so far by Yugoslavia. Under a trade treaty concluded between Poland and Belgium in May, Belgium granted Poland a 50 million dollar credit which amounts to more or less half of the total sum of all American loans to Poland and there is a difference between financial possibilities of Belgium and the United States.

3. KULTURA has never called for a crusade to liberate the oppressed nations. We would be quite satisfied if we could believe that the United States has some East European plan. Furthermore the Poles would appreciate it if the United States could do at least as much as General de Gaulle in the matter of the Oder-Nisse line.

The United States rejects the plan of a neutral zone which would help to solve the German problem and bring great advantage to Poland, Czechoslovakia and Hungary. Rejecting that plan what alternative have they to offer in order to — as Mr. Galantière insists — change the status quo in Europe.

Shortly before going to press, we have received another long and very interesting letter from Mr. Galantière. We regret that lack of space prevents us from reproducing more than the most essential fragments of this letter:

„...Nobody would deny Mr. Mioszowski the right to be suspicious of the shape of the future in Germany. How much right has he to be suspicious of the intentions of the West Germany of the present day? Here and there, in the past ten years, a handful of shabby ex-colonels and unrepentant Nazis have raised their voices: each time, the Federal Republic has firmly repressed them. Expellee organizations have called, and continue to call for the recovery of their „lost territories”. Humanly speaking, who can blame them? When one of them, the Goettingen Kreis, falsified Polish documents, whence came the sharpest criticism? From *Der Spiegel*, a Hamburg weekly of very wide distribution. What are the elements which now make up the governing class of West Germany? Not nobles, functionaries, army officers and a professorat committed to a throne, a dynasty, and a racist theory. Instead, democratic politicians, businessmen, and trade union leaders. These people may seem to the

readers of KULTURA contemptibly bourgeois and materialistic; but they are not trouble-makers”.

„...There is, however, one thing that disturbs me. I should like to be perfectly sure that the West German leaders have got entirely over their traditional feeling of superiority toward — not the Russians, but the Western Slavs. There is perhaps some danger that if bad times came, and if the Germans were not bound by strong ties to the West, men might arise among them who would be prepared to enter into partnership with Moscow for the exploitation of East Europe, including of course Poland. Is not that a contingency against which the Polish people would wish to be safeguarded? And could they be insured against it by paper „neutralization”? Can we safely assume that Germany is an Austria or a Finland, and would accept limitations upon its freedom of action by whomever it be?

It is on the basis of considerations such as these, I think, that the German policy of the U.S. Government rests. As well as I understand it, U.S. policy is as follows. The possibility of a revival of German imperialistic ambitions cannot be left out of account. The best insurance against such an eventuality is to build up in the Germans a sense of solidarity with the West — to make solidarity with the West so attractive that the Germans will not revert to mysticopolitical reveries of *Germanentum*, Arminius, and the revival of the *Reich* of Charlemagne, Barbarossa, and that shrewd, money-loving, „perfect knight”, Maximilian. To do this, the U.S. Government has encouraged, when it was able, the integration of the Germans into a European Community. And nobody can deny that Adenauer is a leading architect of that structure”.

„...Let me refer, in passing, to an error in Mr. Mioszowski's article which form one of his principal arguments. On the faith of a respectable and obscure American weekly whose position in 1959 is roughly the position in 1910 of Barrès in politics and the Comité des Forges in social questions, he speaks of the „myth of local war in Central Europe”. No such myth exists. There is an American theory of „limited wars”, but it refers only to armed conflict in localized sectors of Asia and Africa. Nobody is so foolish as to assume that „limited wars” can take place where NATO and the USSR stand face to face; and the only recent limited war in Europe was that between the Soviet armies and the Hungarian people.

Another of Mr. Mioszowski's favorite ideas is that of a „neutralized” Poland belonging to the „so-called Socialist Bloc, ideologically”. Agreed; provided he will add: „for the time being, and until the Polish people are in a position to choose freely the kind of government and institutions under which they prefer to live”. (This is literally the policy of the U.S. Government, which, you will note, extends aid to Gomulka though Gomulka is not even a revisionist). What I take the liberty to doubt is that the Polish people desire to form part of the Socialist Camp in perpetuity, any more than the French people, say, would want to form perpetually part of an „American Camp” if such a thing existed”.

We think that some points of Mr. Galantière's letter require comments on our part.

All international bodies and organizations begin their existence on paper. The neutralization of Germany or the proposed neutral zone in Europe would be no exception. Some American politicians go as far as to say that not only would it be a „paper” neutralization but the whole idea would denote weakness and appeasement. We think they are wrong. We are positive that only a very tough American Government would have a chance to make Russia agree to negotiate the proposed plan of a neutral zone in Europe. And only a very tough American Government could secure the chance of success for such international structure. That tough undertaking would be the opposite to appeasement and to the policy of patching up the situation from one crisis to another. Whether German neutralization would be a „paper” one or not would depend largely on America.

We cannot think of a better guarantee against the restoration of German imperialism than neutralization and cuts in armament. During the life-time of one generation only, two attempts at integration of armed Germany into the European Community ended in disaster.

It is not our favorite idea for Poland to belong ideologically to the bloc of socialist countries, but, and Mr. Galantière knows it as well as we do, we have no choice between „liberation” and „neutralization”. If any choice for us exists at all, it is a choice between a neutral zone and the danger of the status quo in Europe being confirmed by the Western Powers. The latter puts us outside any hope, the former, we believe, would give us a chance of evolution in the direction we desire.

One of the letters received, accuses us of anti-American feeling. KULTURA in the past ten years has done more than any other emigre publication to promote the understanding and friendship with America, and it would not be necessary to reply to this sort of accusation at all, if it were not for the fact that in certain circles. Polish-emigre as well as American, there is a tendency to treat any independent opinion or any idea different from the officially predominant (at the time) as „anti-American”. We do not think being „pro-American” should be the sole privilege of „yes-men”.

EDITOR

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.  
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,  
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1959

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Bercinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kieflinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganika, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 250 fr.	21 sh. 1.300 fr.	42 sh. 2.600 fr.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
IZRAEL : Diffusion du Livre Français, Ltd, 35, rue Rashi, B.P. 3172, Tel Aviv	285 fr.	1.500 fr.	3.000 fr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vatra Trade, 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Roman J. Sas-Babczynski, 164 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 4-1407	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalaajara, Jal. Tél. : 49855.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431			
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praco, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedynczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
C.C.P. PARIS 7585-94

*Nowości*

**BIBLIOTEKI " KULTURY "**

**TOM XLIV**

**BORYS PASTERNAK**

# **DOKTOR ŻIWAGO**

Przełożył z rosyjskiego Paweł HOSTOWIEC  
Wiersze w przekładzie JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

**JUŻ JEST W SPRZEDAŻY**

Cena egzemplarza frs 1750 (sh. 25, dol. 4,00)



**TOM XLII**

**MAREK HŁASKO**

# **HŘBITOVY**

**(Cmentarze)**

W przekładzie K. BENY na język czeski

Cena egzemplarza frs 750 (sh. 11, dol. 1,50)